

Minstrel

Becnel Roxanne



calibre 0.9.43

Prolog

Zamek Whitling, Anglia, wrzesień 1153

Rhys ap Owain wyznaczył sobie trzy cele.

Pierwszym było opuszczenie na zawsze angielskiej ziemi

i powrót do ukochanej Walii. Drugim -
rozprawienie się

z Anglikami, którzy wciąż panoszyli się
w jego ojczyźnie,

zwłaszcza z rodem FitzHugh, i
zachowanie Walii dla Walijszczyków.

Trzecim, najpilniejszym, strącenie z
siodła olbrzymiego

rycerza, który nacierał na niego z siłą i
prędkością pioruna.

Rhys nastawił kopię, mierząc w tarczę
przeciwnika, nieco

w lewo od środka. Jego wierzchowiec
nabrał rozpędu. W tłumie

obserwującym turniej zawrzało. Jeszcze
tylko moment. Pełna

gotowość. Skręt...

Siła zderzenia była tak potężna, że omal
nie zrzuciła go

z konia. Zdążył się jednak pochylić i kopia olbrzymia ze

zgrzytem ześliznęła się po jego tarczy. Jednocześnie Rhys

poczuł, że jego oręż trafił dokładnie. Potwierdził to głośny huk.

Koń przeciwnika uskoczył w bok. I nagle było po wszystkim.

Kłęby kurzu zasłoniły widzom efekt pojedynku. Ale Rhys

znał smak zwycięstwa. Odetchnął głęboko, czując zapach kurzu

i końskiego potu. W ciągu ostatnich

trzech lat wziął udział

w dwudziestu dziewięciu turniejach i
tylko czterokrotnie sam

został wysadzony z siodła, z czego ani
razu w ostatnim sezonie.

Nawet jego koń poczuł zwycięstwo, bo
stając dęba, zatańczył

na tylnych nogach, aż ziemia zadrżała
pod ciężkimi uderzeniami

kopyt. Drugie zwierzę, nagle
pozbawione jeźdźca, stało bez

ruchu.

Rhys okrążył arenę pojedynku, trzymając
wysoko uniesioną

kopię, podczas gdy do leżącego rycerza
podbiegli jego ludzie,

żeby pomóc mu się pozbierać. Rhys
wiedział, co o nim

mówiono, jakie przydomki nadawano
mu w ostatnich latach.

Był znany jako Rhys Bezwzględny, jako
Rhys Gniewny,

a czasami także jako Rhys Wściekły.
Wszystko dlatego, że

walczył nie tylko dla wygranej, lecz

także po to, by zmiażdżyć

przeciwnika. Pokonać go.

Żeby go unicestwić.

Czy to na placu ćwiczeń, czy na
turniejach - tych oficjalnych

i nieoficjalnych - czy wreszcie na polu
bitwy, niezmiennie

kierowały nim te same pobudki. Zawsze
zmagał się z Anglikami

i pogardzał Anglikami. Walczył z nimi
wszędzie, gdzie tylko

miał sposobność, a w Anglii było pod

dostatkiem śmiałków,

gotowych się zmierzyć ze słynnym
Walijczykiem, z rycerzem

chętnym stanąć w szranki do walki o
najwyższą stawkę.

Przy okazji zdobył bogactwo,
przerastające najśmielsze

dziecięce wyobrażenia. Jednakże to nie
wystarczało, by czuł

się spełniony.

Po drugiej stronie placu, w książęcej
łóży, jakaś kobieta wstała,

ale przez wąską szparę w przyłbicy nie widział jej zbyt dokładnie.

Czy to była żona lorda Whitlinga, czyjego córka? Nie był pewien.

Wyciągnęła czerwoną jedwabną chustkę, haftowaną w białe

kwiaty i wstążki, a on podjechał, by ją od niej przyjąć. Jedwab

i róże były symboliczną nagrodą dla zwycięzcy turnieju, ale dla

Rhysa znacznie bardziej liczyły się złote i srebrne monety, którymi

pokonani rycerze musieli mu zapłacić za

zwrot koni i zbroi.

Zatrzymując się przed bogato udekorowanym podium, uznał,

że ma za sobą udany dzień. Za to, czego dokonał, należała mu

się skrzynia pełna bogactw.

Opuścił kopię, by dama mogła zawiązać chustkę na jej

czubku. Uśmiechnęła się do niego - to była zażywna matka,

nie pięknołica córka.

Rhys zdjął z głowy hełm, a tłum zaczął

krzyczeć, klaskać

i tupać, wyrażając mu w ten sposób uznanie. Kiedy czterech

ludzi wynosiło z areny pokonanego, rozległy się gwizdy i pogardliwe okrzyki pod jego adresem.

- Ogłaszam cię zwycięzcą Turnieju Whitling, sir Rhysie -

oznajmiła pani zamku. Siedzący za nią lord Whitling uniósł

kielich, napił się, a potem głośno czknął. Nie zwracając uwagi na

męża, lady Whitling wpatrywała się w

Rhysa. - Dołączysz do

nas dziś wieczorem przy głównym stole.

- A potem do mnie

w łóżu, dodała spojrzeniem spod na
współ opuszczonych powiek.

Rhys w odpowiedzi skinął głową. Córka
przewyższała matkę

urodą, ale była pilnie strzeżoną
dziewicą. Za to matka nie kryła

ochoty i z pewnością miała większe
doświadczenie. Pokonał

na tym turnieju siedmiu angielskich
rycerzy. Tej nocy miał

kolejnemu przyprawić rogi - mężowi
lady Whitling.

Uśmiechnął się do kobiety. A potem
uniósł kopię, tak że

chustka wolno zsunęła się po długim
drzewcu. Małe chytre

oczka lady Whitling rozbłysły żarem.

Tak, mógł się po niej spodziewać
gorącej nocy. A skoro

świt miał wyruszyć na turniej w Gilling.
Rozeszły się pogłoski,

że król Stefan doszedł do porozumienia
ze swoim młodym

konkurentem Henrykiem, księciem Normandii. W Anglii powiało zmianami, a każda zmiana niesie ze sobą nowe możliwości dla tych, którzy są gotowi je wykorzystać.

Rhys osiągnął dziś jeden ze swoich celów. Szybko zbliżał

się czas spełnienia dwóch pozostałych.

Zamek Rosecliffe, Walia, październik 1154

Izolda stała z ustami ściągniętymi w wyrazie skupienia

pośród gromady robotników, krzątających się po kaplicy. Praca

szła wolno, każda zmiana w wystroju wnętrza pochłaniała

dwukrotnie więcej czasu, niż można się było spodziewać.

Niemniej jednak widać było postępy, a po zakończeniu wszystkich robót kaplica zamku Rosecliffe musiała wyglądać imponująco.

Ojciec długo nie chciał się zgodzić na wprowadzenie jakichkolwiek zmian w skromnej kaplicy, jednakże wobec uporu Izoldy wreszcie uległ. Dlatego chciała go oszołomić swoimi

dokonaniami i w ten sposób zapewnić sobie jego przychyłność

w sprawie dalszych przeróbek, jakie planowała w zamku.

Uśmiechnęła się na myśl o ulepszeniach, które zamierzała

wprowadzić: wewnętrzny ogródek z kwiatami, półka nad kominkiem w wielkiej sali, z motywem wilka i róży - symboli przyjętych przez ojca - haftowane kotary u szczytu głównego

stołu, więcej pochodni nowego typu, z ochronnymi opaskami,

takich jakie widziała w siedzibie burmistrza w Chester...

Teraz jednak musiała poświęcić więcej

uwagi freskowi,

przedstawiającemu świętego Jana i pierwszy chrzest.

Cofnąwszy się nieco, ogarnęła wzrokiem całą ścianę, tak że

szczegóły się zatarły i widziała jedynie zarysy kształtów oraz

grupy barwnych plam. Często stosowała tę sztuczkę podczas

haftowania czy malowania małych obrazków. Ale przy większych pracach ta metoda sprawdzała się jeszcze lepiej. Izolda wyciągnęła rękę i machnęła nią w powietrzu, jakby malowała

ścianę wielkim pędzlem.

- Rzeka musi się rozszerzać, w miarę jak się zbliża do

ołtarza -powiedziała bardziej do siebie niż do zaniepokojonego

artysty, który stał u jej boku. - I słońce jest zbyt żółte. Powinno

mieć bledszy odcień.

- Użyłem do słońca tego samego koloru, który przygotowałem dla opata z Chester

- bronił się malarz.

- Ale ja chcę, żeby było bledsze - nie ustępowała. - To nie

ma być słońce w dosłownym sensie,
lecz raczej symbol nieba

w jego promiennej chwale. - Sięgnęła
po zatknięty za uchem

zaostrzony patyczek i nakreśliła cienką
linię na wilgotnym

tynku. - Bledsze słońce. Szersza rzeka.
O, tak.

Zerknęła na artystę z ukosa, jakby
sprawdzając, czy ośmieli

się jej sprzeciwić. Po chwili wahania
niechętnie skinął głową.

Nie lubił przyjmować poleceń od

kobiety, zwłaszcza takiej

młodej. Gdyby nie była córką lorda i lady Rosecliffe, w ogóle

by się nią nie przejmował.

Ale była ich córką i to ona wymyśliła nowy wystrój kaplicy,

a on był tylko wynajętym wykonawcą. Miała zamiar dopiąć

swego, niezależnie od jego opinii.

Zresztą gdyby nie spełnił

jej oczekiwań, sama wzięłaby się za malowanie.

- Ile czasu potrwa dokończenie ostatniej ściany? - spytała.

Wzruszył ramionami, wycierając pobrudzone farbą palce

w fartuch.

- Jeszcze półtora dnia na malowanie, a potem dwa lub trzy

dni na wyschnięcie.

- Świetnie. Każę ojcu Clemsonowi odprawić specjalną

mszę w niedzielę. Chcę, żebyś ty wraz ze swoim pomocnikiem

zasiadł w ławkach dla rodziny. Pragnę, żeby wszyscy docenili

twój talent.

Znów wzruszył ramionami, ale uśmiechnął się przy tym

lekko, zadowolony z komplementu.

Postanowiła być bardziej szczodra w pochwałach. Pochłonięta

swymi rozlicznymi planami, zbyt często zapominała o uprzejmości.

Kiedy artysta oraz jego pomocnik na powrót wzięli się do

pracy, Izolda rozejrzała się po całym pomieszczeniu. Stolarze

zbudowali sześć potężnych ław i duży nowy ołtarz. Kamieniarze

wykuli piękną balustradę, a najstarszy z nich wyrzeźbił chrzcielnicę z bloku marmuru, który jej stryj Jasper sprowadził z Chester.

Właśnie montowano wszystkie kamienne elementy. Pozostawał

jeszcze tylko krzyż.

Sięgnęła do rękawa po zwój pergaminu, na którym znajdował

się wykonany przez nią szkic. Matka
życzyła sobie celtyckiego

krzyża, dla uczczenia swej walijskiej
ojczyzny. Ojciec Clemson

wolał typowy krucyfiks z konającym
Synem Bożym. Ojciec

Izoldy w ogóle nie chciał się
wypowiadać na ten temat; ze

złośliwym chichotem przypomniał, że to
ona jest autorką

projektu, więc sama musi rozwiązać ten
problem.

Izoldzie nie pozostało więc nic innego,

jak samotnie dokonać

wyboru. Z jednej strony nie chciała się sprzeciwić matce,

z drugiej nie miała ochoty rozgniewać księdza, który wyznaczał

jej pokutę. Ojciec Clemson mógłby jej kazać klęczeć całymi

godzinami, gdyby uznał, że nie okazała dość szacunku Chrystusowi. Mogła więc tylko mieć nadzieję, że obojgu spodoba się rozwiązanie, które wymyśliła.

Pomysł przyszedł jej do głowy tuż po przebudzeniu, w bladym

świetle przedświtu, przed pierwszym
pianem koguta. Celtycki

krzyż, wyższy i szerszy od wszystkich
krzyży, jakie w życiu

widziała. Pośrodku wyrzeźbiona w
drewnie postać Zbawiciela,

a na końcach ramion symboliczne
celtyckie znaki. Niebo nad

głową Chrystusa, ziemia pod jego
stopami, po bokach ogień

i woda. Dary dane człowiekowi przez
Boga. A w centrum dar

największy ze wszystkich, Syn Boży,

zbawiciel ludzkości.

Chociaż szkic był wykonany w pośpiechu, Izolda od razu

wiedziała, że projekt jest dobry, najlepszy z jej dotychczasowych. Mimo to pełna niepokoju wyszła z kaplicy, żeby poszukać matki i ojca Clemsona. Nie wiedziała, czy lepiej będzie przedstawić pomysł obojgu jednocześnie, czy każdemu z osobna.

Tak czy inaczej musiała to zrobić jak najszybciej, choć krzyż

i tak nie mógł być skończony przed niedzielą.

Przeszła pod murami, dobierając w
myślach odpowiednie

odcienie ochry i oliwki i zastanawiając
się, co zmieszać, by

uzyskać wystarczająco żywy odcień
purpury. Nie zauważyła

kilku grupek ludzi, szepczących coś do
siebie, ani pary obcych

koni pilnowanych przez dwóch
giermków przed stajnią. Dopiero

kiedy weszła do zamku i spotkała Gwen
oraz jej nieodłączną

przyjaciółkę Lavinię, obie aż

podskakujące z podniecenia,

wróciła myślami do rzeczywistości.

- Co was tak poruszyło? - spytała młodszą siostrę. - Gdzie

matka? Gdzie ojciec?

- Przyjmują wiadomość. Od księcia Normandii. Księcia

Normandii - powtórzyła Gwen znaczącym tonem. - Jak myślisz, może ma zamiar odwiedzić nas tu, w Rosecliffe?

- Och, to niemożliwe! - wykrzyknęła Izolda. -Przynajmniej

dopóki kaplica nie będzie skończona!

Gwen spojrzała na nią z politowaniem.
W wieku trzynastu

lat uważała się za damę i starsza siostra
mocno ją irytowała.

- Bardziej się przejmuję tynkiem i farbą
niż opłakany

stanem swoich włosów - zwróciła się
do Lavinii. - I tą okropną

sukienką. - Pokręciła głową.

- Chciałaś powiedzieć, że nie zajmuję
się wyłącznie swoją

fryzurą i strojami - odcięła się Izolda. -
Wszyscy żywimy

nadzieję, że i ty kiedyś poszerzysz swoje
zainteresowania,

Gwen. Do tego czasu nie pozostaje nam
nic innego, jak znosić

twoje dziecinne zachowanie.

Odeszła, nie zwracając więcej uwagi na
młodszą siostrę.

Skoro Henryk, książę Normandii,
przysłał do Rosecliffe wiadomość,
chciała się dowiedzieć, co miał do
przekazania.

Ruszyła w kierunku niewielkiego pomieszczenia, z ciężką

adamszkową zasłoną wiszącą w łukowato sklepionym wejściu.

Pomyślała, że przydałyby się porządne drzwi z małym okienkiem,

zasuwą i metalową kołatką. Dla bezpieczeństwa i dyskrecji. W tym

momencie jednak była rada, że zamiast nich jest tylko zasłona,

ponieważ, stając za nią, mogła wszystko dokładnie usłyszeć.

- Kiedy odbędzie się koronacja? - zadał

pytanie ojciec.

- W połowie grudnia, w Westminster Abbey - odpowiedział

mu jakiś mężczyzna. - Wcześniej jednak chce się naradzić ze

swoimi baronami i uzyskać ich osobiste poparcie. Najlepiej

będzie, jak wyruszyacie w ciągu paru najbliższych dni.

- Tak szybko?! - wykrzyknęła matka. - Ależ Rand, nie

mogę przygotować...

- Spokojnie, Josselyn - przerwał jej mąż. - Nie ma czego

przygotowywać. Spakujesz rzeczy i wyruszamy.

- Ale co z dziewczętami? No i Gavin jest w Ludlow.

- Poślemy mu wiadomość, żeby dołączył do nas w Londynie.

W Londynie.

Izolda zacisnęła w dłoni fałdy zasłony. Cała rodzina wyjeżdżała do Londynu? Na koronację? Nagle sobie uświadomiła coś jeszcze ważniejszego. Całkiem niedawno Henryk, księżę

Normandii, nazywany był następcą króla Stefana. A skoro miał

być koronowany, to oznaczało, że stary król umarł.

Znów dobiegł ją głos ojca.

- Może się zdarzyć, że pojawi się tam mój brat John, jako

że zamek Aslin leży niedaleko od Londynu. A jeśli będzie też

Halyard, porozmawiamy o przyszłości Izoldy.

Przyjemne podniecenie opuściło dziewczynę w jednej chwili.

Nigdy nie miała okazji poznać swego drugiego stryja, a podróż

do Londynu byłaby życiową przygodą. Ale nie wtedy, gdy

miała zostać wydana za najstarszego syna lorda Halyarda,

Mortimera.

Bez namysłu odsunęła zasłonę i weszła do pomieszczenia.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, spoczęło na niej

sześć par oczu. Poza rodzicami było tam jeszcze dwóch nieznanym jej ludzi, oraz

Osborn, kapitan straży, i ochmistrz Odo.

- Izoldo - odezwała się lady Josselyn tonem pełnym przygany.

Jej mąż przeszył dziewczynę ostrym spojrzeniem.

- Jak widzisz, jestem zajęty, córko. Zaczekaj na mnie w sieni.

- Ale, ojcze, ja nie chcę wychodzić za Mortimera - wybuchnęła. - Przecież wiesz o tym.

Widząc, jak ojciec zaciska szczęki,
uświadomiła sobie swój

błąd. Nie mogła liczyć na jego
wrozumiałość w sprawie swego

zamążpójścia.

- Zaczekaj na mnie w sieni - powtórzył
sucho.

W gabinecie zapadła nieprzyjemna
cisza, ale w tej kwestii

Izolda nie mogła ustąpić. Zbierając w
sobie całą odwagę,

uniosła podbródek.

- Zaczekam. Ale nigdy się nie zgodzę na ten idiotyczny plan.

Ktoś głośno wciągnął powietrze, wstrząśnięty aktem tak

niebywalej zuchwałości wobec wielkiego Randulfa FitzHugh,

lorda Rosecliffe. Izolda nie była ciekawa, kto w ten sposób

wyraził swoje oburzenie; jednocześnie wściekła i przestraszona,

odwróciła się na pięcie i wyszła. W jednej chwili zapomniała

o kaplicy i toczących się tam pracach.

Zapomniała o schowanym

w rękawie pergaminie ze swym śmiałym projektem. Gryząc

ze zdenerwowania paznokieć, niemal biegiem wpadła do zamkowej sieni. W głowie wirowała jej tylko jedna myśl - jechali do Londynu, żeby obejrzyć koronację nowego króla i doprowadzić do jej ślubu z tym młodym niezgłą.

Jak dzień, który się zaczął tak dobrze, mógł się skończyć

tak okropnie?

Specjalnie kazał jej czekać. Nim posłańcy wreszcie wyszli,

Izolda dosłownie trzęsła się ze strachu.
Kiedy Odo i Osborn

opuścili komnatę, miała ochotę tam
wejść. Wiedziała jednak,

że to nie byłoby rozsądne, więc
zacisnęła zęby i przysiadła na

dłoniach, żeby się powstrzymać przez
obgryzieniem paznokci

aż do skóry. Gwen rzuciła jej z daleka
wyniosłe spojrzenie,

po czym odwróciła głowę.

W końcu matka opuściła gabinet i
dojrzawszy Izoldę, od

razu do niej podeszła.

- Czy ty się nigdy nie nauczysz, jak należy rozmawiać

z ojcem? - zaczęła gniewnie. - Twoje porywcze wystąpienie

tylko utrudniło sprawę.

- To on jest trudny! - wykrzyknęła Izolda. - Nie chce

słuchać...

- Podobnie jak ty! Czyż nie powtarzałam ci wielokrotnie,

że nie pozwolę, by któreś z moich dzieci

zmuszono do niechcianego małżeństwa?
Czyżbyś tego nie słyszała, Izoldo?

- Owszem, mamó. Ale...

- Ale mi nie wierzysz i jeszcze pogarszasz sytuację. Och,

Izoldo. - Lady Rosecliffe wyrzuciła ręce
w górę w geście

bezradności. - Czy Gavin, Gwen i
Elyssa również przysporzą

mi podobnych kłopotów?

Dziewczyna ze skrucną opuściła głowę i
wbiła wzrok w swoje

splecione ręce. Odruchowo zeszkrobała z dłoni grudkę zaschniętego tynku.

- Jest bardzo zły?

- Wściekły. - Matka westchnęła. - Na szczęście jego złość

nico łagodzi ulga, że wreszcie, po dziewiętnastu latach,

będziemy mieli na tronie jednego niekwestionowanego monar-

chę. Jednakże twój ostry język upewnił go w przekonaniu, że

potrzebujesz męzowskiego nadzoru.

- Mężowskiego nadzoru? - obruszyła się Izolda. - Czyżbyś

i ty, mamó, miała mężowski nadzór? Nie wydaje mi się.

Piękna twarz matki złagodniała w uśmiechu.

- Wolę myśleć, że twój ojciec i ja stanowimy dobraną parę. On

ma swoje strefy wpływów, ja swoje. Ale jestem jego żoną, Izoldo,

a ty jesteś jego córką. Nie może na nas patrzeć jednakowo.

Niełatwo mu się pogodzić z myślą, że

jego córka dojrzała do

podjęcia obowiązków żony. -

Uśmiechnęła się szerzej. - Chyba

dlatego zwrócił uwagę na syna lorda
Halyarda, Mortimera.

Pomijając korzyści z samego związku z
rodziną Halyardów, ojciec

postrzega Mortimera bardziej jako
chłopca niż mężczyznę.

Izolda przez chwilę rozważała w duchu
ostatnie słowa matki.

- Chcesz powiedzieć, że chce mnie
wydać za człowieka... za

chłopca niezdolnego do wypełniania
mężowskich obowiązków?

Matka zaśmiała się serdecznie, a potem
usiadła, biorąc córkę
za rękę.

- Nie. Ale przypuszczam, że ciężko mu
przełknąć myśl, że
jakiś mężczyzna miałby odebrać
niewinność jego córce.

Izolda nie ukrywała zdumienia. Od
dawna wiedziała, jak się
sprawy mają pomiędzy mężczyznami i
kobietami. Jej matka

była światłą kobietą i zawsze szczerze odpowiadała na wszelkie

pytania dotyczące małżeńskiego pożycia. Izoldzie nigdy nie

przyszło do głowy, że ojciec może mieć inne podejście do tych

spraw.

- Skoro tak, to po co w ogóle chce mnie wydać za mąż?

Dlaczego nie mogę poczekać, aż znajdę kogoś, kogo sama

będę chciała poślubić?

Matka pokręciła głową.

- Izoldo, szukasz logicznego wytłumaczenia, podczas gdy

zamiary twego ojca nie są oparte na logice. On po prostu ma

świadomość, że musisz wyjść za mąż, a dla Rosecliffe jest

niezwykle ważne, za kogo wyjdiesz. Jednakże w głębi serca

nie może znieść tej myśli i dlatego przyjął propozycję lorda

Halyarda.

Izolda skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie obchodzi mnie, jak bogaci i potężni są Halyardowie.

Nie wyjdę za Mortimera. Jest chudy i ma spadziste ramiona.

Do tego jest pryszczaty. I czerwieni się na twarzy, ilekroć

spojrzę w jego stronę... co, zapewniam cię, nie zdarza się często.

- Wyrośnie z tych wszystkich niedostatków - zapewniła

Josselyn ze śmiechem.

- Ale ja go nie kocham!

Matka natychmiast spoważniała.

- No właśnie. W tym problem.

Zasłona w drugim końcu sieni
zafalowała i wyszedł zza niej

ojciec. Izolda spojrzała na niego i po raz
pierwszy ujrzała w nim

nie ojca, lecz męża swojej matki,
mężczyznę, jakiego mogła

pokozać silna, inteligentna kobieta.

Chociaż między nią i ojcem często
dochodziło do spięć,

prawda była taka, że Izolda pragnęła na
męża kogoś podobnego.

Mężczyzny, który byłby zarazem silny i
łagodny. Pewnego

siebie aż do granic arogancji, lecz
równocześnie otwartego na

opinie innych. Mężczyzny żywiołowego,
lecz czułego.

Już się nie bała mu przeciwstawić.
Podnosząc się z miejsca,

powiedziała cicho do matki:

- On może jest uparty, ale na pewno nie
bardziej ode mnie.

Josselyn musiała przyznać, że to
prawda, kiedy patrzyła, jak jej

pierworodne dziecko podchodzi do
Randa. Połączenie angielskiej

zuchwałości z walijskim uporem
zaowocowało w osobie Izoldy

niebывałą odwagą. Ta dziewczyna
potrzebowała na męża wyjątkowego
mężczyzny, który umiałby sprostać
stawianym przez nią wyzwaniom.

Biedny Mortimer Halyard z pewnością
nie był

odpowiednim wybrankiem, podobnie
jak reszta młodzieńców,

którzy dotąd deklarowali Randowi swoje zainteresowanie Izoldą.

Josselyn dotknęła pęku kluczy przymocowanych do paska.

Pragnęła dla córki dzielnego Walijszyka. Rand wolałby raczej

łagodnego Anglika. Odpowiedni mężczyzna dla Izoldy mieścił

się gdzieś w połowie drogi między tymi dwiema skrajnościami.

Josselyn miała przeczucie, że córka sama będzie musiała go

znaleźć.

Albo to on będzie musiał znaleźć Izoldę.

Alu? - wykrztusił Rhys, kiedy Linus zapinał mu zbroję.

- Szesnastu rycerzy w turnieju -
odpowiedział przerośnięty

giermek. - To oznacza... to oznacza... -
Opuścił wzrok na

swoje dłonie. Rhys wiedział, że licząc
na palcach, Linus

próbuje sobie poradzić z prostym
rachunkiem.

- Osiem pojedynków - podpowiedział
służący Gandy. -

Potem cztery. Potem dwa.

- Osiem pojedynków - powtórzył Linus.
- Potem cztery.

Potem dwa.

- Niech mnie licho, w tej szopie jest echo! - wykrzyknął

Gandy, jak zawsze skory do żartów.

- Zostaw biednego chłopaka w spokoju - odezwał się Tillo,

który, utykając, właśnie wszedł do środka.

- Biednego chłopaka? Jeśli on jest

chłopakiem, to ja niemowlęciem.

- Ty jesteś karłem i do tego wyjątkowo złośliwym - warknął

Tillo.

- A ty starym kulawym zrzędą - odciął się Gandy.

Linus oderwał wzrok od swoich palców.

- Bądźcie mili - zagrzemiał niskim, powolnym głosem.

Rhys założył przez głowę napierśnik. Bywały chwile, choćby

takie jak ta, kiedy żałował, że skupił przy sobie tę osobliwą

gromadę. Karła o niewyparzonej gębie, uratowanego ze stosu

w Pleshing. Olbrzyma, uwolnionego z pola pod Cockermouth,

gdzie chodził w uprzęży niczym pociągowe zwierzę. No i Tilla.

Staruszek był głodny, a kiedy go nakarmili, nie chciał odejść.

Tak czy inaczej, to niezwykle trio stanowiło dla Rhysa coś

w rodzaju rodziny. Kiedy inni rycerze

drwili sobie z jego

dziwnej kompanii, on dokładał
wszelkich starań, by ich pokonać

w wyjątkowo upokarzający sposób.

- Są jakieś wieści? - spytał Tilla. - Nie
wróciłbyś tak

szybko, gdyby nie było.

- Rzeczywiście, są wieści - przyznał
staruszek, siadając

ciężko na ławie. - Krążą pogłoski, że
koronacja ma się odbyć już

za dwa tygodnie. Wezwano na nią

wszystkich wielkich lordów.

- Wszystkich? - Rhys znieruchomiał. -
Tych z walijskiego

pogranicza też?

- Tak mi powiedziano. Młody Henryk
chce, żeby przybyli

wszyscy i żeby każdy złożył mu
przysięgę posłuszeństwa. Widzi

mi się, że ten młody król będzie trzymał
swoje ziemie żelazną

ręką. Dałby Bóg, żeby lepiej traktował
sвій lud niż Stefan.

- Nie będzie lepszy dla moich walijskich braci - mruknął

Rhys. - Słaby król pozwala swoim baronom na rozbój. Silny

będzie chciał odebrać im łupy. - Włożył grube skórzane rękawice i sięgnął po hełm. - Jeśli mam coś zdziałać, muszę się do tego zabrać od razu - rzekł ciszej, już do siebie.

Jednak Gandy usłyszał i jego małe oczka zabłyśły podnieceniem.

- Zatem jedziemy do Walii, do tego zamku Rosecliffe,

którego tak nienawidzisz?

Rhys wyjął długi miecz z pochwy i
spojrzał na starannie

wypolerowane ostrze.

- Jedziemy do Rosecliffe. Ale dopiero
po tym, jak się

rozprawię po kolei z każdym rycerzem,
biorącym udział w tym

turnieju. Z każdym angielskim rycerzem
- dodał tonem przysięgi.

2

Izolda była niepoczyszona. Postawiła na swoim i teraz

musiała ponieść konsekwencje. A to było takie trudne... i niesprawiedliwe!

Ojciec dał jej do wyboru dwie możliwości, obie okropne.

Mogła jechać do Londynu i oficjalnie przyjąć oświadczyzny

Mortimera Halyarda albo pozostać w Walii, obrażając przyszłego męża i dając tym samym zły początek swemu małżeństwu.

Mimo złości i błagań dziewczyny, ojciec nie ustąpił. Uparł

się, że powinna wyjść za tego niezdarę Mortimera. Przypomniiał,

że odprawił już trzech kandydatów do jej ręki, zacnych młodzieńców z dobrych rodzin, którymi wzgardziła. Nie miał więc zamiaru odmawiać młodemu Halyardowi i jego potężnemu

ojcu. Przez ostatnie trzy dni Izolda z ojcem prawie się do siebie

nie odzywali. I nawet teraz wciąż nie mogła uwierzyć, że

posunąłby się do tego, by ją zmusić do

małżeństwa.

Matka nie brała udziału w rozmowach.

Ograniczyła się do

udzielenia córce rady, według której
kobieta, podobnie jak

mężczyzna, powinna obstawać przy
swych przekonaniach

niezależnie od konsekwencji. I Izolda
miała zamiar zastosować

się w pełni do jej rady.

- Prędzej włożę habit, niż się na to
zgodzę - oświadczyła

ojcu, gdy wsiadał już na swego ulubionego ogiera. - Mówię

całkiem poważnie - dodała, krzyżując ramiona.

Randulf FitzHugh spojrział na nią z góry; zaciśnięte szczęki

chodziły mu po skórze.

- Kościół wymaga od swych sług posłuszeństwa. A skoro

ty nie jesteś posłuszna ziemskiemu ojcu, wątpię, by ci się to

udało wobec tego w niebie.

Powiedziawszy swoje, odwrócił się w
siodle, dając sygnał

do wyruszenia w drogę. Gdyby nie
pocieszający uśmiech

matki, Izolda niechybnie wybuchnęłaby
łzami, bo nie chciała

się rozstawać z ojcem w złości.

Z ciężkim sercem patrzyła za
odjeżdżającą rodziną. Gwen

i Josselyn dosiadały własnych
wierzchowców, a mała Elyssa

jechała razem z nianią. Pięciu rycerzy,
siedmiu służących,

sześciu zbrojnych i osiem jucznych koni stanowiło całkiem

sporą wyprawę, która miała potrwać miesiąc. Jako jeden

z najpotężniejszych lordów pogranicza, Randulf FitzHugh

musiał podróżować z odpowiednią oprawą.

Wszyscy pozostający w Rosecliffe zazdrościli im tej wspaniałej przygody. Wszyscy poza Osbornem, który musiał pilnować porządku w zamku, choć właściwie niewiele było do pilnowania. Angielscy sąsiedzi czuli respekt przed ojcem

Izoldy, a walijscy bardzo go szanowali.
Natomiast lady Josselyn

cieszyła się powszechnym
uwielbieniem, nawet wśród
mieszkańców Carreg Du i Afon Bryn,
najbliższych walijskich miast.

Poza rzadkimi drobnymi zatargami,
głównie pomiędzy Anglikami i
Walijczykami, w zamku i wokół niego
panował spokój.

Ostatnio zmacony jedynie sporem
pomiędzy ojcem i córką.

Izolda odwróciła się plecami do
odjeżdżających i zwiesiła

smutno głowę. Osborn rzucił jej spojrzenie pełne zrozumienia.

- Zmieniłaś zdanie ponieważ, co?

- Nie - skłamała.

- Przecież widzę.

- Wolałam zostać tutaj, żeby dokończyć kaplicę, a potem

rozpocząć przeróbki w wielkiej sieni. Ciekawie byłoby odwiedzić Londyn - przyznała - ale ojciec zażądał zbyt wysokiej ceny.

Nie spodziewała się od Osborna poparcia. Był najstarszym

z przyjaciół ojca i choć czasami się spierali, Izolda nigdy nie

słyszała, by krytykował poczynania swego pana.

- To przecież nie grzech, że chce dla córki dobrego mał

żeństwa - zauważył po chwili.

- A czy jego ojciec zmuszał go do poślubienia niechcianej

kobiety? Nie - odpowiedziała sobie sama. - Ożenił się z moją

matką, dokonując niespodziewanego wyboru, nie sądzisz?

Osborn zachichotał.

- Z pozoru wybór mógł się wydawać zaskakujący. Ale od

pierwszego ich spotkania było jasne, że są dla siebie stworzeni.

Izolda westchnęła z głębi serca.

- Właśnie o to mi chodzi, Osbornie. Nie rozumiesz? Chcę

spotkać mężczyznę stworzonego na męża dla mnie.

Oparł się o mur obok dziewczyny i przyjrzał się jej uważnie.

- Więc powinnaś była pojechać do Londynu. W mieście

będzie cały tłum szlachty przybyłej na koronację. Nie poznasz

nikogo nowego tu, w północnej Walii.

- Jak mogłam pojechać, skoro chciał mnie wepchnąć w ramiona Mortimera? Jedyne moje nadzieje w tym, że jego ojciec będzie tak obrażony moją nieobecnością, że zrezygnuje z oświadczeń... albo że matka przemówi ojcu do rozumu.

Osborn znów się zaśmiał.

- Josselyn bez wątpienia sobie poradzi.

Cierpliwości, Izoldo.

Ten twój wymarzony młodzieniec w końcu cię znajdzie.

- Aha - mruknęła ponuro, choć w głębi duszy poczuła się

pewniej. Ostatni raz spojrzała przez ramię. Kolumna podróżnych

minęła bramę miasta i zbliżała się do kurhanu, w którym przez

wieki grzebano zmarłych. Stamtąd prowadził gościniec biegnący

przez las. - Cały miesiąc - westchnęła.

- Miesiąc, może dłużej. Dość czasu na zrobienie tylu zmian

w Rosecliffe, żeby doprowadzić twojego ojca do furii.

Na ustach Izoldy pojawił się chytry uśmiezek. Osborn

zawsze wiedział, jak ją podnieść na duchu.

- Tak. Miesiąc w zupełności mi wystarczy. Będę mogła

robić, co tylko zechcę.

Przy kurhanie Rand zatrzymał konia. Newlin ostatnio rzadko

się pokazywał, ale teraz tu był, jak zwykle siedział na wielkim

głazie. Obszerna zielona oponce ścieliła się wokół niego

głębokimi fałdami, zakrywając pokrzywioną postać. Wystawała

z niej tylko siwa głowa. Rand uświadomił sobie, że ma przed

sobą bardzo starego człowieka. Już przed dwudziestu laty

Newlin wydawał mu się wiekowym starcem. Ile lat musiał mieć

teraz?

Rand rozprostował ręce; we własnych
palcach czuł już

szttywność spowodowaną wiekiem.
Może prości Waliyczycy

mieli rację, mówiąc, że Newlin przeżyje
ich wszystkich. Gdyby

rzeczywiście tak miało być, Rand miał
nadzieję, że stary bard

będzie służył Gavinowi i jego
potomkom dobrymi radami tak

samo, jak dotąd służył jemu.

Dał znak reszcie, by nie przerywali
podróży. Wszyscy pojechali

dalej gościńcem, poza Josselyn, która zatrzymała się obok męża.

- Zmierzacie zatem do Londynu -
odezwał się Newlin.

- Do Londynu - potwierdził Rand. -
Wszyscy, zarówno

Anglicy jak i Walijczycy, modlimy się,
żeby młody Henryk

był lepszy dla swego ludu niż Stefan.

Starzec wzruszył obwisłym ramieniem.

- Będzie jak każdy władca, nie zadowoli
wszyskich, którzy

znajdą się w jego cieniu.

- A nas zadowoli? - spytała Josselyn.

Bard posłał jej słodki uśmiech, który bardziej by pasował

do dziecka niż do powykręcane go starca. Ale Newlin był

jedyny w swoim rodzaju.

- Pragnienia Henryka są podobne do pragnień twojego

męża. Pokój utrzymywany dzięki sile i dostatek dla wszystkich.

- Czyż nie jest to pragnienie każdego? -

spytała.

- Na ogół tak. Ale pokój i dostatek dla
jednych może wcale

nie oznaczać tego samego dla innych.

Rand odruchowo zacisnął palce na
wodzach. Nawet nie

poczuł bólu w zdrętwiałych kostkach.

- Chcesz powiedzieć, że pod rządami
Henryka odżyją właśnie

na pograniczu?

Bard znów wzruszył ramionami.

- Może. W końcu trzeba tylko innego podejścia, żeby

zachować pomyślność i zgodę ostatnich siedmiu lat.

- Jakiego innego podejścia? Tutejsi ludzie...

- Czasy się zmieniają - przerwała mężowi Josselyn, kładąc

mu dłoń na ramieniu. - Nie możemy wiedzieć, co będzie

w przyszłości, kiedy Gavin zostanie lordem Rosecliffe.

- Jeśli zostanie lordem Rosecliffe - rzekł

Newlin. Mówił

cicho, a w jego głosie nie słychać było nawet cienia groźby.

Mimo to Rand i Josselyn zeszywnieli z niepokoju.

- Czyżby na Gavina czyhało jakieś niebezpieczeństwo? -

Josselyn spięła konia, podjeżdżając bliżej kurhanu. - Nic mu

nie grozi?

Bard uśmiechnął się pod nosem.

- Nie lękaj się. On sam wykuje swój los.

Ale co do twoich

pozostałych dzieci, to ich przyszłość może wyglądać inaczej, niż

sobie wyobrażasz. Ich wybory mogą nie być twoimi wyborami.

Josselyn nieco odetchnęła.

- Masz na myśli Izoldę i to, jak głupio mój mąż wybrał jej

męża? - Zerknęła z ukosa na Randa.

Odpowiedział jej wściekłym spojrzeniem.

Newlin patrzył nad ich głowami w

stronę zamku Rosecliffe,

górującego nad okolicą. Poranne słońce oświetlało potężną

budowlę; sprawiała wrażenie twierdzy nie do zdobycia, ale nie

przytłaczała.

- Izolda będzie panią własnego losu.

Dobrze wychowaliście

swoje dzieci. Teraz same muszą ułożyć sobie życie. A wy

musicie im na to pozwolić. - Umilkł, zamykając się w sobie.

Można było odnieść wrażenie, że kurczy się jak bukłak opróżniony z wina.

Rand wiedział, że starzec nie powie nic więcej, więc zawrócił

konia i wraz z żoną ruszył w dalszą drogę.

- Dobra rada, nie sądzisz? - mruknęła Josselyn.

- Być może - przyznał Rand po dłuższej chwili namysłu.

- Zatem nie będziesz już naciskał na Izoldę w sprawie

młodego Halyarda? Może powinniśmy

po nią posłać. Żałuję,

że ominęła ją ta wyprawa do Londynu.

- Za wiele wymagasz, kobieto - warknął.

- Doprawdy? - Podjechała bliżej, aż zetknęli się kolanami. -

Rand - zaczęła ugodowym tonem.

- Zostanie tam, gdzie jest. Jest zbyt uparta, żeby spojrzeć

przychylniej na jakiegokolwiek kandydata. Chcę, by przemyślała swoje postępowanie.

- A co będzie z jej zaręczynami z

Mortimerem Halyardem?

Rand poruszył się w siodle. Trudno mu było uznać, że

mógł się mylić w tej kwestii. Jeszcze trudniej przyznać się

do tego przed żoną.

- Zastanowię się nad tym - mruknął w końcu. - Ale tak

czy inaczej trzeba jej męża.

Został natychmiast nagrodzony dotknięciem ciepłej dłoni na

udzie.

- Jesteś cudowny - powiedziała
Josselyn. - Mam nadzieję,

że Izolda znajdzie mężczyznę tak
doskonałego jak ty.

- Doskonałego? - zdumiał się. - Ha!

- Ostatniej nocy byłeś doskonały -
szepnęła zalotnie. -

Przynajmniej ja tak uważam.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Randa
oblała fala gorąca.

Minęło dwadzieścia lat, odkąd po raz
pierwszy ujrzał żonę.

Dwadzieścia lat, podczas których dochowali się dzieci, zbudowali potężną twierdzę i stworzyli sobie udane życie. Nie zamieniłby go na inne za nic na świecie. Minęło dwadzieścia

lat, a on z każdym dniem kochał Josselyn coraz bardziej...

i pożądał jej wciąż tak samo.

Skwapliwie pochwycił jej dłoń i pochylając się ku niej, rzekł

z zachętą w głosie:

- Znam tu w pobliżu pewne miejsce. Całkiem zaciszne.

Moglibyśmy dołączyć do reszty trochę później.

Newlin z uśmiechem zakołysał się na kamieniu. Przyszłość

niosła zmiany, nieuchronne i niełatwe. A wraz ze zmianami

miała nadejść wielka radość... i wielki smutek.

Dzień okazał się dla Izoldy długi i męczący. Mimo najlepszych chęci, by zakończyć prace w kaplicy, które ostatnio zaniedbała, jakoś nie miała serca do tego zajęcia. Nim nastало

popołudnie, czuła się bardzo

przygnębiona.

- Chyba powinnam się wybrać do wsi -
powiedziała do

Oda.

- Lepiej uprzedź Osborna... i zabierz ze
sobą służącą -

poradził.

Zabrała służącą, ale Osbornowi nie
powiedziała ani słowa,

wiedząc, że niechybnie chciałby posłać
z nią dwóch strażników,

a nie miała ochoty na takie towarzystwo.

We dwójkę z Magdą

mogły zabrać codzienny kosz chleba do rozdzielania między

potrzebujących. Poza tym Magda była niezamężna i bliska jej

wiekem, więc musiała rozumieć jej problem.

Kiedy już przeszły fosę i ruszyły drogą do wsi, Izolda

przyjrzała się młodej służącej.

- Powiedz mi, Magdo, czy ojciec wybrał ci męża?

Pulchna młoda dziewczyna pokręciła głową.

- Jestem jedną z sześciu dziewcząt i czterech chłopców.

Mój ojciec nie ma czasu na takie rzeczy. Poza tym - dodała,

ośmielona szczerością swojej pani - ostatnio spotykam się

z kimś, a ojciec nie ma nic przeciwko niemu. - Uśmiechnęła

się lekko. - To jasne, że twój ojciec cię kocha, panienko. Czy

to źle, że wybrał ci na męża bogatego

młodzieńca?

- Uważam, że to ja powinnam dokonać wyboru. No i nie

widziałaś Mortimera Halyarda - rzekła cierpko Izolda.

Magda zachichotała.

- Rozumiem, że ci się nie podoba?

- Ani trochę - zapewniła Izolda, krzywiąc się w wyrazie

niechęci.

- Zatem czego oczekujesz od mężczyzny?

No właśnie, czego? Izolda wciąż zastanawiała się nad odpowiedzią, kiedy wchodziły do wsi, rozpościerającej się u stóp zamku.

- Żeby był młody... albo przynajmniej niestary. I pełen życia.

- Ładny?

- Cóż, byłoby miło. Ale nie to jest najważniejsze. Raczej

żeby był męski i zacyjny.

- Wysoki?

- Chyba tak - przyznała Izolda z uśmiechem.

- Szeroki w ramionach? - nie
ustępowała Magda. - I żeby

był muzykiem?

Izolda parsknęła śmiechem.

- Czyżbyś opisywała swojego
młodzieńca, Magdo?

Służąca z chichotem pokręciła głową.

- Jego opisywałam - powiedziała,
wskazując na człowieka

stojącego przy kuźni.

Izolda przystanąła, żeby się przyjrzeć
nieznajomemu. Od

razu pojęła, dlaczego wpadł Magdzie w oko - był wysoki

i szeroki w ramionach. Stał zwrócony do nich plecami, lecz

z sylwetki można było poznać, że jest młody i pełen życia. No

i miał jakiś instrument muzyczny przewieszony przez ramię.

Czy był ładny i zacny, pozostawało zagadką, podobnie jak to,

kim był.

Bez wątpienia w niczym nie przypominał Mortimera Halyar-

da. Izolda przez moment pozwoliła sobie na fantazje, że ktoś

taki bierze ją w ramiona, porywa, zagarnia bez reszty. To, że

nie był magnatem, tylko zwykłym młodym mężczyzną, tym

bardziej ją pociągało. Ojciec chciał od zięcia tytułu, majątku

i pozycji, podczas gdy Izoldzie zależało jedynie na uczuciu.

Aż jej się zrobiło gorąco od tych nieprzyzwoitych myśli.

Uświadomiła sobie nagle, jak bardzo

pragnie, by jej życie było

ciekawe i pełne. Chciała je spędzić z
mężczyzną, który będzie

ją rozśmieszał i złościł, którego będzie
darzyć wielką miłością.

Nieznajomy młodzieniec, jakby słysząc
jej myśli, odwrócił

się i nim zdążyła umknąć wzrokiem,
przyłapał jej zaciekawione

spojrzenie. Spłoszona, zdążyła dostrzec
zuchwałość w jego

oczach.

Magda, wciąż chichocząc, chwyciła ją za ramię i pociągnęła

za sobą. Po kilku krokach Izolda zawtórowała jej śmiechem,

żeby w ten sposób ukryć swoje poruszenie. Kim był ten

człowiek?

- Oho, to musi być gorąca sztuka - szepnęła Magda, zerkając

przez ramię w stronę kuźni. - Ciekawa jestem, jak wygląda

pod tą brodą.

Izolda nie odpowiedziała, ale i ona obejrzała się na tajemniczego nieznajomego. Nie rozpoznała go wprawdzie, lecz czuła się tak, jakby go znała... albo powinna znać.

Młodzieniec także patrzył za nią, jak gdyby chciał ją poznać.

Odwróciła wzrok, tym razem na dobre. Przyglądanie się obcym

mężczyznom na ulicy było wysoce naganne; takiego zachowania

nie pochwaliby ani ojciec, ani matka, ani ona go nie pochwalała.

Jednak kiedy oddalała się wraz ze

służącą, Rhys ap Owain

nie spuszczał z niej oczu. A więc to była córka lorda FitzHugh.

Tego ranka obserwował spoza drzew, jak mieszkańcy zamku

wyruszają do stolicy. Później nasłuchiwał się plotek o kłótni

najstarszej z córek z ojcem i natychmiast dostrzegł możliwości,

jakie otwierała przed nim nowa sytuacja.

A teraz, kiedy obserwował, jak Izolda znika za rogiem, te

możliwości wydały mu się całkiem realne.

Choć niechętnie, Rhys musiał przyznać, że nieznośna smarkula bardzo wyrosła i nabrała całkiem miłych dla oka kształtów.

Sądząc po utarczkach z ojcem, bez wątpienia jednak stała się

jeszcze bardziej zuchwałą.

Skubiąc brodę, raz jeszcze rozważył swój plan. Obecność

Izoldy w zamku Rosecliffe nie pogarszała sytuacji, ba, mogła

mu tylko pomóc. Dziesięć lat temu
Randulf FitzHugh traktował

swoje dzieci jak sentymentalny głupiec.
Wówczas Rhys nie

był w stanie wykorzystać tej jego
słabości. Ale teraz był

o dziesięć lat mądrzejszy, o dziesięć lat
bardziej wściekły

i o dziesięć lat bardziej zdecydowany
dokonać zemsty.

Rozpocznie swój podbój od Izoldy
FitzHugh, potem zawładnie zamkiem, a
zakończy śmiercią jej ojca i stryja oraz
wszystkich innych, którzy mu staną na

drodze.

Spojrzał na zamek Rosecliffe, w którego lochach dwukrotnie

był więziony. Tym razem nie będzie więźniem. Tym razem

wejdzie do zamku jako wolny człowiek, a wyjdzie dopiero

wówczas, gdy zostanie tam panem.

Następnego ranka Izolda siedziała na łożu i długimi pociągnięciami szczotki rozczesywała włosy. Obudziła się przed świtem, sama w łożu, które zwykle dzieliła z Gwen i Elyssą.

Często tęskniła za własną sypialnią,
więc tego ranka rozciągnęła

się na środku pościania, zachwycona, że
ma dla siebie tyle

miejsca. Nie mogła jednak ponownie
zasnąć, więc sięgnąwszy

po szczotkę, rozpoczęła dzień od
zwykłej czynności. Uświadomiła sobie,
że dobiegające ją dźwięki są jakieś inne
niż zwykle. Nie słyszała stłumionych
głosów z komnaty rodziców,

znajdującej się piętro wyżej. Żadnych
kroków na schodach.

Większość domowników wyjechała z jej

rodziną do Londynu

i Rosecliffe wydawało się dziwnie puste.

Postanowiła nie próżnować i nie pozwolić, by powróciło

wczorajsze poczucie osamotnienia.

Przez następny miesiąc

miała sprawować obowiązki pani zamku i zamierzała dobrze

się z nich wywiązać.

Skropiwszy szczotkę cennym olejkiem lawendowym, rozdzieliła włosy przedziałkiem i zaczęła je energicznie

rozczesywać. Była z nich dumna, może
nawet trochę próżna na ich punkcie,
zawsze bowiem uważała gęste
kasztanowe loki

za swą największą ozdobę. Była
średniego wzrostu i średniej

budowy, ani za chuda, ani zbyt pulchna.
Rysami twarzy także

się szczególnie nie wyróżniała. Za to
włosy miała ładne

i zawsze starannie o nie dbała, nie
bacząc na docinki Gwen.

Nim świt na dobre przedarł się przez
wąskie okno jej

sypialni, zdążyła zapleść włosy w dwa długie warkocze, ozdabiając je zielonymi wstążkami i kolorowymi szklanymi paciorkami, włożyła też jasnozieloną spódnicę i przepasała ją ciemniejszym, również zielonym, paskiem. Na koniec wciągnęła pończochy i wsunęła stopy w robocze chodaki.

Była gotowa zacząć swój pierwszy dzień w roli gospodyni

zamku Rosecliffe. Brakowało jej tylko jednego - kluczy, noszonych zwykle przez matkę.

Sięgnęła do skrzyni, wyjęła metalowe kółko z kluczami

i zważyła je w dłoni. Te zwykłe kawałki metalu z ozdobnymi

kutymi końcami oznaczały znaczną władzę dla tego, kto je

miał w posiadaniu. Otwierały bowiem dostęp do spizarni, do

szafki z przyprawami, do schowka z odzieżą i do spichlerza.

No i do piwnicy z winem.

Przypięła kółko z kluczami do paska i uśmiechnęła się do

siebie. Reszta rodziny mogła sobie jechać do Londynu na

koronację nowego króla, ale ona, Izolda, była teraz panią na

Rosecliffe, królową własnego zamku. Kiedy rodzice wrócą,

trudno im będzie poznać to miejsce po zmianach, które zamierzała wprowadzić.

Jednakże same plany i rozmyślenia niewiele mogły zmienić.

Izolda porwała fartuch i rażno ruszyła ku drzwiom. Najpierw

niedokończony fresk i krzyż w kaplicy. Potem dopiero mogła

się zająć wielką sienią.

Jeśli służba miała nadzieję na odpoczynek pod nieobecność

lorda i lady Rosecliffe, już około południa wyzbyła się płonnych

nadziei.

Ochmistrz Odo wycofał się skwapliwie do swojej izby, a Os-

born zniknął w stajni. Inni jednak nie mieli dokąd uciec. Lady

Josselyn wzorowo doglądała utrzymania zamku, więc Izolda nie

miała czego poprawiać, jeśli chodzi o czystość, porządek i organizację. Ale

wygląd... to już było zupełnie coś innego.

Kazała przynieść ze schowka kilka zwojów materiału -

czzerwony adamaszek, zieloną wełnę, piękne pasiaste płótno.

Czołowa szwaczka Bewalda stanowczo zaprotestowała.

- Twoja matka trzymała to na wyprawę dla swoich córek.

- W najbliższym czasie nie zanosি się na żadne śluby, więc

użyjemy tych tkanin na nowe zasłony do

wielkiej sieni -

oświadczyła Izolda.

- A ten złoty sznur? - Starsza kobieta
nadeła się groźnie. -

Miał ozdobić nową tunikę lorda Randa
albo twojego brata,

młodego lorda.

- Świetnie się nada do dekoracji
głównego stołu - oświadczyła
dziewczyna.

Bewalda nie kryła niezadowolenia, ale
Izolda wcale się

tym nie przejmowała i w końcu szwaczka spełniła jej polecenie. Wieczorem Izolda czuła się bardzo zmęczona, nie tylko utarczkami z niechętną służbą, lecz i własnymi zajęciami.

Najważniejsze, że prace postępowały i zmiany zaczynały być widoczne.

Podczas kolacji przy stole panowała wyjątkowa cisza; brakowało wielu domowników, a ci, którzy zasiedli do posiłku, padali ze zmęczenia. Odo opuścił zacisze swej kryjówki, dopiero kiedy głód dał mu się we znaki.

- Twojej matce nie spodoba się taka rozrzutność - mruknął,

podchodząc do stołu. - Wiesz, ile kosztuje cała bela płótna?

- Wiem. Masz ochotę na ostrygi? - spytała, dając znak

paziowi, by zbliżył się z półmiskiem. - Aha, mówiłam ci?

Kazałam kucharce upiec ciasto migdałowe.

- Ciasto migdałowe? - Napięte rysy Oda wyraźnie złagodniały.

- Ciasto migdałowe? - powtórzył za nim

jak echo Osborn.

Nawet powściągliwy ojciec Clemson,
ożywiony, nadstawił

ucha.

- Ciasto migdałowe. Mmm.

Izolda pomachała ręką, napawając się
rolą szczodrej pani

domu.

- Wszyscy pracowali tak ciężko.

Pomyślałam, że ucieszą

się z poczęstunku... chociaż migdały
rzeczywiście są drogie -

dorzuciła, zerkając z ukosa na Oda.

Ten odchrząknął zakłopotany.

- Cóż, owszem. Ale wszyscy doceniają hojność i tym lepiej

będą pracować. Ciasta migdałowe są potrzebne - zawyrokował. - Ale nie co wieczór.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Co drugi wieczór?

Wiedziała, na jaką ciężką próbę wystawia łakomczucha.

Jednakże poczucie obowiązku wzięło w nim górę nad upodobaniem do słodczy.

- Co trzeci. Plus niedziele.

- Doskonale - zgodziła się. - Aha. I potrzebuję więcej

świec do mojej komnaty.

Osborn zachichotał z uznaniem dla jej sprytnej taktyki.

- Po co? - Odo skrzywił się z ustami pełnymi ostryg.

- Postanowiłam sama pomalować krzyż. Zrobię to u siebie,

po wieczerzy.

- A pochodnie nie wystarczą?

- W małej komnacie ich tłusty dym
zatrzuwa powietrze.

Wiesz o tym.

Nie przestając jeść, Odo wbił ponury
wzrok w swój talerz.

- Twoja matka urwie mi głowę za te
twoje pomysły.

- Ja mam klucze. - Zadzwoń ją nimi pod
stołem. - To moja

decyzja, nie twoja. Nie bój się, Odo.

Powiem matce, że byłeś

przeciwny. A Osborn będzie świadkiem.

- Chętnie - włączył się Osborn. - A
będzie śmietana do

migdałowego ciasta?

- Owszem. - Uśmiechnęła się
zwycięsko. - I cynamon

także.

- Niech będzie chwała. - Stary rycerz
westchnął. Podobne

wyrazy zachwyty rozległy się wśród
reszty biesiadników.

Później, kiedy już odstawiono stoły,
kilku ludzi zasiadło do

gry w kości, Odo z Osbornem rozpoczęli
partię szachów,

a Magda przyniosła swej młodej pani
małą harfę. Izolda często

grywała wieczorami na tym pięknym,
bogato rzeźbionym instrumencie. Tego
wieczoru jednak słodkie dźwięki harfy
nie przynosiły jej ukojenia. Mimo
wyczerpania wciąż nękał ją

dziwny niepokój.

Może powinna była pojechać do
Londynu. Może tam by

znalazła odpowiedniego mężczyznę,
wysokiego i szerokiego

w ramionach, dodała w myślach,
wspominając młodzieńca

spotkanego we wsi. Poczwała ten sam
nagły żar w środku, i zła

na siebie, wyrzuciła z myśli
nieznajomego brodacza. W wielkim

mieście takim jak Londyn z pewnością
znalazłaby kogoś, kto

spodobałby się zarówno jej, jak i ojcu.
Ale była zbyt uparta...

prawie tak bardzo jak ojciec. Jednak

łącząc siły z matką, mogły

mu się jakoś przeciwstawić. Tylko że teraz było już za późno.

Westchnęła. Ciekawe, gdzie podróżni zatrzymali się na noc?

Zapewne w Buildwas Abbey, jeśli zdążyli tam dotrzeć na czas.

Znów westchnęła, opierając podbródek na rzeźbionej ramie

harfy.

- Mam ci coś podać, panienko?

Izolda podniosła na służącą

półprzytomny wzrok.

- Dziękuję, ale sama mogę się obsłużyć.
Możesz już się
położyć.

Magda dygnęła przed nią i odeszła. Przy
kominku dołączył

do niej George, jeden z zamkowych
strażników. Patrząc, jak

razem wychodzą z sali, Izolda aż
otworzyła usta ze zdumienia.

A więc to był ukochany Magdy.

Ogarnęła ją zazdrość... bo przecież nie

mogło to być nic

innego. Magda miała ukochanego, a ona nie miała nikogo.

I dopóki pozostanie w Rosecliffe, z pewnością nikogo nie

znajdzie.

Z ponurą miną odłożyła harfę i nieśpiesznie okrążyła wielką

sień. Upewniwszy się, że nie ma tam już nic do zrobienia,

weszła na schody i przesuwałając końcami palców po szorstkiej

kamiennej ścianie, udała się do swojej komnaty.

Mimo swych licznych zamierzeń obawiała się, że ten miesiąc

będzie jej się strasznie dłużył.

3

Trupa barwnych minstrelów stała po drugiej stronie mostu,

czekając na pozwolenie wejścia do zamku. Osborn spod uniesionych brwi przyglądał im się z górnego poziomu bramy.

Właściwie nie było powodu ich odprawiać. Często różni śpiewacy, mimowie czy akrobaci zjawiali się w zamku, by za posiłek i garść drobniaków zapewnić mieszkańcom wieczorną

rozrywkę. Nie dalej jak przed tygodniem podziwiali połykacza

ognia, a wcześniej parę bliźniaków
sztukmistrzów.

Tylko że tydzień temu gospodarze
Rosecliffe byli na miejscu.

I tydzień temu Osborna nie
prześladowało jeszcze to dziwne
uczucie niepokoju.

- Niech kucharka da piwa, chleba i co
tam jeszcze jej

zbywa - rzekł do stojącego obok
strażnika imieniem Eric. -

I odeślij ich, skąd przyszli. Mogą dawać
występy we wsi, ale

tu, w zamku, nie potrzebujemy rozrywki.

- Jak każeś, panie - odparł strażnik,
choć jego mina

zdradzała rozczarowanie.

Nagle Osborne usłyszał wołanie i
wychyliwszy się przez

barierę, ujrzał pod murami Izoldę. Miała
włosy obwiązane

płócienną chustką pochłapaną farbą, a w
ręce trzymała pędzel.

Stary rycerz pokręcił głową z
rozbawieniem. Boże, dopomóż,

ta dziewczyna wciąż go zadziwiała.

Śliczna jak matka, uparta

jak ojciec, a energii miała w sobie
więcej niż oboje rodzice

razem wzięci, i to za młodu.

Izolda pomachała mu z dołu, więc
odpowiedział jej podobnym

gestem.

- Osbornie! - zawołała. - Czy to prawda,
że u bram czekają

minstrele?

Jakim cudem ta wiadomość tak szybko

dotarła do jej uszu?

- A jakże! - odkrzyknął. - Ale ich odprawiam!

- Czemu to robisz? - Zniknęła mu z oczu, by po chwili

pojawić się u wylotu schodów. - Czemu ich odprawiasz? -

spytała, stając przed nim w łagodnym popołudniowym świetle. -

Chętnie posłucham ich śpiewu, wszyscy inni także. Wpuść ich,

proszę, przecież nie ma powodu im odmawiać.

- Jest ich czterech - zauważył. - I nie znam ich.

Wychyliła się przez mur, żeby spojrzeć na cierpliwie oczekującą trupe.

- Widzę starca i dziecko...

- To karzeł.

- Karzeł? - Przyjrzała się dokładniej. - Karzeł i olbrzym. -

Popatrzyła na Osborna błagalnie. - Och, proszę cię, pozwól

im wejść. Będzie wesoło. Potrafią coś jeszcze poza śpiewaniem?

Odpowiedział jej strażnik.

- Olbrzym powala w walce każdego, kto się z nim zmierzy,

ten stary zna się na magii, a karzeł ma psa, który umie

pokazywać różne sztuczki.

- A ten czwarty? - Przyglądała się z zaciekawieniem czwartemu członkowi trupy, brodatemu młodzieńcowi, którego widziała we wsi.

- Myślę, że jest śpiewakiem i mistrzem gry na cytrze -

wyjaśnił Eric, unikając surowego

wzroku Osborna.

- Na cytrze? - A więc to ten instrument miał wówczas na

plecach. Zwróciła na Osborna szare oczy, błyszczące z podniecenia. - W takim razie musisz ich wpuścić, bo od dawna chciałam się nauczyć grać na cytrze. Proszę, Osbornie. Przez

ostatnie kilka dni wszyscy tak ciężko pracowali. Zasługują na

chwilę miłego wytchnienia. Nie widzę nic złego w zaproszeniu

minstrelki do zamku.

Osborn z niechętną miną jeszcze raz przyjrzał się czwórce

niespodziewanych przybyszów, ich psu i starej szkapie. Ostatecznie było ich tylko czterech, z czego zaledwie dwóch w pełni sił. Jakież mogli stanowić zagrożenie, skoro w Rosecliffe wciąż

pozostawało czterech rycerzy, dziesięciu zbrojnych strażników,

a do tego gromada różnych rzemieślników i służby? Czego się

obawiał?

- Proszę, wuju Osbornie. - Położyła mu dłoń na ramieniu

i zajrzała błagalnie w oczy.

Czuł, że nie potrafi się długo opierać.
Niezależna, uparta

Izolda zawsze była jego ulubienicą.

- Już dobrze, dobrze - mruknął. Chociaż
się starał, nie mógł

powstrzymać uśmiechu. - Tym razem
ustąpię. Ale pamiętaj,

tylko na jeden wieczór. Ten wielkolud
wygląda tak, że chyba

mógłby nas objeść ze wszystkich
zapasów.

- Och, dziękuję. Dziękuję! - Stając na palcach, cmoknęła

go w policzek. Zaraz potem niemal sfrunęła ze schodów,

rzucając po drodze polecenia: - Ericu, zaprowadź naszych

gości do kuchni. Louis, zabierz ich konia do stajni. Merydydd,

powiedz szwaczce, że nici do koronek wkrótce trzeba wyjąć

z kąpieli barwiącej. Do jutra powinny być suche...

Osborn obserwował ją, kiedy

gestykulując żywo, przechodziła

pod murami. Wreszcie, pokiwawszy
głową z rozbawieniem,

powrócił wzrokiem do barwnych
intruzów. Kuta żelazna brama

między kamiennymi flankami uniosła się
ze zgrzytem, wpuszczając trupeń na teren
zamku. Olbrzym prowadził konia, na
którym okrakiem siedzieli karzeł i
starzec. Czwarty z minstreli

szedł za nimi, trzymając w ramionach
małego łaciatego psa.

Na plecach miał tobołek z
przytroczonym instrumentem.

Osborn podrapał się w łysiejący czubek głowy. Z biegiem

lat stawał się podobny do starej kobiety - przesadnie ostrożny,

nieufny nawet wobec cieni. Zadumany, odwrócił się na pięcie

i ruszył na obchód murów, okalających cały zamek Rosecliffe.

Nie zauważył, że minstrel z cytrą, uniósłszy głowę, rozejrzał

się po blankach, licząc strażników. Nie widział jego ukradkowych spojrzeń skierowanych na wewnętrzne umocnienia.

Bo gdyby widział, zatrzasnąłby przed
nim bramę i podniósł

zwodzony most.

Spod ronda trzcinowego kapelusza Rhys
ap Owain bacznie

się rozglądał i zapamiętywał to, co
zobaczył: żołnierzy, fortyfikacje,
wszystko. Minęło dziesięć lat, odkąd
ostatnio przebywał w Rosecliffe.

Dziesięć lat minęło od dnia, kiedy się
zgodził, by Rhonwen powróciła do
zdrowia w tej angielskiej

twierdzy.

Stracił ją na rzecz rodu FitzHugh za

sprawą tej jednej,

brzemiennej w skutki, decyzji. A potem
został uwięziony

i odesłany daleko od ojczyzny, na
północne krańce Anglii,

gdzie musiał się nauczyć angielskiej
przebiegłości. Zacisnął

szczęki. Cóż, nauczył się jej starannie i
zamierzał wykorzystać

tę naukę, żeby ich pokonać. A pierwszą
osobą z rodu FitzHugh,

która miała zakosztować jego zemsty,
była rozpieszczona

Izolda.

Szedł więc teraz i patrzył, dla
niepoznaki zachowując niedbałą

pozę. Jednakże każdy jego mięsień był
napięty i gotowy do

działania. W końcu udało mu się dostać
do Rosecliffe, gniazda

najgorszych wrogów, a okazało się to
wręcz śmiesznie łatwe.

Dostał się do zamku Rosecliffe i prędkiej
by padł trupem, niż

znów go opuścił.

Izolda skrzywiła się, kiedy dzwony oznajmiły czas niesporów. Powinna przerwać swoje zajęcie, bo następny dzwon oznaczał już kolację. Ale praca przy krzyżu szła jej tak dobrze.

Węgłem drzewnym zaznaczyła na końcach ramion tradycyjne

walijskie znaki, symbolizujące dary otrzymane przez ludzi od

Boga. Niebo. Ziemia. Ogień. Woda. Naniosiła już niebieską

i czerwoną farbę; pozostała jej do dodania jeszcze tylko żółta

i zielona oraz czarne akcenty.

Z westchnieniem cofnęła się o krok,
żeby ocenić swoje

dokonania. Kark jej zeszywniał,
nadgarstki zdrętwiały od zbyt

mocnego ściskania pędzla. Chociaż
bardziej miała ochotę

malować, niż jeść, uznała, że należy
odłożyć pędzle i farby do

jutra, a tymczasem przygotować się do
kolacji. Bardzo dbała

o to, by codziennie pojawiać się na
południowym i wieczornym

posiłku w schludnym stroju godnym

klucznicy, choć nie zawsze

było jej to na rękę.

W drzwiach ukazała się głowa Magdy.

- Życzysz sobie wziąć kąpiel przed kolacją, panienko? -

Obrzuciwszy swoją panią jednym spojrzeniem, sama udzieliła

sobie odpowiedzi: - Owszem. No to się pośpiesz. Pamiętaj, że

mamy dziś szczególne atrakcje.

- Tak, minstreli. - Izolda zanurzyła pędzel z gęsich piór

w pojemniczku z mętną wodą, nagle
ożywiona nadchodzącym

wieczorem. Nie mogła zaprzeczyć, że
intryguje ją przystojny

cytrzysta. - Wykąpię się, jak tylko umyję
pędzle. Przygotuj

mi niebieską suknię, dobrze?

Przed wieczerzą była już czysta i
świeża, z wyszczotkowa-

nymi do połysku włosami. Zajrzała do
kuchni, a potem do

wielkiej sieni. Wszystko było w
porządku, wszystko przygotowane.

Dobrze wyszkolona przez jej matkę
służba nie potrzebowała

doglądania przy codziennych
obowiązках w prowadzeniu

zamkowego gospodarstwa. Wymagała
natomiast ciągłego nad-

zoru przy pracach wykraczających poza
normalne zajęcia,

takich jak na przykład rozmieszczanie
nowych dekoracji.

Izolda przystanęła, żeby sprawdzić
zawieszenie nowych

zasłon w przejściu do spiżarni.

Wyglądały doskonale. Ogarnęła

wzrokiem wysoką ścianę, gdzie wkrótce
miały zawinać nowe

kilimy z herbem Rosecliffe - wilkiem w
różanym kręgu.

Tak, to miało nadać wielkiej sali
naprawdę wspaniały wygląd.

Może powinna jeszcze wymalować pędy
róż nad wysokimi

podwójnymi drzwiami...

Przyglądała się pustej ścianie z
namysłem. Między kwiatami

mogłaby domalować wilcze tropy. To dopiero byłoby fantastyczne. Tylko że ojciec Clemson wolałby świętych, a matka zapewne by go w tym poparła.

Ale gdyby dzieło zostało ukończone przed jej powrotem...

Wciąż pogrążona w myślach, kątem oka Izolda dostrzegła

przemykającego przez salę chłopca, za którym dreptał pies.

- Zapal teraz dwie pochodnie! -
zawołała do niego. - Te

na tylnej ścianie. A resztę później, jak się ściemni.

- Do mnie mówisz, panienko? - odezwał się zagadnięty.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

- Och, wybacz. - Miała przed sobą nie chłopca, lecz mężczyznę. Bardzo małego mężczyznę. - Wzięłam cię za... to znaczy... za kogoś innego - wydukała, czując gorący rumieniec

na policzkach.

Karzeł przyglądał jej się bez mrugnięcia.

- Wzięłaś mnie za dziecko - stwierdził. - Nic się nie stało.

Nie ty pierwsza ani nie ostatnia.

Uśmiechnęła się do niego, wdzięczna za zrozumienie.

- Jesteś jednym z minstrelów. Ja jestem Izolda, najstarsza

córka lorda Randa i lady Josselyn.

- Ach, więc jesteś panią na Rosecliffe i tobie zawdzięczamy

gościń. - Skłonił się nisko, niemal zamiatając po ziemi pasiastą,

niebiesko-białą czapkę. - Ja jestem Gandy, do usług, milady.

Z najwyższą przyjemnością będę cię
zabawiał. Dam radość

twoim uszom i uciechę oczom.

Izolda uśmiechnęła się, rozbawiona jego
kwiecistą wymową.

- Nie mogę się doczekać
przedstawienia. Szczególnie zależy

mi, by lepiej poznać grę na cytrze. Sama
gram na harfie, ale

chętnie bym się zapoznała także z innymi
instrumentami

muzycznymi. Czy ty także grasz?

- Z przykrością muszę wyznać, że cytra
nie jest moją

specjalnością. Ale Rhy... Reevius jest
bardzo utalentowanym

muzykiem. - Przyjrzał jej się małymi
przenikliwymi oczyma. -

Powiem Reeviusowi o twoich
zainteresowaniach.

- To miło z twojej strony. - Przeniosła
wzrok na psa, który,

siedząc, drapał się za uchem. -

Przypomnij mi po wieczery,

to dam ci maści miętowej przeciw

pchłom dla twojego zwierzaka.

- Dzięki - rzekł, znów kłaniając się nisko. - Cidu także ci

dziękuje. - Nastąpił kolejny wyszukany ukłon.

Cidu? Imię psa wzbudziło jej ciekawość. Po walijsku *cidu*

oznaczało czarnego psa. A przecież karzeł posługiwał się

normandzką odmianą francuskiego, wtrącając tu i ówdzie

angielskie słowo lub zdanie. Skąd pochodzili ci muzycy?

I gdzie gościli ostatnio?

Nim wielka sień zaczęła się wypełniać,
a paziowie krążyć

z tacami smażonego węgorza, szczupaka
w galarecie, potrawki

z dzika, Izolda była niemal pewna, że
mogłaby wieść całkiem

szczęśliwe życie, podróżując po świecie
jako minstrel. Czy

słyszano, by jakaś kobieta występowała
w tej roli?

Ojciec Clemson odmówił stosowną
modlitwę i wszyscy skwapliwie zasiedli

do posiłku. Jedyne Odo wyraził
zastrzeżenia.

- Ryby i mięso, do tego w nadmiarze.
Wystarczyłoby na

dwa posiłki - zrzędził. - Lady Josselyn z
pewnością będzie

niezadowolona, jak zobaczy pustki w
spizarni.

- Jestem przekonana, że matka, ojciec i
cała reszta dobrze

się odżywiają w Londynie. Nie mogą
mieć za złe, że ci z nas,

którzy pozostali na miejscu, mają trochę

uciechy przy stole.

- Ale przecież dziś jest zwykły dzień,
nie żadne święto -

nie dawał za wygraną.

Izolda zbyła jego zarzuty niedbałym
machnięciem ręki.

- Nie musisz się obawiać
odpowiedzialności, Odo. Chętnie
się przyznam, że to mój pomysł.

Osborn tymczasem napełnił sobie talerz
i z upodobaniem
przystąpił do jedzenia.

- Jeśli to cię tak złości - zwrócił się do Oda - możesz

poprzestać na chlebie i pieczeniu.

Ten spojrział na niego spode łba.

- Jeśli sam tak zrobisz, pójdę za twoim przykładem. A na

razie nie widzę powodu, by nie ucztować tak jak wszyscy inni

w Rosecliffe.

Izolda nie słuchała ich dalszej kłótni. Rozglądała się niecierpliwie po sali, wypatrując minstreli, stęskniona wieczornej rozrywki i wieści z

dalekiego świata. Członkowie trupy
siedzieli

przy odległym stole, w słabo
oświetlonym kącie.

Skinęła na przechodzącego w pobliżu
pazia.

- Zapal resztę pochodni - poleciała z
uśmiechem.

Chłopak szybko kiwnął głową i poszedł
zrobić, co mu

kazano. Odo podniósł wzrok znad
talerza.

- Tak wcześnie? - zdziwił się z ustami

pełnymi smażonego

węgorza i maczanego w tłuszczu chleba.

- Słońce jeszcze stoi

wysoko na niebie.

- Słodka Mario! - wykrzyknęła Izolda. -

O sitowie i łój

nietrudno. Wolałbyś, żeby nasi goście
jedli po ciemku?

- Nie jest ciemno - zauważył Osborn. -

Poza tym nie są

gośćmi. Muszą zarobić na kolację
swoimi występami.

- Cóż, ja na przykład cieszę się z ich obecności. I ucieszę

się jeszcze bardziej - dodała ostrzejszym tonem - kiedy wy

dwaj przestaniecie wreszcie krytykować moje decyzje. Niech

wam się zdaje, że jestem moją matką. Jej byście nigdy tak nie

traktowali.

- Ha! Bo też nigdy nie mielibyśmy ku temu powodu -

mruknął Odo.

Osborn tylko wzruszył ramionami, nie przerywając jedzenia.

Izolda przestała zwracać uwagę na swych towarzyszy przy

stole; w przyćmionym świetle pochodni obserwowała czwórkę

przybyszów. Karzeł był nerwową w ruchach, wygadaną istotą.

Siedział obok olbrzyma, co jeszcze podkreślało różnicę w ich

rozmiarach. Obaj mieli ciemnoblonde włosy, przycięte nad

brwiami i tuż poniżej uszu, i obaj nosili

niebieskie tuniki

z przezroczystymi białymi rękawami.
Jeden był jakby pomniejszoną kopią
drugiego... albo odwrotnie, zależy, jak
się patrzyło.

Starzec miał na sobie purpurowy płaszcz
ze srebrną plecionką

przy kapturze i srebrne ozdoby na ręce,
jakby był druidem.

Izolda była ciekawa, czy jest podobny
do ich mistyka, Newlina.

Przywołała tego samego pazia co
wcześniej.

- Poślij jednego ze strażników, żeby zaprosił tu Newlina,

jeśli miałyby ochotę do nas dołączyć.

- Newlina? - odezwali się jednocześnie Odo i Osborn.

Nie słuchała ich, wpatrzona w czwartego z minstreli. Tego

o zuchwałych oczach, który miał cytrę i małego łaciatego psa

o walijskim imieniu. Czy to możliwe, że skądś go znała? Bo

było w nim coś dziwnie znajomego. Może pochodził z Carreg

Du albo Afon Bryn. Mogła go też kiedyś
widzieć, występującego

na jarmarku lub festynie.

Jednak nie, bo przecież z pewnością by
zapamiętała te

szerokie ramiona. Zmrużyła oczy, żeby
lepiej dostrzec jego

rysy. Miał ciemne włosy, prawie tak
czarne, jak gęsta broda

zasłaniająca mu twarz. Był młody czy
stary? Z twarzy trudno

było odgadnąć, ale sylwetkę miał
młodzieńczo zwinną, a pierś

i ramiona potężne nie od tłuszczu, lecz od mięśni.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, między psami powstała

szamotanina. Brodacz poderwał się z ławki, wszedł między

walczące zwierzęta i podniósł swojego łaciatego czworonoga.

Izolda znów odniosła wrażenie, że nieznajomy kogoś jej

przypomina. Miał na imię Reevius. Reevius, który gra na cytrze

i troszczy się o swojego psa.

Za parę pensów i dodatkową porcję słodczy z pewnością da

się namówić na udzielenie jej kilku lekcji muzyki. Miło będzie

zaskoczyć rodziców nową umiejętnością gry na instrumencie.

Siedząc w kącie, Rhys nieśpiesznie rozglądał się po wielkiej

sieni zamku Rosecliffe. Był tu. Jego plan został wcielony

w życie. Nim lord i lady FitzHugh wrócą z koronacji, będzie

władał zamkiem Rosecliffe.

Szczęśliwym trafem Izolda, córka

Randulfa FitzHugh i zdradzieckiej
Josselyn ap Carreg Du,

pozostała w zamku i mogła mu posłużyć
za doskonałą zakładniczkę.

Szybko odszukał ją wzrokiem przy
głównym stole. Prawdę

mówiąc, przyciągnęła jego uwagę od
razu, gdy tylko wszedł

do sieni. Nic dziwnego, że wyrosła,
zważywszy na to, że

minęło dziesięć lat, odkąd ostatnio ją
widział. Jednakże zmiana

w jej wyglądzie mocno go zaskoczyła.
Zachował ją w pamięci

jako nieznośnego podlotka. Teraz była
wyższa i bardziej

kobieca, ale z pewnością zachowała
podły charakter.

Tyle że teraz była piękna.

Przyglądał jej się spod na wpół
opuszczonych powiek,

szukając jakiejś skazy w jej urodzie. Nie
znalazł żadnej. Cóż,

piękno dotyczy tylko zewnętrznej
powłoki, a dla niego liczyło

się to, co kryje dusza, cnoty takie jak
uczciwość i lojalność.

Biorąc pod uwagę jej pochodzenie, w
środku mogła być jedynie

paskudna i zła. Nikczemna, jak przystało
na potomka nikczemnych rodziców.

Była jednak jego kluczem do Rosecliffe.

Oderwawszy od niej wzrok, skupił się
na jedzeniu, dwukrotnie

napełniając sobie talerz, lecz ani na
chwilę nie przestał czujnie

obserwować wielkiej sieni. Naliczył
tylko czterech rycerzy,

poza leciwym kapitanem straży, i nie
więcej niż tuzin zbrojnych.

Dość ludzi, by odeprzeć atak spoza
murów, lecz żałośnie mało,

by oprzeć się wrogowi, który jest już w
środku. Zwłaszcza

nieznanemu wrogowi.

Jakiś chłopiec zapalił pochodnie przy
ich stole, więc Rhys

odruchowo pochylił się niżej nad
talerzem. Przyglądała im się;

czuł na sobie jej wzrok. Czy go
rozpoznała? Wczoraj we wsi

nie odniósł takiego wrażenia. Czy mogła
w nim zobaczyć tego

szczupłego młodzieńca, który trzymał ją
jako zakładniczkę,

kiedy była małą dziewczynką?

Uniósł głowę i nie przestając jeść,
zerknął na nią z ukosa.

Wpatrywała się w niego z wyrazem
zaciekawienia na urodziwej

twarzy o kształcie serca. Nie, nie
poznała go.

Podrapał się po brodzie, zmierzwił
włosy, długo nie przycinane. Kiedy już

zawładnie Rosecliffe, kiedy ją weźmie
na zakładniczkę, by trzymać w szachu jej
ojca i stryja, wtedy

Izolda go rozpozna. Rhys zgoli brodę,
obetnie włosy i zrzuci

z siebie przebranie minstrela. Wówczas
Izolda FitzHugh pozna

Rhysa ap Owaina. I zadrży ze strachu.

Groźne warknięcie powinno było go
zaalarmować, lecz był

zbyt głęboko pogrążony w mrocznych,
mściwych rozmyślaniach. Między psami
wybuchła zażarta bójka, a Cidu znalazł
się w samym jej centrum. Rhys

poderwał się i błyskawicznie wyrwał

swego zwierzaka spomiędzy pary chartów, trzykrotnie przewyższających go wielkością. Jednego z napastników odrzucił

kopniakiem, a drugiego zmusił do uległości srogim spojrzeniem.

- Głupia bestia - skarcił Cidu, sadzając go obok siebie na

ławce.

- Nie głupsza od swego pana - mruknął stary Tillo. -

Atakować silniejszego wroga w jego

własnym domu...

- Wydaje mi się, że jest na to jakieś poetyckie uzasadnienie -

wtrącił Gandy. - Ci mali, fizycznie słabi zawsze są na łasce

większych i silniejszych. Ale jeśli mają rozum, jeśli używają

swoich bystrzejszych umysłów, mogą górować nad większymi

braćmi.

- Czasami się cieszę, że jestem twoim większym bratem -

włączył się Linus. - Dobrze to -
powiedział, wskazując nożem

na jedzenie. Miał przed sobą dwa pełne
talerze i najwyraźniej

nie zamierzał prędko kończyć uczy.

- Nawet osioł bywa przydatny - parsknął
Gandy.

Nagle karzeł wydał z siebie stłumiony
pisk, bo Linus zagarnął

go uściskiem potężnego ramienia i
unosząc z ławki, dosłownie

wgniótł w fałdy swojej niebieskiej
tuniki.

- Lubisz być złośliwy, Gandy. Ale i tak
wiem, że mnie

kochasz.

- Puść mnie, ty wielki potworze. Ty góro
tłuszczu! - Karzeł

machał nogami w powietrzu, omal nie
strącając ze stołu kubka

z piwem. - Ty przerośnięty durniu!

- Poproś - zażądał Linus, z uśmiechem
spoglądając na małą

głowę karła, wystającą ze zgięcia jego
ramienia.

- Proszę. Proszę! - wrzasnął Gandy.

- No dobrze. - Linus ucałował karła w czoło, nim go

wreszcie wypuścił. Cały czas uśmiechał się dobrodusznie.

Gandy chwiejnie stanął na ławce, a potem z niej zeskoczył,

lądując na grzbiecie jednego z chartów, wciąż pilnujących

Cidu. Wielkie psisko warknęło, pokazując zęby, lecz karzeł

odpowiedział podobnym warknięciem, jednocześnie grożąc

zwierzęciu zaciśniętą pięścią. Chart się cofnął, wzbudzając

wesołość Rhysa. Nic, co Gandy mówił lub robił, nie było

w stanie zrazić Linusa. Lojalność nieco ociężałego na umyśle

olbrzyma wobec złośliwego karła, podobnie jak wobec wszystkich, którym ufał, wydawała się niezachwiana.

Dokładnie tak samo, mimo niewybrednych żartów i docin-

ków, Gandy był wierny Linusowi. Wyrażało się to w drobnych

sprawach, łatwych do przeoczenia. Choć niespokrewnieni, byli

dla siebie jak bracia. Rhys musiał to przyznać, mimo iż sam

nie doświadczył braterskich uczuć ani w ogóle żadnych przejawów życia rodzinnego.

Dotychczasowy dobry nastrój nagle go opuścił. Podobnie

jak jego przyjaciele, nie zaznał rodzinnego szczęścia. Nie

pamiętał matki, a ojciec został zabity przed dwudziestu laty.

Ciotka przeżyła ojca o kilka lat, ale była szalona i to Rhys,

będąc jeszcze dzieckiem, musiał się nią opiekować.

Nie, nie wiedział, co to znaczy być członkiem prawdziwej

rodziny. FitzHugh odebrał mu tę szansę.

Spojrzał w stronę głównego stołu, na córkę swego wroga,

symbol zdrady i nieuczciwości oraz wszelkich nieszczęść,

jakich przysporzyli mu jej krewni. Ona nigdy nie poznała głodu

i niedoli ani bolesnego lęku samotności.
Dorastała hołubiona

i kochana przez rodziców i resztę jej
przeklętej rodziny.

Dlatego z przyjemnością rozdzieli ją z
rodziną i pozbawi

niegodziwie zagarniętego dobytku.
Niech zaznają bólu, jaki on

cierpiał z ich rąk.

Nadal mu się przyglądała ze swego
miejsca przy głównym

stole. Była piękną dziewczyną, znudzoną
księżniczką w królestwie ukradzionym

swym poddanym. Ale ja przerwę twoją nudę, Izoldo FitzHugh, przysięgł w duchu. Chociaż nie w taki

sposób, jak byś chciała.

Odsunąwszy talerz, podniósł się od stołu.

- Czas na występy - zwrócił się do swych przyjaciół. -

Czas okazać naszą wdzięczność pani tego zamku.

Izolda aż wstrzymała oddech, kiedy mężczyzna zwany

Reeviussem wstał. Dlaczego budził w niej aż takie zainteresowanie?

Wprawdzie nie co dzień do zamku Rosecliffe przybywali minstrele, ale nie byli tak znowu rzadkim zjawiskiem. Zawsze

lubiła oglądać takie występy, niezależnie od poziomu talentu,

jakim obdarzeni byli wykonawcy. Jednakże tego wieczoru

oczekiwania Izoldy były znacznie

większe niż zazwyczaj.

Bez wątpienia sprawiła to rola pani zamku.

Skrzywiła się, nieprzerwanie wodząc wzrokiem po otoczeniu.

Trudno będzie z tej roli zrezygnować, ale cóż, nie miała wyboru,

musiało to nastąpić wraz z powrotem rodziców. Może powinna

się poważniej zastanowić nad kwestią małżeństwa... byle nie

z Mortimerem. Tak czy inaczej pozostawało faktem, że tylko

poprzez małżeństwo mogła kiedyś zostać panią własnego domu.

Na razie nie miała ochoty tego rozważać. Minstrele sięgnęli

po instrumenty i podeszli do głównego stołu. Zachwycona

Izolda klasnęła w dłonie. Pomyślała, że nim wieczór dobiegnie

końca, Osborn będzie musiał przyznać, że dobrze zrobiła,

wpuszczając ich do zamku.

Łaciaty piesek wybiegł naprzód z głośnym szczekaniem.

Zamkowe psy natychmiast się poderwały, lecz paziowie chwycili je za obroże i wyprowadzili z wielkiej sieni. Cidu, jakby dla uczczenia swego zwycięstwa nad wielkimi chartami, podskoczył, wykonując w powietrzu salto.

Wszyscy krzyknęli z zachwytu.

Piesek powtórzył sztuczkę, a potem zaczął biegać w kółko,

goniąc własny ogon. Następnie znów wykonał salto do tyłu

i tym razem opadł na brzuch, wyciągając na boki wszystkie

cztery łapy. Kiedy sień dosłownie
trzęsa się od śmiechu i braw,

sprytne stworzenie rozglądało się z
wywieszonym różowym

językiem, jakby i ono się uśmiechało.

Izolda klaskała tak samo gorliwie jak
reszta, oczarowana

bystrością zwierzaka. Tymczasem
minstrele ustawili się w półkrąg

i z dobrze wypraktykowaną swobodą
zaczęli grać rzewną melodię.

Karzeł, trzymający małą harfę,
zaśpiewał jako pierwszy.

Witacie nas szczodrym gościńcem,

Odpłacamy wam śpiewem i żartem.

Ludzkie ciała mają swoje potrzeby.

Dusze innej strawy są warte.

Następny był starzec w purpurowej
szacie. Głos miał wysoki

i cienki.

W wiele miejsc dotąd los nas rzucił.

W innych dopiero zawitamy.

Lecz dzisiaj chcemy wam zanucić,

Pieśń, którą wszyscy dobrze znamy.

Wreszcie nadeszła kolej na brodacza.

Przygrywając sobie

z mistrzowską wprawą na cytrze, patrzył
wprost na Izoldę.

Do twierdzy, co na wzgórzu stoi

Przywiodła nas daleka droga.

By zasiać u was ziarno prawdy

Zawarte w naszych pieśni słowach.

Głos miał mocny i niski, dobrze
kontrastujący z dziwnym

brzmieniem karła i starczym dyszkantem.
Jest taki jak jego głos,

pomyślała Izolda, wytrzymując śmiałe
spojrzenie minstrela.

Wpatrywał się w nią z zuchwałą
otwartością; miała wrażenie,

że jego wzrok rozpala jakiś dziwny
ogień w jej żołądku.

Zmusiła się do spuszczenia oczu... by
obejrzeć resztę jego

postaci. Był wysoki i postawny, miał
zdrowe zęby i gęste

włosy. Aż za dużo włosów, uznała. Jak

wygląda pod tą zbyt

bujną czupryną i gęstą maską brody?

Nagle uniósł się w powietrze. Izolda aż otwarła usta z wra

żenia, bo nie zauważyła, jak olbrzym przesunął się i stanął za

nim. Zaraz potem brodacz siedział mu na ramionach. Podbiegł

do nich karzeł, został pochwycony i wyrzucony w górę przez

olbrzymą, by na koniec wylądować na ramionach Reeviusa.

To samo stało się z psem, który znalazł się na rękach karła.

Na koniec starzec stanął na wyciągniętych dłoniach olbrzyma

i został uniesiony w górę. Dumna siwowłosa postać trzymała

się pewnie, jakby wciąż opierała stopy na twardym gruncie.

Wszyscy widzowie klaskali, krzyczeli i walili kubkami

o stoły. Ucichli, kiedy olbrzym zaczął recytować, bez podkładu

muzyki.

Ogień pali, woda chłodzi rześką strugą,

Ziemia w dole, niebo na wysokości.

Płynie czas, pora roku mija jedna za drugą,

Od narodzin po śmierć, na wojnie i w miłości.

Zasłuchana Izolda wyczuwała w tych słowach jakąś głębszą

treść. Niektórzy minstrele śpiewali o historii. Inni tworzyli

piękne wiersze o mitycznych postaciach, o kochankach i przy-

sięgach składanych na łożu śmierci.
Niewielu poruszało w swoich pieśniach
poważniejsze tematy, takie jak polityka,
wiara, los człowieka.

Bezwiednie pochyliła się naprzód,
czując, że ma przed sobą

właśnie taką trupę. A to oznaczało
ciekawe wieści z odległych

miejsc i różne warte wysłuchania
opinie.

- Jesteście mile widziani w Rosecliffe,
przyjaciele - powiedziała. - Proszę,
zabawiajcie nas dziś wieczorem, a
potem śpijcie dobrze razem z nami i
najedzcie się znów do syta, gdy

nastanie świt.

Odpowiedział jej brodac.

- Mam na sobie Gandy'ego, a on trzyma Cidu. Siedzę na

ramionach Linusa, który trzyma Tillo. Mam na imię Reevious.

Jesteśmy ubogimi śpiewakami i akrobatami, którzy podróżują

po świecie. Dziękujemy wam za gościnę i prosimy, byście

napełnili kubki, bo chętnie będziemy was zabawiać. - Choć

mówił do wszystkich obecnych w
wielkiej sieni, ciemne oczy

miał utkwione w Izoldzie.

Znów poczuła ten sam dziwny żar w
brzuchu. Wyprostowała

się na krześle, kiwając głową z
aprobatą. Poczowała wyraźną

ulgę, kiedy wreszcie przestał na nią
patrzeć. Czterej minstrele

pokazywali różne akrobatyczne sztuczki,
śpiewali, a nawet

odegrali scenę bitwy, w której stary
Tillo i mały Gandy

pokonali większych przeciwników, ku
niezmiernej uciecze

widowni.

Izolda patrzyła na występy, poruszona i
ożywiona jakimś

nowym, nieznanym jej dotąd uczuciem.
Czyżby chodziło

tylko o związane z przedstawieniem
wrażenia, które wyrwały

ją z szarej monotonii codzienności. Czy
wszyscy inni czuli

podobnie?

Rozejrzała się. Odo, roześmiany od ucha do ucha, walił

pięścią w stół do rytmu wybijanego na bębnie przez olbrzyna.

Osborn, rozparty na krześle, z rękami splecionymi na brzuchu,

z zadowoleniem śledził przedstawienie. Najwyraźniej wyzbył

się wszelkich uprzedzeń, jakie wcześniej żywił do minstreli.

Głośny okrzyk widzów przyciągnął jej uwagę z powrotem

do występu. Mały Gandy gonił Cidu

między potężnymi jak

słupy nogami Linusa. Olbrzym unosił na przemian raz jedną,

raz drugą stopę, o mało nie zgniatając ścigającej się pary.

W tym samym czasie Tillo z Reeviusem grali skoczną melodię,

stopniowo przyspieszając tempo.

Dźwięczał tamburyn, dzwoniły dzwoneczki, piszczałki dud napełniały wielką sień niepokojąco przenikliwym tonem.

Nagle Gandy złapał Cidu i w tym samym momencie zwała

się na nich masywna postać Linusa.
Widzowie zamarli ze
strachu.

- Och, nie!

- Wyciągnąć ich!

- On ich zgniecie!

Wszyscy aż podskoczyli, wyciągając
szyje, by dostrzec

straszliwe skutki katastrofy. Izolda i Odo
postąpili tak samo

jak reszta, Osborn podobnie, tyle że
wydawał się mniej przejęty

zdarzeniem.

- To taka sztuczka - szepnął do Izoldy. -
Nikommu nic się
nie stało.

Jednakże głośne zawodzenie
poszkodowanych zadawało

kłam jego słowom.

- O nie. O nie! - zawył olbrzym, wciąż
rozciągnięty na

podłodze. - Zabiłem ich. Zabiłem ich! -
Reevius i Tillo podbiegli, żeby
sprawdzić, co się stało.

- Sprowadzić medyka ze wsi! - zawołała Izolda, poważnie

wystraszona.

Nagle pies wynurzył się z Linusowego rękawa. Otrząsnął

się, zaszczekał i, jak poprzednio, zaczął gonić własny ogon.

Zaraz potem z drugiego rękawa wyszedł Gandy i wdrapał się

na plecy olbrzymia.

- Sprowadzić medyka! - przedrzeźnił Izoldę. - Bo chyba

zgniotłem biednego Linusa!

Zagrzmiał śmiech. Klaskano w dłonie,
tupano nogami, kubki

ogłuszająco stukały o blaty stołów,
Izolda, choć nieco zakłopotana, że dała
się nabrać, musiała docenić żart
minstreli.

- Widzisz? - zwróciła się do Osborna,
zapamiętała bijąc

brawo. - Miałam rację, zapraszając ich
tutaj. Matka i ojciec będą

żałować, że ominęła ich dzisiejsza
zabawa. - Pochyliła się do

Oda. - Przynieś srebrnego denara.
Myślę, że na niego zasługują.

Nie zaprotestował przeciw jej hojności,
co świadczyło wymownie o tym, że jest
szczerze ubawiony popisami. Po jego
wyjściu Osborn podniósł się z za stołu.

- Najwyższy czas, żebym sprawdził
straże i zrobił ostatni

obchód.

- Tak, racja- mruknęła Izolda, prawie go
nie suchając;

przyglądała się, jak zdyszana od wysiłku
czwórka płucze gardła

świeżym piwem. - Ja dopilnuję
wszystkiego w wielkiej sieni.

Dobranoc.

Jednakże miała na głowie sprawy
ważniejsze niż dogłądanie

porządków po wieczery. Służące
powynosiły naczynia i zebrały

resztki jedzenia, by nakarmić nimi psy.
Paziowie pościerali

stoły i ustawili je pod ścianami. Izolda
niby nadzorowała ich

pracę, ale przez cały czas ukradkiem
spoglądała na Reeviusa.

- Podejdz do tego minstrela, który zwie
sie Reeviusem, tego

z broda - polecila przechodzaceму
chlopcui. - Kaz mu sie tu

zblizyc, bo musze z nim o czymś
pomowic. Zaczekaj. Zreszta

nie - zmienila zdanie. - Sama pojde. -
Minstrelom nalezaly

sie slowa uznania. I nie bylo potrzeby
przywoływać ich do

siebie, jakby byla nie wiadomo jak
wazna osobistoscia.

Okrazajac wielka sien, raz po raz

dawała służbie wskazówki,

życzyła dobrej nocy wychodzącym,
świadoma, że Reevis ani

na chwilę nie spuszcza z niej oczu. Odo
przyniósł jej denara

i teraz ścisnęła go w spoconej dłoni.
Pomyślała ze złością, że

zachowuje się jak niemądre dziecko. Jak
Gwen. Przecież ten

człowiek był tylko wędrownym
minstrelem, przystojnym,

zuchwałym, ale tylko minstrelem... który
już dostał wieszak.

Przegrzebała węgle pod trójnogim
kociołkiem, żeby woda

w nim pozostała ciepła mimo wygasłego
płomienia. Wreszcie

uniosła podbródek, odwróciła się i
podeszła do minstreli.

Przerwali rozmowę, kiedy się zbliżyła.

- Dziękuję wam, zacni panowie -
zaczęła. - Od wielu

miesiący tak dobrze się nie bawiliśmy. -
Wyciągnęła denara

na otwartej dłoni. - Proszę, przyjmijcie
ten dowód naszej

wdzięczności.

Gandy podbiegł do niej z uśmiechem;
dzwoneczek na jego

czapce zabrzączał.

- Dzięki, milady. Doceniamy twoją
szczodrość. Z pewnością

nam się przyda. - Pochwyciwszy
monetę, wykonał jeden ze

swych popisowych ukłonów.

- Zasłużyliście na niego. - Zmuszała się
do patrzenia na

całą trupeę, lecz następne słowa

skierowała wprost do Reeviusa. -

Ale chciałabym cię prosić o pewną przysługę. - Znów odniosła

wrażnie, że jest w nim coś znajomego. Gdzie mogła go widzieć?

- Przysługę? - odezwał się po chwili, głosem tak samo

mrocznym i głębokim, jak jego oczy.

- Właśnie. - Nagle zaschło jej w ustach; bezwiednie przesunęła językiem po wargach. Dlaczego zachowywała się przy nim jak głupia gęś? - Od dawna chciałam się nauczyć grać na

cytrze.

Pokiwał głową.

- Gandy mi wspominał. - Przy słabym
świetle pochodni

nie była w stanie dostrzec wyrazu jego
twarzy, ukrytej pod

puklami włosów i brodą. - Grasz na
jakimś innym instrumencie,

pani? - spytał.

- Owszem. Na harfie, choć nie tak
dobrze jak Gandy.

I jeszcze na dudach, ale tylko trochę.

- Jeśli nauczysz ją grać na cytrze -
wtrącił się karzeł, łypiąc na nią chytrym
spojrzeniem - nie będzie chciała
korzystać

z naszych talentów, kiedy tu zawitamy
następnym razem.

Izolda się roześmiała.

- Mało prawdopodobne, bym nabrała aż
takiej biegłości.

Ale gdyby nawet tak się stało, nadal
będę pragnęła waszego

powrotu do Rosecliffe. Mojej rodzinie
spodobają się wasze

występy.

- Doprawdy? A gdzie jest teraz twoja rodzina, pani? -

spytał Reevius.

- Wyjechali do Londynu na koronację nowego króla,

Henryka.

Tym razem mimo brody zauważyła, jak minstrel wykrzywia

usta w uśmiechu.

- Koronacja młodocianego angielskiego króla. To dopiero

rozrywka, co, Tillo?

- O, tak - przyznał starzec w purpurowej szacie. - Ale to

za daleka droga dla moich starych nóg.

- Zaniosę cię - zaoferował się Linus.

- Mnie się podoba tu, gdzie jesteśmy - oświadczył Reevius

ze wzrokiem utkwionym w Izoldę. -

Więc życzysz sobie, pani,

żebym ci udzielił lekcji gry na cytrze.

Przytaknęła.

- Gdybyś zechciał. Zapłacę ci - dodała.

- Naprawdę?

Wolno pokiwała głową.

- Oczywiście.

- Zatem dobrze. Możemy zacząć od razu.

- Teraz? - Poczowała dziwne łaskotanie w żołądku. - Chętnie,

jeśli nie jest zbyt późno.

- Wystarczy parę minut, żebyś się nauczyła, pani, trzymać

instrument. Poza tym nauka muzyki

wymaga skupienia. Nic

nie może cię rozpraszać. A w takim miejscu nocą jest naj-

spokojniej. - Spojrzał na swoich kompanów. - Idźcie spać.

Dołączę do was później.

Zabrzmiało to tak, jakby władca odprawiał poddanych.

Izoldzie przyszło do głowy, że sposób bycia tego człowieka

jakoś nie pasuje do jego niskiego statusu.

- No to dobranoc - rzekł Tillo, zbierając się do odejścia.

- Dobranoc. - Karzeł z olbrzymem ruszyli w jego ślady.

Tylko piesek Cidu pozostał na miejscu, przyglądając się

Izoldzie. jakby chciał ją spytać, jakie ma plany wobec jego pana.

Sama tego nie wiedziała.

Reevius wziął do ręki cytrę i przejechał palcami po strunach.

- Od czego zaczniemy? - zaśpiewał. - Krzesła nam potrzeba - ciągnął o ton

wyżej. - Dla damy pięknej niczym anioł
z nieba.

Uśmiechnęła się z uznaniem dla jego
polotu.

- Dwóch krzeseł. Albo może ławki. -
Podprowadziła go do

ławki przed paleniskiem i usiadła.

Nie czekając na zachętę, zajął miejsce
obok niej. Tuż obok.

- Jak się nauczyłeś grać na cytrze? -
odezwała się, żeby

pokryć zakłopotanie.

Wzruszył ramionami.

- Spędziłem wiele lat na służbie w pewnym domu. Tam

ktoś mnie nauczył.

- I od tamtej pory jesteś minstrelem?

- Nie.

Zaskoczona szorstką odpowiedzią, podniosła na niego

wzrok. Napotkała spojrzenie, w którym nie było nawet cienia

przeprosin. Przeciwnie, miała wrażenie, że patrzył na nią

wyzywająco.

- Teraz jestem minstrelem. To wystarczy. Wygląda na to,

że chcesz, pani, naśladować moje umiejętności. Tak trudno

być panią wielkiego zamku, że wolałabyś wędrowne życie przy

dźwiękach harfy, cytry i dud?

- Nie. Wcale nie. Czyż kobieta nie może grać dla własnej

przyjemności i dla rodziny?

- Może. - Siedział tak blisko, że czuła

żar bijący od jego

ciała, rytmiczny powiew jego oddechu.
Widziała w ciemnych

oczach mężczyzny błyski odbitego
światła pochodni. Zmusiła

się do odwrócenia wzroku.

- Proszę. - Podał jej cytrę. - Chwyć,
pani, ją pod prawe

ramię, a lewą ręką ujmij tutaj.

Zrobiła, co kazał, przesuważąc dłońią po
strunach. Zlewające

się harmonijnie tony były miłe dla ucha.

- Naciskasz, pani, palcami, żeby skrócić struny i zmienić

wysokość dźwięku. O, tak. - Pochylił się, objął ją ramieniem

i nakrył ręką lewą dłoń dziewczyny. Z miejsca, gdzie jej

dotykał, rozchodziły się fale gorąca.

- A to ułożenie daje inny akord - mruknął tuż przy jej uchu.

Serce zabiło Izoldzie szybciej, kiedy przesunął jej palce na

właściwą pozycję. - Naciśnij, pani. Mocno. - Następnie ujął

jej drugą rękę, mówiąc: - Uderz w struny.

Spełniła polecenie. W tym momencie zrobiłaby wszystko,

co tylko by jej kazał, tak mocno działał rzucany przez

niego urok.

Dźwięk, który się rozległ, wciąż harmonijny, lecz innej

wysokości niż poprzedni, przywołał ją do rzeczywistości.

Starła się zapamiętać ułożenie palców lewej ręki. Była zachwycona.

- Można też szarpać struny kciukiem lub resztą palców,

żeby wydobyć melodię - powiedział.
Nie puszczając jej dłoni,

drugą ręką odegrał znaną walijską kołysankę.

- Słodko, słodko w noc - zaśpiewała
Izolda do melodii po

walijsku. Rhys zeszywniał, słysząc, jak córka jego wroga

śpiewa walijską kołysankę. Nie spodziewał się, że dziewczyna

rozpozna tę melodię, lecz szybko

zrozumiał swą pomyłkę.

Przecież jej matka była Walijką, więc musiała znać tę piosenkę.

I zapewne mówiła po walijsku tak samo biegle jak on. Ale to

jeszcze nie znaczyło, że Izolda FitzHugh jest Walijką.

Puścił jej rękę i odsunął się na drugi koniec ławki.

- Starczy na dzisiaj.

Nie oddając instrumentu, Izolda starała się utrwalić w pamięci

ułożenie palców. Uderzała w struny i
nuciła świeżo poznane

akordy. Sprawiała wrażenie, jakby
zapomniała o obecności

minstrela.

On natomiast był aż nadto świadom jej
obecności. Patrzył

na jej wdzięcznie pochyloną głowę,
zauważył jedwabisty

połysk włosów, delikatną bladość szyi,
poczuł słaby zapach

lawendy. Odsunął się od niej.

Była młoda, ładna i czysta. Tłumaczył
sobie, że każdy

mężczyzna musi czuć pociąg do kobiety
o takich walorach.

Tym próbował wytłumaczyć
nieoczekiwaną żądzę, którą w nim

budziła i przeciw której buntował się w
duchu. Przecież

należała do rodu FitzHugh. Nienawidził
tej dziewczyny i wszystkich jej
krewnych.

To jednak nie wystarczyło, by ujarzmić
obudzoną w nim

bestię pożądania. Izolda była kobietą, a on od tak dawna nie

zaznał spełnienia w kobiecych ramionach.

Znów uderzyła w struny, śmiejąc się przy tym cichutko.

- To naprawdę niesamowity instrument.

- Zwróciła się do

swego nauczyciela: - Skąd go wzięłeś?

Żądza odezwała się w nim jeszcze głośniejsze. Izolda miała

taką delikatną skórę. Przepastne szare oczy, a usta...

Odebrał jej cytrę.

- Z Yorku - mruknął, wstając. - Dostyc, jestem zmęczony.

- Ale jutro pokażesz mi więcej? -
upewniła się, również

się podnosząc.

- Owszem, jutro - obiecał, patrząc w
stronę masywnych

dębowych drzwi i służącej do ich
zamykania ciężkiej sztaby,

teraz opartej w kącie.

- Ty i twoi towarzysze możecie zostać w

Rosecliffe na jakiś

czas - zaproponowała. Nie
odpowiedział, więc po chwili mówiła

dalej: - Jeśli macie coś do zacerowania,
szwaczki się tym

zajmą. Albo coś do prania. Czy jakieś
skórzane rzeczy do

naprawy... - Splotła ręce na wysokości
pasa.

Rhys zmrużył oczy. Chciała, żeby
zostali. Było mu to na rękę.

- Pochlebia mi, że tak ci się, pani,
spodobały nasze występy.

Może odłożymy nasz wyjazd o parę dni - zgodził się. - Spodziewasz się, że do tego czasu twoja rodzina powróci?

- Nie. Niestety, nie będzie ich jeszcze przez kilka tygodni.

Nie spodziewam się ich wcześniej niż pod koniec roku.

- Rozumiem. - Rzeczywiście, zrozumiał. Kilka tygodni

dawało mu więcej czasu, niż potrzebował. - Obiecuję nie

więcej niż parę dni.

Posłała mu uśmiech, zarazem niewinny i

uwodzicielski.

Miała w sobie więcej słodkiej
dziewczyny czy zmysłowej

kobiety? Choć to graniczyło z
szaleństwem, zapragnął się

przekonać.

Podszedł do niej i podał jej cytrę.

- Możesz, pani, do woli korzystać z
mojego instrumentu,

dopóki pozostaniemy w Rosecliffe.

- Och, dziękuję. - Ostrożnie ujęła cytrę
smukłymi dłońmi. -

Musisz pozwolić, bym ci odpłaciła za twoją wielkoduszność.

Skłonił się szybko.

- Twoja przyjemność, pani, jest wystarczającą zapłatą -

mruknął i zaraz odszedł. Już wkrótce mu zapłaci, i to sownie.

Miał trzy tygodnie na zawładnięcie zamkiem Rosecliffe.

I córką gospodarza? - dopytywał się w nim ostry głos.

Jeszcze raz usłyszał ciche dźwięki cytry i nucenie. Może

posiądzie tę dziewczynę. Odebranie niewinności Izoldzie byłoby

śmiertelnym ciosem dla czarnego serca Randulfa FitzHugh.

A na zadanie tego ciosu Rhys czekał od wielu lat.

5

Izolda obudziła się uśmiechnięta i od razu wiedziała dlaczego.

Kaplica była gotowa, a dzisiaj miała zakończyć pracę nad

krzyżem. Robotnicy przeniosą się do wielkiej sieni, wyszorują

ściany i pomalują je w wymarzony przez nią wzór. Do końca

tygodnia szwaczki uszyją nowe kilimy nad kominek i kotary

do drzwi wejściowych. Jednym słowem, wysiłki Izoldy zaczynały przynosić

owoce.

Najważniejsze ze wszystkiego było jednak to, że Reevis

zgodził się udzielać jej lekcji gry na cytrze.

Leżała na plecach w miękkim puchowym pościeliu, wpatrując

się w ciężkie, własnoręcznie wyhaftowane adamaszkowe zasłony przy łóżku. Były w jej ulubionych kolorach - purpurowym i ciemnozielonym. Patrzyła na nie, ale tak naprawdę wcale ich

nie widziała. Jej myśli krążyły bowiem gdzie indziej.

Próbowała zrozumieć to, co jej się przydarzyło zeszłego

wieczoru. Trupa minstreli zabawiała ich przy kolacji, trupa

niewiele różniąca się od wielu innych, jakie bywały dotąd

w Rosecliffe.

Jednak dla Izoldy zupełnie inna.

Olbrzym. Karzeł. Tresowany pies.

Z jękiem zamknęła oczy, zażenowana własną nieszczerością.

Byli inni nie z powodu Linusa czy

Gandy'ego ani też małego

Cidu. Prawda była taka, że chodziło o
Reeviusa. To z jego

powodu się uśmiechała. Nie mogła temu
zaprzeczyć... przynajmniej przed sobą.

Zwykły minstrel niewiadomego
pochodzenia, nie posiadający

niczego poza cytrą, szerokimi ramionami
i przejmującym

głosem, zdołał zawładnąć jej
wyobraźnią. Cherlawemu Mor-

timerowi Halyardowi się to nie udało.
Podobnie jak żadnemu

z rycerzy i lordowskich synów, którzy w ostatnich latach

zjawiali się u jej ojca w Rosecliffe. A ten człowiek, choć nie

widziała nawet dokładnie jego twarzy i choć nie zachowywał

się wcale zbyt przyjaźnie, wzbudził ten szczególny uśmiech

w jej oczach i niepokój w sercu.

Z westchnieniem przewróciła się na brzuch. Wędrowny

grajek nie powinien wzbudzać zainteresowania w córce lorda. Ale

wzbudził. A kiedy usiadł obok niej i prowadził jej rękę...

Przebiegł ją miły dreszcz. Jeszcze nigdy przy nikim tak się

nie czuła.

Tylko że niewielu mężczyzn, poza krewnymi, tak długo

dotykało jej dłoni... do tego w tak szczególny sposób.

Znów ułożyła się na plecach, otworzyła oczy i spojrzała w górę.

Czy o to chodziło? Czy to monotonne życie, jakie wiodła

w Rosecliffe, sprawiło, że tak na nią
działał ten wyniosły

brodaty minstrel?

Odrzuciła przykrycie, zgorszona własną
nieprzyzwoitością.

Właściwie zawinił ojciec. Gdyby nie
jego upór, byłaby teraz

w Londynie i poznawała te wszystkie
ważne osobistości, które

zjechały tam z całego królestwa. Gdyby
się tak nie upierał przy

Mortimerze, mogłaby już poznać kilku
odpowiednich młodzieńców, tak samo

wysokich i barczystych jak wędrowni
minstrele.

Mogłaby nawet poznać takiego, który by
opowiadał jej wymaganiom.

Usiadła, spuszczaając nogi z łoża,
rozbawiona myślą, jaka

nagle przyszła jej do głowy. Może
powinna jaśniej wyłuszczyć

ojcu swoje oczekiwania. Co by
powiedział, gdyby go poprosiła

o znalezienie mężczyzny, który by ją
przyprawiał o skurcze

w żołądku i gęsią skórkę? Jeśli matka

miała rację, to z pewnością

by oniemiał i zaczerwienił się po same uszy, słysząc od córki

takie rzeczy. Byłoby zabawnie wprawić ojca w zakłopotanie,

mówiąc mu o swoich pragnieniach. Pragnieniach, których

nawet sobie nie uświadamiała, dopóki nie obudził ich tajemniczy

Reevius.

Ciekawe, gdzie spał tej nocy? Gdzie jest teraz? Poczwała, że

musi się tego dowiedzieć.

Ubrała się szybko i zbiegła po schodach.
Rozległy się

dzwony w kaplicy, jakby zapowiadały
jej nadejście. Jednakże

w wielkiej sieni nie było nikogo poza
Odem.

- Poranne modlitwy zaraz się rozpoczną
- powitał ją, kręcąc

głową. - Ojciec Clemson ma kwaśną
minę, a wiesz, jak lubi

przeciągać, kiedy jest zły.

- Tak, tak. Przepraszam.

Wytrzymała przedłużone modły, nie zwracając uwagi na

rozdrażnienie ojca Clemsona. Nie słuchała rozwlekłego kazania,

skupiona na podziwianiu swoich dokonań w wystroju kaplicy

i na trosce o nieśmiertelną duszę Reeviusa. Zwyczaj nakazywał,

by wszyscy w Rosecliffe uczestniczyli w nabożeństwie, nie

wyłączając gości. Wyglądało na to, że minstreli ten zwyczaj

nie obowiązywał.

Potem w zatłoczonej głośnej sieni
wszyscy jedli owsiankę

i czerstwy chleb maczany w kozim
mleku z miodem. Gdzie

on się podziewał? Przecież nie mogli
opuścić Rosecliffe, skoro

wciąż miała jego cytrę.

Dopiero koło południa miała okazję
usłyszeć o Reeviusie,

i to całkiem przypadkowo, jako że sama
postanowiła o niego

nie pytać.

- ...wielkie chłopisko - mówiła piwiarka, kierując rozładunkiem nowych beczek przed wejściem do piwnicy.

- Wiesz, co mówią o muzykach - wtrąciła jej siostra Emelda,

spychając beczkę na tył wozu. - Mają najzręczniejsze palce

i najczulszy dotyk - dodała z wymownym uśmiechem.

Obie wybuchnęły śmiechem, lecz na widok Izoldy umilkły,

kłaniając jej się z szacunkiem.

Odpowiedziała im skinieniem

i poszła do pralni. Dopiero tam sapnęła ze złością. Najzręczniejsze palce? Najczulszy dotyk? Czyżby mówiły o Reeviusie?

Z pewnością nie.

Więc o kim?

Izolda zacisnęła zęby. Czyżby Emelda miała te wiadomości

z pierwszej ręki? Plotkowano o niej, że niezbyt cnotliwie się

prowadzi. Czy to u niej Reevius spędził noc?

Wzburzona, krzątała się po pralni,
posypując solą plamy na

bieliźnie. Potem wstąpiła do kuchni,
zabrała nieużywane zioła

i odniosła je do szafki w spiżarni.
Powinna zajrzeć do tkaczek

i szwaczek. Pochwalić je, żeby nadal
przykładały się do

szybkiej i wydajnej pracy. Jednak trudno
było jej się zmusić

do tych obowiązków.

Przystanąwszy pod murami, udręczonym
wzrokiem rozejrzała

się po gwarnym dziedzińcu.

Potrzebowała samotności, żeby

się zastanowić nad dziwnymi uczuciami,
które ją zniecka

ogarnęły. Tylko że nie mogła znaleźć
żadnego odludnego

miejsca. Ogrodnik przekopywał zagony
z ziołami, strażnicy

przechadzali się tam i z powrotem po
blankach, zbrojarz

pracował w swojej szopie przy stajni,
murarze na rusztowaniach,

mleczarki w zagrodzie. Wszędzie

gdziekolwiek by spojrzeć

krzżeli się mężczyźni, kobiety a nawet dzieci, zajęci czynnościami, dzięki którym Rosecliffe było takim bezpiecznym i miłym miejscem do życia.

Na Izoldę także czekały obowiązki, ale nie potrafiła się w tej

chwili do nich zabrać. Zresztą zbliżała się pora obiadu. A w nim

Reevius musiał uczestniczyć.

Nie pojawił się. Jego trzech towarzysze zasiedli przy tym

samym stole co poprzednio, w kącie

sali. Ale Reeviusa nie

było. Emeldy także.

Choć Izolda miała świadomość, że zachowuje się niedorzecznie, nie umiała stłumić w sobie złości ani rozczarowania i zaraz po posiłku uciekła do swojej komnaty.

Wskoczywszy na łoże, usiadła ze skrzyżowanymi nogami,

z pochmurną miną. Uzmysłowała sobie, że już kiedyś czuła się

podobnie, kiedy jako dziecko zakochała się w swoim stryju

Jasperze. Wyobrażała sobie nawet, że pewnego dnia zostanie

jego żoną. A potem zjawiała się Rhonwen i dziecinne marzenia

Izoldy legły w gruzach. Pamiętała, że zachowywała się wówczas

jak samolubny smarkacz. Kilka lat później sytuacja się powtórzyła, lecz tym razem chodziło o jednego z giermków stryja Jaspera. Przez kilka tygodni obnosiła posępną minę po tym,

jak uroczy młodzieniec wyjechał do zamku Bailwyn, żeby tam

służyć Jasperowi.

Teraz znów odęta siedziała w cichej komnacie. Nie była już

dziesięcioletnim ani trzynastoletnim dzieckiem, lecz prawie

dwudziestoletnią kobietą. Bez wątpienia przez ostatnie lata

musiała choć trochę wyorośleć.

Próbowała zrozumieć, dlaczego tak się zachowuje... i to

z powodu jakiegoś wędrownego minstrela. Upór ojca, żeby

znaleźć jej kandydata do małżeństwa, wyprowadził ją z równowagi; to po

pierwsze. Poza tym musiała zostać w domu, podczas gdy reszta rodziny uczestniczyła w koronacji.

Jednakże te fakty nie wyjaśniały jej fascynacji wędrownym

grajkiem. Marszcząc czoło, z podbródkiem wspartym na dłoni,

rozmyślała nad swoimi uczuciami.

Reevius był młody, wysoki i przystojny. Bardzo przystojny.

To tłumaczyło, dlaczego wpadł jej w oko. Do tego miał serce

poety, czyli coś, czego nie miał żaden

znany jej rycerz ani

młody panicz. Mężczyźni, których znała, interesowali się

głównie polityką i polowaniem, bronią i końmi. I kiedy oni

ćwiczyli swoje umiejętności na wojnie, Reevius poświęcał się

muzyce.

Z westchnieniem spojrzała na cytrę spoczywającą na skrzyni. Wczoraj wieczorem wydobywał z tego instrumentu takie cudowne dźwięki. A jego niski głos jakby przeszywał ją na

wskroś.

Obawiała się, że brodaty minstrel
oczarował ją nie tylko

męską urodą i muzycznym talentem.
Chodziło o coś więcej.

Coś między nimi zaiskrzyło, już kiedy
pierwszy raz na siebie

spojrzeli. Jakby się znali od dawna,
jakby ich dusze nagle się

odnalazły.

Przynajmniej ona tak czuła.

Niestety, nie wiedziała, co on czuje, i

miała świadomość,

że dopóki Reevius nie pojawi się w wielkiej sieni, z pewnością

się nie dowie.

Znowu westchnęła, już bez złości, choć daleka od zadowolenia. Czekwały ją liczne obowiązki, a do żadnego jakoś jej się nie śpieszyło. Usprawiedliwiała się w duchu, że nie mają

wpływu na przebieg zamkowego życia. Poza tym farba na

krzyżu musiała dobrze wyschnąć, a wszystkie rzeczywiście

niezbędne czynności wykonała już wcześniej.

Znów popatrzyła na cytrę. A gdyby tak wzięła instrument

Reeviusa i poszła na ławkę pod północnym murem? Tam

z pewnością mogła znaleźć samotność, której potrzebowała.

Zanim Reevius wróci, by udzielić jej obiecanej lekcji, ona

nabierze biegłości w grze. Zrobi na nim wrażenie, jeśli nie

talentem, to przynajmniej gorliwością w

nauce.

Zeskoczyła z łóża i ostrożnie wzięła do rąk instrument.

Z mocnym postanowieniem, że nie będzie drążyć pytania,

dlaczego nie było zarówno Reeviusa, jak i Emeldy i czy byli

gdzieś razem, zbiegła po schodach i udała się pod mury.

Nikt jej nie zatrzymywał, ponieważ granicząca z morzem

strona Rosecliffe jako całkowicie bezpieczna była niestrzeżona.

Izolda zeszła po stromych stopniach
wykutyh w ciemnej

skale, w jednej ręce dzierząc cytrę,
drugą przytrzymując się

stanowiącej barierkę liny. Owiał ją
wiatr, z początku łagodny,

potem ostrzejszy, ciężki od wilgoci,
słonego zapachu ryb

i wodorostów. Schody prowadziły na
skalną plażę, która dalej

przechodziła w łachy żwiru i szorstkiego
piasku. Trzy łodzie

leżały odwrócone do góry dnem na

brzegu. Czwarta kołysała

się na falach w oddali. Dwóch ludzi
sprawdzało zawartość

rozstawionych sieci. Poza tym
dziewczyna miała plażę wyłącznie dla
siebie.

Obejrzała się na zamek. Z
niewiadomego powodu nie chciała,

żeby dostrzegli ją strażnicy, ukryła się
więc za wielkim głazem.

Jako dziecko wspinała się na niego
tysiące razy. Czasami był

dla niej górą, kiedy indziej statkiem, a

niekiedy straszonym

morskim potworem lub smokiem, co
zieje ogniem. Dziś jednak

miał być po prostu osłoną przed resztą
świata, ścianą, za którą

mogła być córką zwykłego człowieka, a
nie potężnego lorda.

Kobietą wolną, tak jak wszystkie
walijskie kobiety, dokonującą

samodzielnych wyborów.

Zdjęła buty i pończochy, uniosła
spódnicę i weszła po kostki

do wody. Obejście głazu dookoła zajęło jej ledwie moment,

a i tak chłód przeniknął ją do szpiku kości.

- Słodki Jezu - jęknęła, podskakując dla rozgrzania skostniałych stóp. Wreszcie usiadła na suchym skrawku piasku, opierając się plecami o skałę. Jeszcze raz spojrzała w stronę

zamku. Wokół były tylko skały, piasek, woda i niebo. Z zadowoleniem stwierdziła, że jest całkiem sama. Mogła przystąpić do odkrywania sekretów cytry.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło.

Słoneczną zatokę po-

krywały cienie, jako że dni stawały się już krótsze. Fale były

coraz mocniejsze i wyższe, ale nie bała się, że utknie w pułapce

przyływu. Nad jej głową niosły się krzyki polującego ptactwa.

Kiedy w końcu uniosła głowę, po rybakach w łodzi nie było

śladu.

Wiedziała, że powinna wracać... kiedy tylko dobrze wyćwicz

piosenkę, nad którą pracowała. Znow
pochyliła się nad pięcio-

strunną cytrą, wzięła akord, którego
nauczył ją Reevius...

i syknęła z bólu. Nie zdawała sobie
sprawy, że ma palce

pokaleczone od naciskania strun.

Zaczęła nucić, grając do rytmu fal
bijących o brzeg.

- ...jak ziarna piasku, jak krople w
morzu... - Urwała nagle,

bo jej uwagę przykuło jakieś poruszenie
na brzegu. Ktoś tam był?

Przypomniała sobie o rybakach.

Znowu skupiła się na cytrze i przygrywając sobie, zaczęła

śpiewać. Tym razem bez fałszywych tonów, bez potknięć.

Zadowolona z siebie, długo ciągnęła ostatnią nutę.

Aż podskoczyła, słysząc oklaski.

- Całkiem nieźle - powiedział Reevius, wynurzając się

z cienia starej poskręcanej wierzby.

Izolda wpatrywała się w niego

oniemiała. Był ostatnią osobą,

jaką spodziewała się ujrzeć, choć musiała przyznać, że również

tą, którą najbardziej pragnęła widzieć. Zaskoczenie odebrało

jej mowę.

Natomiast wzrok działał całkiem niezawodnie. Przyjrzała

się Reeviusowi dokładnie, kiedy zeskakiwał ze skalnej półki.

Wyglądał inaczej niż zeszłego wieczoru, bo mimo nadmorskiego

chłodu miał na sobie jedynie cienką koszulę. A że koszula była

wilgotna, to przywierała do ciała, ukazując niewiarygodnie

muskularne ramiona i pierś. Mokre włosy odgarnięte z czoła

odsłaniały twarz; Izolda dostrzegła, że jest młodszy, niż jej się

zdawało. Najwyżej parę lat starszy od niej. I oczy miał ciemniejsze, niż się spodziewała.

Doszła do wniosku, że pod gęstą brodą muszą się kryć

urodziwe, choć trochę ostre męskie rysy.
Wydatny nos. Mocne

kości policzkowe. Zapadnięte policzki i
szczęka o stanowczym

wyrazie. A usta miał pełne i kształtne;
zauważyła to i natychmiast oblała się
rumieńcem.

Przywołała się w duchu do porządku,
ściskając mocniej

instrument.

- Zaskoczyłeś mnie. Mam nadzieję... że
nie masz mi za złe,

że przyniosłam tu twoją cytrę.

Pilnowałam, żeby się nie
zamoczyła.

Pokiwał głową, a potem spojrział w
stronę zamku.

- Nie powinnaś tu być sama. To nie
miejsce dla kobiety.

- Nic mi tu nie grozi.

- Naprawdę? - Skierował na nią palący
wzrok.

Nagle zakłopotana Izolda z trudem
przełknęła ślinę. Nie bała

się, choć może powinna odczuwać lęk,

bo w jego słowach

i w oczach było coś dziwnego.

- Nic mi tu nie grozi - powtórzyła. -
Strażnicy są niedaleko

i są tu też rybacy.

- Już dawno wyciągnęli łódź na brzeg i
poszli na górę.

- Tak? - Wykręciła szyję, żeby
sprawdzić. - Musiałam być

zbyt pochłonięta muzyką, bo nie
zauważyłam - wyznała.

Jej słowa wywołały u niego uśmiech,

szeroki i szczery,

przeznaczony tylko dla niej. Serce zabiło jej mocniej, żołądek

fiknął koziółka. Gdyby stała, kolana by jej zadrżały. Taki

uśmiech z pewnością działał na wszystkie kobiety.

- Kiedy gram, tracę poczucie czasu - powiedział, podchodząc bliżej. - W muzyce jest coś kojącego.

Stanął tuż przed nią. Patrząc na niego z dołu, pomyślała, że

jest wyjątkowo udanym męskim okazem.

Bardziej męskim od

każdego z rycerzy jej ojca. Bo choć był
tak samo potężnie

zbudowany jak oni wszyscy, nie nosił
miecza, tylko swoją

muzykę.

I zabójczy uśmiech.

Z niespodziewaną jasnością zrozumiała,
że właśnie takiemu

mężczyźnie mogłaby oddać serce.

Dlatego nie przypadł jej do

gustu żaden z kandydatów podsuwanych

przez ojca. Pragnęła

człowieka o czulej, namiętnej duszy, nie
szorstkiego wojownika.

Chciała wrażliwego poety, minstrela,
nie rycerza.

Chciała Reeviusa.

Przestraszona własnymi myślami,
wyciągnęła ku niemu

cytrę.

- Może zechciałbyś zagrać? Proszę -
odezwała się nagle

zeschłymi wargami. Zwilżyła je

językiem, równocześnie odwracając głowę, by umknąć przed jego spojrzeniem. Chyba nie mógł odgadnąć jej myśli?

Rhys patrzył na kobietę, która podawała mu cytrę, i starał

się pamiętać, z kim ma do czynienia. To była Izolda FitzHugh.

Córka znenawidzonego lorda Rosecliffe. Bratanica człowieka,

który zabił mu ojca. Była jego wrogiem, miał ją wykorzystać

do zemsty na jej rodzinie. Posługując się nią, mógł osiągnąć

cel, o którym marzył przez całe życie.

Jednakże w tej chwili, gdy zachodzące słońce połyskiwało

we włosach dziewczyny, a szare oczy patrzyły na niego ufnie,

łatwo było o tym wszystkim zapomnieć.

Miała cudownie

gładką, jasną skórę... poza mocnym rumieńcem na policzkach.

A jej usta... Kiedy przesunęła końcem języka po pełnych

wargach, poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego.

Uciekła wzrokiem, kiedy brał z jej rąk instrument. Uznał,

że to zrozumiałe. Żyła jakby pod ochroną, niewielu mężczyzn

miało czelność przyglądać jej się tak otwarcie. On także nie

powinien, bo mógł ją spłoszyć, niweczając szansę, jaką dla niego

stanowiła.

Tylko że nie był w stanie oderwać od niej oczu. Miała długie,

gęste rzęsy, rzucające cienie na policzki. Długie, smukłe palce.

Szczupłą kibić. Krągłe piersi.

- Do licha! - zaklął pod nosem po walijsku.

Zrobiła wielkie oczy z przestachu.

- Zniszczyłam cytrę?

- Nie. Instrument jest w porządku.

- Ale zakląłeś... - Urwała.

Zaklął ponownie, tym razem w duchu.

Nie wolno mu było

zapominać, że ona zna walijski. To
prawda, że była córką

angielskiego lorda i uosobieniem angielskiej urody, piękniejszym od wszystkich kobiet, które poznał przez ostatnie dziesięć lat. Ale w jej żyłach płynęła walijska krew. Znała język

i obyczaje, więc jeśli nie będzie się pilnował, gotowa odgadnąć

jego tajemnicę i uniemożliwić planowany atak.

Zaciskając zęby, odsunął się od niej.

- Przepraszam za swoją bezmyślność, pani. Pewnie chcesz

wrócić do zamku.

Podniosła się z ziemi i zadzierając
głowę, spojrzała na

wystające ze skały zamkowe mury.
Wiatr rozwiewał jej

luźne kosmyki nad czołem i szarpał
grubą spódnicą, oblepiając ją wokół
bioder i nóg. Zauważył, że jest wyższa
od swojej matki. Czubkiem głowy
sięgała mu do podbródka.

Zeschły płatek jakiegoś kwiatka uwiązał
jej we włosach nad

brwią.

Rhys wyciągnął po niego rękę, lecz
opamiętawszy się, cofnął

ją. Na co sobie pozwalał?

Nie zachnęła się, nie próbowała uchylić głowy, więc jednak

sięgnął po różowy płatek, delikatnie chwycił go w palce i usunął.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Widział ciekawość, lęk i oczekiwanie w bezmiernej głębi jej oczu. Znów ogarnęło go pożądanie. Pragnął jej. Nie miało znaczenia, że nosiła nazwisko FitzHugh.

- Pójdiesz już, pani? - spytał, jednocześnie prosząc wzrokiem, by została.

- Myślałam... myślałam, że moglibyśmy
odbyć następną

lekcję. - Dotknęła cytry. - Mogę ci
pokazać, czego się już

nauczyłam.

Rhys z trudem ukrył radość.

- Jak sobie życzysz. - Zerknął w stronę
zamku. Żaden

strażnik dotąd nie wyjrzał przez mury,
nikt nie widział ich

razem. Równie łatwo mógłby ją utopić,
porwać czy zgwałcić...

jak udzielić lekcji muzyki. Czy ci strażnicy postradali rozum,

że w ogóle nie dbali o jej bezpieczeństwo?

Tak czy inaczej, dla niego stanowiło to korzystną okoliczność.

I miał zamiar zrobić z niej użytek.

- Usiadźmy - zachęcił, sadowiąc się za osłoną głazu.

Dziewczyna usiadła, tak blisko, że mógł jej dotknąć. Ale

nie dotykał. Była boso, palce u nóg miała różowe i delikatne.

Ułożył cytrę tak, by zakryła wydatny dowód jego podniecenia.

Odchrząknął niepewnie.

- Dobrze wykorzystyłaś pierwszą lekcję, teraz pokażę ci

więcej, nowy akord, współbrzmiący z tymi wcześniejszymi.

- Mam obolałe palce - poskarżyła się.

- Pokaż.

Wyciągnęła ku niemu otwartą dłoń, a on ją chwycił. To

był błąd.

A może nie był. Bo choć jej dotyk
wzbudził w nim chęć

ucałowania zaczerwienionych opuszek,
jednocześnie przypomniawszy mu o
przepaści, jaka ich dzieliła. Miała
drobną delikatną rękę, jak przystało na
wypieszczoną córkę ludzi, którzy
rządzili

jego krajem. A jego dłoń była duża i
szorstka, stwardniała po

latach spędzonych na walce.

Mógł z łatwością zmiażdżyć jej rękę
jednym uściskiem.

Mógł zmiażdżyć ją całą. Zmusić ją, by

mu się poddała,

i któregoś dnia zamierzał to zrobić.

Powiedział sobie, że nie ma powodu przyspieszać biegu

spraw. Poza tym całkiem przyjemnie było odkrywać, jak

daleko może się posunąć. Sprawdzać, jak cnotliwą i posłuszną

córkę wychował sobie FitzHugh.

Przejechał leciutko palcem po zaczerwienionych opuszkach.

- Może powinniśmy poczekać do jutra z

następną lekcją -

powiedział.

- Och, nie. Dam radę - zapewniła.

Przyglądając jej się z bliska, powoli uniósł jej dłoń.

- Jesteś pewna?

Gdyby odwróciła głowę, z pewnością zdołałby lepiej nad

sobą zapanować. Gdyby opuściła wzrok i uwolniła rękę, skupiłby się na cytrze i rozpoczął lekcję, której sobie życzyła. Ale nie odwróciła wzroku i nie cofnęła ręki.

I choć nie odezwała się ani słowem,
usłyszał jej niemą

prośbę. Pragnęła innej lekcji, czego
innego chciała się nauczyć.

Rhys i w tym przedmiocie mógł jej
służyć za nauczyciela,

całkiem biegłego zresztą. Więc choć to
było szaleństwo, choć

nie do tego zmierzał - w każdym razie
nie od razu - uniósł jej

rękę do ust. I patrząc prosto w czyste
szare oczy, ucałował

wnętrze drobnej dłoni. Nie był to

pocałunek uszanowania. Ani

pocałunek kandydata do zaślubin. To był
pocałunek kochanka

i miał ją podniecić.

Miał ją uwieść.

6

Dotyk ust Reeviusa omal nie przyprawił Izoldy o omdlenie.

Żołądek jej się skurczył, dostała gęziej skórki i w całym ciele

czuła przyjemne mrowienie. A brodawki piersi stały się twarde

jak kamyki.

A kiedy końcem języka wyrysował mały wilgotny krąg na

wrażliwej skórze wewnątrz dłoni, aż wstrzymała oddech, napięta

niczym struna.

Co się z nią działo? Co on robił?

Potem przeniósł wargi na obolałe
koniuszki palców i Izolda

wydała z siebie ciche westchnienie.
Całował każdy palec

z osobna, jeden po drugim, wprawiając
ją w nieopanowane

drżenie.

Wiedziała, że kochankowie się całują i
dzielą łóżko, żeby

spłodzić potomstwo. Ale to... to

niewyobrażalne podniecenie...

Ten ogień w głębi ciała, rozpalony
dotykem jego ust...

- Reeviusie - wyszeptała bez tchu.

- Czego ode mnie chcesz, pani? Muzyki?
Czy czegoś

więcej?

Izolda nie była w stanie zebrać myśli.
Wciąż trzymał ją za

rękę. Nadal wpatrywał się w nią
tajemniczymi ciemnymi

oczyma. Ogarnęła ją jakaś dziwna,

trudna do nazwania tęsknota.

Czego naprawdę chciała? Lekcji muzyki
czy czegoś więcej?

Jednego i drugiego, przyznała w duchu z
całkowitą szczer

ścią. Ale nie mogła mieć jednego i
drugiego. Nie tutaj. Nie teraz.

Nigdy, podpowiedział jej bezduszny
głos logiki.

Zacisnęła dłoń w pięść i wyswobodziła
ją z jego gorącego

uścisku.

- Chcę... - przełknęła ślinę, odwracając głowę - chcę tylko

lekcji muzyki. To wszystko. - Zerknęła na niego z ukosa.

Powinna go zganić za zuchwałość, której się dopuścił. Tylko

że nie potrafiła. - Może jednak powinniśmy wrócić do zamku.

- Jak sobie życzysz, pani. - Podniósł się szybko i wyciągnął

rękę, żeby jej pomóc.

Miotana kilkoma odczuciami naraz - rozczarowaniem, że

zgodził się tak skwapliwie, ulgą, że na nią nie naciskał,

i występłą tęsknotą, by poczuć na ustach ten sam pocałunek,

który czuła na dłoni - Izolda spojrzała na niego niepewnie.

Czy powinna znów dotknąć jego ręki?

Nie mogła się oprzeć. Chwyciła podaną dłoń i natychmiast

poczuła płynącą z niej siłę. Z drzeniem serca pojęła, że między

nią i tym człowiekiem istnieje jakaś niewyjaśniona więź, że

coś się między nimi wydarzy. Postawił ją na nogi zupełnie bez

wysiłku, jakby nic nie ważyła, lecz nie puścił od razu. Przeciwnie, przyciągnąwszy ją do siebie, zajrzał jej głęboko w oczy.

- Chciałbym całować nie tylko twoją dłoń, Izoldo. Gdybyś

i ty tego zapragnęła, wystarczy, że dasz mi znać.

Dopiero wtedy ją puścił.

Aż się zatoczyła z wrażenia. Przez całą drogę, wokół głazu,

przez plażę, po stromych stopniach,
stąpiła niepewnie, oszo

łomiona jego słowami. Kiedy się
potknęła, podtrzymał ją

niewinnym gestem dżentelmena
pomagającego damie. Po prostu

ujął ją pod łokieć, z szacunkiem i
bezosobowo. Mimo to znów

miała wrażenie, że płonie.

Nim dotarli do wąskiej skalnej ścieżki u
podstawy murów,

miała miękkie kolana, twarz gorejącą
rumieńcem, a w głowie

kłębowisko sprzecznych myśli. Nie była skłonna do silnych

wzruszeń, a tymczasem nie mogła dojść do siebie.

- Dobrze się czujesz, milady?! - zawołał jeden ze strażników. Ściągnął groźnie brwi, kiedy zobaczył ją sam na sam z Reeviusem.

- Tak, tak - zapewniła. Wiedziała, że strażnicy powiedzą

o wszystkim Osbornowi. Nie chciała, żeby Reevius został

wydalony z zamku, więc musiała rozwiązać ich podejrzenia.

Wzięła od Reeviusa cytrę i unosząc ją, pokazała strażnikowi. -

Wkrótce sama będę przygrywać w wielkiej sieni! - zawołała.

Następnie, nie mając odwagi spojrzeć Reeviusowi w oczy,

oddała mu instrument, odwróciła się i wąskim przejściem

przebiegła na drugą stronę murów, gdzie mogła się czuć

bezpieczna wśród mieszkańców Rosecliffe.

Po południu pilnie dbała o to, żeby nie

znaleźć czasu na

dalsze lekcje muzyki. Nie rozumiała tego, co zaszło między

nią i Reeviusem na plaży, a bała się zbyt wcześnie wstąpić na

drogę pokusy.

Pokusa... Późnym popołudniem odwiedziła tkaczki, zajrzała

do kadzi z barwnikami i sprawdziła postęp prac przy malowaniu

fresków, przez cały czas starając się na próżno zapomnieć

o Reeviusie i jego cudownych pocałunkach. Na koniec doszła

do wniosku, że to, czego doświadczyła, nie było żadną szczególną więzią, lecz raczej próbą uwiedzenia.

I zmierzało do śmiertelnego grzechu nieczystości.

Uwodził ją. Ale to ona odczuwała żądzę... Czy będzie

umiała nad nią zapanować, kiedy znów go zobaczy? Nie

była tak do końca pewna. I czy chciała nad nią panować?

Prawdę mówiąc, nie.

Zgorszona własnymi myślami, raptownie
zmieniła kierunek.

Jakież znaczenie mogły mieć zapasy
miodu, skoro jej dusza

znajdowała się w śmiertelnym
niebezpieczeństwie? Lepiej

zasiąść w kaplicy i zastanowić się nad
niedawnym kazaniem

ojca Clemsona na temat żądzy i
cudzołóstwa, któremu w swoim

czasie w ogóle nie poświęciła uwagi.

Uklęła w nieoświetlonej kaplicy, opuszczonej przez robotników, i zaczęła rozmyślać o pułapkach czyhających na jej nieśmiertelną duszę. Złożyła dłonie, opuściła głowę i ściągnąwszy brwi w wyrazie skupienia, zaczęła się modlić.

- Nie pozwól, bym dała się skusić do grzechu z tym człowiekiem. Błagam, Panie, ześlij mi znak. Ześlij mi odpowiedniego mężczyznę, takiego, którego poślubię i spędzę z nim resztę życia.

Wiem, że to nie może być on, bo mój ojciec nigdy by na to nie

pozwolił. Więc proszę, Panie, ześlij mi tego odpowiedniego jak

najszybciej i uwolnij mnie od tego żaru,
który mnie pali w środku.

Usłyszała, jak drzwi kaplicy się
otwierają, ale nie uniosła

wzroku. Bez wątpienia musiał to być
ojciec Clemson. Czy

powinna mu wyznać swoje grzechy?
Powinna go prosić o radę?

Ten, kto wszedł, stanął tuż za nią. Ciarki
przebiegły jej po

plecach. To nie był zacny ksiądz...

- Modlisz się, pani, za swoją
nieśmiertelną duszę? - spytał

stłumionym szeptem Reevious.

Podderwała się na nogi, wpadając na niego z rozpędu.

- Spokojnie. - Chwycił ją za ramię, ale się wyrwała.

Patrzyła na niego z lękiem w oczach.
Czy to był znak zesłany

przez Boga?

Czy Reevious był tym mężczyzną, którego jej przeznaczył?

Zjawił się, nim zdążyła dokończyć modlitwę. A może to był

jedynie sprawdzian jej siły moralnej?
Wpatrywała się w niego,

bojąc się popełnić błąd, niepewna, co
odpowiedzieć.

- Skąd się tu wzięłaś? - Wykonała
nieokreślony ruch ręką. -

Szedłeś za mną?

Wzruszył szerokimi ramionami. Zdążył
włożyć tunikę na

koszulę, ale to nie skrywało jego
muskularnej budowy.

- Przeszedłem do kaplicy się pomodlić.
To cię dziwi,

pani? - Zamilkł na chwilę, po czym
spytał: - Wolałabyś,

żebym sobie poszedł?

- Nie. - Oplotła się ramionami, jakby to
jej miało pomóc

zachować spokój. - Nie. Możesz zostać,
oczywiście. Zostań

i pomódł się, jak zamierzałeś.

- Nie powinienem ci się narzucać, pani.

- Nic nie szkodzi. - Oświetlające go od
tyłu promienie

popołudniowego słońca wzniecały

złotawe błyski w jego ciemnych włosach, tworząc coś w rodzaju aureoli.

Zamilkła niezdecydowana. Przyszedł tu, żeby się modlić.

To musiał być znak. Czy możliwe, że nie był jedynie uwodzicielem, lecz mężczyzną, którego zesłał jej Bóg? Czy to Bóg zrządził, że ojciec nie zabrał jej ze sobą?

Odetchnęła głęboko, próbując w duchu zważyć wszelkie za

i przeciw. Powiadano, że niezbadane są drogi Pana. Wyglądało

na to, że z jakiegoś niezbadanego

powodu zesłał jej minstrela,
nie wojownika.

Minstrela.

Ogarnął ją dziwny spokój, na twarzy
pokazał się uśmiech.

Wiedziała, że ojciec byłby wściekły.
Pragnął na zięcia młodego

lorda o dobrych koneksjach, rycerza.
Ale w końcu pogodzi się
z faktami. Będzie musiał.

Wciąż uśmiechnięta, wyciągnęła rękę do
Reeviusa.

- Pomódlmy się razem - powiedziała, wypełniona szczęściem. - Pomódlmy się razem, skoro znaleźliśmy się razem w kaplicy. Chodź.

Rhys ujął rękę Izoldy i uklęknął obok. Domyślił się, że

przyszła tu, by rozmyślać o tym, co między nimi zaszło na

plaży. Sądząc po uśmiechu i zachowaniu, musiała dojść do

korzystnych dla niego wniosków.

Ukląkł więc przy niej i zastanawiał się, co dalej.

Ciężko mu się jednak było skupić, kiedy ta dziewczyna była

tak blisko, z pochyloną głową, pobożnie złożonymi dłońmi.

Czy on kiedyś się tak modlił? Czy miał kiedyś taką wiarę?

Zacisnął szczęki ze złością. Pobożność łatwo przychodzi

tym, którzy mają pełne brzuchy i dużo czasu. Tym, którzy nie

doświadczyli okrucieństw życia, chronieni przez rodzinę i grube

kamienne mury.

Nie, nigdy się tak nie modlił i nie miał zamiaru się modlić.

Postanowił jednak klęczeć obok tej kobiety i uśpiwszy jej

czujność, zastanowić się nad dalszymi posunięciami.

Starannie zaplanował swoją kampanię, dobierając sobie

sprzymierzeńców spośród innych niezadowolonych Walińczyków. Glyn zebrał ludzi w Afon Bryn, ludzi z walijskich twierdzy w Powys. Nawet Dafydd, przyjaciel od dziesięciu lat,

chętnie zgodził się wraz z dwoma

towarzyszami pomóc mu

w odebraniu Rosecliffe Anglikom.

Czekali na sygnał Rhysa,

żeby się włączyć do działania. Miał
rozbroić strażę na północnej

ścianie murów i wpuścić swych
rodaków do środka. Potem

wspólnie mieli się rozprawić z resztą
strażników i wtrącić ich

do lochu... do lochu, w którym sam
kiedyś siedział.

A co z Izoldą FitzHugh?

Przeniósł ciężar ciała z jednego kolana na drugie, zaniepokojony tą ostatnią myślą. Do licha, ależ ta podłoga była twarda i zimna. Jak długo miały potrwać te modły?

Znieruchomiał, kiedy dziewczyna się poruszyła. Co powinien

z nią zrobić? Odpowiedź była prosta. Powinien uwieść tę

pobożną dziewczynę. Nic go nie powstrzymywało, a miał

dobry powód, by to zrobić - pragnął jej.

Rozgrzewała mu krew urodą, niewinnością i swą nieoczekiwaną

namiętnością. Najwyraźniej była gotowa do zbliżenia z mężczyzną, a jemu od dawna brakowało kobiety. Mogła być

ona, równie dobrze, jak każda inna.

Poza tym, czyż mógł celniej ugodzić wroga, niż krzywdząc

jego ukochaną pierworodną córkę?

Doglądając przygotowań do wieczornego posiłku, Izolda

trzymała się z dala od Reevisa. Przez cały czas jednak nie

spuszczała go z oczu. Próbowwała nie dać po sobie poznać, jak

bardzo jest nim oczarowana, lecz kilka
razy przyłapał jej

spojrzenie. Musiał wiedzieć, co się z nią
dzieje, a i ona

domyślała się jego odczuć. Na samą
myśl, że mogłaby mu się

choć w połowie tak podobać jak on jej,
aż kręciło jej się

w głowie!

Pusty metalowy półmisek wysliznął jej
się z rąk. Schylając

się, zatoczyła wkoło spłoszonym
wzrokiem. Czy wszyscy

zauważyli już zmianę, jaka w niej dziś
zaszła?

Zagniewany Odo, gestykulując,
strofował któregoś ze słu

żących. Osborn wszedł do sali z jednym
ze swoich rycerzy,

pogrążony z nim w rozmowie.

Izolda wydała z siebie westchnienie,
wdzięczna losowi za tę

namiastkę prywatności, gdy nagle
poczuła szarpnięcie za rękaw.

- Modlitwa przynosi wiele różnych
owoców - odezwał się

dobrze jej znany starczy głos.

- Newlin! - wykrzyknęła zaskoczona i znów wypuściła

z rąk półmisek. - O rany, ależ mnie przestraszyłeś. Dlaczego

mi nie powiedziano, że tu jesteś?

Stary bard przyjrzał jej się swoim jednym zdrowym okiem

i uśmiechnął się pod nosem.

- Sądzę, że Odo cię powiadomił. Nie pamiętasz?

- Naprawdę? Och, tak. Rzeczywiście -

przyznała Izolda

z rumieńcem wstydu na policzkach.
Próbowała unikać badawczego wzroku
Newlina. - Ostatnio jestem jakaś
zapominalska.

Mam na głowie tyle spraw, odkąd
rodzice wyjechali.

Stary bard pokiwał głową ze
zrozumieniem.

- Bez wątpienia zbyt wiele masz na
głowie. Powiedziano

mi, że po kolacji czeka nas świetna
zabawa.

- Owszem. Minstrele. - Pokraśniała jeszcze bardziej. - Wykonują też sztuki akrobatyczne.

- I udzielają lekcji muzyki. Na cytrze?

Wiedział! Izolda przygryzła dolną wargę.

- Tak - przyznała z ociąganiem. Ktoś mu powiedział, czy

też, jak to on, odkrył prawdę w swój tajemniczy sposób?

- Mam wrażenie, że ci minstrele posiadają zdolności znacznie przekraczające to, co zobaczymy - powiedział z uśmiechem.

Oddalił się w stronę swojej ulubionej niskiej ławki.

Izolda patrzyła, jak porusza się wolnym, lekko kołyszącym

krokiem. Co miał na myśli? Pospieszyła za nim.

- O jakie zdolności ci chodzi? - zapytała.

- Sama wiesz lepiej ode mnie, dziecko, bo ja dopiero muszę

ich obejrzeć.

- Cóż... - Zawahała się. Jak zwykle, Newlin oczekiwał od

niej całkowitej szczerości. Nie zamierzał się z nią podzielić

choćby odrobiną swej tajemnej wiedzy, gdyby wykrył najmniejszy cień oszustwa. - Ma zdolność... przyciągania kobiet -

wydusiła w końcu. Czuła się zażenowana, rozmawiając o takich rzeczach ze starym bardem.

- On?

- Reevis.

- Ach, tak. Nazywa się Reevis.

- Jest jeszcze trzech innych - mówiła,
nerwowo wykręcając

palce. - Gandy, Linus i Tillo.

- Tillo -powtórzył bard. -Kolejny
minstrel o szczególnych

zdolnościach.

Izolda z zaciekawieniem przekrzywiła
głowę.

- A jakież to szczególne zdolności ma
Tillo?

Newlin najwyraźniej nie miał ochoty
odpowiedzieć. Usadowiwszy się na
ławce, patrzył na minstreli... a

przynajmniej skierował na nich zdrowe oko. Potem zaczął się lekko kołysać

w przód i w tył; Izolda wiedziała z doświadczenia, że starzec

nie powie już ani słowa na ten temat.

Właściwie była zadowolona, że rozmowa się skończyła.

Newlin był zbyt przebiegły. Często podejrzewała, że potrafi

czytać w cudzych myślach. Już w zwykłych okolicznościach

było to krępujące, a jej dzisiejsze myśli zdecydowanie nie

nadawały się do ujawnienia przed
kimkolwiek.

Poza, być może, Reeviusem.

Wielkie nieba! Jeśli chodzi o mężczyzn,
wyjątkowo szybko

przeszła od całkowitej niewinności do
wielkiego zainteresowania jednym z
nich.

Ale czyż nie otrzymała znaku w kaplicy?
Odgarnęła z czoła

zbląkany kosmyk włosów. Modliła się o
życiową wskazówkę

i dokładnie w tym momencie przyszedł

do niej Reevius.

Patrzyła w jego stronę poprzez zaludniającą się salę, dopóki

i on na nią nie spojrział. Dopiero wtedy, z bijącym sercem,

odwróciła głowę. Przystawała panować nad własnymi uczuciami, musiała z kimś o tym porozmawiać. Nie z ojcem Clemsonem. Potrzebowała kobiecej rady. Od matki albo od

Rhonwen.

Jednakże matka była nieobecna, a Rhonwen z Jasperem

także wyjechali z Bailwyn na koronację.
Izolda zmarszczyła

czoło w namyśle. Nikt inny w Rosecliffe
nie ośmieliłby się

z nią otwarcie rozmawiać na temat
Reeviusa, ponieważ wszyscy

zawdzięczali swe pozycje jej ojcu. A
nawet ostatni głupiec by

się domyślił opinii lorda Rosecliffe o
minstrelu jako kandydacie

do ręki jego córki.

Znów pomyślała o matce, jedynej
osobie, która mogła

zrozumieć jej uczucia wobec Reeviusa, i jedynej, która by się

nie bała przeciwstawić lordowi Rosecliffe. Wprawdzie Osborn

także się go nie bał, ale byłby przerażony miłością Izoldy do

minstrela.

Miłością?

Przycisnęła rękę do piersi i poczuła gwałtowne walenie

serca. Była świadoma, że ją uwodził, i wiedziała, że grozi jej

popęłnienie grzechu żądzy. Ale czy żądza jest grzechem, jeśli

towarzyszyła miłości? Jeszcze nigdy w życiu Izolda nie czuła

czegoś takiego, nawet do stryja czy jego młodego giermka.

Uznała, że to musi być miłość. Bo cóż innego mogło to być?

Nie wiedziała, co robić; była zupełnie skołowana.

Jej wzrok przypadkiem padł na Newlina i natychmiast doszła

do przekonania, że musi z nim pomówić,

choćby nie wiem jak

się wstydziła. Powinien zrozumieć jej uczucia, no i nigdy się

nie bał gniewu jej ojca. I będzie z nią szczery, jeśli ona także

zachowa szczerłość.

Rhys wypatrzył Newlina natychmiast, gdy tylko pochylony

siwy bard wkuśtykał do sali.

- Do diabła - zaklął. Chociaż przez dziesięć lat nie było go

w Walii, choć teraz był wyższy,

masywniejszy i dla niepoznaki

nosił brodę, wiedział, że nie zdoła
oszukać Newlina. Wystarczy,

że stary mędrzec go zobaczy i od razu
odkryje prawdę. - Do

diabła - zaklął ponownie.

- Co cię tak rozgniewało? - spytał
Gandy, wdrapując się

na ławę.

- Jedyne człowiek, który może
zniweczyć moje plany,

właśnie wszedł do sali.

- Kto? Kto? - Karzeł wyciągając szyję, rozglądał się.

Tillo przysiadł się do nich i nalał sobie kubek piwa.

- Nie zrobi tego, chyba że będzie chciał uniknąć rozlewu krwi.

- Nie chcę, by poląła się czyjaś krew - wtrącił Linus. -

Myślę, że to złe.

- No proszę, zaczął myśleć. Strzeżmy się - zakpił Gandy. -

Pewnie świat się wkrótce skończy.

Linus dobrodusznym gestem wielkiej
dłoni zmierzwił karłowi

czuprynę.

- Nie martw się, mały przyjacielu. Przy
mnie będziesz

bezpieczny.

Gandy, klnąc, uchylił się, lecz Rhys,
skupiony na osobie

Tilla, nie zwracał na niego uwagi.
Chudy starzec siedział

wsparty łokciami na stole, ze smakiem
popijając piwo.

- Czemu sądzisz, że nie wyda mnie przed Osbornem?

- Albo przed Izoldą? - zaskrzeczał Tillo.

- Bo jest mądrzejszy od ciebie i ode mnie. Znacznie mądrzejszy - dodał ciszej.

Rhys zajął miejsce pomiędzy rozdokazywanym Gandym

i spokojnym Linusem. Uwagi Tilla nieco złagodziły jego

obawy, lecz nie uśmierzyły ich całkowicie. Wiedział o Tilla

mniej niż o swych dwóch pozostałych kompanach, jako że ten

niewiele opowiadał o swej przeszłości. Nie wspominał o rodzinie, o tym, gdzie żył, właściwie o niczym. Dlatego też Rhys nie do końca mu ufał.

Tillo kogoś mu przypominał... i teraz sobie uświadomił, że

przypominał mu Newlina. Obaj byli starzy, kulawi i jakby

wieczni. Choć Tillo nigdy nie pokazał mocy, jakie przypisywano

Newlinowi, był bardzo rozsądny i praktyczny. Przez lata jego

rady zawsze się sprawdzały. Skoro Tillo uważał, że Newlin

zachowa dla siebie odkrycie tożsamości
Reeviusa, to pewnie

miął rację.

Jednakże ostrożność nie pozwalała
Rhysowi zbyt długo ufać

Newlinowi. Musiał działać szybko.

Odszukał wzrokiem Izoldę, by
stwierdzić, że znów się

w niego wpatruje. Natychmiast
odwróciła głowę, jak zawsze,

gdy przyłapywał jej spojrzenie. I jak
zawsze w takim razie,

poczuł zmysłowe napięcie w lędźwiach.

Pragnęła go. To było oczywiste. On także jej pragnął. Tylko

że ona nie miała pojęcia, że ma do czynienia z wrogiem, a on

nie mógł się usprawiedliwiać niewiedzą. Dobrze wiedział, kim

ona jest. Dlatego tak ciężko mu było pogodzić się z faktem,

że jej pożąda.

Postanowił jednak wziąć na siebie ten ciężar.

Teraz, kiedy Newlin był w zamku i groziło im, że wszystko

wyjdzie na jaw, tym ważniejszy stał się pośpiech. Tego wieczoru

po kolacji miał zabawiać Izoldę i resztę mieszkańców zamku.

Może uda mu się odszukać Newlina i wybadać jego zamiary.

A potem znajdzie Izoldę i dowie się, jakiej jeszcze lekcji od

niego chce. Mógł ją nauczyć melodii do śpiewania przy wtórze

cytry. Albo szczególnej muzyki

namiętności, granej na napiętych
zmysłach młodego ciała.

Wyobraził ją sobie, gładką, jasną i nagą,
i natychmiast

poczuł, jak jego męskość ożywa.
Skrzywił się z irytacją.

Dlaczego nie pociąga go mleczarka czy
piegowata dziewczyna

z pralni? Przecież była chętna przyjąć do
swej balii nie tylko

jego ubrania.

A on pragnął córki wroga. I postanowił,
że będzie ją miał.

A kiedy już ją posiadzie, kiedy osiągnie cel, będzie naprawdę

spełniony. Czy chodziło o angielskiego rycerza na polu walki,

czy o angielską kobietę w łóżu, największą radość sprawiało

Rhysowi pokonanie jednego wroga i zabranie się za następnego.

Z Izoldą FitzHugh miało być tak samo.

Izolda czekała przy kominku w wielkiej sali. Zachowywała

się jak głuptas. Czekala na Reeviusa. Bała się, że minstrel

przyjdzie... i bała się, że może nie przyjść.

Po kolacji wraz ze swą kompanią zabawiał biesiadników.

Tyra razem występ był jeszcze wspanialszy niż poprzednio,

z tamburynami, bębenkami, cytrą i lutnią. Był również śmiesz-

niejszy. Osborn dosłownie wył ze śmiechu, kiedy wielki Linus

w kobiecym fartuchu i czepku drobnym kroczeniem uciekał

przed goniącym go Gandym. Izolda patrzyła na Reeviusa,

wysłuchana w jego poruszającą pieśń. Miał piękny głos, zwłaszcza gdy śpiewał o Parysie tęskniącym za Heleną, o Dawidzie, który stracił wszystko z powodu Batszeby. O Samsonie, legendarnie silnym mężczyźnie, doprowadzonym do zguby przez kobietę.

Te pieśni o wydźwięku ostrzeżenia nie zniechęciły Gan-

dy'ego do pogoni za swą olbrzymią
miłością i na koniec

przedstawienia Gandy został zmiażdżony
namiętnością kochanki... i jej ciężarem.

Scena była naprawdę zabawna, lecz dla
Izoldy płynął z niej

trzeźwy wniosek. Czyżby Reevius chciał
dać do zrozmienia,

że kobiety zawsze niszczą mężczyzn,
którzy je kochają? Czy

wierzył w ostrzeżenie, które wyśpiewał
w swej żartobliwej

pieśni?

Teraz czekała, po raz ostatni przy
świetle lampy sprawdzając

nowe kilimy. Wiedziała, że powinna to
zrobić przy dziennym

świetle. No i wtedy, gdy będzie mogła
poświęcić im całą uwagę.

Westchnęła. W wielkiej sieni było
spokojnie, prawie wszyscy

już wyszli. Trzej mężczyźni grali w
kości. Gandy pokazywał

ręczne sztuczki dwóm zdumionym
chłopcom. Newlin i Tillo

siedzieli naprzeciw siebie i rozmawiali,

obserwowani przez

Reeviusa. Jeżeli nie miał zamiaru do niej podejść, sama musiała

wykonać pierwszy krok. Jeśli będzie się dłużej wahać, pochodnie całkiem się wypalą. Poza tym nie było sensu udawać, że w ten sposób cokolwiek osiągnie. Odgarnęła więc na bok

ciężką zasłonę i po schodach udała się do swojej komnaty po

cytrę.

Kiedy wróciła, Reevius czekał na nią u stóp schodów, z nogą

wspartą na drugim stopniu. Serce jej podskoczyło, gdy na nią

spojrzał, i gdyby nie oparcie ściany, pewnie by się potknęła.

- Jesteś przygotowana na lekcję muzyki, pani? - spytał,

przeszywając ją palącym wzrokiem.

Przytaknęła trochę niepewnie.

Zuchwałość jego oczu przerażała ją i podniecała jednocześnie. W wielkiej sieni zrobiło się jeszcze spokojniej. Pozostali już tylko Newlin i Tillo.

- Chodź. - Reevius wyciągnął do niej rękę.

U lorda byłby to gest całkowicie naturalny. Ale u zwykłego

minstrela mógł uchodzić za nazbyt poufały. Tylko że on wcale

nie wyglądał jak minstrel, z tymi szerokimi ramionami i potężną

muskulaturą. W jej oczach niczym nie ustępował rycerzom

i lordom, jakich życzyłby sobie dla niej ojciec. Spełniał wszystkie wymogi, jakie mógłby postawić lord Rosecliffe. Miał

w sobie wszystko, czego pragnęła.

Podawała mu dłoń i odniosła wrażenie, że zawładnął nią całą.

A przecież tylko dotknął jej ręki. Co by się stało, gdyby ten

dotyk był bardziej osobisty, bardziej intymny?

Na samą myśl o tym zrobiło jej się gorąco. Nawet po zejściu

ze schodów, kiedy już puściła dłoń Reeviusa, czuła się skrępowana, idąc obok niego.

Usiedli na ławie, z dala od rozmawiających starców.

- Ćwiczyłaś, pani? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- Miałam inne zajęcia.

- Ale teraz masz czas.

- Tak.

Pomógł jej ująć instrument we właściwy sposób. Izolda

dopiero po dłuższej chwili opanowała nerwowe drzenie. Powtarzała sobie, że to przecież tylko lekcja muzyki.

Dlaczego więc zachowywała się jak zakochany podłotek?

Przygryzła wargę. Ponieważ była zakochana. Ponieważ Bóg

zesłał jej znak... być może.

Pochyliła głowę, próbując się skupić na nauce. Kiedy,

zgodnie ze wskazówkami, usiłowała ułożyć palce w szczególnie

trudnej pozycji, usłyszała westchnienie.

- Niedobrze? Przepraszam. Trudno mi zapamiętać.

- Uczysz się całkiem szybko, pani.

- Naprawdę? - ucieszyła się z pochwały.

- Naprawdę. - Ich oczy na chwilę się spotkały. - To musi

być ostatnia lekcja.

- Ostatnia? Dlaczego? Nie musisz tak szybko opuszczać

Rosecliffe. Możesz zostać, jak długo zechcesz.

- Pozostanie jest zbyt trudne.

- Zbyt trudne?

Powoli odwrócił głowę, by znów spojrzeć jej w oczy.

- Trudno jest być tak blisko ciebie,

Izoldo.

Choć siedział za daleko, by usłyszeć,
Newlin popatrzył w ich

stronę. Tillo również. Jeden z chartów
poderwał się gwałtownie,

po czym, nie znajdując powodu do
niepokoju, znów zapadł

w czujną psią drzemkę.

Izolda tego nie widziała. Wszystkimi
zmysłami skupiona

była na osobie Reeviusa i na tych kilku
słowach, jakie padły

z jego ust.

- Ale... ale ja chcę, żebyś został -
powiedziała ledwie

słyszalnym szeptem. - Proszę, nie
odchodź.

Pokręcił głową odmownie.

- Być blisko ciebie, pani, i nie móc cię
dotknąć... Wymagasz

ode mnie zbyt wiele.

- Możesz mnie dotykać - powiedziała,
zanim zdążyła pomyśleć.

Ogień w jego czarnych oczach zapłonął

mocniej.

- Twojej ręki, pani? - zakpił. - Twojego ramienia, kiedy

siedzimy obok siebie, a może twojego łokcia?

Izolda przełknęła z trudem ślinę.

Wiedziała, co on rozumie

przez dotykanie.

- Może... Może z czasem dojdzie do czegoś więcej. Więcej

niż łokieć czy ramię - wyjaśniła niepewnie.

Przesunął się bliżej, aż zetknęli się
udami, i chwycił jej dłoń

trzymającą cytrę. Izolda, spłoszona,
zerknęła na Newlina, ale

bard był pogrążony w rozmowie z
Tillem, a poza nimi w sali

nie było nikogo.

- Pytałem cię dzisiaj, czego właściwie
ode mnie chcesz,

Izoldo - odezwał się Reevis zdyszczanym
szepem, tuż przy jej

uchu. - Odpowiedz mi teraz. Nie
pozostawiaj mnie w niedoli

nieodwzajemnionej miłości.

Miłości.

To magiczne słowo poruszyło ją do
głębi. Nie powiedział

nieodwzajemnionego pożądania. Ani
nieodwzajemnionej namiętności. Tylko
nieodwzajemnionej miłości.

Oparła się o niego całym ciężarem ciała,
odchylając głowę

na jego ramię.

- Nie jest... nieodwzajemniona.

Zacisnął palce na jej dłoni. Drugą

pogładził ją leciutko po

policzku. Gdyby się znajdowali
gdziekolwiek indziej, nie

w wielkiej sieni, Izolda uległaby mu
natychmiast, tak na nią

podziałał ten czuły gest. Była
przerażona, że jest gotowa to

zrobić. I niepocieszona, że nie może tego
zrobić.

Zamknęła oczy, wydając z siebie cichy
jęk. Reevious zaklął

pod nosem, puścił ją i się odsunął.

Pozbawiona oparcia Izolda spojrzała na niego tęsknie. Pragnęła Reeviusa tak, jak kobiecie wolno pragnąć tylko męża.

A on pragnął jej w taki sam sposób. Czy była zdolna pójść za

tym uczuciem?

Przyglądał jej się poważnie, jakby czytał jej w myślach.

- Gdzie moglibyśmy być sami?

Wstrzymała oddech, zaciskając ręce na cytrze.

- Moja sypialnia jest piętro wyżej.

- A co z twoją służącą?

Pomyślała o Magdzie i jej ukochanym George'u.

- Wyszła wcześniej.

- Wróci?

Izolda się zawahała. Czyżby była szalona, rozważając schadzki sam na sam? Odpowiedź wydawała się oczywista - była szalona. Szalona z pożądania. Szalona z miłości. A gdyby rodzice się o tym dowiedzieli?

Przypomniała sobie fakt, powszechnie znany w Rosecliffe,

choć rzadko wspomniany w rodzinie.
Otóż urodziła się na długo

przed ślubem rodziców, była owocem
ich burzliwej namiętności.

Choć byli zaprzysięgłymi wrogami,
pokochali się mimo wszelkich
przeciwności. Jakże więc mogli winić ją
za coś, co sami zrobili? Przynajmniej
ona i Reevis nie byli wrogami.

Odetchnęła głęboko.

- Nie. Nie wróci przed świtem. Dla
pewności możemy pójść

na drugie piętro.

Uniósł brwi w wyrazie zdumienia.

- Do sypialni twoich rodziców -
powiedział z uśmiechem.

Nie mówiąc nic więcej, Izolda wstała i
na miękkich nogach

ruszyła ku schodom. Zrobiła to. Słodka
Mario, naprawdę to

zrobiła.

Newlin patrzył z drugiego końca sali,
jak dziewczyna znika

na schodach. Chociaż jej towarzysz
pozostał na ławie, nietrudno

było się domyślić, gdzie skończy się dla nich ten wieczór.

Pomyślał z rezygnacją, że to nieuniknione. A kto wie, może

nawet obróci się na dobre.

Siedzący naprzeciw Tillo uśmiechnął się lekko.

- Młodzieńcza miłość. Przyjemna do oglądania, lecz bolesna

do przeżycia.

- Obawiam się, że ból tej młodzieńczej miłości dosięgnie

nas wszystkich w Rosecliffe - rzekł
Newlin. Przeszył rozmówcę
spojrzeniem. - On tu wrócił, żeby
dokonać zemsty.

Wiesz o tym.

Tillo odwrócił wzrok.

- Słyszałem jego historię, więc go nie
winię za to, że pragnie

zemsty. Chociaż trudno patrzeć wrogowi
w oczy, poznać go,

siedzieć z nim przy stole i mimo to
pozostać wrogiem.

- Tak jak my siedzimy?

- My nie jesteśmy wrogami - zauważył Tillo z uśmiechem.

- Nie. Oni też nie muszą.

- Może nauczą się nie być wrogami. - Tillo wzruszył

ramionami. - Może ta noc ich tego nauczy.

Oczy Newlina znów zaczęły patrzeć każde w inną stronę.

- Dopóki będzie skrywał swoją tajemnicę, nie ma mowy

o zaufaniu między nimi. Sekrety przeszkadzają w przyjaźni,

nie sądzisz?

Tillo skrzywił się, a potem gwałtownie wstał od stołu.

- Ci dwoje zrobią, co zechcą. On nie powinien jej zaczepiać,

a zaczepia. Ona powinna się słuchać rodziców, ale się nie

słucha. Są zbyt młodzi i zbyt niecierpliwi, żeby postępować

tak, jak powinni.

Newlin przyjrzał się jego pooranej zmarszczkami twarzy.

- Jesteś teraz zły. Dlaczego?

Tillo spojrział na swego rozmówcę spode łba.

- Wydaje mi się, że znasz odpowiedź na to pytanie.

Newlin zaczął się miarowo kołysać w przód i w tył.

- Wiem różne rzeczy. Znam wiele sekretów.

- A mój? Znasz mój sekret?

- Znam - odpowiedział Newlin po dłuższej chwili milczenia.

Tillo owinał się szczerzej purpurowym płaszczem.

- Zatem wiesz, dlaczego jestem zły.

- Nie, tego nie pojmuję.

Zmierzyli się wzrokiem. Tillo pierwszy się poddał.

- Mężczyźni... - mruknął, odchodząc. -

Wciąż sprawiają

kłopoty, niezależnie od wieku.

Newlin patrzył za odchodzącym.

Czasami bywał zmęczony

swym darem posiadania szczególnej

wiedzy. Teraz Tillo sprawił

mu nową niespodziankę. Co gorsza,
przysporzył mu nowej

troski.

Wprawdzie zawsze wiedział, że Rhys
pewnego dnia wróci,

ale jak się sprawy ułożą, pozostawało
dla niego tajemnicą.

Wszystkie osoby, których dotyczyła ta
historia, miały mocne

charaktery, więc nie mógł być pewien,
jakie decyzje zechcą

podjąć. I do jakich czynów się posuną.

Powróciło do niego echo rozmowy sprzed lat. Sprzed dwudziestu lat, choć mogłoby się zdawać, że to było zaledwie wczoraj. *Zima niedługo się skończy.* Josselyn powtórzyła to

zdanie po walijsku, potem po francusku, wreszcie po angielsku.

Josselyn była bystrą kobietą, a jej córka Izolda w niczym jej

nie ustępowała.

I była tak samo niecierpliwa.

Może rzeczywiście zima miała się

niedługo skończyć. Może

wkrótce spełni się przepowiednia
zawarta w starej piosence

i nastanie prawdziwa wiosna w tym
doświadczonym przez los

zakątku Walii. Zaczął się kołysać w rytm
setek, tysięcy głosów,

odbijających się echem w jego głowie.

Prędzej głązy ożyją, skamienieją
drzewa,

W południe mrok nastanie czarny jak
żuka pancerz,

Zimowy chłód rozpędzi gorąca ulewa,

Prędzej to zobaczymy, nim Walia
upadnie.

*Nim Walia upadnie... A może się
odrodzi.*

Spojrzał na schody. Rhys wkrótce na nie
wejdzie, podążając

za córką swego wroga. Jaką drogą pójdą
ci dwoje? Świat będzie

się kręcił dalej. Przyszłość nastąpi
niezależnie od tego, jakiego

dokonają wyboru. Wkrótce ta przyszłość
będzie wiadoma.

Tymczasem Newlin musiał się
zastanowić nad tajemnicą

Tilla.

8

Rhys siedział bez ruchu, w zamyśleniu spoglądając na

schody. Widział, jak Tillo wychodzi, powłócząc nogami, przygarbiony jeszcze bardziej niż zwykle, jakby go przygniatał

wielki ciężar. Rhys miał świadomość, że ta podróż nie była

łatwa, ale staruszek uparł się, by mu towarzyszyć.

Potem Rhys widział, jak Newlin opuszcza wielką sień

dziwnym kołyszącym krokiem. Jutro

dowie się od Tilla, o czym

rozmawiali. Newlin z pewnością
wiedział, kim naprawdę jest

minstrel Reevis. Jednak nikomu tego
nie wyjawiał. Dlaczego?

Rhys nie mógł pozwolić, by nad jego
losem panował ktoś tak

nieprzewidywalny jak stary Newlin.

W tej chwili zagrożenie ze strony
starego barda było mniej

istotne niż inna pilna sprawa. Wielka
sień całkiem opustoszała.

Rhysa przyzywały schody. Podniósł się z miejsca, odpowiadając

na ich wołanie.

Dwadzieścia pięć szerokich kamiennych stopni prowadziło

na pierwsze piętro. Następnym piętnaście musiał pokonać,

żeby znaleźć się tam, gdzie czekała na niego Izolda. Ta część

umysłu Rhysa, w której mieściła się nienawiść do Anglików

i plany unicestwienia rodu FitzHugh, kazała mu bacznie zwracać

na wszystko uwagę; na liczbę schodów,
rozstaw okien, nawet

na umiejscowienie pochodni na
ścianach. Dostrzegał więc

i zapamiętywał wszystkie szczegóły,
których znajomość mogła

mu się przydać, gdyby musiał się
wdzierać... lub wydostawać

z zamku.

Była jednak i druga część, a ta należała
do mężczyzny

spragnionego kobiety, który widział, że
w pobliżu nie ma

żadnych służących, że drzwi do komnaty
gospodarzy zamku

stoją otworem, a przy wysokim
rozłożystym łożu pali się tylko

jedna blado migocząca świeca.
Ciemnoniebieskie jedwabne

zasłony kryły w cieniu pośłanie.

Wchodząc do środka i zamykając za
sobą drzwi, Rhys

pragnął tylko jednego - ułożyć Izoldę,
nagą i piękną, na

jedwabnej pościeli, wiedząc, że należy
do niego.

Rozejrzał się, szukając jej wzrokiem;
był gotowy ją osiąść

i miał już więcej niż dosyć tej zabawy w
kotka i myszkę.

Dojrzała do aktu uwiedzenia, a on aż się
do tego palił. Tylko

gdzie ona się podziewała?

Odwrócił się gwałtownie, słysząc
szczęk zasuwki przy

drzwiach. Kiedy zaskrzypiały zawiasy i
drzwi się uchyliły,

błyskawicznie wyjął sztylet z pochwy na
biodrze.

Zastawiła na niego pułapkę!

Przygotował się do ataku. Ale to nie był Osborn ani żaden

z jego zbrojnych podkomendnych. Izolda wetknęła głowę przez

drzwi i rozejrzała się ostrożnie. Płomień świecy odbił się w jej

lśniących włosach. Na widok broni w ręku Rhysa pobladła.

- Co się stało? Dlaczego...

- Nic takiego. - Szybko schował sztylet, chwycił ją za

ramiona i przyciągnął do siebie. Serce wciąż mu biło przyspieszonym rytmem.

- Ale dlaczego... Zaczekaj... -Próbowwała się wyswobodzić.

Nie puszczał jej jednak, trzymał mocno.

- Nie widziałem cię - wyjaśnił, patrząc jej prosto w oczy. -

Potem drzwi się otwarły i bałem się, że to ten kapitan straży,

że mógł mnie śledzić. To wszystko. Na szczęście się myliłem.

Chodź, Izoldo. Nie musisz się mnie bać - szepnął, przyciągając

ją o siebie. - Chodź - kuś, czując
nacisk młodych jędrnych

piersi. - Pocałuj mnie, bardzo potrzebuję
twoich pocałunków.

Dziewczyna miała ochotę ulec
namowom, ale pozostały

w niej resztki niepokoju. Coś było nie
tak. W słowach Reeviusa

pobrzmiewał jakiś fałszywy ton.

Zaraz potem przywarł do jej ust i nie
była już w stanie

myśleć. Obejmował ją ciasno silnymi
ramionami, pożerał jej

usta pocałunkiem, nie dopuszczał do protestów. Wszystko stało

się nieważne, wszystko zniknęło wyparte przez niepowstrzymaną żądzę.

Zarzuciwszy mu ręce na szyję, próbowała go naśladować,

lecz różnica w doświadczeniu sprawiała, że trudno jej było za

nim nadążyć.

Językiem rozchylił jej wargi, otwierając drogę do nowych,

nieporównanie bardziej podniecających doznań. Miała wrażenie,

że w środku, w głębi jej brzucha,
zapłonął ogień i falami gorąca

ogarnia całe ciało.

Nie wiedzieć kiedy, znaleźli się na łożu.
Leżała na nim, a on

ani na moment nie przerywał pocałunku,
coraz głębszego,

coraz bardziej namiętnego. Wreszcie
przetoczył się tak, że to

on znalazł się na niej i dopiero wtedy
pocałunek dobiegł końca.

W cichej komnacie, oświetlonej jedną
świecą, którą sama

zapaliła, wszystko spowijał cień.

Pochylała się nad nią ciemna

postać i gdyby nie nacisk masywnego
ciała, mogłaby pomyśleć,

że to gra wyobraźni, że wszystko tylko
jej się przyśniło. Ale

on był prawdziwy i razem leżeli w
wielkim łóżu jej rodziców.

Nagle opadły ją wątpliwości.

- Nie możemy... - zaczęła.

- Możemy. - Zaczął ją znów całować,
niecierpliwie, zachłannie, tak długo, aż
poczuł, że pod nim topnieje. - Możemy -

wymruczał, przesuając wargami
wzdłuż policzka do ucha,

potem po szyi, by wreszcie dotrzeć do
obojczyka.

- Tak, ale... ale nie tutaj - wydusiła z
trudem. Słowa wyrażały protest, ale
ręce zachęcały go, by nie ustawał w tym,
co robi. - Nie tutaj.

- Dlaczego? - Jedną ręką zsunął jej
suknię z ramienia. -

To wielkie łoże, i miękkie. Doskonałe
się nadaje do tego, co

zaplanowałem.

- Ale, Reeviousie... - Straciła dech, kiedy objął ustami brodawkę jej piersi. Nawet przez tkaninę koszuli czuła, jak delikatnie skubie ją zębami. Napięła się jak struna, porażona nowym doznaniem.

- To świetne łożo. - Podciągnął jej spódnicę. - Zawsze

chciałem mieć takie.

- Ale... ono należy do moich rodziców.

Nie odpowiedział, przynajmniej nie słowami. Przemówiły

jego usta i palce, uciszając wszelkie sprzeciwy dziewczyny.

Pieścił ją, napierając na nią potężnym
torsem, ocierając się

ojej uda szorstką wełną spodni. Błądził
dłonią po jej piersiach,

na dłużej zatrzymując się przy
niewiarygodnie stwardniałych

brodawkach, a jego usta nieomylnie
odszukiwały najbardziej

wrażliwe miejsca na uszach, na szyi.

Wsunęła mu palce we włosy i z całych
sił przyciągnęła do

siebie jego głowę. Działo się z nią coś
cudownego. Coś

niewyobrażalnego. Zdawało jej się, że jeszcze chwila i nie

zdoła tego wytrzymać, ale też chyba by nie zniosła, gdyby nagle

ustało.

Z trudem zmusiła go, żeby na nią spojrział.

- Reeviusie... Zaczekaj. Przygotowałam dla nas inne miejsce.

Byłam tam przed chwilą, w komnacie na wieży.

Myślała, że jej nie słyszy, bo oczy mu płonęły namiętnością,

czoło miał zroszone kropelkami potu. A jednak usłyszał.

Przesunął lekko palcem po jej dolnej wardze.

- Doskonale. Pójdziemy do gniazdka, które dla nas przygotowałaś. Pójdziemy, jak tylko skończę.

Mówiąc to, zsunął się po niej, ciężki, męski, zaborczy. Kiedy

zawisł twarzą nad jej piersiami, zaczęła oddychać szybciej.

Co miał zamiar zrobić? Zesztywniała w oczekiwaniu. Och,

cokolwiek to było, nie powinien dłużej
zwlekać!

Znienacka poczuła jego dłoń między
udami, dotykającą

miejsca, którego jeszcze nikt nigdy nie
dotykał. Próbowwała

zaciśnąć nogi, ale jej się nie udało.
Chwyciła go za ramiona

i starała się odepchnąć, lecz nie ustąpił.

- Reeviousie, zaczekaj...

- Ciii... - Zaczął poruszać palcami.

- Och... Reeviousie. - Zabrzmiało to

bardziej jak westchnienie, bo ogarnięta
dziwną słabością, z trudem wydobywała
z siebie głos. - Co... co ty robisz?

- Pokazuję ci, jak dobrze może być,
kiedy kobieta oddaje

się właściwemu mężczyźnie.

- Tak. Tak - wydyszała, oszołomiona
rytmicznym ruchem

jego zręcznych palców.

- To dopiero początek - szepnął
chrapliwie. - Poznasz

jeszcze o wiele więcej, Izoldo.

Była pewna, że więcej nie wytrzyma. I
to była jej ostatnia

przytomna myśl. Kiedy Reevius znów
pochylił głowę do jej

piersi i objął wargami nabrzmiałą
brodawkę, miała wrażenie,

że coś w niej pęka. Posunął się za
daleko, za szybko, za

gwałtownie. Czowała się tak, jakby ją
uniosła sztormowa fala

i rzuciła w otchłań.

A potem leżała bez tchu, zdruzgotana,
bez życia. Jakby ją

zabił nadmiarem nieoczekiwanej
rozkoszy.

Zaczęła powracać do życia, gdy
przywarł twarzą do jej

brzucha i oddychał głośno, chłonąc jej
kobięcy zapach.

Co to było? Co z nią zrobił? Wiedziała,
jak mężczyźni

i kobiety łączą się ze sobą cieleśnie, jak
nasienie mężczyzny

zostaje złożone w kobiecym łonie. Ale
to, co on robił... jak jej

dotykał... Matka nigdy jej o czymś takim

nie wspominała.

Czy ojciec robił z nią to samo?

Izolda nie chciała o tym myśleć. Ze zgrozą uświadomiła

sobie, że wciąż znajdują się w małżeńskim łóżu rodziców.

Uniósłszy się na łokciach, potoczyła wkoło przerażonym

wzrokiem.

- Tak nie można. Nie powinniśmy byli...

- Nie można? - Reevius spojrział na nią oczyma zmaconymi

żądzą.

- Nie o to chodzi. To znaczy... -
Brakowało jej słów. - Nie

tutaj. Nie w tym łóżu.

- Uważam, że wręcz przeciwnie. A to
łóże jest odpowiednim

miejscem, żeby skończyć to, co
zaczęliśmy. Doskonałym. -

Zadarł jej spódnicę aż do pasa i rozpiął
spodnie.

Choć ciało Izoldy nie kwapiło się do
protestów, resztki

poczucia przyzwoitości nie dawały jej spokoju.

- Nie tutaj, Reeviusie. Proszę.
Przejdźmy do komnaty na

wieży.

Zastygł w bezruchu.

- Przeszkadza ci, że w tym łóżu sypiają
twoi rodzice?

Skinęła głową.

- Więc to dodatkowy powód, żeby z
niego skorzystać -

mruknął.

Zaskoczona, uniosła brwi.

- Co przez to rozumiesz... - Urwała,
wstrzymując oddech,

kiedy jego męskość trafiła na to czułe
miejsce, które wcześniej

pieścił palcami. Otarł się o nią
biodrami, wzniecając w niej nowy

płomień. Jednakże wciąż nie opuszczał
jej niepokój. - Nie

rozumiem. Moi rodzice nie mają z tym
nic wspólnego... z nami.

Nie odpowiedział, tylko ułożył się
między jej nogami. Czuła,

że coś jest nie tak, ale nie wiedziała co.

Jak mogła nie wiedzieć? Oczywiście, że wiedziała. Leżała

w łóżu rodziców z mężczyzną, który nie był jej mężem, którego

znała zaledwie jeden dzień. I choć coś ją ku niemu nieodparcie

przyciągało, zbyt szybko mu się poddała. O wiele za szybko.

Właściwie co wiedziała o tym człowieku?

Nic.

- Zaczekaj. - Próbowała go odepchnąć.

- Nie. - Naparł na nią mocniej.

- Czekaj!

Zmierzyli się wzrokiem. W jego ciemnych, głęboko osadzonych oczach słabym błyskiem odbijał się płomyk świecy.

Nagle te oczy wydały jej się znajome.

- Nie mogę dłużej czekać - wykrztusił z trudem. I wdarł

się w nią jednym szybkim pchnięciem.

Izolda wydała zduszony okrzyk bólu.

Stało się. Naprawdę

się stało.

Zaczął się w niej poruszać i z każdym jego ruchem, z początku

wolnym i płytkim, potem coraz głębszym i mocniejszym,

ulatywały z niej wątpliwości.

Wymruczał niewyraźnie jakieś przekleństwo.

- Reevis - jęknęła bezwiednie.

- Reevis - powtórzył swoje imię. Rysy stężały mu w złowrogim wyrazie.

Poruszał się coraz gwałtowniej.

Przez opary namiętności znów wkradł się w Izoldę niepokój.

- Dziesięć lat - szepnął po walijsku. -
Dwadzieścia.

Zamrugła, próbując zrozumieć, o czym on mówi.

- Dziesięć lat? Dwadzieścia? O co ci chodzi? - odezwała

się także po walijsku.

Nie zwalniał szaleńczego rytmu.
Wchodził w nią i wysuwał

się raz za razem. Twarz miał
wykrzywioną z wysiłku i
niepohamowanej żądz. Ale w jego
oczach... w jego oczach dostrzegła ból i
złość. Miała wrażenie, że jej umysł
oddzielił się od ciała,

bo ciało poddawało się skwapliwie
temu, co robił, podczas gdy

w umyśle rodziły się podejrzenia.

Nagle nastąpiło olśnienie. Prawda była
przerazająca.

- Rhys!

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że
wypowiedziała na głos

to nienawistne imię. Leżała pod nim, obezwładniona wzbierającą rozkoszą i straszliwym poczuciem winy.

- Rhys ap Owain!

Spojrzał na nią i w jego oczach ujrzała potwierdzenie swych

podejrzeń. Było już za późno. Niemal w tym samym momencie,

gdy wykrzyknęła jego prawdziwe imię, wbił się w nią głęboko

i napełnił ją swoim nasieniem.

Nasiemem jedyne go człowieka na świecie, którym gardziła.

Rhys osiągnął spełnienie, nie tylko
cielesne. Jego napięte

mięśnie drżały od wysiłku.

Izolda wiała się pod nim, próbując
stłumić w sobie namiętność.

Wiedziała przecież, że to Rhys ap
Owain wzbudza w niej te

szaleńcze, nowe doznania, że to wróg
odebrał jej niewinność.

Nie potrafiła jednak zapanować nad
rozpalonymi zmysłami,

a on nie ustawał, gotowy za wszelką
cenę doprowadzić i ją do

szczytu rozkoszy. Zrobił to już raz jako
minstrel, którego

udawał. I wiedział, że zrobi to znowu,
jako walijski rebeliant.

Przytrzymując ręce dziewczyny nad
głową, wciąż się w niej

poruszał, uparcie i nieprzerwanie. Kiedy
odwróciła głowę

i zacisnęła powieki, pocałował ją w
ucho.

- Poddaj mi się, Izoldo. Poczuj, jak nam
jest dobrze -

wyszeptał. - Poczuj, jak jest dobrze i jak

dobrze może być.

Usiłowała zaprotestować ruchem głowy,
ale zdradził ją

rumieniec na szyi i policzkach.

- Jesteś do tego stworzona - ciągnął
gardłowym szeptem,

czując, jak żądza znów wzbiera mu w
łędźwiach. - Żebyś ci

sprawiał rozkosz. I żebyś ty mi ją
dawała.

Pierś dziewczyny falowała w
przyspieszonym, urywanym

oddechu. Do licha, nie potrzebował
większej zachęty! Ukrył

twarz w jej jedwabistych włosach,
próbując się opanować.

Wcale nie chciał, by wzbudzała w nim
aż takie pożądanie.

Powinien być panem sytuacji. A jednak
pragnął jej tak bardzo,

że w tej chwili nie był panem nawet
samego siebie.

Nagle uniosła biodra, jakby chciała mu
wyjść naprzeciw,

i zaczęła się poruszać w tym samym

rytmie co on. Miała

smukłe, kształtne ciało, delikatne i
mocne zarazem. Pojękiwała

cichutko i wzdychała.

Tego było już za wiele, by mógł nad
sobą panować. Przyspieszył gwałtownie
i wkrótce najpierw ona krzyknęła,
wyginając się pod nim w łuk, a zaraz
potem z jego gardła wydarł

się krzyk:

- *Fi Duw!*

Wreszcie opadł na nią wyczerpany.
Tłumaczył sobie, że

uczucie błogości, które go ogarnęło, to po prostu radość ze

zwycięstwa. Że, podobnie jak na turnieju czy na polu bitwy,

jeszcze raz udowodnił, iż potrafi pokonać angielskich wrogów.

Ale leżąca pod nim kobieta nie przypominała żadnego z jego

dotychczasowych przeciwników.

Przetoczył się na bok, ostrożnie, żeby jej nie przygnieść.

Potem wziął ją w ramiona, napawając się swoim triumfem

i obmyślając następny ruch w tej
śmiertelnej grze, do której

właśnie przystąpił.

9

Izolda nie była w stanie na niego spojrzeć. Nie mogła patrzeć

na mężczyznę, który trzymał ją w ramionach w łóżu jej rodziców.

Zacisnęła powieki, jakby to ją mogło odciąć od przerażającej

rzeczywistości. Nie pomogło. Słyszała, jak Rhysowi bije serce.

Jego pierś unosiła się i opadała w takt oddechu. Leżeli spleceni

w uścisku kochanków, wilgotnym i lepkiem nie tylko od potu.

Był jej wrogiem, a ona właśnie oddała mu dziewictwo! Co

gorsza, podobało jej się to, co z nim robiła.

Wręcz się tym upajała!

- Dobry Boże - szepnęła z rozpaczą. -
Dobry Boże.

Odetchnął głęboko, mięśnie w jego ramieniu zagrały.

- Za późno na modlitwy, Izoldo.

Oderwała się od niego z bolesnym okrzykiem. Nie próbował

jej chwycić, nawet nie wyciągnął ręki.
Zsunęła się z łoża. Nogi

miała tak słabe, że stając na podłodze,
omal nie upadła. Suknia,

rozpięta pod szyją, była cała wymięta, a
spod spodu wystawała

równie pognieciona koszula.

Dziewczyna próbowała się jakoś
doprowadzić do porządku,

gdy dostrzegła wilgotną plamę na
staniku, w miejscu, które

dotykał ustami, pieszcząc jej pierś.

- O słodka Mario! -jęknęła, zmierzając w stronę drzwi.

Rhys uniósł się, podpierając głowę na zgiętym łokciu.

- Wybierasz się między swoich ludzi w tym stanie? - zapytał. - Z włosami rozpuszczonymi na ramiona i potarganymi, w wygniecionym stroju? Każdy, kto cię zobaczy, będzie wiedział, co zaszło. Usta masz wciąż spuchnięte od pocałunków, Izoldo.

Twarz ci płonie. No i roztaczasz wokół siebie zapach namiętności.

Żądzy -poprawił się, wykrzywiając

twarz w kpiącym uśmiešku.

Jedną ręką dotknęła włosów, drugą ust.
Miał rację. Czuła

też wilgotne ciepło między nogami.

- O słodka Mario - jęknęła znowu, bo
nic innego nie

przychodziło jej do głowy. Co miała
zrobić?

Na szczęście okazało się, że powrócił
jej zdrowy rozsądek.

Ten człowiek był wrogiem... wrogiem
jej rodziny. I znajdował

się wewnątrz zamku Rosecliffe. Nawet kosztem dobrej opinii

i własnej dumy musiała zawiadomić strażę.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Jednak choć to

ona miała bliżej do wyjścia, Rhys ją ubiegł.

- O, nie - mruknął, chwytając ją w pasie i podrywając

z podłogi.

- Nie... - próbowała protestować.

Zakrył jej dłonią usta, nim zdołała krzyknąć. Nie puszczał

jej, choć kopała i wyrywała się ze wszystkich sił. Rzucił ją

z powrotem na łoże i przygniótł sobą, jak w jakiejś brutalnej

parodii tego, co robili przed chwilą.

- Nie możesz wszcząć alarmu - powiedział, po czym oderwał z jej spódnicy kawałek materiału i użył go jako knebla. -

Nie pokrzyżujesz mi planów, choćbyś nie wiem jak się starała -

mówił, przewracając ją twarzą do posłania. Związał jej ręce

na plecach, a potem zrobił to samo z kostkami nóg. Szarpała

się i włączyła, ale nadaremnie. Rhys spokojnie czekał, aż się

zmęczy. Dopiero kiedy, trzęsąc się ze złości, próbowała złapać

oddech, znów się odezwał.

- Nie mam nic przeciwko zabijaniu Anglików.

Skamieniała ze strachu. Miał zamiar zabić jej ludzi! Przeraziła

się jeszcze bardziej, kiedy w pełni
dotarł do niej sens łagodnie

wypowiedzianej groźby.

- Nie mam nic przeciwko zabijaniu
Anglików. Jednak wolę

unikać rozlewu krwi, jeśli to możliwe.

Próbowała wykręcić szyję, żeby na
niego spojrzeć. Rhys

chwycił ją za ramię i znów odwrócił na
plecy, tak że musiała

patrzeć mu prosto w oczy. Wyciągnął z
buta cienki łańcuch,

jednym końcem owiązał ją w pasie, a drugi omotał wokół ramy

łóżka. W migotliwym świetle świecy wyglądał bardziej jak

demon niż człowiek... jak diabeł w ludzkiej postaci. A ona

wzięła go za kochanka!

Czyżby była przeklęta? Czy Bóg całkiem ją opuścił?

Stał obok łóżka, oceniając swoje dzieło. Jego czarne oczy

były pozbawione wyrazu, nie widziała w nich ani pożądania,

ani nienawiści. Była pewna, że jej oczy mówią o wiele więcej,

odwróciła więc głowę.

- Zostaniesz tu - powiedział stanowczo.

- Nie masz szans

uciec, choć zapewne będziesz próbowała. Nic ci to nie da.

Kiedy wrócę do tej komnaty, zamek Rosecliffe będzie należał

do mnie, będzie w walijskich rękach, tak jak należy. - Kiedy

skierowała na niego rozszerzone łukiem oczy, dodał: - Wtedy

zdecyduję, co z tobą zrobić, Izoldo. I z resztą twoich ludzi. -

Po tych słowach wyszedł.

Została sama w łóżu rodziców, bezradna i przerażona tym

wszystkim, co zaszło. Co się stanie z Osbornem i innymi,

którzy będą walczyć za Rosecliffe? Czy Rhys ich wszystkich

zabije?

Próbowała się wyswobodzić z więzów, wykręcała ręce, aż

zabolą ją pocierana skóra. Świeca
się dopaliła i zapadła

całkowita ciemność. Dopiero wtedy z
oczu Izoldy spłynęła

pierwsza łza. Dziewczyna leżała
sparaliżowana strachem,

świadoma beznadziejności swej
sytuacji. Starła się usłyszeć,

co się dzieje w zamku, lecz w uszach
miała jedynie chrapliwy

świsł własnego oddechu, przerywanego
szlochem.

Rhys ap Owain powrócił, żeby dokonać

zemsty, i jeden Bóg

wiedział, jak to się miało skończyć.

Idąc w ciemności przez wielką sień, jednocześnie wyczerpany i zadowolony, Rhys aż drżał z podniecenia. Nie przypuszczał, że sprawy tak się potoczą. Chyba oszalał, pozwalając, by cielesne pożądanie do córki wroga wzięło górę nad starannie

opracowanym planem. Ale była taka chętna, a jego żądza tak

potężna... Poprawił kołnierz tuniki. Co się stało, to się nie

odstanie. Przy odrobinie szczęścia

wszystko powinno pójść,

jak należy. Starzy przyjaciele, Glyn,
Dafydd i inni, którzy do

nich przystali, rozbili obóz za Carreg
Du, czekając na sygnał.

Szybko odnalazł Gandy'ego i Linusa,
śpiących w pustym

boksie w stajni. Wystarczyło szarpnięcie
i jedno skinienie, by

Gandy zrozumiał, co trzeba. Natychmiast
wtopił się w ciemność,

zmierzając do bramy, a potem do
ukrytego obozu, gdzie

czekała reszta rebeliantów. Linus
podążył za Rhysem i razem

wspięli się na blanki.

Pierwszy strażnik padł od jednego ciosu.
Drugi i trzeci tak

samo. Rhys ich związał, a Linus wyniósł
za bramę i pozostawił

na zewnątrz murów. Następnie
powrócili do stajni. Masztalerz

i stajenni, jeden po drugim, zostali
wyciągnięci z posłań,

zakneblowani, związani i zamknięci w
szopie służącej za

pralnię. Podobny los spotkał wkrótce
Oda.

Ten opierał się bardziej niż pozostali,
lecz i on się poddał,

kiedy Rhys przyłożył mu sztylet do szyi.

- Jeśli chcesz, żeby twojej pani nic się
nie stało, będziesz

z nami współpracował.

Nim księżyc przetoczył się po niebie,
Rhys z Linusem

zdołali unieszkodliwić wszystkich poza
kilkoma rycerzami

i zbrojnymi, którzy spali w koszarach.
Zbrojarz mieszkał we

wsi, podobnie jak większość
zamkowych rzemieślników, więc

chwilowo nie trzeba się było nimi
przejmować.

- Gdzie Gandy z Glynem i resztą? -
spytał Rhys, zamykając

drzwi spiżarni za Odem.

- Może zabłądził w lesie? - podsunął
Linus.

- Może zmienił zdanie - włączył się
Tillo.

Rhys odwrócił się gwałtownie i ujrzał starca w otwartych

drzwiach stajni.

- A może to ty zmieniłeś zdanie - rzucił, mrużąc oczy.

Stary minstrel potrząsnął głową.

- Nie obchodzi mnie, kto rządzi w tej kupie kamieni.

Rhys zacisnął szczęki. Tego wieczoru Tillo zachowywał się

jakoś dziwnie.

- Wiedziałeś, o co mi chodzi, kiedy tu

przybyłeś. Wszyscy

wiedzieliście. Gandy mnie nie zdradzi -
rzekł z przekonaniem. -

Ale powiedz mi jedno, starcze. Długo
rozmawiałeś z Newlinem.

Co miał ci do powiedzenia?

Tillo nieśpiesznie usadowił się na
odwróconym wiadrze.

- Jest zmęczony.

- I dlatego nie chce się wtrącać?

- Ufa, że nie wyrządzisz nikomu
krzywdy.

Rhys tylko prychnął z niedowierzaniem.
Zatem Newlin

wreszcie pogodził się z tym, co
nieuniknione. Albo też, co

bardziej prawdopodobne, postanowił
sprzyjać zwycięzcy. Tak

właśnie zrobił przed laty, kiedy przybyli
bracia FitzHugh. Nie

pomógł jego walijskim kompanom, tylko
stał po stronie

silniejszych Anglików. Teraz historia
się powtarzała - nie

pomagał Rhysowi, ale też mu się nie

przeciwstawiał.

Nagle poczucie mocy dodało Rhysowi sił. Jeszcze tej nocy

miał zostać zwycięzcą. Wprawdzie spodziewał się tego, ale

zachowanie Newlina dodało mu ostatecznej pewności.

Uśmiechnął się do Tilla w ciemności.

- Nie trać ducha, stary przyjacielu. Od teraz nie będziesz

musiał się już włóczyć po drogach. Żadnych turniejów, żadnych

występów. Będziesz miał tu dom, Tillo.
Dożyjesz swoich dni

w wygodzie.

Starzec uniósł głowę.

- Dziękuję ci, chłopcze. Ale zaczynam
wątpić, czy pasuję

do takich miejsc jak to.

Jakiś ruch pod murem przykuł uwagę
Rhysa. To był Gandy;

przemykał przez odkryty dziedziniec, a
za nim podążała kolumna dobrze
uzbrojonych Walińczyków. Rhys
wyszedł im na spotkanie.

- Co się stało? - spytał szeptem Glyn. -
Czyżby ktoś cię

rozpoznał i zmusił do działania?

- Owszem - przyznał Rhys, ale nie
kwapił się do dalszych

wyjaśnień. - Wzięliśmy do niewoli
dziewięciu ludzi. Jest

jeszcze jedenastu strażników. Śpią w
koszarach. Kiedy ich

załatwimy, zamek będzie nasz.

Podzielił Walińczyków na trzy grupy.
Oddział Dafydd'a zajął

się bramą i blankami. Drugi, ustawiony pod murami, pilnował,

by nikt nie wymknął się z koszar.

Tymczasem Rhys z Linusem

ruszyli do głównych drzwi baraku, a Glyn ze swoimi ludźmi

udał się do bocznego wejścia. Mieli trzy minuty na zajęcie

pozycji. Potem rozdzierającym uszy gwizdem Rhys dał sygnał

do ataku.

W ciemności baraku rozpętało się istne piekło; walijskie

okrzyki bojowe mieszały się z
odgłosami łamanych sprzętów

i złowieszczym szczękiem stali
uderzającej o stal.

Anglicy poderwali się z posłań jak
oparzeni i w zamieszaniu,

półprzytomni, sięgali po broń. Ale
Walijczycy byli gotowi.

Byli gotowi od dawna. Zapędzili
angielskich wojowników na

środek baraku, rozbroili i pojмали.

Rhys wydał rozkaz, by zabijać
wyłącznie w obronie własnej.

Miał ku temu dwa powody. Po pierwsze, chciał pokazać

rodakom, że wcale nie jest bezlitosnym potworem, jak o nim

mówiono. Po drugie, pragnął przejąć Rosecliffe w bezkrwawym

zamachu i tym samym dowieść swej przebiegłości... i nieudolności lorda FitzHugh.

Usłyszał jednak jęki i krzyki bólu, jako że na wojnie nic nie

da się przewidzieć. A to była wojna.

Pchnął na ziemię jednego z Anglików,

drugiego zdzielił po

głowie rękojeścią miecza.

- Dajcie pochodnie! - zawołał i zaraz barak wypełnił się

mdłym światłem.

To była prawdziwa jatka. Pięciu Anglików leżało pokodem

na ziemi, sześciu pozostałych próbowało się bronić przed

otaczającymi ich Walijszykami.

Trzymali w rękach miecze

i sztylety, choć wiedzieli, że nie mają

szans w starciu z napastnikami. Rhys dojrzał między nimi Osborna, ze zmierzwionym siwym włosem, z gołymi nogami wystającymi spod luźnej koszuli.

- Poddaj się, Osbornie de la Vere - przemówił do kapitana

straży Rosecliffe. - Poddaj swoich ludzi i ten zamek Rhysowi

ap Owainowi. Poddaj się albo zgiń.

Słyszając go, Osborn odwrócił się gwałtownie. Zmrużył oczy,

patrząc z niedowierzaniem.

- Rhys ap Owain? Przybyłeś do nas jako minstrel Reevius...

Gdzie jest Izolda? - Wymierzył broń w Rhysa. Wściekłość,

widoczną dotąd na jego twarzy, zastąpił niepokój. - Co z nią

zrobiłeś?

Rhys uśmiechnął się szeroko.

- Sam możesz ją o to zapytać, jeśli złożysz broń.

- Zrobiłeś jej krzywdę? - ryknął Osborn.

-Jeżeli ucierpiała

w jakikolwiek sposób...

- To co? Nie obawiaj się, stary człowieku. Nie skrzywdziłem

tej dziewczyny... co wcale nie znaczy, że mógłbyś mnie przed

tym powstrzymać - zakpił Rhys. - Odłóż miecz - dodał ostrzej. - Poddaj się.

Tylko pod takim warunkiem pozwolę ci ją zobaczyć.

Stary rycerz rozejrzał się szybko. Nie było drogi ucieczki

ani nadziei na pokonanie ludzi, którzy ich zaskoczyli. Po

dłuższej, pełnej napięcia chwili Osborn opuścił miecz. Reszta

strażników wolno poszła w jego ślady.

Rhys dał znak głową i Linus zbliżył się, by zebrać broń.

- Zamknij ich w lochu - rozkazał Glynowi. - Linus ci

pokaże, gdzie to jest.

- A co z Izoldą? - odezwał się Osborn, kiedy jeden z Walińczyków popchnął go, by dołączył o reszty.

- Przeprowadzę ją do ciebie - obiecał Rhys. - Kiedy już

przejmę zamek i zjem pierwszy posiłek
jako lord Rosecliffe,

wtedy ci ją przyprowadzę.

- Ty draniu! - Osborn rzucił się w jego
stronę, ale przytrzyma

łó go trzech Walijczyków. - Ty
kłamliwy łobuzie! Rand powinien

był cię powiesić dziesięć lat temu, gdy
miał taką sposobność!

Rhys uśmiechnął się do niego ponuro.

- Powinien. Popęłnił błąd i teraz drogo
za niego zapłaci.

Zabrać go - rozkazał i schował miecz,
nie kryjąc pogardy.

Rhys słyszał, jak Osborn przez całą
drogę opiera się swoim

prześladowcom. Dopiero kiedy wszyscy
już wyszli i pozostał

sam w opustoszałym baraku, zdał sobie
w pełni sprawę ze

swego osiągnięcia.

Udało mu się.

Mimo wszelkich przeciwności zdobył
zamek Rosecliffe,

uwięził angielskich strażników i zastąpił ich swoimi walijskimi

poplecznikami. Dokonał tego wszystkiego, podczas gdy reszta

mieszkańców zamku, nieświadoma niczego, spokojnie spała.

Gdyby wierzył w Boga, uznałby, że tej nocy mu sprzyja. Zaczął

od igraszek z piękną dziewczyną, a potem dzięki sprawnej

akcji odniósł czyste zwycięstwo.

Ale Bóg nie odegrał żadnej roli w jego triumfie.

Rhys przeczesał włosy palcami.

Zapłacił za swój sukces

mieczem, krwią i dwudziestoma latami
poniewierki. Rozglądał

się po baraku, tak podobnym do tego, w
którym mieszkał

w zamku Barnard, i jakoś nie mógł z
siebie wykrzesać radości

ze zwycięstwa. Przez całe życie czekał
na tę chwilę. Więc

dlaczego nie potrafił się cieszyć?

Znów przejechał ręką po czuprynie,
potem w zadumie

pogładził się po brodzie. Nadal był
minstrelem Reeviusem. Na

tym polegał problem. A musiał na nowo
stać się Rhysem ap

Owainem... i zebrać owoce swego
zwycięstwa nad Randulfem

FitzHugh.

Rozprostował szerokie ramiona,
uśmiechając się pod nosem.

Kąpiel, golenie i odwiedziny u jedynej
przedstawicielki rodu

FitzHugh, przebywającej obecnie w
zamku. Tak, miał ochotę

znów zobaczyć Izoldę FitzHugh,
ponieważ miał wiele do

powiedzenia tej zadziornej Angielce.

Izolda niewiele słyszała: jakiś głuchy
łomot w oddali,

stłumione głosy na blankach. Nadstawiała
uszu. To były angielskie głosy czy
walijskie? Nie potrafiła rozróżnić.
Leżała w ciemności, złorzecząc
Rhysowi ap Owainowi, modląc się do
Boga o pomoc i przeklinając własną
głupotę.

Jak mogła być aż tak ślepa? Jak mogła
nie dostrzec podobieństwa? Te same
czarne oczy. Ta sama bezczelność.

Powinna była go rozpoznać. Powinna się domyślić.

Powinna była posłuchać. Osborna.

Kapitan straży w ogóle nie chciał wpuszczać do zamku trupy

minstreli. Ale ona była taka pewna siebie, władza tak mocno

uderzyła jej do głowy. I proszę, dokąd ją to zaprowadziło.

Szarpała się w mroku, próbując rozluźnić więzy. Ale trud

okazał się daremny, tak samo jak próba zapomnienia o naj-

gorszych własnych błędach. Oddała swą niewinność mężczyźnie, którego nienawidziła, którego przeklinała już jako dziecko.

Niczym głupia gęś dała mu się nabrać, zauroczona jego gładką

powierzchownością, zmysłowym głosem i pełnym żaru spojrzeniem. Jakaż musiała być głupia, by uwierzyć, że ten człowiek ma serce poety.

Znów się napięła, usiłując zerwać więzy, ale tylko mocniej

nadwreżyła obolałe nadgarstki i kostki. Łzy zapiekły ją pod

powiekami, a potem spłynęły po policzkach. Naprawdę wierzyła, że to, co czuje do tego człowieka, ma coś wspólnego z miłością? Jęknęła ze wstydu. Nie dość, że wzbudził te

niebывałe doznania w jej ciele, to jeszcze sprawił, że przez

chwilę jej się zdawało, że go kocha!

Znieruchomiała, usłyszawszy na zewnątrz jakiś hałas.

Śmiech. Czyżby strażnicy Rosecliffe udaremniili nieczne plany

Rhysa? Złapali go i wrzucili do najgłębszego lochu? Modliła

się o to. Modliła się żarliwie.

Nagle zza okna dobiegł ją wyraźny walijski głos:

- Hej, Dafydd. Piękna noc, co?

- Ano. W taką noc dobrze być Walijszym. I niedobrze

nazywać się FitzHugh. - Odpowiedzi towarzyszył rubaszny

śmiech.

Nadzieje Izoldy umarły szybką brutalną śmiercią. Rhys

wygrał!

Nie miała czasu oswoić się z tym ponurym faktem, bo na

schodach rozległy się ciężkie kroki. Słysząc je było coraz bliżej.

Wykręciła głowę, żeby widzieć drzwi, i zadrżała, kiedy się

otwarły, bo sylwetka, która w nich stanęła, była potężna

i szeroka w barach. To był on. Poznała, chociaż się nie odezwał.

Zamknąwszy za sobą drzwi, wszedł do środka. Aż podskoczyła, kiedy stal uderzyła o krzesiwo. Raz. Drugi. Za trzecim razem błysnęła iskra i zajął się

knot w kaganku przy

łożu. Użył go do zapalenia świecy.

Jednak kiedy komnatę zalało światło
dwóch dodatkowych

świec, ujrzała przed sobą innego
człowieka. Zamienił zgrzebną

tunikę na skórzany rynsztunek
wojownika, a znoszone ciżemki

na wysokie buty z cholewami. U pasa
wisiał mu miecz, ciężki

i budzący grozę, a na biodrze połyskiwał
cienki sztylet.

To był wojownik, nie minstrel. Jak
mogła wcześniej tego

nie widzieć? Potężne mięśnie ramion
urośli od trzymania

miecza, nie cytry. Taką posturę
zbudowały lata walki i ćwiczeń,

nie trącanie strun i śpiew.

Kiedy uniósł świecę tak, że mogła ujrzeć
jego twarz, aż

wstrzymała oddech. Zniknęła potargana
czupryna i gęsta broda.

Ujrzała twarz, którą znała. O dziesięć lat
starszą... i dojrzałą.

Ale to był bez wątpienia ten sam Rhys
ap Owain, który ją

porwał przed laty. Był jej wrogiem,
mimo urodziwych rysów

i męskiej postury. Jego równe białe zęby
i smukłe biodra tym

bardziej uświadomiły jej, jak straszną
popełniła pomyłkę.

Choćby miał twarz anioła, pozostawał
diabelskim pomiotem.

Ból rozsadzał Izoldzie klatkę piersiową,
tak gwałtownie

waliło jej serce. Czemu nie zachowała

większej ostrożności? Nie

powinna być taka głupia. Trzeba było posłuchać ojca i zgodzić

się na małżeństwo z Mortimerem Halyardem. Własna próżność

i głupota doprowadziły ją do ruiny. Znacznie gorsza była jednak

świadomość, że mogła doprowadzić do upadku całej rodziny.

Jakby odgadując jej myśli, Rhys uśmiechnął się. Był to

uśmiech drapieżcy bawiącego się swoją ofiarą, wiedzącego, że

ta nie może uciec. Podszedł do łoża i
ustawił świecznik na

stole w pobliżu głowy dziewczyny.

- Wielki dzień zapanował w Rosecliffe,
Izoldo. Walińczycy

odzyskali to, co im ukradziono. -
Opuściła powieki, żeby nie

patrzeć na triumf, malujący się na jego
twarzy. Usiadł obok

niej. - Jestem zwycięzcą- odezwał się
cichszym, jakby stłumionym głosem. - A
wiesz, co się mówi o zwycięzcy. Do
niego należą wszystkie łupy.

10

Bała się go. W złocistym świetle świecy jej szare oczy

wydawały się ogromne, a na gęstych rzęsach połyskiwały na

wpół obeschłe łzy. Kiedy przy niej usiadł, zeszywniała i próbowała się odsunąć.

Tak, była przerażona, co sprawiło mu pewną przyjemność.

Nie tak wielką jednak, jak się spodziewał. Gdy wyciągnął

sztylet, jej oczy zrobiły się prawie

czarne. A kiedy zbliżył

ostrze do jej policzka, śmiertelnie
pobladła.

- Spokojnie, skarbie - mruknął,
odgarniając jej z czoła

wilgotny kasztanowy kosmyk. -
Przyszedłem tylko cię rozwiązać, nic
więcej.

Przesunął czubkiem noża po jej
policzku, zaczepił o strzępek

materiału, którym była zakneblowana, i
przeciął go jednym

szybkim ruchem. Odetchnęła głęboko i

natychmiast zadała

pytanie:

- Co zrobiłeś z moimi ludźmi? Czy komuś się coś stało?

Zabiłeś kogoś?

- Teraz to są moi ludzie, nie twoi - przypomniał jej sucho. -

Lepiej zadbaj, żeby tobie się nic nie stało.

Mrużąc oczy, obrzuciła go pełnym pogardy spojrzeniem.

- Wydaje ci się, że skoro zawładnąłeś

Rosecliffe, to tutejsi

ludzie staną się twoimi poddanymi?

- Owszem, albo mogą opuścić to miejsce. To bardzo proste

rozwiązanie. - Rozgniewany jej napastliwością, bez słowa

przewrócił ją na bok, rozciął więzy na rękach i kostkach, a na

koniec zdjął łańcuch, którym była owiązana w pasie. Był zły

także na siebie, bo przecież nie powinno go obchodzić, co ona

czuje, a tymczasem nie chciał, by patrzyła na niego z lękiem.

Tym bardziej mu się nie podobał wyraz pogardy w jej oczach.

Schował sztylet i ostrym szarpnięciem postawił dziewczynę

na nogi.

- Uważaj na to, jak się do mnie zwracasz, kobieto. Jestem

teraz panem Rosecliffe, a ty jedną z zamkowych dziewczek,

którymi mogę rozporządzać według swej woli. - Próbowała

mu się wyrwać, więc wzmocnił ucisk. -
Osborn chce się z tobą

widzieć. Nie wierzył mi, kiedy go
zapewniałem, że nie doznałaś

żadnego uszczerbku.

Zauważył napięcie skóry na jej szyi,
kiedy przełykała ślinę.

- Nic mu nie jest? A innym?

Rhys wzruszył ramionami.

- Paru dostało po łbie. Niewiele krwi
się polało. Wszyscy

szybko dojdą do siebie. - Parsknął

głośnym śmiechem. - Nie

najlepiej się popisali twoi angielscy wojownicy.

- Nic tak człowieka nie może zaskoczyć, jak zdrada przyjaciela - odparowała.

Kiedy odpowiedział, jego ton także ociekał pogardą.

- O tak. Wiem wszystko o zdradzie.

- Domyślam się, że to twoja specjalność.

- Powinnaś uważać na swój ostry język, Izoldo - ostrzegł.

Ukryta w jego słowach groźba trochę ją przestraszyła. Na

przekór swoim odczuciom uniosła podbródek.

- Tak? Ukarzesz mnie za mówienie prawdy?

Była odważna. Musiał jej to przyznać. Ale taka bezmyślna

odwaga bywa niebezpieczna. Tylko że ona nic nie wiedziała

o świecie i czyhających na nim niebezpieczeństwach. Najwyższy czas, żeby się dowiedziała.

- Mogę ci zrobić, co tylko zechcę. Albo zrobić z tobą -

dodał. Przyciągnął ją do siebie tak mocno, że nie była w stanie

się poruszyć. - A może sama tego chcesz.

- Nie! - Przestraszona, za wszelką cenę chciała się od niego

odsunąć.

Jeśli sądziła, że zdoła się wyprzeć pożądaniam, które do niego

czuła zaledwie przed paroma godzinami, to była w błędzie.

Nie zamierzał jej na to pozwolić.

- To z powodu brody? - zakpił. - Twój kochanek minstrel

miął brodę. Powinienem zapuścić?

- Nie dbam o to. Nienawidzę cię niezależnie od tego, jak

wyglądasz. Puść mnie!

- Ale do Reeviusa nie żywisz nienawiści. Może powinienem

ci zagrać miłosną pieśń na cytrze. Wtedy spojrzysz na mnie

łaskawiej, Izoldo? Wtedy otworzysz

przede mną ramiona?

I nogi? - dodał z zamierzonym grubiaństwem.

Wzdrygnęła się. Rhys czuł, jak drży w jego ciasnym objęciu.

Ale tym razem nie drżała z podniecenia. Zawstydził się swego

szorstkiego zachowania i puścił ją gwałtownie. Upadła plecami

na posłanie, lecz zaraz się pozbierała i umknęła w przeciwny

kąt pomieszczenia. Stała tam, oddychając ciężko, niepewnie

spoglądając w stronę drzwi.

Przyglądał jej się, czując, jak znów wzbiera w nim pożądanie. Nagle pojął, że wcale nie ma nad nią władzy. Uległa minstrelowi Reeviusowi z zaskakującą skwapliwością i niespodziewaną namiętnością, lecz dla Rhysa ap Owaina, znienawidzonego walijskiego rycerza, stanowiła niełatwe wyzwanie.

A on ponad wszystko lubił wyzwania. Rosecliffe wpadło

mu w ręce nazbyt łatwo. I chyba dlatego nie odczuwał spo-

dziewanej satysfakcji. Ale córka lorda FitzHugh... Poskromienie

jej było wyzwaniem nie lada.

Przejechał dłonią po włosach.

- Dość tego. Jestem teraz panem
Rosecliffe, a ty jedną

z mieszkanek tego zamku. Będziesz mnie
słuchać albo poniesiesz konsekwencje.
Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Ależ tak. - Zmrużyła oczy ze złości. -
Doskonale rozumiem. Zastanawiam się
tylko, czy ty rozumiesz konsekwencje
tego, co zrobiłeś.

Parsknął śmiechem.

- Rozumiem, że ta komnata należy teraz

do mnie.

- Mój ojciec ci odpłaci - ostrzegła. - Nie spocznie, dopóki

się z tobą nie policzy. Prędzej pójdzie do grobu, niż pozwoli...

- No to pójdzie do grobu. - Zbliżył się do niej. - Z największą przyjemnością złożę Randulfa FitzHugh i jego podłego brata Jaspera do zwykłego nieoznakowanego grobu.

Wprawdzie powiedział to z pełnym przekonaniem, ale natychmiast, gdyby mógł, cofnąłby te słowa. Ponieważ dziewczyna wpatrywała się w niego z takim przerażeniem, z taką nienawiścią

i wzgardą, że aż poczerwieniał na
twarzy. Był na nią wściekły

za to, że tak na niego działa. I to teraz,
kiedy osiągnął cel, do

którego zmierzał od tak dawna.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś
niegodziwy - powiedziała

tak cicho, że musiał nadstawić uszu,
żeby ją usłyszeć. -

I zawsze wiedziałam, że cię za to
nienawidzę. Tylko nie

sądziłam, że można być tak zupełnie
pozbawionym sumienia...

i nie przypuszczałam, że mogę aż tak
gardzić człowiekiem.

Zesztywniał i nim zdążył się zastanowić,
co robi, chwycił

ją mocno za ramię.

- Możesz mnie nienawidzić, Izoldo
FitzHugh. Nienawidzić,

ile tylko zechcesz. To niczego nie
zmienia. Bo oboje wiemy,

że mogę sprawić, byś mnie pożądała.
Już raz mi się udało -

wysyczał jej wprost do ucha. - I mogę to
powtórzyć.

Popatrzyła na niego z takim wyrazem
twarzy, że odepchnął

ją w stronę drzwi.

- Jeśli nie chcesz, bym to od razu
udowodnił, to radzę ci

się stąd wynosić. Czas, byś odwiedziła
swoich rodaków w ich

solidnym walijskim więzieniu. -

Popychając ją lekko przed

sobą, sprowadził po schodach do
wielkiej sieni, w której

wkrótce dotychczasowi mieszkańcy
zamku mieli usługiwać

walijskim rebeliantom. W końcu stanęli
przed wąskim zejściem

do lochu.

Kiedyś sam był więźniem w tym
strasznym miejscu. Teraz

panował w twierdzy. Wiedział, że z
łatwością sprosta nowej

roli. Właściwie już nastąpiła zmiana, bo
tego ranka czuł się tu

panem, nie prześladowanym
buntownikiem.

Dla wypieszczonej córki lorda
Rosecliffe nowa rola musiała

być znacznie trudniejsza. Ale Rhys był gotów zrobić wszystko, co trzeba, by ją podjęła.

Izolda mocno zaciskała zęby. Gdyby nie to, z pewnością

wybuchnęłaby głośnym szlochem, dając mu poznać, jak wielki

strach i rozpacz wypełniają jej duszę. Wszystko stanęło na

głowie. Wszystko. Podczas jednej nocy świat jej się zawalił.

Inni musieli się czuć tak samo. Nie była jedyną ofiarą spisku.

W wielkiej sieni minęła się z Magdą i
zdążyła spojrzeć

w spuchnięte od płaczu oczy służącej.
Czyżby ją skrzywdzili?

Pomyślała o ukochanym Magdy,
George'u. Może to z jego

powodu płakała? Został zabity podczas
ataku? Czy nieszczęsna

dziewczyna w ogóle wiedziała, co się z
nim dzieje?

Izolda uświadomiła sobie, że jest jedyną
osobą z rodu

FitzHugh obecną w zamku. I jako taka

ponosiła odpowiedzialność za swoich ludzi.

Odetchnęła, próbując się skupić. Co by zrobił ojciec? Cóż,

nie mogła myśleć tak jak on, bo nie była wojownikiem.

Powinna raczej przyjąć sposób myślenia matki. Jak Josselyn

FitzHugh, z domu Carreg Du, poradziłaby sobie z takim

nieszczęściem? Rozważyłaby sytuację i znalazła jakiś sposób,

żeby posłać po pomoc.

Izolda wyprostowała ramiona,
postanawiając zrobić to

samo. Rozejrzała się wokół siebie
uważnie, starając się wychwycić każdą
zmianę. Nie ujrzała Oda w kącie, w
którym zwykle siedział. Jego miejsce
zajmował stary minstrel Tillo,

z głową pochyloną jakby w modlitwie.
Nie podniósł wzroku,

kiedy Izolda go mijała. Przy drzwiach
stali trzej mocno

uzbrojeni ludzie, których nie znała.
Przyglądali jej się bez

skrępowania. Posłała im wyniosłe

spojrzenie, po czym odwróciła głowę.

Przysięgła sobie w duchu, że się nie podda. Rhys ujął ją pod

łokieć i skierował na schody prowadzące w dół. Mógł sobie

myśleć, że ją pokonał, ale wcale tak nie było.

- Gdzie jest Odo? - spytała, kiedy przechodzili obok chłodni. - Nie jest wojownikiem, więc mógł pozostać na swoim stanowisku.

- Nie potrzebuję już jego usług.

- Gdzie Newlin?

Rhys nie odpowiedział.

Dotarłszy na najniższy poziom twierdzy, zatrzymali się

przed ciężką metalową bramą. Za nią kilku mężczyzn tłoczy

ło się w dwóch niewielkich celach.

Izolda rzuciła się naprzód, widząc Osborna. Stary rycerz podniósł się z miejsca, chwycił ją za ręce i stali naprzeciw siebie, rozdzieleni grubymi kratami, które jej ojciec kazał zainstalować z myślą o przestępcach.

- Jak się miewasz, dziecko? - Osborn mówił cicho, lecz

jego słowa zadudniły echem w niskim pomieszczeniu. -Zrobił

ci krzywdę, Izoldo?

Przyglądał jej się z powagą; wiedziała, co miał na myśli.

- Nie martw się o mnie, nic mi się nie stało - odparła

najbardziej przekonująco, jak zdołała.

- I nadal tak będzie - wtrącił Rhys - dopóki ty i twoi ludzie

będziecie wykonywać moje rozkazy.

Osborn posłał mu wściekłe spojrzenie.

- Więc nie masz powodu jej tknąć, bo zamknięci w lochu

nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

Izolda odwróciła się do swego prześladowcy.

- Chyba nie zamierzasz ich tu trzymać.

Rhys skrzyżował ramiona na piersi.

- Zamierzam i będę.

- Te cele są za małe dla tylu ludzi.

- Ci, co chcą wyjść, muszą jedynie złożyć przysięgę na

wierność nowemu lordowi Rosecliffe.

- Tobie? Akurat! Nigdy nie będziesz prawdziwym lordem

Rosecliffe - wysyczała.

- Nikt mnie nie powstrzyma - oznajmił twardo. Następnie ponad jej głową zwrócił się do Osborna: - Sam widziałeś. Jest zdrowa i cała i taka pozostanie. - Dał znak strażnikowi. - Zabierz ją do wielkiej sieni i usadź przy głównym stole. Zaraz do ciebie dołączę - dodał już do

Izoldy.

- Zaczekaj. Nie! - Próbowwała odepchnąć strażnika, ale

okazał się nieugięty i pociągnął ją za sobą na schody.

Po jej odejściu Osborn i Rhys długo mierzyli się wzrokiem.

Angielscy więźniowie niespokojnie krążyli po celach. Byli

wyraźnie wściekli.

- Sukinsyn...

- Walijski bękart!

Nie spuszczać oczu z Rhysa, Osborn

uciszył ich uniesieniem

ręki.

- Jak długo będziesz ją więził... i nas?

Rhys ukazał zęby w uśmiechu. Zaczynało mu się to podobać.

- To zależy od jej ojca.

- Ktoś ze wsi z pewnością pośle mu wiadomość na koronację.

- Liczę na to.

Osborn zmrużył oczy.

- On jest w Londynie. Bez kłopotu

zbierze przeciwko tobie

potężną armię.

Rhys pokręcił głową.

- Obawiam się, że od bardzo dawna nie
byłeś w Londynie,

Osborne. W tych niepewnych czasach
wasi szlachetni angielscy

lordowie nie są skłonni używać
własnych ludzi na potrzeby

innych. Mają dość swoich problemów.
Wiedzą, że Henryk

D'Anjou to nie Stefan z Blois, że będzie

zupełnie innym

królem. Boją się, że weźmie mocno w garść niepokornych

baronów, więc muszą się mieć na baczności. Twój pan wróci

bez wsparcia przyjaciół. I będzie się musiał zmierzyć ze mną.

- Co masz nadzieję przez to zyskać? -
spytał Osborn,

zaciskając palce na prętach bramy. - Bo nie możesz liczyć na

zwycięstwo.

- Wręcz przeciwnie. Dopóki mam jego córkę, muszę wygrać.

To butne oświadczenie wyraźnie rozjuszyło uwięzionych

Anglików. Osborn znów musiał ich uspokoić podniesieniem

dłoni. Wpatrywał się przy tym w Rhysa, jakby chciał przejrzeć

jego myśli.

- Nie możesz jej wiecznie więzić - odezwał się wreszcie.

- A kto mi przeszkodzi? Jestem podobny do twojego pana,

a on zabierał ziemie należące do innych.
I kobiety także.

Osborn rzucił się naprzód, próbując go
dosięgnąć przez

kraty, ale Rhys z łatwością uchylił się
przed ciosem.

- Dotknij jej, a sam cię zabiję! -
przysiągł stary rycerz

głosem ochrypłym ze wzburzenia.

- Obiecuję ci tylko jedno, staruszkę.
Dotknę jej, jeśli...

dotknę jej wtedy, gdy sama będzie tego
chciała.

- Tak mówisz - warknął Osborn. - Ale ja pamiętam twego

ojca. - Wykrzywił usta pogardliwie. - A ty jesteś jego nieodrodnym synem.

Rhysa opuścił dobry humor.

- Ja także pamiętam mego ojca, człowieka, który poległ na

polu chwały, walcząc za swój kraj.

Osborn splunął na ziemię.

- Twój ojciec nie był bohaterem, tylko tchórzem, łotrem

bez czci, który... - Urwał i cofnął się

wraz z resztą więźniów,

kiedy jego przeciwnik błyskawicznie wyciągnął miecz.

- Zamknij się! Zamilcz albo przysięgam na Boga, że utnę

ci język! - wrzasnął Rhys.

Zapadła głucha cisza. Anglicy patrzyli z lękiem na złowrogo

uniesione ostrze miecza.

Rhys zdał sobie sprawę z tego, że popełnił niewybaczalny

błąd. Dając się ponieść złości, odkrył

przed Osbornem swoją

słabość. Pokazał mu otwartą ranę w miejscu, gdzie powinien

mieć serce. Jego ojciec był człowiekiem nieustraszonym. Nikt

temu nie przeczył. Zginął z rąk Anglików. Ale był też człowiekiem okrutnym, okrutnym dla swoich kobiet i syna. Okrutnym dla każdego, kto był od niego mniejszy lub słabszy. Rhys nie pamiętał zbyt wiele, ale to zapamiętał. Jednakże Owain

walczył z angielskimi najeźdźcami, kiedy nikt inny już tego

nie robił, a Rhys przysiągł na grobie
ojca, że pójdzie w jego
ślady.

Choć aż się trząśł z gniewu, zmusił się
do schowania miecza.

- Na przyszłość uważaj, co mówisz,
starcze. Nie mam

zamiaru rozlewać krwi, ale jeśli mnie
wyprowadzisz z równowagi, mogę o tym
zapomnieć.

Opuścił lochy niezadowolony z siebie,
po raz pierwszy

zniechęcony do zadania, które sobie

wyznaczył.

Osborn patrzył za nim w milczeniu,
podczas gdy jego ludzie

zaczęli rzucać przekleństwa i pogróżki
pod adresem niecnego

Walijczyka, który ich oszukał i uwięził.
Osborn nie dołączył

do nich, lecz ukrywszy twarz w
dłoniach, próbował się zastanowić nad
sytuacją. Nie wydawało się możliwe, by
Rhys trzymał się z daleka od Izoldy.
Była zbyt pociągająca... no

i nazywała się FitzHugh. Osborn bał się
też, że swoim niewyparzonym językiem i

zuchwałością dziewczyna szybko doprowadzi Rhysa do furii.

- Słodki Jezu - mruknął do siebie. Jeśli on był choć w po

łowie tak okrutny jak jego ojciec, przyszłość dziewczyny

przedstawiała się nad wyraz ponuro.

Musiał jakoś temu zaradzić. Tylko jak?

Próbował sobie przypomnieć jej minę, kiedy go zapewniała,

że nic jej się nie stało. Czyżby kłamała? Okazywała niezwykle

zainteresowanie Reeviusem, ale Osborn zakładał, że brało się

to raczej z podziwu dla muzycznego talentu minstrela. Izolda

marzyła o tym, by nauczyć się gry na cytrze. Czyżby jednak

chodziło o coś więcej?

Pocieszał się, że jeśli nawet Izolda czuła coś więcej, to

odkrycie tożsamości minstrela otworzyło jej oczy. Izolda

nienawidziła Rhysa ap Owaina. Nie miało dla niej znaczenia, że w

przeszłości Josselyn i Rhonwen broniły go. Josselyn widziała w nim chłopca pozbawionego matki. Rhonwen pamiętała, że w młodości był jej oddanym przyjacielem. Rand i Jasper dostrzegali drzemiące w chłopcu

możliwość, więc posłali go do Anglii, by zdobył stosowne

wykształcenie.

Ale Izolda potrafiła tylko nienawidzić go za to, że ją porwał,

kiedy była jeszcze dzieckiem. Od tego czasu nienawidziła go

z pasją rzadko spotykaną u tak młodej

osoby.

Osborn zacisnął dłonie na zimnych metalowych prętach

i wydał z siebie głębokie westchnienie. Wszyscy się mylili:

Josselyn i Rhonwen, widzące dobre cechy w niesfornym

chłopcu, Jasper i Rand, wierzący w jego przyszłość. On sam

także ponosił winę, bo zlekceważył złe przeczucia i wpuścił

do zamku zdradziecką trupę.

A Izolda miała rację. Miała rację,
nienawidząc i bojąc się

Rhysa ap Owaina i nie wierząc, że ma
on jakiegokolwiek dobre

cechy. Miała rację, a teraz musiała
cierpieć za innych, którzy

go błędnie oceniali.

- Boże, dopomóż jej - westchnął,
dotykając czołem zimnej

kraty. - Dopomóż im wszystkim.

11

Izolda zasiadła przy głównym stole do śniadania, zupełnie

innego niż wszystkie, które dotąd podawano w Rosecliffe.

Nie było porannej modlitwy przed jedzeniem ani swobodnych

rozmów nad talerzami z gotowaną owsianką, miodem i mlecznym chlebem. Siedziała całkiem sama, a przy sąsiednim stole pożywiali się uzbrojeni Waliyczycy. Zachowywali się

hałaśliwie, ożywieni zwycięstwem, a pochłaniali przy tym

takie ilości jedła i napitku, jakby się nigdy przedtem nie

najedli do syta.

Dziewczyna siedziała z ciężkim sercem, niezdolna czegokolwiek przełknąć.

Sama myśl o jedzeniu była jej wstrętna.

Podające do stołu sługi krzątały się pośród jedzących, skulone

ze strachu. Pomocnicy kucharki i kilku paziów jak zwykle

pełnili swoje obowiązki, tyle że w zupełnym milczeniu. Nieobecność męskiej służby wyraźnie rzucała się w

oczy.

Izolda doszła do wniosku, że Rhys postanowił nie podejmować ryzyka. Ale co z nimi zrobił? Gdzie ich umieścił? Bo w lochu ich nie było. Czy któryś z nich został ranny? Na tę

myśl serce jeszcze bardziej jej się ścisnęło.

Dostrzegła Magdę, napełniającą dzbany piwem. Kiedy słu-

żąc podniosła wzrok, Izolda dała jej znak, żeby się zbliżyła.

Jeden z żołnierzy próbował zaczepiać dziewczynę, coś do niej

powiedział i ryknął śmiechem, kiedy uchyliła się spłoszona, ale

jej nie zatrzymywał.

Widząc, jak Magdzie drżą ręce przy dolewaniu napoju,

Izolda zgromiła wzrokiem osiłka, który tak przestraszył biedną

służącą.

- Uspokój się - szepnęła do niej. -
Widziałam George'a,

jest cały i zdrowy. Ale został uwięziony
razem z resztą

zbrojnych.

- Nic mu nie jest? Jesteś pewna, panienko? - W oczach

Magdy zabłyśły łzy ulgi.

- Owszem. Trzymają ich w lochu, ale poza tym nic im

nie jest.

- Och, dziękuję, panienko. - Służąca uścisnęła mocno dłoń

swej pani. - Dziękuję.

Izolda uśmiechnęła się do niej z zadumą.

- Czy twój kawaler kocha cię tak samo mocno, jak ty

kochasz jego? - wyrwało jej się.

- O tak - zapewniła Magda, kiwając przy tym głową. -

Zamierza rozmówić się z moim ojcem w najbliższą niedzielę,

a potem, po powrocie lorda Randa, prosić o pozwolenie na

nasz ślub.

Patrząc w ciemne oczy służącej i widząc w nich głębię jej

uczucia, Izolda poczuła coś na kształt
ukłucia zazdrości. Przez

krótką chwilę wierzyła, że i ona znajdzie
taką miłość. Ale

wszystko okazało się kłamstwem,
jednym wielkim oszustwem.

Smutno zwiesiła głowę.

- Wiem, że nasze położenie wydaje się
beznadziejne, ale

kiedy mój ojciec dowie się o wszystkim,
razem z moim stryjem

przyjedzie nam na ratunek.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytała
Magda z nadzieją. -

Myślisz, że zdołają przepędzić tych
zbirów? - Nagle do jej

głosu znów wkradł się lęk. - A co z
ludźmi ze wsi? Co z moją

matką, ojcem i maluchami?

Izolda uścisnęła dłoń służącej, nie mniej
niż ona zatroskana.

- Nie wiem, ale spróbuję się
dowiedzieć. Tymczasem zachowaj
ostrożność i staraj się unikać
przebywania sam na sam z tymi... -
Urwała, widząc, że Rhys wchodzi do

wielkiej sieni.

Magda także go dostrzegła i aż pisnęła ze strachu.

- Ty też bądź ostrożna, panienko. Bardzo ostrożna. - Uciek

ła, zostawiając swoją panią samą w obliczu wroga.

Od razu ją wypatrzył. Kiedy ich spojrzenia się spotkały,

Izoldę przeszły ciarki. Na nim spotkanie najwyraźniej nie

zrobiło żadnego wrażenia, bo spokojnie rozglądał się po sieni.

Łajdak pozbawiony sumienia!

Pochyliła się nad jedzeniem, chcąc ukryć niepokój. Każdy

kęs smakował jak zastygły tłuszcz. Z trudem zmuszała się do

przełykania.

Rhys szedł przez wielką sień, zatrzymując się raz po raz

przy którymś ze swoich ludzi, żeby uścisnąć dłoń, klepnąć po

plecach lub zamienić parę słów.

- Odwaliliście dobrą robotę w nocy,

Glyn. Naprawdę.

- W ogóle nie próbowali walczyć -
rzucił ktoś ze śmiechem.

- Ani trochę - dodał człowiek, który
wcześniej zaczepiał

Magdę. - A obiecałeś nam porządną
bijatykę.

Rhys z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Spodziewałem się po nich, że stawiają
opór, Dafyddzie. Ale

Anglicy zawsze mnie rozczarowują.

Izolda omal się nie zakrztusiła ze złości.

Owsianka stanęła

jej w gardle. Żałosny łajdak. Fałszywy
wąż. Niegodziwy drań!

Odepchnąwszy talerz, poderwała się z za
stołu. Jak śmie przechwalać się swym
triumfem w jej obecności!

Popatrzył na nią, a za nim inni. W
wielkiej sieni zapanowała

lodowata cisza.

- Usiądź - rozkazał. - Zaraz do ciebie
przyjdę. - Odwrócił

się znów do swoich ludzi.

Te parę szorstkich słów podziałało na nią niczym smagnięcie

bicza. Bez zastanowienia odepchnęła krzesło i wyprostowana, z uniesionym dumnie podbródkiem, ruszyła do wyjścia. Przymaszerowała tak przez całą sień, podtrzymując spódnicę, żeby nie krępowała jej kroków. Wiedziała, że

nie pozwoliłby jej tak po prostu wyjść. Ale też nie miał

prawa jej rozkazywać i musiał sobie szybko przyswoić tę

naukę.

Otworzyła jedno skrzydło drzwi,

przestąpiła próg i zeszła po

schodach. Dopiero na dziedzińcu uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, dokąd zmierza. Brama była wprawdzie zamknięta, lecz nie zasunięto sztaby, więc skierowała się w tamtą stronę.

- Nie możesz opuszczać zamku! -
zawołał po walijsku

strażnik. - Nikomu nie wolno!

- Idź do diabła - mruknęła pod nosem.
Serce jej waliło jak

oszałałe. Czyżby Rhys pozwalał jej
uciec? Naparła ramieniem

na potężne skrzydło bramy.

- Nie możesz wyjść - powtórzył strażnik, schodząc z muru

i zbliżając się do niej pośpiesznie.

- Tylko spróbuj mnie tknąć, a każę ci odciąć rękę - warknęła.

Skąd jej przyszła do głowy tak niedorzeczna groźba? Tak czy

inaczej, wypowiedziała ją całkiem poważnie.

Strażnik przetarł usta brudną dłonią.

- Nie mogę cię wypuścić - upierał się,

kręcąc głową.

Brama uchyliła się ze skrzypieniem zawiasów. Zacheęcona

tym Izolda spróbowała jeszcze raz, naciskając całym ciężarem

na grube dębowe deski. Strażnik wyciągnął rękę i na powrót

zamknął bramę, niweczając jej wysiłki.

- Wynoś się! Odejdź ode mnie! - krzyknęła piskliwie.

Jeszcze parę centymetrów i mogłaby się wyśliznąć na zewnątrz.

- Wracaj na swoją pozycję, Tadd. Ja się tym zajmę.

Izolda wzdrygnęła się na dźwięk znieawidzonego głosu.

Kiedy strażnik posłusznie się usunął, nie spojrzała na Rhysa,

tylko wykorzystała moment, by ponowić próbę ucieczki.

- Może powinienem ci powiedzieć to samo, co powiedziałem

Osbornowi - odezwał się spokojnie Rhys.

Dziewczyna nie przestawała pchać.

Powoli brama znów

zaczęła się uchylać, centymetr po centymetrze. Szpara była już

prawie wystarczająco szeroka, kiedy sięgając ponad ramieniem

Izoldy, Rhys otworzył bramę niemal na oścież.

- Powiedziałem mu, że twoje bezpieczeństwo zależy od

jego zachowania - rzekł z ustami tuż przy jej uchu.

Znieruchomiała. Most za bramą był opuszczony. Droga

prowadziła po kamienistym zboczu
prosto do wsi. Widziała

studnię i porośniętą trawą plac. Kryte
strzechą domy w porannym świetle
wyglądały tak jak zawsze. Z kominów
unosił się dym. Wszystko wydawało się
tak dobrze znajome i budziło

pokusę ucieczki. A jednak słowa Rhysa,
zawierające groźbę,

powstrzymały Izoldę.

- Chcesz powiedzieć, że ukarałbyś go za
coś, co ja mogłabym

zrobić?

- Owszem. Na tym właśnie polega trzymanie zakładników -

dodał tonem wyjaśnienia. Przytrzymał przed nią otwarte skrzydło

bramy. - Twój wybór.

- Mój wybór? - Powoli oderwała wzrok od wiejskich

zabudowań i przeniosła na człowieka, który ją oszukał, wykorzystał, ukradł jej niewinność. - Przecież to oczywiste, że nie mam wyboru. Nie masz zamiaru wypuścić mnie z Rosecliffe.

Zwlekał chwilę z odpowiedzią.

- Źle mnie oceniasz, Izoldo. Pozwolę ci wybierać, choćby

dlatego, bym mógł zaspokoić ciekawość. Zostaniesz, dzieląc

los swoich ludzi? Czy uciekniesz, zostawiając Osborna i innych,

żeby ponieśli konsekwencje twojej dezercji? - Machnął ręką. -

Idź. Idź, jeśli taka jest twoja wola.

Jakże wielką miała ochotę to zrobić! Jak bardzo chciała

pobiec przed siebie, jak najdalej od niego. Ale mu nie ufała,

a poza tym nie mogła porzucić Osborna, narazić go na dodatkowe cierpienia po tych, których już doświadczył.

- Co mu zrobisz?

Uśmiechnął się. W osłoniętej cieniem twarzy jego zęby

wydawały się jeszcze bielsze. A oczy miał czarne jak grzech.

- A czemu miałabyś się tym przejmować? - Obrzucił ją od

stóp do głów bezczelnym spojrzeniem, pod którym aż zadrżała.

Nogi same rwały jej się do ucieczki.

Patrzył na nią okiem

władcy, który wie wszystko o swoim
poddanym. To był ten

sam mężczyzna, z którym spędziła
ostatnią noc, minstrel, który

oczarował ją bez reszty. Mężczyzna,
któremu oddała dziewictwo.

Jednoczenie był walijskim
buntownikiem, znieawidzonym
wrogiem. A teraz nienawidziła go
bardziej niż kiedykolwiek.

Odwróciła się plecami do wsi,
wabiącej wolnością, i stanęła

twarzą do zamkowego dziedzińca. Po

raz pierwszy w życiu to

miejsce wydało jej się obce. Było jej domem i więzieniem

zarazem.

Westchnęła głęboko.

- Nie jestem tchórzem, żeby porzucić swoich ludzi. Poza

tym - dodała cierpko - i tak nie pozwoliłbyś mi odejść. Jestem

zbyt ważnym zakładnikiem, odgrywam zbyt ważną rolę w twoim

szalonym planie.

Wzruszył ramionami, uśmiechając się przy tym półgębkiem.

- Może masz rację. Ale nigdy nic nie wiadomo na pewno.

Nie miała ochoty dłużej go słuchać, więc zawróciła w stronę

twierdzy. Zatrzymał ją, chwytając za ramię, i zmusił, by na

niego spojrzała.

- Chcę, żeby życie w zamku toczyło się dalej normalnie.

- Normalnie? Nie jest normalne...

Potrząsnął nią mocno, żeby umilkła.

- Wszystko ma być tak jak dotąd. Praca w kuchni. Uprawa

ziemi. Pranie, wyrób świec i piwa.

- Chyba oszalałeś, skoro wierzysz, że cokolwiek może iść

tak jak dawniej!

- Zrobisz, co mówię, Izoldo. Widziałem, jak zarządzasz

zamkiem. Robiłaś to wcześniej.

Będiesz robić nadal.

- Bez pomocy męskiej służby? Kto ma

zarzucać sieci i je

opróżniać? Kto ma rąbać drewno i nosić wodę? A co z ptasznikiem? I ze stajennymi?

- Będiesz ich miała z powrotem już wkrótce.

- Kiedy? - Rzuciła mu pełne złości spojrzenie.

- Kiedy złożą mi przysięgę na wierność.

- Ha! Niedoczekanie. - Próbowwała mu się wyrwać, ale

trzymał zbyt mocno.

- Doczekam się - wycedził przez zęby.

— Gdy ludzie

zobaczą, że ty jesteś mi posłuszna, sami także się opamiętają.

- Niedoczekanie - powtórzyła. - Nigdy nie będę ci posłuszna.

Odpowiedział uśmiechem na jej złość.

- Tak ci się tylko wydaje. Moje doświadczenie mówi

mi coś wręcz przeciwnego. Mam wrażenie, że dasz się namówić niemal na wszystko. Z pewnością nie zapomniałaś ostatniej nocy.

Miała ochotę wydrapać mu oczy! Dusiała się ze wstydu.

Owszem, pamiętała ostatnią noc. I gorzko żałowała, że nie

może jej zapomnieć.

Choć twarz paliła ją rumieńcem, wytrzymała jego kpiące

spojrzenie.

- Tej nocy popełniłam fatalną pomyłkę co do ciebie. Uwierzyłam w to, co widziałam na wierzchu, a byłam zbyt głupia, by zajrzeć głębiej. Ale teraz odkryłam, jaki jesteś naprawdę,

i już nigdy, nigdy nie dam się namówić
na popełnienie tego

samego błędu.

Poruszył palcami, jakby chciał zacisnąć
dłonie w pięści.

Przez moment zdawało jej się, że zraniła
go swymi słowami,

bo w jego oczach pojawił się jakiś
nowy wyraz. Zaraz jednak

uśmiechnął się zimnym, drapieżnym
uśmiechem i doszła do

wniosku, że tylko jej się przywidziało.
To, co powiedziała, nic

dla niego nie znaczyło. Dla takich jak on
słowa w ogóle się

nie liczyły. Był przecież człowiekiem
wojny. Przez całe życie

żywił się nienawiścią, więc był nią
nasycony.

Puścił dziewczynę, lecz nim,
oszołomiona, zdążyła się odsunąć,
dotknął jej podbródka.

- Nie osądzaj się zbyt surowo, Izoldo.
Chciałabyś mnie

nienawidzić. Wiem. Ale nadejdzie
dzień, kiedy twoje prawdziwe

uczucia wezmą górę nad nienawiścią.

- Nigdy! - zachnęła się.

- Wkrótce. - Rzucił za nią, kiedy już biegła przez dziedziniec.

Wkrótce.

Udało jej się uciec od jego obecności, lecz to jedno słowo

wciąż biegło za nią. Wkrótce.

Powtarzała sobie w duchu, że on się myli. Całkowicie

się myli.

Rhys patrzył za oddalającą się Izoldą,
dopóki nie zniknęła

w zamku.

Tak było lepiej.

Natrząsać się z córki wroga i czerpać z
tego przyjemność...

cóż, niby nic w tym złego. Ostatecznie,
był to jeden z przywilejów zwycięzcy.
Tylko że ta dziewczyna budziła w nim
uczucia, których wcale nie chciał.

Uniósł rękę, żeby się pogładzić po
brodzie, i zaskoczony,

natrafił na gładki policzek.

Wykorzystywanie przez zwycięzcę

kobiet należących do wroga także było uznawane za naturalne.

Przez ostatnie dziesięć lat zaznał przyjemności od wielu szlachetnie urodzonych Angielek. Sytuacja nie była więc dla niego nowa. Ale ta kobieta miała w sobie coś, co sprawiało, że czuł się inaczej niż dotąd.

Może chodziło o to, że nosiła nazwisko FitzHugh?

Wpatrywał się w zamknięte wrota prowadzące do zamku. Teraz

to był jego zamek. Jego twierdza.
Zdobył ją i zamierzał utrzymać.

Jeśli zapragnie, może zdobyć także
Izoldę. I zatrzyma ją

przy sobie dopóty, dopóki będzie
budziła w nim pożądanie.

Przecież nie znaczyła dla niego więcej
niż każda inna dziewczyna. Może nawet
mniej. Pewnego dnia odeśle ją z
Rosecliffe.

Wcześniej jednak jej ojciec i stryj
polegną z jego ręki.

Dopiero wtedy rachunki z rodem
FitzHugh będą wyrównane.

Koszmar dopiero się zaczął. Izolda
znała swoje powinności;

należała do lordowskiej rodziny, więc
musiała służyć swoim

ludziom otuchą i wzorem dzielności.
Choć w środku kipiała

buntem, robiła to, co nakazał jej Rhys ap
Owain. Wstrętny typ

o imieniu Dafydd snuł się za nią jak
pies, nie odstępując nawet

na krok. Kazała służbie wrócić do
pracy, do sprząwania, gotowania i prania.
To wszystko były głównie kobiece
zajęcia.

Żaden mężczyzna nie przybył ze wsi,
żeby reperować skórzana

uprząż czy pleść powrozy z tłuczonej
trzciny i surowego lnu.

Nikt nie strugał klepek na beczki. Nikt
nie pracował w kuźni.

Ale jedzenie zostało ugotowane i kiedy
rozległy się dzwony

na południe, posiłek został podany.

Izolda wołała nie wchodzić do wielkiej
sieni, bo nie chciała

siedzieć obok Rhysa, lecz strażnik był
nieustępliwy.

- Ruszaj do zamku - rozkazał. - Ta
grzęda pietruszki ci nie
ucieknie.

- Nie jestem głodna - odparła, nie
przerywając wyrywania
chwastów.

- Ale ja jestem. - Dafydd załapał jej
ramię i ścisnął jak
kleszczami. - No, chodź.

- Jak śmiesz! Puść mnie, podły łotrze!

- Jestem głodny - warknął, popychając
ją przed sobą. -

Rusz tyłek!

Udało mu się ją doprowadzić tylko do
furtki ogrodu, gdzie,

oparta o płot, stała łopata. Niewiele
myśląc, Izolda chwyciła

ją, wzięła szeroki zamach i zdzieliła
przeciwnika w nogę,

trafiając poniżej kolana.

- Uch! - sapnął zaskoczony i zwolnił
uścisk. Otrzymawszy

drugi cios, tym razem w czubek głowy,
padł na ziemię niczym

ścięte drzewo.

Z oddali ktoś zawołał, sądząc po kierunku, z którego dobiegał

głos, jeden ze strażników przy bramie. Izolda wpatrywała się

w leżącego Walijczyka, pełna najpierw słusznego gniewu...

a potem strachu. Czyżby go zabiła?

Odrzuciwszy łopatę, pochyliła się nad zwiniętym u jej stóp

człowiekiem.

- Do diabła! - rozległ się krzyk Rhysa z

drugiego końca

dziedzińca.

Poderwała głowę, sztywna z
przerażenia, i patrzyła, jak

biegnie ku niej. Dobry Boże, ależ się
doigrała!

- Do diabła! - zaklął ponownie i
rzuciwszy jej zimne

spojrzenie, pochylił się nad strażnikiem.
- Dafydd. Dafydd!

Słyszysz mnie?

Odpowiedział mu głuchy jęk. Mimo

gniewu Izoldę ogarnęła nieopisana ulga. Nienawidziła ludzi, którzy zawładnęli Rosecliffe, ale nie była gotowa zabijać ich własnymi rękami.

Ranny znów jęknął i usiadł, łapiąc się za głowę.

- Ja krwawię! - Pokazał Rhysowi czerwoną od krwi rękę,

spoglądając przy tym oskarżycielsko na Izoldę. - Rozpłatała

mi głowę łopata... i to bez powodu.

Rhys podniósł się i wbił wzrok w dziewczynę, podobnie jak

inni, którzy zbiegli się, żeby sprawdzić, co się dzieje.

- Jeśli planujesz nas pozabijać pojedynczo, jednego po

drugim, Izoldo, to posłuchaj mojej rady. Znacznie lepiej ci

pójdzie, jeśli będziesz atakować nocą, a nie w środku dnia,

kiedy wszyscy mogą cię widzieć.

Jego kompani zarechotali, wszyscy poza poszkodowanym.

- Nie pozwolę, żeby te twoje zbiry mną poniewierały -

oświadczyła ze złością.

- Poniewierały? - Uwaga Rhysa nagle przeniosła się na

strażnika.

- Nic nie zrobiłem - zaprotestował Dafydd, podnosząc się

szybko z ziemi. - Był czas na obiad, a ja byłem głodny. To

wszystko.

Mięśnie na szczęce Rhysa zadrgały. Izolda zauważyła ich

nieznaczny ruch oraz to, że gniew Rhysa

przeniósł się z niej

na gburowatego Walińczyka. Jakby
wyczuwając niekorzystny

obrót sytuacji, strażnik cofnął się o krok.

Izoldzie zakręciło się w głowie od
natłoku myśli. Nie tego

się spodziewała. To ona była więźniem,
a tymczasem złość

Rhysa skupiła się na strażniku.

- Dość tego - warknął. Następnie
zwrócił się do niej: -

Opatrz mu głowę, a potem wracaj do

wielkiej sieni i usiądź

przy głównym stole, tak jak zwykle. A ty
- powiedział do

Dafydd - idź z nią, a później zjedz
obiad.

Jednym surowym spojrzeniem odprawił
gapiów. Sam także

się oddalił i Izolda z zakrwawionym
strażnikiem znów zostali

sami w przykuchennym ogródku.

Patrzyła za odchodzącym

Rhysem, nie wiedząc, jak ma rozumieć
jego zachowanie.

Walijczyk podniósł łopatę i odrzucił ją
w odległy koniec

ogrodu. Jego gest nie zdziwił jej; mogła
sobie wyobrazić, jak

nieszczęśnik się czuje.

- Chodź - mruknęła.

- Niczego od ciebie nie potrzebuję -
rzekł z urazą. - Ale

ci tego nie zapomnę. Należy ci się
nauczka.

Izolda nie odpowiedziała na groźbę; w
milczeniu ruszyła

w stronę spiżarni. Bez wątpienia zyskała
w nim wroga.

Ale w końcu wszyscy oni byli jej
wrogami. Kiedy jednak

po chwili pojawił się w spiżarni,
zrozumiała dwie ważne

rzeczy.

Po pierwsze, Rhys ap Owain rządził
swymi ludźmi żelazną

ręką. Wystarczyło jedno jego spojrzenie,
uniesienie brwi lub

spokojnie wypowiedziany rozkaz, by
robili, co trzeba. Płynął

z tego jasny wniosek: należało
wypełniać jego polecenia albo

ponosić odpowiednie konsekwencje.

Po drugie, musiała uważać na tego
Dafydd. Patrzył na nią

z taką miną, że aż ciarki chodziły jej po
plecach. Próbowwała

mu odpowiadać hardym spojrzeniem,
lecz ręce jej się trzęsły,

kiedy mieszała w misce startą olchową
korę i suszone zioła

z olejem i topionym woskiem pszczelim.

- Masz. - Podała mu miskę. - Najpierw
oczyść ranę, a potem

ją tym nasmaruj.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Sama to zrób.

- Nie ma mowy. - Postawiła przed nim
naczynie z wodą

i małą czarękę z ługiem. Nie miała
zamiaru dotykać tego

parszywego drania. Z ociąganiem zabrał
się do rzeczy, a kiedy

syknął z bólu, poczuła cień żalu.

- Przykro mi -powiedziała, ale zabrzmiało to mniej szczerze, niżby sobie życzyła. Nadal uważała go za łajdaka, lecz nie potrzebowała dodatkowej wrogości.

Zerknął na nią spode łba.

- Powiedziałam, że mi przykro. Nikt cię nie uczył dobrych

manier?

Przyjrzał jej się z zaciekawieniem, na dłużej zatrzymując

wzrok na jej piersiach.

- Mówisz, że ci przykro? Więc może mi

to jakoś wynagrodzisz?

Izolda spojrzała na niego z odrazą i ruszyła do drzwi.

- Mam nadzieję, że rana zropieje i głowa ci odpadnie. - Po

tych słowach, z uniesioną dumnie głową i zaciśniętymi zębami,

opuściła spiżarnię. Jednak w środku aż się trzęsła ze złości.

Nienawidziła go. Nienawidziła ich wszystkich, a najbardziej

ich podłego przywódcy!

Nie mogła okazywać lęku. Nie mogła
pokazać, jak jest

wyczerpana, bo właśnie tego się po niej
spodziewali. Musiała

być dzielna i silna. I musiała panować
nad emocjami, bo jej

ludzie na niej polegali.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Bo
kiedy Izolda weszła do

wielkiej sieni, powitała ją głucha cisza.
Dziesiątki głów zwróciły

się w jej stronę; dziesiątki par oczu
prowadziły ją krok za

krokiem, gdy zmierzała na miejsce. Stali mieszkańcy zamku byli

zagubieni i wystraszeni. Walijscy najeźdźcy zachowywali się

butnie. A najbardziej butny z nich był Rhys ap Owain.

Nie patrząc na niego, Izolda przeszła między stołami, zatrzymując się tu i ówdzie, jakby to był zwykły posiłek, taki sam jak wszystkie inne. Zagadnęła pomocnika kredensowego,

dwunastolatka, któremu kazano dbać o zamkowe naczynia;

spytała o coś kobietę, która przejęła

obowiązki ochmistrza.

Sprawdziwszy zawartość dzbanów, skinęła na paziów, żeby je

napełnili. Dziewczyny usługujące przy stołach paradowały

przed nią z tacami, żeby mogła ocenić po kolei każde z podawanych dań.

Stopniowo salę zaczęły wypełniać różne dźwięki: przyciszone głosy, stuk kubków o blaty stołów. Walijskie głosy

brzmiały donośniej, ale angielskich było więcej i po jakimś

czasie zaczęły dominować.

Dopiero wtedy Izolda zajęła swoje miejsce. Rhys wstał

i odsunął jej krzesło, więc, choć niechętnie, musiała mu

podziękować.

- Dobrze się spisałaś - pochwalił, napełniając jej kielich

winem.

- Nie musisz mnie chwalić za to, że zachowałam się zgodnie

z naukami moich rodziców.

- Mimo to pochwalam. - Skinął na pазia.

- Podaj swojej

pani najlepszy kawałek kuraka. Żeby mięso było delikatne.

- Nie mam nastroju do jedzenia.

Chłopiec przystanął, bezradnie popatrując zatroskanym wzrokiem to na nią, to na przywódcę Walińczyków.

- Mimo to zjesz - powiedział Rhys, własnoręcznie napełniając jej talerz.

- Taka będzie twoja odpowiedź na każdą moją odmowę? -

rzuciła ze złością.

Rhys odprawił pazia ruchem ręki.

Potem, wsparty łokciem

na poręczy lordowskiego krzesła,
nachylił się ku dziewczynie.

- Możesz mi odmawiać, Izoldo. Bez
wątpienia chciałybyś

to robić za każdym razem. Ale w końcu
mnie usłuchasz... we

wszystkim. Możesz mi się sprzeciwić,
ile chcesz, jeśli taka

twoja wola. Ale wiedz jedno: ja zawsze
będę tym, który

zwycięża. - Nabił kawałek mięsa na

koniec noża i spokojnie

zaczął się posilać.

Izolda zapomniała o swym
postanowieniu, by nie okazywać

uczuć. Posunął się za daleko!

- Będiesz żałował tego dnia do końca
swego krótkiego

życia - przysięgła, zrywając się z za
stołu.

Uśmiechnął się szeroko. W nagle
zapadłej ciszy jego głos

niósł się donośnym echem.

- Tak myślisz? Jednego nigdy nie będę
żałował... minionej

nocy. - Szarpnął ją za ramię, zmuszając,
by usiadła, po czym

dodał szeptem, przeznaczonym
wyłącznie dla jej uszu: - Ani

żadnej z tych, które nadejdą.

12

Przez resztę dnia Rhys nie spuszczał Izoldy z oczu. Wiedział, że to niezbyt mądre, ale nie potrafił się powstrzymać.

Nie podobało mu się, że Dafydd popatruje na nią z wyraźną

niechęcią, kazał więc Linusowi i Gandy'emu dopilnować, by

nikt jej nie zaczepiał. Później rozkazał, by sprowadzono mu

ochmistrza i poprzedniego kapitana straży. Z tym pierwszym

chciał przejrzeć zamkowe księgi. A

Osborn miał być świadkiem

łagodnego przejścia Rosecliffe z rąk angielskich w walijskie.

Stojąc w otwartych drzwiach komnaty, Rhys patrzył, jak

obaj mężczyźni wchodzą do wielkiej sieni w asyście trzech

strażników. Nie uszło jego uwagi zadowolenie Izoldy, która

odłożywszy robótkę, rzuciła się w rozpostarte ramiona Osborna.

Rhys potarł brodę, pokrytą świeżym szorstkim zarostem. Nie

można było zarzucić tej dziewczynie
bezduszości czy braku

współczucia dla swoich ludzi.

Obserwując jej spotkanie ze

starym rycerzem i nerwowym
ochmistrem, przekonał się, że

ich zażyłość jest serdeczna i szczerą.

Izolda nie była zimną angielską suką,
tego Rhys był pewien.

W jej usposobieniu dawała znać o sobie
walijska krew matki.

Jednakże wychowywała się w rodzinie
angielskiego lorda,

ludzie, z którymi się teraz ścisnęła, byli angielskimi najeźdźcami

na walijskiej ziemi, a ona dawno temu wyparła się Walii.

Gdyby mogła go pokonać, z pewnością by to zrobiła. Nie

wolno mu było nigdy o tym zapominać.

Wyszedł z komnaty, uznając, że nadszedł odpowiedni moment, by ujawnić swoją obecność. Osborn dostrzegł go pierwszy i wyprostował się, a po nim pozostała dwójka odwróciła głowy,

żeby na niego spojrzeć. Rhys musiał opanować odruch gniewu,

kiedy Izolda przywarła do starego rycerza, który przygarnął ją

do siebie opiekuńczym gestem.

- Mielście dość czasu dla siebie - powiedział Rhys. -

Teraz musimy omówić pewne sprawy.

- Jakie sprawy? - zainteresowała się dziewczyna.

Rhys, który poprzednio mówił do Osborna, teraz zwrócił się

do niej:

- Męskie sprawy.

Jej podbródek wyraźnie się uniósł.

- Wszystko, co dotyczy tego zamku, jest także moją sprawą.

Ochmistrz jęknął. Osborn uścisnął dziewczynę pokrzepiająco.

- Bądź spokojna, Izoldo. Odo i ja wszystkim się zajmiemy.

- Tak, bądź spokojna - powtórzył za nim Rhys, rozbawiony

błyskiem złości w jej oczach. - Masz swoje obowiązki, więc

się nimi zajmij.

Nawet nie próbowała ukryć
wściekłości. Jej gładkie jak

porcelana policzki zabarwiły się
rumieńcem, z oczu leciały

gromy. Zwinęła dłonie w pięści, żeby
się opanować. Rhys

widział, jak dziewczyna zaciska zęby,
kiedy Osborn szepnął

jej coś do ucha. W końcu kapitan straży
poklepał ją po ramieniu

i lekko odepchnął.

Rhys z upodobaniem patrzył, jak Izolda
się oddala, wdzięcznie

kołysząc biodrami; brzeg długiej spódnicy unosił się przy

każdym jej kroku. Była uosobieniem kobiecości - drobna, lecz

silna, szczupła, ale kształtna, delikatna, a jednocześnie twarda

jak krzemień. Przypomniawszy sobie, że czeka go ważne

zajęcie, szybko się odwrócił.

Osborn, który także obserwował odejście Izoldy, wbił w Rhy-

sa ostre spojrzenie.

- Tylko tchórz atakuje wroga poprzez jego dziecko... i do

tego dziewczynkę!

- Ona nie jest już dzieckiem - zauważył Rhys lekkim

tonem. Miał ochotę się roześmiać na widok miny kapitana. -

Ale dość o tym. Musimy porozmawiać.

- O okupie? - mruknął Osborn.

- Nie potrzebuję waszych angielskich pieniędzy. Mam ich

mnóstwo. Uczciwie zarobionych -

dodał.

Osborn przyjrzał mu się z uwagą.

- Tak. Słyszeliśmy o twojej waleczności, zarówno na polu

bitwy, jak i na turniejach. Jesteś najemnikiem i wysoko się

cenisz. Nie przyszło ci nigdy do głowy, komu zawdzięczasz

swoje świetne wykształcenie?

- Zawdzięczam? - Rhys zaśmiał się bez wesołości. - Twój

pan wysłał mnie do zamku Barnard, żeby

mnie odciąć od

ojczyzny. Odesłał mnie tam, żebym
ucierpiał z rąk Anglików,

bo nie miał dość odwagi, by mnie
ukarać osobiście. Wysłał

mnie tam w nadziei, że nie przetrwam. A
że mi się udało...

i do tego się wzbogaciłem, to nie jego
zasługa. Niczego nie

jestem winien ani jemu, ani jego bratu,
poza jednym. Zemstą.

I na pewno jej dokonam!

Osborn przyjął słowa Rhysa bez mrugnięcia okiem, ale Odo

aż się skulił. Trzej strażnicy, którzy towarzyszyli angielskim

więźniom, poruszyli się niespokojnie. Linus z Gandym, trzymający się blisko Izoldy, także usłyszeli groźbę. Linus aż przystanął z wyrazem namysłu na okrągłej twarzy.

- Widziano statek - odezwał się do Rhysa, przerywając

pełną napięcia ciszę. - Glyn wypatrzył żagle.

Rhys drżał od powstrzymywanej złości.

- Najwyższy czas - mruknął. Następnie oświadczył obu

Anglikom: - Nie jestem zainteresowany okupem. Wyrzucam

was z Rosecliffe, wyrzucam was z tego zamku i z tego kraju.

- Co?

- Pozwalasz nam odejść? - przemówił wreszcie ochmistrz

z wyraźną ulgą w głosie.

- Wy i cała reszta, nie przynależąca z urodzenia do tej

ziemi, odejdziecie.

- Nie możesz nas tak po prostu wyrzucić
- zaczął Odo.

- Mogę. Ci spośród was, którzy mają walijskie żony, mogą

zostać pod warunkiem, że złożą mi przysięgę na wierność.

Statek już jest na miejscu. Jutro odpływacie.

Osborn zastanowił się chwilę, nim zabrał głos.

- Dokąd nas wysyłasz?

- Do Tintagel.

- Tintagel!- wykrzyknął Odo.- Przecież to strasznie

daleko!

- Kto ma płynąć? - zapytał spokojnie Osborn. - My wszyscy?

Rhys doskonale wiedział, kogo Osborn ma na myśli.

- Ona zostaje - rzekł krótko.

Odo instynktownie przytrzymał kapitana za ramię, choć

okazało się to całkiem niepotrzebne.

Stary rycerz nie wybuchnął

słusznym gniewem, tylko przechyliwszy na bok głowę, spytał:

- Dlaczego chcesz ją zatrzymać?

Rhys skrzyżował ramiona na piersi.

- A jak ci się zdaje?

- Sam nie wiem. Może chodzi o coś więcej niż to, co

oczywiste. Dlaczego Tintagel? - zmienił temat.

- FitzHugh się tego nie spodziewa. Przybędzie tu z garstką

ludzi i nie znajdzie żadnego wsparcia.
Pokonam go - oświadczył

Rhys z mocą. - Pokonam jego i jego
brata.

Stary dowódca straży także splótł
ramiona na piersi, przybierając taką
samą pozę jak jego walijski przeciwnik.

- Zatem co zamierzasz wobec Izoldy?

Rhys przyjrzał mu się z zaciekawieniem.
Choć niemłody,

kapitan trzymał się dziarsko i miał dość
mądrości, by w pełni

rozumieć swoje położenie. Był lojalny

wobec lorda FitzHugh

oraz jego dzieci.

- Jest po części Walijką - odpowiedział Rhys ze wzruszeniem ramion. - Jeśli zdoła odrzucić swoje angielskie wychowanie, może wydam ją za jakiegoś porządnego Walijszyka.

Kogoś, kto wybije jej z głowy dumę - dodał, umyślnie prowokując Osborna.

Nie poskutkowało. Kapitan westchnął ciężko, rozglądając

się nieco wyblakłymi oczyma.

- Wzięłeś w posiadanie dobrą twierdzę,

dobry dom. - Wbił

w Rhysa twarde spojrzenie. - Wyciągnij z tego naukę. Naucz

się, że lepiej jest budować, niż burzyć.

Rhys parsknął śmiechem.

- Zatem poddajesz mi się. Bez żadnego oporu. Spodziewa

łem się po tobie czegoś więcej - zadrwił.

Zamiast gniewu doczekał się jedynie przeciągłego spojrzenia.

- Ciesz się swoim zwycięstwem, synu.

Dopóki trwa. - Po

tych słowach Osborn odwrócił się i ruszył z powrotem do lochu.

Rhys patrzył za nim; choć niechętnie, musiał przyznać, że

stary rycerz zrobił na nim wrażenie. Ruchem ręki dał znak

strażnikom, by podążyli za Osbornem.

- Chcę przejrzeć twoje księgi - zwrócił się do ochmistrza.

Coś kazało mu się obejrzyć za kapitanem. Osborn coś

wiedział. Musiał wiedzieć. Inaczej nie
byłby taki spokojny.

Ale o co mogło chodzić? I dlaczego nie
okazywał większej

troski o los Izoldy?

Rozejrzawszy się po wielkiej sieni,
Rhys dojrzał ją obok

kominka, zerkającą ponuro w jego
kierunku. Nad jej głową

wisiał ogromny proporzec,
przedstawiający wilka, potężną

bestię, w otoczeniu róż. Tak, od tego
należało zacząć. Bez

zastanowienia ruszył w jej stronę. Linus siedział w pobliżu na

krześle z Gandym, wyjątkowo milczącym, u boku. Kiedy Rhys

się zbliżył, Izolda chwyciła pogrzebacz i trzymała go przed

sobą, niczym oręż.

- Jaki człowiek wyrzuca ludzi z ich własnego domu?! -

zawołała roztrzęsiona.

- Jaki człowiek kradnie cudze domy? - odpalił.

- Jeśli to ma być aluzja do mego ojca, to on niczego nie

ukradł! Wybudował nową wieś, otwartą dla każdego, i twierdzę,

która chroni zarówno Walijczyków, jak i Anglików.

- Ani jedno, ani drugie nie jest nam potrzebne! - Wyrwał

jej pogrzebacz z rąk i odrzucił w drugi koniec sieni. Jeden

z psów, nagle obudzony, podniósł się i zaczął ujadać. Kot

wskoczył na stół i stał wygięty w łuk, z

ogonem nastroszonym

ze strachu.

Izolda poczuła się tak jak ten kot, kiedy Rhys stanął tuż

przed nią, przerażona i wściekła. Była gotowa z nim walczyć,

ale tak naprawdę miała ochotę uciekać.

- Ten gobelin. - Wskazał na ścianę nad jej głową. - Ściągnij

go i spal. A potem zrób mi podobny ze smokiem. To symbol

Walii - dodał tonem wyjaśnienia. - Na

wypadek, gdybyś nie

wiedziała.

- Wiem o Walii tyle samo co ty -
obruszyła się, zapominając

o ostrożności. - Może nawet więcej.

- Może więcej. - Zaśmiał się ironicznie.

- Skoro tak dobrze

znasz historię i tradycje naszego kraju,
jak twierdzisz, to mogę

wierzyć, że dobrze wywiążesz się z tego
zadania.

- Stworzenie gobelinu wymaga wiele

czasu. Jeszcze dobrze

nie zacznę, kiedy już cię tu nie będzie -
stwierdziła zaczepnie.

- No to namaluj tu smoka. I jeszcze
jednego w mojej

komnacie. Nad łóżem.

Cięta odpowiedź zamarła jej na ustach,
kiedy wspomniał

o swojej komnacie i łóżu. W dodatku
wpatrywał się w nią

palącym spojrzeniem, jakby chciał jej
przypomnieć to wszystko,

co się tam wydarzyło. Czy możliwe, że było to nie dalej niż

zeszłej nocy?

- W mojej komnacie - mówił dalej -
masz wymalować

smoka zwyciężającego wilka.

- Nigdy nie zwyciężysz mego ojca -
rzuciła dumnie.

Uśmiechnął się znacząco.

- To nie twego ojca ma mi przypominać
to malowidło.

Poczerwieniała na twarzy; brakło jej

tchu, serce zadudniło.

- Nie namaluję... czegoś takiego -
wydukała.

- Ależ tak, namalujesz, Izoldo. -
Podszedł jeszcze bliżej,

wciąż uśmiechnięty. - Smok na górze,
wilk pod nim.

- Czy smok zije ogniem? - wyskoczył z
pytaniem Gandy.

Dziewczyna zwróciła się do niego z
wdzięcznością, że może

uniknąć natarczywego spojrzenia Rhysa:

- To tylko legenda.

- Smoki są tylko legendą - potwierdził Rhys.

- Ale statek jest całkiem prawdziwy - przypomnieli im

Linus.

Izolda miała ochotę uściskać obydwu, olbrzymia i karła, za

to, że zaprzętnęli uwagę Rhysa innymi sprawami.

- Wystarczy, kiedy Tillo odgrywa rolę mojego sumienia -

rzekł Rhys tonem ostrzeżenia do swych kompanów. - Nie ma

potrzeby, żebyście i wy do niego dołączali.

Przyjęli reprimendę w milczeniu. Na szczęście dla Izoldy nie

odeszli. Najbardziej obawiała się pozostania sam na sam

z Rhysem. A wszystko wskazywało na to, że do tego dążył, skoro

statek miał zabrać wszystkich angielskich mieszkańców zamku.

Zebrała się w sobie, przygotowana do

dalszej walki.

- Jest to dla mnie niespodzianka, że w ogóle masz coś

takiego jak sumienie - zaatakowała. -
Jeśli chcesz się pozbyć

przeciwników, to ja pierwsza powinnam trafić na pokład tego

statku.

- Miałaś okazję opuścić zamek dziś rano. Nie pamiętasz? -

Dotknął jej podbródka.

Zachnęła się gwałtownie.

- Zostałam, żeby zapewnić bezpieczeństwo Osbornowi.

Gdybym wiedziała, że i tak planowałeś go odesłać...

- Ty zostajesz - uciął krótko.

- Dlaczego?! - wykrzyknęła.

Chwycił ją za ramiona i pochylił się, tak że ich twarze

znalazły się na tej samej wysokości.

- Bo ja tak chcę.

- Ale dlaczego? - Pytanie wypłynęło z jej ust, nim zdążyła

się powstrzymać. - Nie - dodała szybko.
- Nie chcę słyszeć

odpowiedzi.

Wyprostował się, zaciskając palce na jej ramionach. Następnie przyciągnął ją do siebie, wzbudzając w niej jeszcze większą trwogę.

- Pomaluj ścianę w mojej komnacie, Izoldo. Zaczynij od

razu - rozkazał. Puścił ją i wskazał ręką na schody. - Zabierz

farby, pędzle i idź.

Poszła.

Nie dlatego, by wypełnić rozkaz, lecz by uciec. Za załamem

schodów przystanęła, ganiąc się w duchu za tchórzostwo.

Dyszząc ciężko, oparła się plecami o kamienną ścianę. Sytuacja

była beznadziejna! Nie było dla niej ucieczki. Zamierzał

odesłać z zamku wszystkich, którzy byli jej bliscy, i choć

z jednej strony cieszyła się, że nic gorszego ich nie spotka, że

są bezpieczni, z drugiej tym bardziej

bała się o siebie. Co

mogła zrobić?

I co on zamierzał z nią zrobić?

Tłumiony szloch dusił ją w gardle.

Nie mogła sobie pozwolić na lamenty i
użalanie się nad

sobą. Musiała nad sobą panować...
zwłaszcza że wszystko inne

wymykało jej się spod kontroli.

Poza malowaniem.

Zaczęła rozważać różne możliwości.

Spojrzała najpierw

w górę, potem w dół schodów. Znalazła się w pułapce. Była

jego więźniem, niezależnie od tego, czy mu się przeciwstawiała,

czy robiła to, co jej kazał.

Przyciskając dłonie do skroni, starała się skupić. Czuła

potrzebę stawiania mu oporu we wszystkim, ale może to nie

był najlepszy wybór. On tylko na to czekał i wykorzystywał

każdą okazję, żeby ją zmusić do posłuszeństwa. Spełniając od

razu jego wymagania, mogła go pozbawić tej satysfakcji.

Istniały jednak rzeczy, na które nie mogła się zgodzić,

których już nigdy więcej by nie zrobiła.

Ruszyła schodami w górę. Zabrała ze swojej komnaty pudełko

z węglem drzewnym i wspięła się wyżej, na drugie piętro, gdzie

spędziła ostatnią noc, leżąc półnaga w jego ramionach. Weszła do

środka i aż zadrżała na widok
rozrzuconej w nieładzie pościeli.

- O Boże -jęknęła, oganiając się od
natrętnych wspomnień.

Zakochała się w Reeviusie, duszą i
ciałem. A choć teraz

wiedziała, że on nie jest tym, za kogo się
podawał, jej ciało

jakby nie chciało tego zrozumieć, bo
ilekroć wracała myślami

do wydarzeń ostatniej nocy, odzywały
się w niej echa niedawnej

namiętności.

Przyciskając pudełko do piersi,
rozejrzała się. Nie mogła

tego zrobić. Nie mogła namalować tego,
czego żądał.

Odrzuciła pudełko z węglem i szybko
opuściła komnatę,

w której wciąż unosił się zapach żądz i
grzechu. Czowała

potrzebę wypowiedzenia się z tego, co
zrobiła. Musiała się jak

najszybciej zobaczyć z ojcem
Clemsonem. Ale nie mogła

ryzykować przypadkowego spotkania z

Rhysem.

Nie mając innego wyjścia, wbiegła na górę do komnaty na

wieży. Futrzana narzuta, którą wniosła tu zaledwie wczoraj,

leżała tak, jak ją zostawiła. Były też poduszki i resztki po

dwóch świecach, wypalonych aż do podstawek.

Ależ była głupia, niczym bezmyślne dziecko. Igrała z miłością

i żądzą, wcale nie myśląc o poważnych skutkach, jakie musiały

z tego wyniknąć. O ileż była teraz
mądrzejsza, choć słońce

zdążyło zaledwie raz przejść po niebie.
O ileż starsza się czuła.

Przepełniona żalem i złością, otworzyła
drzwi, prowadzące na

podest otaczający wieżę. Zamknęła
oczy, wdychając głęboko

świeże morskie powietrze. Gdyby tak
mogła cofnąć czas...

Ale to było niemożliwe. Musiała
pogodzić się z losem

i próbować ocalić, ile się da, ze swej

przyszłości. Uklęła

i pochylając głowę w modlitwie,
przysięgła sobie, że dzielnie

zniesie to, co ją czeka, i będzie silna,
silniejsza od swego

przeciwnika.

Dość silna, by wytrzymać wszystko, co
jej zrobi.

Dość silna, żeby mu się oprzeć.

13

Rhys zabębnił palcami po stole. Nie podobało mu się to,

co zobaczył. Księgi przedstawione przez ochmistrza były

czytelne i aktualne, zapisane staranną ręką. Wynikało z nich

jasno, że zamek Rosecliffe był dobrze zarządzany i dostarczał

odpowiedniego utrzymania zarówno jego mieszkańcom, jak

i ludności z wioski. Pracownicy regularnie otrzymywali zapłatę,

a stawka była taka sama dla Walijczyków i Anglików, porównywalna z tą, jaką płacono w Anglii. Co więcej, FitzHugh wymagał od swoich wasali mniej dni roboczych, niż było

przyjęte w innych miejscach.

Poirytowany Rhys przewertował pracowicie zapisane strony,

żeby się dokładniej przyjrzeć liczbom dotyczącym ubiegłego

roku. Ochmistrz Odo przyglądał mu się, niecierpliwie prze-

stępując z nogi na nogę.

Rhys wskazał palcem cyfry w jednej z rubryk.

- Co to za wydatek?

- Nowe ule dla pszczół. Dziesięć.

Rhys zmarszczył czoło, przesuwając wzrokiem w dół strony.

- A tu następne dziesięć? Czy to nie zbyt wygórowana cena

za ule?

- To są specjalne ule. Lord Rand płaci pewnym staruszkom

z Carreg Du za ich wykonanie... - Urwał,

spłoszony surowym

spojrzeniem Walińczyka.

- Staruszkom?

- Właśnie. - Odo odchrząknął. - Tym, którzy są za starzy,

żeby pracować w polu czy wykonywać cięższą pracę. Robią

ule i skręcają powrozy. Czasami też naprawiają skórzaną

uprząż. W ten sposób, mimo niedołęstwa, mogą zarabiać na

życie.

Rhys zrozumiał ostrzeżenie Glyna, że starszyzna z Carreg

Du raczej nie poprze buntu przeciwko Rosecliffe. Śmiał się

wówczas, że pewnie brak im odwagi, i w ogóle się nie przejmował. Tak czy inaczej starcy nie na wiele by się przydali, gdyby przyszło do walki. Raczej byliby zawadą.

Zatem różnica była tylko jedna - to nie tchórzostwo ich

powstrzymywało, tylko zadowolenie z istniejącego stanu

rzeczy.

Czyżby w istocie sądzili, że Rhys,
Walijczyk z krwi i kości,

nie zadba lepiej o ich potrzeby niż
Anglik? Zajęcie Rosecliffe

było nie tylko aktem osobistej zemsty.
Zrobił to także dla

walijskich rodaków. Dla swego ludu.

Znów postukał palcami o blat stołu.
Kiedy już oczyści to

miejsce z Anglików, wszystko pójdzie
lepiej niż dotychczas.

Nawet starcy z Carreg Du w końcu
dostrzegą poprawę. I będą

świętować powrót walijskich rządów...
powrót Rhysa ap Owaina

na ziemi północnej Walii.

Ponownie skupił się na zapiskach w księdze.

- A to co? - Wskazał na listę imion i sąsiadujących z nimi

liczb.

- To? - Odo nachylił się, żeby lepiej zobaczyć. - A, to są

nowe narodziny.

- Pobiera podatek od narodzin?

- To lista wydatków, milordzie, nie wpływów - wyjaśnił

Odo. - Daje prezent na chrzciny każdego dziecka urodzonego

w Rosecliffe lub Carreg Du.

- Nigdy nie słyszałem o takich zwyczajach - prychnął Rhys.

- To był pomysł lady Josselyn...

Rhys przerwał mu gestem zniecierpliwienia.

- A to co?

Dalej było tak samo. Sprawne rządy,

dobre traktowanie

i przyzwoity dochód, który szedł na różne ulepszenia w zamku

oraz we wsi. Rhys nie chciał, żeby FitzHugh okazał się dobrym

panem dla swoich ludzi, ale fakty mówiły same za siebie.

Zresztą nie trzeba było patrzeć w księgi, wystarczyło się

rozejrzeć.

To jednak niczego nie usprawiedliwiało.

Odo aż podskoczył, gdy Rhys z hukiem zatrzasnął księgę

i rozkazał:

- Przynieś sejf.

- Jest... jest tam. - Ochmistrz wskazał na rozłożysty kredens.

- Otwórz.

- Ja... nie mogę.

- Nie możesz? - Rhys zmierzył go spod surowo ściągniętych brwi.

- Do tego trzeba dwóch kluczy! - wyjaśnił przestraszony

ochmistrz.

- No to je przynieś.

- Ja mam tylko jeden.

Rhys zaczynał odczuwać zmęczenie.

- No to przynieś ten drugi. Kto go ma?

Odo przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Lady Izolda.

Rhys znalazł ją na najwyższym piętrze twierdzy, dopiero po

tym, jak zajrzał do jej sypialni, do komnaty jej rodziców -

obecnie należącej do niego - i reszty zamkowych pomieszczeń.

Kiedy w końcu wdarł się do komnaty na wieży, zastał ją

klęczącą na zewnętrznym podeście. Nie modliła się jednak,

a na jego widok nawet nie drgnęła.

- Kazałem ci malować smoka, a nie śnić na jawie! - wybuchnął ze złością. Miał świadomość, że nie powinien tak na nią napadać, ale kiedy jej szukał i nie mógł znaleźć, ogarniał go

coraz większy, niezrozumiały lęk. Własny krzyk sprowadził

na niego opamiętanie. - Mogłaś sobie marnować czas, kiedy

byłaś panią tego zamku - odezwał się już spokojniej. - Ale

teraz jesteś tylko jedną z zamkowych dziewczyn, nikim szczególnym. Masz słuchać rozkazów swego pana. - Z trudem się powstrzymał, by nie dodać: Spójrz na mnie!

Powoli odwróciła głowę. W oczach miała lodowaty chłód

i pogardę.

- Zastanawiam się, jak najlepiej spełnić twój rozkaz, milordzie. Stworzenie

malowidła wymaga czasu. Czasu na myślenie.

Chyba że nie zależy ci na tym, jak będzie wyglądał twój smok.

Zbył milczeniem jej wyjaśnienia.

- Daj mi klucz do sejfu. - Wyciągnął rękę.

- Aha. Do sejfu. - Podniosła się na nogi.

- Powinnam

wiedzieć, że w końcu i do tego dojdzie.

- Uniosła na dłoni

kółko z kluczami, przytroczone do paska.

- Proszę. Weź

wszystkie. Nie będziesz musiał
poprzestać na złocie, będziesz

mógł splądrować także resztę zapasów
Rosecliffe.

Wziął od niej klucze i przywiązał do
własnego pasa.

- Źle mnie oceniasz - powiedział,
mierząc ją wzrokiem. -

Nigdy nie miałem zamiaru plądrować.
Mieszkańcy tych wzgórz

są moimi rodakami. Nigdy bym ich nie
skrzywdził. Przejąłem

Rosecliffe jako mój dom. Chcę uczynić z

niego walijską

twierdzą i utrzymać ją dla Walijszczyków.

- Raczej zatrzymać ją dla siebie -
prychnęła drwiąco.

- Tak jak twój ojciec.

Pokręciła głową.

- Nie masz pojęcia, jak wygląda życie w
Rosecliffe. Nienawidzisz mojej rodziny,
więc uważasz, że wolno ci rujnować
cudzy los. Zaślepia cię pragnienie
zemsty. Nazywasz ją szukaniem
sprawiedliwości dla walijskich
rodaków, ale to nie oni nas nienawidzą,
tylko ty. Ty nie szukasz

sprawiedliwości,

a wyłącznie zemsty.

Rhys przyjął jej zarzuty ze spokojem.

Nie miała innej broni

poza ostrymi słowami, a te nie mogły go zranić. A jednak

w głębi duszy zapragnął, by kiedyś ich pożałowała.

- Czas pokaże, że się mylisz, Izoldo.

Wkrótce się przekonasz,

jaka jest prawda.

Odwróciwszy się do niego plecami,

utkwiła wzrok w oddali.

Nie od razu się zorientował, czego dziewczyna wypatruje.

Statek podpływał coraz bliżej. Wkrótce miał zarzucić kotwicę

i przyjąć na pokład wygnańców.

Zrozumiał, że Izolda się boi

o tych, którzy opuszczą Rosecliffe, i o siebie, bo zostanie sama.

On natomiast nie mógł się doczekać wyjazdu Anglików.

Przeszedł tam i z powrotem po podeście otaczającym wieżę.

Krenelaże nie były tu wysokie, jako że to miejsce służyło raczej

za punkt obserwacyjny niż pozycję bojową. Ściany wieży

opadały pionowo dobre dziesięć metrów do dziedzińca. Nie

było stąd ucieczki.

Rozejrzał się po horyzoncie, od gór na zachodzie, po otwarte

morze na północy i wschodzie. Tak, komnata na wieży była

odpowiednim miejscem dla niej. Blisko niego. Na uboczu.

Dlatego chciała, by tu przyszli zeszłej nocy. Szukając jej po

zamku, dopiero na końcu trafił do tego gniazdka. Mimo niechęci,

jaką mu okazywała, na myśl o jej wcześniejszych przygotowaniach serce zabiło mu żywiej.

Okrążywszy wieżę, znalazł Izoldę nieruchomo wpatrzoną

w statek. Wiatr dął od morza zimnymi, kapryśnymi podmuchami. Niedługo zima miała skuć ziemię mrozem, tym bardziej utrudniając lordowi FitzHugh jakikolwiek atak.

Rhys zapomniał o wszelkich zagrożeniach ze strony braci

FitzHugh, patrząc na córkę wroga. Wiatr rozwiewał jej długie

do pasa włosy, przyklejał do ciała niebieską suknię, uwydatniając wdzięczne kobiece krągłości. Była jak śliczny dziki ptak, który może w każdej chwili poderwać się z miejsca i odlecieć.

Na tę myśl coś boleśnie ścisnęło go w gardle.

Pragnął jej.

Pragnął jej i wiedział, że będzie ją miał.

Jakiż gorszy cios

mógł wymierzyć Randulfowi FitzHugh?
I jaką lepszą nagrodę

zdobyć dla siebie?

Pochwycił i roztarł między palcami
jedwabiste pasemko jej

włosów. Zesztywniała i szybko zebrała
w garść rozwichrzone

kosmyki. A potem odsunęła się od niego
o krok.

Odpowiedział krokiem w jej stronę. W
głębi duszy wiedział,

że nie powinien jej tak dręczyć. Nie
należał do mężczyzn,

których podnieca kobiecy opór. Dotąd
zawsze spotykał się

raczej z zachętą. Ale w tej kobiecie było
coś, co popychało go

w zupełnie mu nieznanym kierunku.

- Pozostaniesz w pokoju na wieży -
oświadczył. Spójrz na

mnie, poprosił w duchu.

Nie odwracając głowy, uniosła lekko
podbródek.

- Lepiej tu niż gdzie indziej -
stwierdziła. - Skoro bliscy

mi ludzie mają być odesłani, wolę
znosić uwięzienie w samotności.

- Wyższe piętra zamku będą dostępne
wyłącznie dla ciebie

i dla mnie - dodał.

Nareszcie oderwała wzrok od
zbliżającego się nieubłagane

statku.

- Będę z tobą walczyć przy każdej
sposobności - obiecała

na poły z gniewem, na poły z obawą.

Uśmiechnął się pobłażliwie.

- Moje życie biegnie od bitwy do bitwy,
Izoldo. Najpierw

walczyłem, by przeżyć, później, by się
wzbogacić. Teraz

walczę po to, by zapanować nad
wrogami. Więc walcz ze mną,

skarbie. Użyj swoich dziewczęcych
mocy, wykorzystaj każdą

broń, jaką tylko posiada kobieta. - Ujął
ją za podbródek. -

Może zabijesz mnie rozkoszą, moją i własną.

Wyrwała mu się, ale zdążył dostrzec, że oczy jej pociemniały.

- Tak, własną rozkoszą, Izoldo - mówił dalej. - Znalazłaś

ją zeszłej nocy w moich ramionach. Dlaczego teraz udajesz,

że jestem ci wstrętny?

- Niczego nie udaję - zachnęła się. - Jesteś mi wstrętny.

- Nie. Nie jestem. Wierzysz, że powinienem, ale gdybyś

miała okazję, znów drżałabyś pod dotykem moich dłoni. Mam

ci pokazać?

Wydała z siebie pisk - tylko tak można by opisać ów

odgłos - i jak oparzona odskoczyła od swego prześladowcy.

Czemu to robił? Nie dość mu było poczucia zwycięstwa?

Oszukał ją, zrujnował, pozbawił rodzinnego domu. Czego

jeszcze chciał?

I co mogła zrobić, żeby go
powstrzymać?

Splatając ramiona na piersi, próbowała
uspokoić gwałtowne

kołatanie serca.

- Już mi pokazałeś więcej moich
słabości, niż chciałabym

widzieć. Wiem, że popełniłam z tobą
ciężki grzech. I zawsze... -

głos jej się załamał - zawsze będę się
wstydzić, że czerpałam

z tego przyjemność.

- Ach, tak, wstydzić. - Uśmiechnął się znaczącym, męskim,

nieprzyzwoicie pociągającym uśmiechem, od którego zmiękły

jej nogi. - Ciężko jest pożądać czegoś, czym powinno się

gardzić. Prawda, Izoldo?

Przełknęła poczucie winy, stojące jej w gardle niczym ość.

- Tak się czujesz? - niemal krzyknęła. - Pragniesz czegoś,

co powinieneś nienawidzić?

- Tak.

Moc tego krótkiego wyznania zaparła jej dech w piersi.

Wyraz jego oczu potwierdzał, że mówi prawdę. Pragnął jej,

mimo iż nią gardził. Pożądał jej ciała, choć nienawidził krwi,

która płynęła w jej żyłach. Angielskiej krwi.

- Jak możesz? - wyrwało jej się szeptem.

- Kiedy jestem głodny, to jem - odpowiedział cierpko.

W jego głosie nie było już śladów
wcześniejszego kpiącego

tonu. - Tak samo jak ty. A jeśli umieram
z głodu, jestem

w stanie zjeść cokolwiek, byle przeżyć.
Ty jeszcze nigdy nie

byłaś głodna, więc dopiero musisz się
tego nauczyć. Męska

potrzeba cielesnego zaspokojenia z
kobietą nie różni się od

potrzeby jedzenia. Zadowolili się tym, co
może zdobyć. -

Zaśmiał się gorzkim, niewesołym

śmiechem. - Przypuszczam,

że z kobietami jest podobnie. Ostatniej
nocy nasyciłaś mój

apetyt, Izoldo. Bardzo dobrze. Ale
niedługo znów zgłodnieję

i ty także. Więc będę cię trzymał w
pobliżu, tu w tej komnacie

na wieży. Będziesz spała nade mną. Ja
będę leżał pod tobą,

zaledwie o parę kroków.

Zdruzgotana jego bezduszną oceną tego,
co między nimi

zaszło, Izolda cofała się bezwiednie,
dopóki nie natrafiła

plecami na kamienną ścianę.

- Skoro pierwsza lepsza dziewczyna
zaspokoi twój wyuzdany apetyt, to
znajdź sobie inną. Bo ja nigdy nie zejdem
do ciebie tymi schodami. Nigdy!

- Znasz swoje zadanie - przypomniał,
puszczając mimo

uszu jej wypowiedziane z pasją
przrzeczenie. - Namaluj

smoka i rozciągniętego pod nim wilka.
Możesz się swobodnie

poruszać w obrębie tej komnaty i mojej.
Nie próbuj schodzić

niziej, bo na schodach będzie czuwał
strażnik.

Miała ochotę rzucić się na niego, zranić,
rozorać mu twarz

paznokciami, zadać ból taki sam, jaki on
jej zadawał. Obawiała

się jednak, że Rhys tylko czeka na atak.
Z łatwością by ją

pokonał, a do tego nie mogła dopuścić.
Posłużyła się więc

jedyną bronią, jaką miała - ostrymi

słowami i pogardą.

- Odsyłasz stąd wszystkich, którzy są mi drodzy. Po co

więc miałabym szukać towarzystwa w wielkiej sieni? Wolę

siedzieć tu samotnie, niż widywać ciebie i twoich ludzi.

Zostanę w moim więzieniu na wieży, namaluję twojego smoka

i będę czekać na powrót ojca. Wtedy zobaczymy, kto będzie

góram, smok czy wilk. Wtedy się przekonamy!

Odwróciwszy się, otworzyła drzwi, ale on natychmiast je

zatrzasnął, wyrywając jej z ręki z taką siłą, że aż zapiekła ją

dłoń. Następnie chwycił ją za ramiona, obrócił twarzą do siebie

i nie siląc się na delikatność, przycisnął do szorstkich desek

drzwi.

- Przekonamy się, Izoldo. Ty się przekonasz.

- Nienawidzę cię!

- Tylko tyle do mnie czujesz? - Pochylił się nad nią. Serce

waliło jej dziko, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Przybliżył

usta do jej twarzy, ale szybko odwróciła głowę. Napierał na

nią twardymi udami, biodrami dotykał jej bioder, czubki jej

piersi ocierały się o jego pierś. -
Powiedz prawdę, Izoldo -

usłyszała gorący, lekko schrypnięty szept tuż przy uchu. - Co

teraz czujesz?

- Nienawidzę cię - wyrzuciła z siebie bez tchu. - Jesteś tak

samo okropny i zły, jaki zawsze byłeś.

- Ale jestem mądrzejszy, niż byłem przed laty. - Zamilkł na

dłuższą chwilę, a potem dodał: - A ty nie jesteś już dzieckiem.

Poczuła, jak naciska na nią całym ciężarem ciała, błądzi

ustami w jej włosach. Przestraszyła się, bo dotyk jego silnego

męskiego ciała nie wzbudził w niej odrazy. Przeciwnie, jej

zmysły odpowiedziały tak, jakby nadal był Reeviušem. Przypomniały jej o rozkoszach, których się nauczyła od młodego muzyka, stłumiły w niej wszelki protest, kazały zapomnieć

o tym, że ma do czynienia z najbardziej znieawidzonym

wrogiem. Zeszłej nocy odcisnął na niej jakieś dziwne piętno,

przez które teraz była bezbronna i słaba.

Próbowała unikać jego ust, ale jej się nie udawało. Całował

ją po szyi, muskał wargami ucho, a kiedy, pokonana, ukryła

twarz na jego piersi, pocałował ją w czubek głowy.

- Może zatrzymam cię tu na zawsze -
wymruczał. - Z dala

od świata. Z dala od innych. Jeśli
spełnię każdą twoją potrzebę,

zapewnię ci jedzenie, picie, wygody,
będę twoim jedynym

towarzystwem, twoją jedyną
przyjemnością... czy wtedy przyznasz, co
do mnie czujesz? Powiedz mi, Izoldo.
Czy wtedy się przyznasz?

Z trudem powstrzymywała szloch
cisnący jej się do gardła.

Obawiała się, że nie potrzeba aż tylu starań, by się przyznała.

Była bliska wyznania prawdy już w tym momencie.

- Nie! -Odepchnęła go od siebie, a on puścił ją z tłumionym

przekleństwem. Podbiegła do kamiennej bariery okalającej

podest i zaciskając na niej dłonie, wychyliła się głęboko, byle

być jak najdalej od niego.

- Odejdź - załkała. - Odejdź!

- Izoldo...

- Idź! - Była bliska szaleństwa.

Zaklął, tym razem głośno i dosadnie. Po chwili zaskrzypiały

otwierane drzwi, potem zamknęły się z głuchym stukiem i już

go nie było.

Dopiero wówczas dziewczyna dała upust rozpaczy. Wstrząsana płaczem, osunęła się na ziemię. Jak mogła tak się zachować? Jak mogła!

Poniżej na dziedzińcu, obok paleniska pralni, stał Tillo

z zadartą głową, wpatrując się w szczyt wieży. Dostrzegł

pochyloną głowę Izoldy i domyślił się jej cierpienia. Stary

minstrel pomyślał ze smutkiem, że z kobietami zawsze tak już

jest. Mężczyźni biorą to, co chcą, a one ponoszą bolesne skutki.

Tillo uważał Rhysa za lepszego człowieka. Aż do tej chwili.

Przed zapadnięciem nocy statek zarzucił kotwicę. Przed

świttem zaczął się exodus. Na wąskiej

plaży poniżej zamku

panował wielki ruch. Dwie łodzie kursowały tam i z powrotem,

dowożąc pasażerów i zaopatrzenie do statku stojącego w niewielkiej zatoczce.

Izolda nie była w stanie zobaczyć wszystkiego. Widziała

jednak korowód mężczyzn zmierzających do wyjściowej bramy,

obładowanych tobołkami z dobytkiem i zapasami żywności.

Widziała ich płaczące żony i wystraszone dzieci. Jeden po

drugim znikali za załomem stromej
ścieżki, prowadzącej na
plażę.

Potem widziała ich ponownie, kiedy
łódź odbijała od brzegu.

Odprowadzała ich wzrokiem, dopóki nie
weszli na pokład

i całkiem nie zniknęli jej z oczu. Wtedy
przenosiła spojrzenie

na łódź, powracającą po następny
ładunek. Ilu ich wyjeżdżało?

Aż bała się zgadywać.

Pocieszała się, że przynajmniej
pozwolono im zabrać ze sobą

dobytek. Zachowali życie, rodziny i to,
co posiadali. Nie zabił

ich, więc chociaż za to mogła być
wdzięczna.

Ale skazał ich na wygnanie. Odo opuścił
zamek razem

z wszystkimi rycerzami i zbrojnymi, nie
wyłączając Osborna.

Zagryzła wargi, połykając łzy, kiedy
najbliższy przyjaciel ojca

podniósł głowę, szukając jej wzrokiem.

Wypatrzywszy ją,

uniósł rękę w pożegnalnym geście. Ona także mu pomachała

i zaraz potem straciła go z oczu.

Wyjechały wszystkie Angielki i kilka Walijek, które wyszły

za Anglików. Magda była między nimi, co jeszcze bardziej

przygnębiło Izoldę. Służąca poszła za swym ukochanym i kiedyś

miała go poślubić. Razem będą budowali swoje życie i będzie

im wszystko jedno, czy w Walii, czy w Anglii, dopóki będą

mieli siebie nawzajem.

A jakie życie czekało ją, Izoldę?

Ojciec Clemson opuścił zamek jako ostatni.

- Pomódl się za mnie - szepnęła Izolda, patrząc na czarno

oddzianą sylwetkę w łodzi podskakującej na falach. Ostatnia

łódź została rozładowana i zawróciła do brzegu, a statek

wyciągnął kotwicę i rozwinął żagle.
Potem zaczął powoli

odpływać na zachód i po jakimś czasie
zniknął za horyzontem.

Dopiero wtedy dziewczyna w pełni
zdała sobie sprawę ze

swego smutnego losu. Uwięziona we
własnym domu, bez

sprzymierzeńców, do których mogłaby
się zwrócić. Była otoczona wrogami i
zależna od człowieka, który był
wcieleniem samego diabła.

Na myśl o Rhysie zaschło jej w gardle.
To, co się między

nimi wydarzyło, uświadomiło jej, jak
bardzo jest słaba

i grzeszna. Na szczęście ostatniej nocy
nie powrócił do niej,

bo nie wiadomo, co jeszcze mogłoby się
stać. Zostawił ją

samą, na pastwę strachu i niepewności.
Ktoś zapukał do

drzwi i zostawił jej jedzenie. Nie
zamknięto jej na klucz ani

też nie dostrzegła strażnika, ale groźba
spotkania z Rhysem

i tak powstrzymywała ją przed

opuszczeniem komnaty na

wieży.

Nie mogła tam jednak pozostać na
zawsze, bo to niechybnie

doprowadziłoby ją do szaleństwa.
Przybory malarskie zostały

w jej komnacie sypialnej. Nie miała
przy sobie ani pióra, ani

pergaminy, żadnych ksiązek ani lutni,
żeby się czymś zająć.

Mijało drugie popołudnie od czasu
przejścia zamku przez

Rhysa, a ona mogła jedynie złorzeczyć i płakać oraz snuć plany

jednej zemsty za drugą. Tylko że w swoim podniebnym areszcie

niewiele mogła działać.

Może nadeszła pora, by sprawdzić granice niewoli, przekonać

się, na co Rhys jest skłonny jej pozwolić.

Na schodach było pusto. Nikogo też nie zastała w komnacie

rodziców, choć wszystko wskazywało na to, że jej nowy

mieszkaniec czuje się tam u siebie. Z
wieszaka na ścianie

zwisała jego brązowa tunika. Inne części
ubioru walały się na

krześle. Do połowy opróżniony dzbanek
z wodą i mokre

ręczniki świadczyły o tym, że się mył.
Łoże było niezaścielone.

Łoże, w którym leżeli razem.

Przebiegł ją dreszcz tak gwałtowny, że z
trudem doszła do

siebie. Poszła do swojej sypialni,
zabrała przybory do malowania

i ułożyła je na schodach. Następnie
wzięła głęboki oddech,

wygładziła spódnicę i powoli ruszyła w
stronę wielkiej sieni.

Dostrzegła strażnika na schodach, tuż
poniżej pierwszego

piętra. Siedział oparty niedbale o
ścianę; po jego pozie domyśliła

się, że śpi. Wyminęła go ostrożnie, ale
coś jej kazało szturchnąć

go stopą w kolano. Ocknął się, lecz
zdążyła umknąć poza jego

zasięg.

- Hej! - wrzasnął za nią. - Wracaj tu.

Izolda zbiegła z ostatnich stopni,
zostawiając go w tyle,

i znalazła się w wielkiej sieni.

Krzątały się tam trzy służące, Walijki ze
wsi, znane jej

osobiście. Przy stole siedziało dwóch
mężczyzn, których nie

znała, a jakiś chłopiec bawił się z psem.
Nie, to był karzeł

Gandy, ze swoim łaciatym
czworonogiem. Podskoczył uśmiechnięty
na widok Izoldy, ale odpowiedziała mu

karcącym spojrzeniem. Fałszywy łobuz!

- Dzień dobry, lady Izoldo. - Wykonał swój popisowy

ukłon.

- A, tu cię mam! - odezwał się w tym samym momencie

strażnik i złapał ją za ramię. - Masz siedzieć na górze.

- Natychmiast zabieraj łapy! - krzyknęła, próbując mu się

wyrwać.

- Lepiej, żebyś jej nie dotykał - ostrzegł

karzeł. - Ona

należy do Rhysa, a wszyscy wiedzą, że jest zaborczy. Nie

spodoba mu się to.

- Ale ja mam rozkaz...

- Nie potrzebuję, żebyś się wtrącał - zwróciła się Izolda do

karła.

Gandy rozpostarł ramiona.

- Próbuję tylko pomóc wam obojgu.

Nie zwracając uwagi ani na niego, ani

na trochę skołowanego

strażnika, dziewczyna naląła sobie kubek piwa i sięgnęła po

kawałek chleba, pozostały po południowym posiłku. Wcześniej

nie była głodna, więc wzgardziła jedzeniem, które dostarczono

jej na górę. Teraz jednak umierała z głodu... i ze złości. To

był jej dom i nie zamierzała go oddać bez walki, niezależnie

od tego, jak niewielkie miała szanse na zwycięstwo.

Wszyscy obecni w wielkiej sieni przyglądali jej się otwarcie.

Wkrótce zapewne miał się pojawić wezwany Rhys. Ale do

tego czasu musiała odpowiednio wykorzystać okazję.

- Kto kieruje kuchnią? - spytała głośno.

Jedna ze służących, Betina, zbliżyła się do Izoldy.

- Gerta, panienko.

- A kto trzyma klucze do spiżarni i piwnicy z winem?

- Ja - przyznał się Gandy.

- Ty? - Patrząc z ukosa na małego
dziwaka, odgryzła

kolejny kęs chleba. - A co ty wiesz o
winach, przyprawach

i lekarstwach?

- Pracowałem w kuchni zamku Barnard
przez wiele lat.

Zamek Barnard. Izolda przymknęła oczy.
To właśnie tam

jej ojciec odesłał Rhysa przed laty.
Wszystko zaczynało się

układać w sensowną całość.

- Zatem znasz go od dawna?

Karzeł uśmiechnął się pod nosem.

- Od dość dawna, by wiedzieć, że dotrzymuje słowa. Urwie

mu głowę - zapewnił, wskazując na strażnika - jeśli uciekniesz, pani.

- Ucieknę? Trudno to nazwać ucieczką.

- No już, panienko. Mусisz wracać - odezwał się niepewnie

strażnik, klaszcząc zachęcająco w dłonie i uważając przy tym,

żeby jej przypadkiem nie dotknąć.

- Nie. - Jednym haustem opróżniła kubek, po czym przysunęła się bliżej ognia. - Zostało ci niewiele drewna, Betino.

Poślij jakiegoś chłopaka, żeby naniósł więcej.

- Tak, panienko.

- I trzeba upleść nowe maty. - Spojrzała na Cidu, który

drapał się po głowie. - Nie zapomnij posypać ich kruszonymi

liśćmi czarnej olchy, żeby odstraszyć

robactwo.

- Jak miło, pani, że dbasz o naszą wygodę - zauważył

Gandy.

Izolda skrzywiła się nieuprzejmie.

- Wasza wygoda obchodzi mnie tyle co nic. Nawet mniej.

Chcę jedynie, by Rosecliffe było utrzymane w takim stanie jak

zawsze i byśmy mogli żyć w miarę normalnie, kiedy mój ojciec

was stąd wyrzuci.

- Ależ jesteś, pani, dobrą córką.

Izolda zachnęła się na tę uszczypliwą uwagę.

- Owszem. Jestem - potwierdziła na tyle pewnie, na ile

pozwoili jej niespodziewana obecność Rhysa.

- No to powinnaś mnie rozumieć, bo ja zachowuję się tak,

jak przystało na dobrego syna.

Jak na niewypowiedzianą komendę wszyscy nagle się ulotnili,

pozostawiając dziewczynę sam na sam z Rhysem. Dokładnie

tego powinna się była spodziewać, mimo to ze strachu ciarki

przeszły jej po plecach.

- Nie wolno ci jeszcze schodzić do wielkiej sieni - przypomniał.

- Dlaczego?

- Musisz sobie zasłużyć na ten przywilej.

- Zasłużyć? W jaki sposób? - Splotła ręce na piersi.

Przyjrzał jej się z namysłem.

- Na różne sposoby.

- Jeśli myślisz... - zaczęła wzburzona.

- Zaczęłaś już malować smoka na ścianie mojej komnaty? -

przerwał jej. - Ostatniej nocy nie widziałem, żebyś chociaż

zaczęła coś szkicować.

Nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w niego pałającymi

złością oczyma.

- Rozumiem. - Bez ostrzeżenia złapał ją za rękę i pociągnął

za sobą na schody. - Kiedy to zadanie zostanie wykonane

zadowolająco - wycedził - wtedy rozważę, czy pozwolić ci na

opuszczanie wieży. Do tego czasu zabraniam ci schodzić

poniżej mojej komnaty. Rozumiesz, Izoldo? - Potrząsnął nią

lekko, a potem puścił, wypychając na schody.

- Co chcesz przez to osiągnąć?! -

zawołała za nim, kiedy

już się oddalał.

Przystanął, odwrócił się i wtedy
zauważyła, że jest odziany

znacznie lepiej niż dotąd. Miał na sobie
cienko tkaną wełnianą

tunikę w ocieniu walijskiej zieleni,
wykończoną ozdobnym

splotem przy szyi i rękawach, i
jasnobrązowe spodnie z miękkiej

tkaniny. Na nogach miał wysokie buty;
skórzane cholewki

lśniły, natarte tłuszczem. Jedyłą bronią,
jaką miał przy sobie,

był krótki sztylet u pasa. Gdyby nie dziki
błysk w oczach,

można by go wziąć za szlachetnie
urodzonego Anglika na

swoich włościach.

Ale wyraz ciemnych oczu zdradzał jego
prawdziwą naturę.

- Co chcę osiągnąć? Całkowite
zwycięstwo - odpowiedział

po walijsku. - Pełnię władzy. A w
twoim przypadku całkowitą

uległość.

14

Izolda pracowała z zapamiętaniem,
rozładowując w ten

sposób zzerając ją złość. Oczekiwał
całkowitego zwycięstwa?

Już ona mu pokaże! Sądził, że może
zapanować nad rodem

FitzHugh? Był skończonym głupcem!

Miał zamiar zmusić ją do uległości?

Ręka jej zadrżała; węgiel wyrysował
błędną linię na szorstkiej

tynkowanej ścianie.

- Do licha! - mruknęła. Sama się
zdziwiła, że przekleństwo

tak łatwo spłynęło z jej ust. To wszystko
była jego wina!

Namoczoną w mydlinach ścierką starła
niepożądane ślady

węgla i szybko dokończyła rysunek
wygiętego smoczego

ogona, pokrytego ostrymi łuskami. Nie
pozbyła się jednak

złości. Rhys myślał, że będzie mu
powolna, i dla niektórych

mogło to tak wyglądać. Ale ona miała

swoje powody, żeby

wykonać malowidło, którego zażądał.
Powtarzała sobie, że

ostateczne pokonanie wroga jest
znacznie ważniejsze niż
przeciwstawianie mu się na każdym
kroku. Wiedziała, że musi postępować
roztropnie, nie dawać się ponieść
uczuciom.

Doszła do wniosku, że minie co
najmniej tydzień, nim ojciec

usłyszy straszne nowiny o wydarzeniach
w Rosecliffe, a na-

stępny zajmie mu powrót do domu. To

oznaczało, że czekają

ją przynajmniej dwa tygodnie takiej
męki. Z drugiej strony

jednak miała całe dwa tygodnie, żeby
poznać plany Rhysa

i wyczuć jego słabości. Dwa tygodnie
bez dwóch dni.

Z pewnością potrafi tyle wytrzymać.

Narysowała więc smoka ze strasznymi
pazurami i wyszczerzonymi kłami.

Naszkirowała też wilka, leżącego pod
nim, lecz jeszcze nie pokonanego.

Pracując, powtarzała sobie, że

wkrótce role się odwróca. Już niedługo.
Wówczas zmyje ze

ściany słabe wodne pigmenty, których
zamierzała użyć do

wykonania malowidła. Namaluje w tym
miejscu inną scenę,

trwalszymi farbami. To wilk zwycięży
smoka. Smocza krew

będzie spływała mocnymi czerwonymi
strugami. A jego podły

duch uleci w górę w postaci тумana
krwistoszarego dymu.

Odstąpiła od ściany, przypatrując się

znienawidzonemu

wizerunkowi. Oczyma duszy starała się
zobaczyć swe przyszłe

trwałe dzieło. Wiedziała, że będzie
najlepsze ze wszystkich,

jakie dotąd wykonała.

Tylko matce się nie spodoba.

Izolda zmarszczyła czoło. Matka nigdy
nie zgodzi się na

obrażanie jej ojczyzny. Jakże często lady
Josselyn dziękowała

losowi, że w jej dzieciach skupiła się

siła Walii i Anglii

zarazem. Wierzyła, że połączenie tych dwóch kultur stworzy

nową, jeszcze świetniejszą tradycję, złagodzi walijską nieufność

i angielską zaborczość, da początek silnej, pokojowo nastawionej do świata społeczności.

Niestety, matka nie brała pod uwagę powrotu Rhysa ap

Owaina ani jego przewrotności. Ani jego okrucieństwa.

Izolda nie przerywała pracy, dopóki nie

usłyszała kroków

na schodach. Natychmiast wybiegła z komnaty, pozostawiając

w nieładzie kawałki węgla i płócienne gałgany. Nie chciała,

by znienawidzony prześladowca zastał ją w tej komnacie, bo

mógłby zechcieć poruszyć kwestię jej oczekiwanej uległości.

Ale w przedsionku spotkała tylko Gandy'ego. Przyciskając

rękę do piersi, starała się uspokoić galopujące serce.

- Czego chcesz? - warknęła.

Przepraszającym gestem uniósł dłonie.

- Ach, miła pani, potrzebuję twojej pomocy. Ta kobieta

w kuchni wystawia moją cierpliwość na ciężką próbę swoim

niekończącym się płaczem. Pomyślałem, że może zechcesz

tam przyjść i ją uspokoić.

Izolda przyjrzała się karłowi nieufnie.

- Gerta dobrze pracuje i świetnie zna się na swojej robocie.

Jest tylko nieśmiała i lękliwa. Nic
dziwnego, że ją przeraża to

wszystko, co się tu dzieje od dwóch dni.

- Przypaliła chleb i dwa razy posoliła
rybną zupę - oznajmił

Gandy, krzywiąc się paskudnie.

- O rety! - wykrzyknęła Izolda,
chwytając się za policzki

w udawanym przestraszu. Wyminąwszy
karła, wróciła do

przerwanego zajęcia.

- Naśmiewasz się - stwierdził Gandy,

nie dając za wygraną. - Ale zepsuła także twój posiłek.

- Nie dbam o to.

- Przecież sama mówiłaś, że chcesz, by Rosecliffe było

prowadzone tak jak dotąd. Proszę cię, lady Izoldo. Chodzi

o krótką wizytę w kuchni, żeby pocieszyć biedną Gertę. Jesteś

coś winna swoim ludziom.

- Nie wolno mi opuszczać górnych pięter twierdzy.

- Linus i ja będziemy ci towarzyszyć.

- A co z twoim panem? Co z Rhysem?

Uśmiechnął się do niej znacząco.

- Pojechał do wsi. A poza tym w Walii nikt nie jest niczym

panem. Nie muszę być jego poddanym, chyba że z własnego

wyboru.

Choć nie wierzyła Gandy'emu ani trochę, w końcu okazja

złamania zakazu Rhysa okazała się zbyt kusząca, by odmówić.

W kuchni panował niesamowity
rozgardiasz, a nagłe pojawienie

się olbrzyma i karła wzbudziło istną
panikę. Gerta zarzuciła

sobie fartuch na głowę i schowała się w
kącie. Dopiero kiedy

Izolda się do niej odezwała, biedaczka
odważyła się wyrzeć

z ukrycia.

- Nie martw się - powiedziała
dziewczyna. - Chodź, Getto,

nie ma się czego obawiać.

- Och, panienko, jesteś cała i zdrowa! -
zawołała kucharka,

porywając Izoldę w objęcia.

- Nic mi nie grozi, tak samo jak tobie.
No, chodź, posprzątajmy trochę ten
bałagan.

Izolda zobaczyła, jak Gandy uśmiecha
się, zadowolony

z powodzenia swego planu, a Linus
także się uśmiecha, bo jest

po prostu szczęśliwy. Wszystko wokół
wydawało się Izoldzie

jakieś nierzeczywiste, choć zdawała

sobie sprawę z ponurych

faktów.

Wziąwszy się pod boki, rozejrzała się po kuchni.

- Linusie. Napełnij skrzynię na opał drewnem, tak żeby

wystarczyło na dziś i na jutro. Gandy, przywołaj co najmniej

trzech chłopców do podawania posiłku. I nie sprzeciwiaj mi

się - dodała, przewidując niechęć Karła.

- To był twój pomysł,

więc teraz rób, co ci mówię.

Kiedy Rhys wjechał na dziedziniec tuż przed zachodem

słońca, panował tam dziwny spokój.

Bramy wjazdowej pilnowali jego strażnicy. Po placu chodziły kury, wydrapujące z ziemi pokarm. Pod murami baraszkowały trzy podrośnięte

szczeniaki, a przed stajnią dwaj chłopcy czyścili konia.

Zeskoczywszy z siodła, rzucił wodze stajennemu, który,

choć wyraźnie zmęczony, bez ociągania wykonał swą powinność.

Takiego powitania mógłby sobie życzyć
każdy gospodarz

zamku po ciężkim dniu spędzonym na
koniu. Pociągnął nosem,

gdy poczuł zapach jabłek. Gotowane,
pieczone czy przyrządzone w inny
sposób, miały cudowny aromat. Ślina
napłynęła mu do ust.

- Sądząc po zapachu, czeka nas dziś
dobra kolacja - powiedział, uśmiechając
się do chłopców.

- Tak, panie.

- Tak, milordzie.

Obaj skinęli głowami z szacunkiem, ale jeden z nich uśmiechnął się lekko pod nosem. Wchodząc do sieni, Rhys poczuł ulgę, nie ujrawszy śladów żadnego zamieszania. Potężne kamienne

mury zamku powoli zasnuwał lawendowy zmierzch. Gdzieś

w górze rozlegał się nocny krzyk polującego sokoła. Rhys

pomyślał z dumą, że Rosecliffe należy do niego; zajął angielską

twierdzę i przegnał z niej wrogów, tak jak od dawna planował.

Dobre samopoczucie opuściło go, gdy

wszedł do wielkiej

sieni. Coś było nie tak, jak trzeba.

Rozejrzał się po przestronnym wnętrzu,
szukając przyczyny

swego niepokoju. Nie znalazł. Na
wielkim palenisku kominka

buzował ogień. Pochodnie, umieszczone
w równych odstępach

wzdłuż ścian, rzucały łagodne światło.
Cztery służące wnosiły

na tacach parujące mięso i jarzyny, a
trzej chłopcy uwijali się

pod nadzorem nowego ochmistrza,
napełniając dzbany ciemnym

piwem i czerwonym winem. Gandy
siedział na niskim rzeźbionym stołku,
brzdąkając na lutni, a dwaj walijscy
żołnierze grali w kacie w kości,
oczekując na posiłek. Był spokojny

wieczór.

Zbyt spokojny.

Wyjeżdżając rano z zamku, Rhys
zostawił za sobą chaos.

Wystraszona służba miotała się
beźładnie, nikt nie wiedział,

co ma robić i do kogo się zwracać. Jak to możliwe, że w ciągu

paru godzin wszystko się zmieniło?

Zacisnęła zęby. Odpowiedź była oczywista. To musiała być

sprawka Izoldy. Izoldy z pomocą... lub co najmniej przyzwoleniem tych, którzy na jego rozkaz mieli pilnować porządku w zamku. Rhys wbił w Gandy'ego surowe spojrzenie, ale

karzeł odpowiedział miną urażonej niewinności.

- Witamy w domu, milordzie. Twoi ludzie oczekiwali

twego powrotu. Wszyscy jesteśmy
głodni - dodał z lekkim

wyrzutem. - A ty się spóźniłeś.

- Gdzie ona jest? - warknął Rhys. -
Oszczędź mi swoich

popisów. Widzę, co się dzieje.

Karzeł zachował niewinnie pogodny
wyraz twarzy.

- Jest na górze, bez wątpienia. Czy nie
tak sobie życzyłeś?

Rhys zmilczał z trudem. Choć w ciągu
tego popołudnia

wielokrotnie przysięgał sobie, że nie pozwoli, by osoba Izoldy

w jakikolwiek sposób wpływała na jego postępowanie, poczuł,

że musi się z nią natychmiast zobaczyć.

- Jak tylko się umyję, można zaczynać kolację - rzucił do

Gandy'ego.

Nie mógł wiedzieć, że karzeł odprowadza go wymownym

spojrzeniem. Nie widział też, jak Gandy z Linusem wymieniają

uśmiechy, kiedy pędził na górę po dwa stopnie naraz. Na

podeście pierwszego piętra natknął się na Tilla, siedzącego na

schodach. Na widok Rhysa pomarszczona twarz starego min-

strela przybrała surowy wyraz.

Tillo wstał.

- Igrasz z ogniem, Rhysie. Nie dostrzegasz poważnych

zmian, które sam spowodowałeś.

- Jaki masz powód do narzekania? -

obruszył się Rhys. -

Znałeś moje zamiary, kiedy wyruszyliśmy z Gilling: zdobyć

zamek Rosecliffe. Czyż nie dotrzymałem słowa? Przypominasz

sobie jakiś inny atak, który byłby równie bezkrwawy, jak ten?

Nawet turniejowa potyczka bywa bardziej krwawa niż przejęcie

tego zamku.

Tillo wydawał się niewzruszony.

- Odesłałeś resztę Anglików. Dlaczego

ją zatrzymałeś?

- A co cię to obchodzi? - zniecierpliwiał się Rhys. Spojrzał

w górę, w stronę swojej komnaty, gdzie Izolda mogła jeszcze

przebywać, zajęta pracą przy malowidle.

- Igrasz z ogniem, Rhysie. Ale może się okazać, że sam

najbardziej się sparzysz.

Rhys uciszył starca gniewnym gestem.

- Dość już tego. Mój plan pozostaje

niezmieniony: zawładnąć Rosecliffe, a potem wdać się w bitwę z rodem FitzHugh.

Tillo nie ustępował.

- Nie wspominałeś nic o toczeniu bitwy z kobietami.

Rhys nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Nie mam zamiaru z nią walczyć. -
Następnie innym

tonem dodał: - Uwiedzenie jest znacznie łatwiejsze i daje

o wiele więcej zadowolenia.

Nie czekając na odpowiedź, wyminął
starego przyjaciela

i udał się do komnaty, którą zajmował.
Jedno spojrzenie

wystarczyło mu, by stwierdzić, że Izoldy
tam nie ma. Ale

wcześniej musiała być, bo całą ścianę
zajmował szkic węglem,

przedstawiający wielkiego smoka
pochylonego nad mocno

przerośniętym wilkiem. Zadowolony, że
spełniła polecenie,

Rhys cisnął na łoże skórzane rękawice i

ściągnął kolczugę.

Następnie wrócił na schody, żeby
wspiąć się po nich do

komnaty na wieży.

W głowie wciąż dudniło mu echo słów
Tilla. Ostatecznie

igranie z ogniem nie jest takie złe,
zwłaszcza jeśli jest to ogień

namiętności. Żar cielesnego pożądania.

A ten żar nie wygasał w nim ani na
chwilę. Nim Rhys dotarł

na najwyższy poziom wieży, był tak

podniecony, że musiał

przystanąć przed drzwiami dla ochłonięcia. Przyglądał rozwichrzone włosy. Pozwalał sobie na uczucia, które dawały jej nad nim zbyt wielką władzę. Nie mógł dać poznać tej dziewczynie, jak bardzo pragnie znów dzielić z nią łożę.

Znalazł Izoldę na zewnątrz, na podeście, zapatrzoną w morze.

Była z gołą głową, a włosy miała starannie zaczesane i spięte

srebrną spinką. Skromna zielona suknia z miękkiej wełny podkreślała jej młodzieńczą świeżość. Ramiona otuliła

szalem, który miał ją chronić przed zimnym, wilgotnym wiatrem od wody.

Odwróciła nieznacznie głowę, kiedy się pojawił, ale ich

spojrzenia się nie spotkały.

- Chciałem ci podziękować, Izoldo - zaczął.

Wyprostowała się, mrugając, lecz wciąż nie chciała na niego

patrzeć.

- Rozumiem, że mój szkic ci się spodobał?

- Przeszedł moje najśmielsze
oczekiwania. Nie zdawałem

sobie sprawy z głębi twego talentu.

Znów zatrzepotała rzęsami, zaciskając
dłonie na kamiennym

parapecie. Ten widok go rozśmieszył.
Była próżna na punkcie

swojej sztuki. Trudno jej było przełknąć
pochwałę od wroga...

i to za pracę, którą pogardzała. Splótł
ramiona na piersi i oparł

się plecami o występ muru.

- Przemierzyłem brytyjskie wyspy
wzdłuż i wszerz - powiedział. -
Bywałem w wielu wspaniałych salach,
ozdobionych freskami, rzeźbami i
pięknymi gobelinami. Ale wygląda na
to,

że dzięki twoim zdolnościom Rosecliffe
może je wszystkie
przyćmić.

Przełknęła ślinę, zaciskając wargi w
wąską linię.

- To tylko zwykły szkic, przedstawiający
paskudnego
smoka.

- No właśnie. Trzeba wyjątkowego talentu, żeby w zwykłym

szkicu wyrazić tyle siły i emocji. Nie mogę się doczekać

dokończenia pracy. Z pewnością będzie arcydziełem.

Przyglądał się jej profilowi z wąskim nosem i kształtną

wypukłością ust. Chciał, żeby na niego spojrzała. Chciał

zajrzeć jej w oczy i poznać myśli, ale zacisnęła powieki, tak

że widział tylko cienie długich, gęstych

rzęs.

- Nie mam pojęcia, co widziałeś w innych miejscach. Znam

tylko swoją pracę. Szkic, który dziś zrobiłam, tworzony był

pod przymusem. Według mnie, nie ma ani siły, ani emocji...

może poza nienawiścią - dodała z ironią.

- Och, nienawiść jest emocją i to potężną. Pełną pasji -

stwierdził zaczepnie.

Nie podjęła zaczepki. Miał ochotę siłą odwrócić ją do siebie,

objąć jej szczupłe ramiona i przytulić. Powstrzymał się jednak

i tylko chwycił ją za łokieć. Natychmiast poczuł w niej drżenie.

- Czas na wieczerzę - powiedział, kierując ją do drzwi. -

Chcę, żebyś zakosztowała owoców innej ze swych dzisiejszych

prac.

Na tę uwagę zerknęła na niego podejrzliwie.

- Tak, wiem, że dopilnowałaś
wszystkiego tam na dole, na

przekór moim rozkazom. Kiedy
wyjeżdżałem dziś rano, nie

było tam tak spokojnie.

- Może twoja nieobecność sprawiła, że
powrócił spokój -

odrzekła zgryźliwie. Wyswobodziła się
i przodem ruszyła po

schodach.

Rhys obserwował ją z uśmiechem.
Nawet rozgniewana

roztaczała wokół siebie jakąś
uwodzicielską aurę, wobec której

nie potrafił pozostać obojętny. Miał cały
dzień na zastanawianie

się, co go w niej tak pociąga. Nie
doszedł do zadowalających

wniosków. Znał kobiety o piękniejszych
rysach, o bardziej

ponętnych kształtach, wprawne w
dostarczaniu wymyślnych

cielesnych przyjemności. Ale ona...

Pokręcił głową. Wprawdzie nie
rozumiał, dlaczego właśnie

jej pożąda, był jednak na tyle mądry, by to przyznać. Pragnął

jej i zamierzał ją osiąść.

Może brało się to stąd, że miał już Rosecliffe i teraz ona

stanowiła dla niego jedyne wyzwanie. Niezależnie od powodów,

musiał zdobyć Izoldę FitzHugh. Oznaczało to całkiem miłą

perspektywę oraz pomagało skrócić oczekiwanie na dzień,

kiedy powrócą jej ojciec i stryj i znów przyjdzie mu chwycić

za miecz.

Kiedy wszedł do wielkiej sieni, Izolda siedziała skromnie

przy bocznym stole. Wszystkie oczy zwróciły się na niego,

w oczekiwaniu, co zrobi.

- Usiądziesz obok mnie - rzucił, nie zwalniając kroku.

- Nie.

Zatrzymał się.

- Jestem tu panem. Będziesz mnie słuchać albo poniesiesz

konsekwencje, jak wszyscy inni.

Poderwała się z miejsca.

- No to poniosę konsekwencje. - Ruszyła w stronę schodów,

ale chwycił ją za nadgarstek i szarpnięciem odwrócił twarzą

do siebie. Nie myśląc, błyskawicznie zamachnęła się wolną

ręką i wymierzyła mu głośny policzek.

Wszyscy obecni zamarli, porażeni jej zuchwałością.

Izolda w nagle zapadłej ciszy słyszała

własny przyśpieszony

oddech. Co ona zrobiła? I co teraz będzie?

Porwała się na człowieka, który decydował o jej losie.

Poczuła, jak ściska jej nadgarstek aż do bólu. Jak mogła

zapomnieć o tym, co sobie przysięgała? Skoro nie była w stanie

panować nad sobą przez kilka godzin, jak miała wytrzymać

dwa tygodnie?

Chociaż się opierała, przyciągnął ją do siebie tak blisko, że

ich twarze niemal się stykały. Słyszała syk ognia w kominku

za plecami, czyjeś nerwowe chrząknięcie. Zaskrzypiało krzesło

i rozległy się kroki. Ale cała jej uwaga skupiona była na Rhysie.

- Serce ci głośno bije - powiedział tak cicho, że nikt poza

nią nie mógł usłyszeć. - Boisz się?

Nade wszystko pragnęła zaprzeczyć, lecz w tym momencie

była po prostu sztywna ze zgrozy i wiedziała, że musi to być

widoczne.

- Tak - wykrztusiła przez zaschnięte usta.

- To dobrze. To znaczy, że zostały ci resztki zdrowego

rozsądku.

- Mogę się bać, ale nie pozwolę sobą pomiatać. Nie usiądę

obok ciebie i nie będę z tobą jeść, skoro uważasz się tu za pana!

Te słowa miały ugodzić jego dumę i doskonale spełniły swe

zadanie. Dostrzegła błysk wściekłości w ciemnych oczach

Rhysa, jego głos zachował jednak lodowaty spokój.

- Będiesz ze mną jeść tu, przy tym stole, Izoldo. Albo

możemy zjeść razem kolację w jakimś odosobnionym miejscu. - Przyciągnął ją tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło. - Tak wolisz?

- Nie...

- Myślę, że wystarczy - rozległ się za nimi czyjś głos.

Odwróciwszy się z wdzięcznością, Izolda ujrzała Tilla.

Przynajmniej znalazł się śmiałek, gotowy przeciwstawić się

Rhysowi. Tylko że był on dwa razy starszy od Rhysa i o połowę

od niego niższy.

- Chciałeś czegoś? - spytał go Rhys niebezpiecznie ściszonego głosem.

- Nie wiń go za jego troskę - wstawiła się za Tillem

Izolda. - Trzeba wielkiej odwagi, żeby się postawić, kiedy

jedyną posiadaną bronią jest rozum.

Rhys przeniósł mroczne spojrzenie ze starego minstrela na

Izoldę. Ku jej zaskoczeniu, wydawał się opanowany.

- Nie potrzebujesz go przede mną bronić. Mam wielki

szacunek dla jego odwagi... i cenię sobie jego lojalność. Zajmij

swoje miejsce - zwrócił się do Tilla, nie patrząc na niego. -

Nic złego jej nie grozi -dodał.

Rozejrzawszy się po sali, mówił

dalej, tym razem kierując słowa do
dziewczyny: - Skoro nie

chcesz zasiąść ze mną przy głównym
stole ani też zjeść ze

mną wieczerzy na osobności, pozostaje
tylko jedna możliwość.

Nie - rzucił szybko, przerywając jej
westchnienie ulgi. - Nie

wolno ci wrócić do wieży. Jeszcze nie.

- Co masz na myśli? - spytała ostrożnie.

- Jeśli nie chcesz odgrywać roli
gospodyni Rosecliffe,

musisz przyjąć rolę służącej.

- Odgrywałam ją przez cały dzień -
mruknęła pod nosem.

- Osobistej służącej - uściślił. Bez
ostrzeżenia ruszył w stronę głównego
stołu, pociągając Izoldę za sobą.
Wszyscy bez wyjątku gapili się na nich z
zaciekawieniem. Wreszcie Rhys

usiadł na krześle jej ojca i przeszył ją
surowym spojrzeniem. -

Podaj mi jedzenie i nalej wina. Będiesz
także naprawiać moje

ubrania i czyścić mi buty. Wszystkie te obowiązki będą należały

do ciebie. Chyba że jednak wolisz siedzieć przy stole u mego

boku. - Wskazał na puste krzesło.

Izolda ściągnęła brwi, odruchowo masując uwolniony nadgarstek. Jak do tego doszło? Nie miała zamiaru wdawać się z nim w słowne potyczki, a już na pewno nie w obecności

wszystkich mieszkańców zamku. Teraz przyglądali jej się

wyczekująco, ciekawi, jak się zachowa.

Co powinna zrobić?

Usługiwanie mu byłoby poniżające.
Zgoda na jego warunki

tym bardziej. Nie powinna była go
drażnić, siadając przy

bocznym stole. To jeszcze pogorszyło
jej sytuację. A jeśli do

tego odmówi dokonania wyboru spośród
możliwości, jakie jej

przedstawił... Bała się nawet rozważyć
taką ewentualność.

Przełknąwszy dumę, co wcale nie
przyszło jej łatwo, zadarła

podbródek.

- Zatem dobrze. Chyba podam ci posiłek.

W odpowiedzi rozciągnął usta w chytrym, budzącym dreszcze

uśmieszku. Był w nim triumf... i coś jeszcze. Czyżby domyślił

się jej rozterek, tego, że planowała udawać zgodę, lecz w przyływie złości zapomniała o swym planie? Z

pewnością nie mógł tego wiedzieć. Bez wątpienia jednak wiedział, jak grać

na uczuciach Izoldy i w ten sposób niweczyć wszelkie jej plany.

Zła na siebie, zagryzła wargę. Następnie
wzięła od gapiącego

się na nią pazia dzbanek i napełniła
kielich Rhysa winem.

Musiała mu udowodnić, że panuje nad
sobą.

Powoli do wielkiej sieni powracał
zwykły gwar i ruch.

Służba roznosiła tace z jedzeniem,
wszyscy zajmowali swoje

miejsca i zaczęli się posilać z
apetytem.

Na pozór wszystko wyglądało

normalnie, ale tak naprawdę,

wcale normalne nie było. Przez całą kolację Izolda usługiwała

Rhysowi, nakładając na talerz kolejno delikatne kawałki drobiu

i węgorza, gotowane warzywa, kromki białego chleba posmarowane solonym masłem. Była tak głodna, że burczało jej w brzuchu, ale sama mogła się posilić dopiero później, wraz

z resztą służby.

Kiedy Linus i Gandy wzięli do rąk instrumenty, by rozpocząć

wieczorne przedstawienie, odstąpiła od stołu w nadziei, że uda

jej się wymknąć. Jednakże Rhys zauważył jej podstęp i ją

zatrzymał.

- Przynieś moją cytrę - polecił. - Od kilku dni nie miałaś

lekcji.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Cytrę? - Obydwoje wiedzieli, że wykorzystał jej zainteresowanie muzyką, żeby ją uwieść. Poczwała jednocześnie wściekłość i upokorzenie, że ośmielił

się do tego wrócić. - Nie

jestem już zainteresowana nauką gry na
cytrze - wybuchnęła.

- Tylko tak mówisz. Gniew bywa
źródłem wielkiej sztuki

i może też zaowocować piękną muzyką -
stwierdził z niezmiennie chytrą miną. -
Przynieś cytrę, kobieto. Chcę posłuchać,
jak grasz i śpiewasz, zanim udam się na
spoczynek.

- Nie jestem w nastroju do śpiewania -
warknęła, zaciskając

pięści.

Potrząsnął głową, jakby zbierał w sobie cierpliwość w rozmowie z upartym dzieckiem.

- Nie nauczyłaś się jeszcze, że wszelki opór wobec mnie

jest daremny? Będę słuchał twojej gry i śpiewu tu, w wielkiej

sieni, w tym towarzystwie. - Ściszył głos. - Albo będę słuchał

twoich jęków i westchnień w mojej komnacie. Co wybierasz?

Izoldzie aż zaparło dech w piersi. Miała ochotę krzyknąć na

niego, ale wstyd odebrał jej mowę.
Rozejrzała się szybko

w obawie, że ktoś mógł go usłyszeć,
lecz na szczęście nikogo

nie było w pobliżu. Policzki paliły ją
rumieńcem, kiedy na

drżących nogach szła po instrument do
jego sypialni. Pocieszała

się, że mogło być jeszcze gorzej.

W słabo oświetlonej komnacie smok i
wilk patrzyły na nią

ze ściany, jakby z niej drwiły. Wpatrując
się w swoje dzieło,

zobaczyła to, co wcześniej ujrzał Rhys: emocje i pasję.

Zakłęła po walijsku, odwracając się plecami do szkicu. Jak

to się stało? Postanowiła nazajutrz dokonać poprawek, stępując

wyrazistość rysunku. Przysięgła sobie, że to malowidło nie

będzie udanym dziełem.

A Rhys nie będzie nią więcej manipulował.

Mały łaciaty Cidu prezentował swoje sztuczki, Gandy

śpiewał, znów wabiąc swą kochankę olbrzymkę, a porządnie

najedzeni mieszkańcy Rosecliffe powoli nabierali humoru.

Dwaj młodzi paziowie odegrali udawaną bijatykę, której nauczył

ich Gandy.

Ich zabawny skądinąd występ odszedł jednak w niepamięć,

kiedy trzy charty pogoniły Cidu przez całą salę, pod stołami,

przez ławy, przewracając jedną ze służących. Dopiero trzej

mężczyźni, wspomagani przez obu paziów, zdołali odciągnąć

potężne psiska od zadziornego Cidu. Kiedy wreszcie zapanował

porządek, wszyscy nadal trzęśli się ze śmiechu.

Wszyscy oprócz Izoldy.

Stała obok Rhysa, zaciskając wilgotne dłonie na cytrze

i czekając, jak przystało na dobrą
służącą, na znak swego pana.

Swego pana. Jakże nienawidziła tego, że
musi mu służyć!

Niewiele jednak mogła zrobić, by
zmienić swój los... swoje

chwilowe położenie. Stała więc pośród
rozbawionej cizby

i czekała, wpatrując się z nienawiścią w
tył głowy Rhysa.

On natomiast wydawał się całkowicie
nieświadomy uczuć

targających Izoldą. Jej ciężkie od

nienawiści spojrzenie, nie

czyniąc żadnej szkody, spływało po jego
ciemnych włosach

na szerokie ramiona. Zauważyła, że ma
włosy nadal nieco zbyt

długie, ale czyste i lśniące, prawie
czarne w miękkim świetle

poходni.

Choć na nią nie patrzył, pamiętała, że
oczy ma tego samego

koloru, a w ich mrocznej głębi kryją się
błyski światła.

Przycisnęła instrument mocniej do piersi, napominając się

w duchu za błędzenie myślami po niebezpiecznych ścieżkach.

Dlaczego nie mógł pozostać Reeviusem, czarującym min-

strelem, który podbił jej serce? Śmiałym poetą, który skradł

jej niewinność?

Musiała przyznać, że tak naprawdę nie była to kradzież. Od

początku do końca gorliwie z nim współdziałała. Nawet gdy

skutecznie ją uwodził. Nawet kiedy już
znała jego tożsamość,

znajdowała rozkosz w jego ramionach.

Jakby wyczuwając kierunek myśli
dziewczyny, Rhys odwrócił się i
przyłapał jej wzrok. Nie odezwał się,
tylko patrzył.

Bała się tego spojrzenia, bo sięgało zbyt
głęboko; chciała przed

nim uciec, lecz nie potrafiła.

- Jesteś gotowa do lekcji. - To nie było
pytanie, tylko

stwierdzenie. Jakby nadal był

Reeviuszem, a jego słowa miały
podwójne znaczenie.

Przywołała się do porządku,
powtarzając sobie twardo, że

ten człowiek nie jest Reeviuszem. Że
nigdy nim nie był.

- Nie, nie jestem gotowa. I żadna lekcja
mnie nie interesuje.

Ale jestem tu... jak kazałeś.

- Jesteś.

Za jego plecami Gandy z Linusem
kłaniali się nisko, nagradzani gorącymi

brawami. Nietypową parę natychmiast otoczyła grupka młodych, bo mimo wszystkiego, co się stało, karzeł z olbrzymem pozostali ulubieńcami widzów, podobnie

jak ich mały piesek. Obecni w sali ludzie zaczęli się dzielić

na mniejsze grupy; kilku mężczyzn zasiadło do gry w kości,

nieliczne kobiety rozmawiały między sobą. Izolda zauważyła,

że Tillo gdzieś zniknął. Nie było też Newlina, od którego pilnie

potrzebowała rady. Stał przed nią

natomiast Rhys ap Owain;

nie licząc ukradkowych spojrzeń
rzucanych w ich stronę, byli

właściwie sami.

- Chodź. - Na dźwięk jego głosu cofnęła
się odruchowo.

Przyjął to z lekkim uśmiechem. - Odpręż
się, Izoldo. Dopóki

nie będziesz się sprzeciwiać, nie masz
powodów do obaw.

- Jakie to pocieszające - prychnęła.

- Wolałbym, żebyśmy rozmawiali po

walijsku.

- Świetnie - odpowiedziała w języku, którego sobie za

życzył.

Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, a potem gestem

zachęcił, by podeszła za nim bliżej kominka.

- Zagraj tę kołysankę - rozkazał, kiedy już zasiedli przy

ogniu. - Tę, którą grałaś na plaży.

- Nie pamiętam jej.

- Pamiętajsz. - Ułożył jej instrument na kolanach i objął ją

ramieniem przez plecy. - Mam ci przypomnieć?

- Nie! - Odsunęła się od niego tak daleko, jak tylko sięgała

ławka, i ujęła cytrę w taki sposób, jak ją uczył. Gotowa była

zrobić wszystko, byle uniknąć jego dotyku. Pochylona nad

instrumentem, starała się uspokoić. Wiedziała, że nie może

swemu wrogowi spojrzeć w oczy, żeby

się nie domyślił, jak

niepokojąco działała na nią jego bliskość.

Nienawidzę go, powtarzała sobie w duchu. On nie jest

Reeviusem. To Rhys ap Owain, mój najgorszy wróg.

Jednak kiedy przypomniała sobie kilka akordów, których ją

nauczył, i zaczęła grać prostą melodię kołysanki, uświadomiła

sobie straszną prawdę. Miał nad nią jakąś dziwną władzę,

posiadał siłę przyciągania, której nie potrafiła się oprzeć. Czy

dlatego, że już raz mu uległa? Czy już zawsze miały ją

prześladować zmysłowe wspomnienia tamtej nocy?

Matka wyjaśniła jej podstawy cielesnego związku, naturalnego pomiędzy kobietą i jej mężem. Ale Izolda zrozumiała teraz to, czego nie wiedziała wcześniej, że małżeństwo nie jest warunkiem niezbędnym do istnienia takiego związku.

Czy w swoich wyjaśnieniach matka w

ogóle wspomniała

o żądzy? Czy ostrzegła ją przez
zgnębnymi skutkami utraty

niewinności... trwałymi skutkami?

- Zaśpiewaj - zażądał Rhys, wrywając
ją z zamyślenia.

Zadrżała na dźwięk jego głosu, na ciepły
powiew jego

oddechu na policzku.

- Za wiele ode mnie wymagasz -
poskarżyła się. - Nie

mogę śpiewać, kiedy jestem taka... taka

rozkojarzona. - Zbyt

późno uświadomiła sobie swoją
pomyłkę, bo kiedy spojrzała

mu w oczy, nie umiała odwrócić
wzroku.

- Byłaś rozkojarzona, rysując szkic na
ścianie, tak przynajmniej twierdziłaś.
Mimo to twój rysunek aż kipi pasją. Z
tego wniosek, że ten stan ducha dobrze
wpływa na twoją sztukę...

bo wyzwala w tobie namiętność. Więc
zagraj dla mnie, Izoldo.

I zaśpiewaj. Daj upust swoim uczuciom
poprzez muzykę,

a zobaczymy, co z tego wyniknie.

Uderzył w struny, muskając przy tym
palcami jej dłoń.

Przebiegł ją dreszcz.

- Dobrze - zgodziła się cicho. - Dobrze.
Daj mi tylko

trochę... oddechu.

Ze śmiechem nieco się od niej odsunął.
Wyciągnął przed

siebie długie nogi, skrzyżował je w
kostkach i splótł ręce na

brzuchu. Choć starała się na niego nie

patrzeć, sama jego

obecność mąciła jej zmysły.

Nienawidziła go, i to od zawsze.

A równocześnie coś ją w nim
nieodparcie pociągało. Jak mogła

być aż tak przewrotna?

Pochylona nad cytrą, jeszcze raz zaczęła
kołysankę, lecz nie

zaśpiewała jej tak jak dotychczas.

Niektóre słowa zmieniła,

inne wręcz dodała od siebie.

Z daleka, z daleka, moja dzieciно,

Zjawią się wilki, silne, wspaniałe,

Nocne strachy bez śladu przeminą

I będziesz bezpieczna, nim wstanie świt.

Z daleka, z daleka, maleństwo drogie,

Smoki mrok straszną rozpalają grozą,

Ale niedługo wygaśnie ich ogień

I będziesz bezpieczna, nim wstanie świt.

Zerknęła na Rhysa z ukosa, wiedząc, że
znowu dała mu

powód do gniewu. Ale ku jej
zdziwieniu, kąciki jego ust

unosły się w słabym uśmiechu. Czyżby
wydała mu się śmieszna? Spięta złością,
zaśpiewała głośniej: Z daleka, z daleka,
dziecino, zobaczysz

Wrogów zgniecionych, rozbitych na
proch

Na twego ojca potężnej tarczy

I będziesz bezpieczna, nim wstanie świt.

Rhys położył dłoń na strunach,
przerywając jej w pół taktu.

- Nie podoba ci się moja piosenka? -
spytała przesadnie

niewinnym tonem.

- Ma niemądre słowa - odparł chłodno. -
Ale domyślam

się, że dobrze oddają twój stan ducha.

Przesunął rękę, nakrywając jej dłoń w
mocnym uścisku.

Chciała się wyswobodzić, lecz nie
zdołała. Z jednej strony jej

dłoni dotykała jego ręka, ciepła i
szorstka, z drugiej chłodny

gładki gryf cytry. Niczym dwa oblicza
tego samego, niebezpiecznego
mężczyzny, przyszło jej do głowy. Była
w nim muzyka i piękne słowa. Ale był
też człowiekiem wojny.

Wypełniał go gniew, który w taki czy inny sposób musiał

znaleźć ujście.

- Nie znam żadnych innych piosenek - powiedziała, uciekając wzrokiem. - Już ci to mówiłam...

- No to zaśpiewasz tak, jak ja ci zagram.

Wziął od niej cytrę, co przyjęła z ulgą.
W sali panowała

cisza; ci, co jeszcze nie odeszli na spoczynek, przyglądali im

się otwarcie. Była zła, że przyciągnął ich uwagę, ale jemu

najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Zaczął grać melodię znaną każdemu walijskiemu dziecku.

- Śpiewaj -rozkazał, mierząc ją twardym spojrzeniem spod

ściągniętych brwi.

Była to prościutka piosenka o wzgórzach, rzekach i wietrze.

Zapewne jeszcze nikt nie śpiewał jej z taką niechęcią. Umyślnie

niewyraźnie wymawiała poszczególne słowa, nadając piosence

płaskie, monotonne brzmienie.

Zawtórował jej głosem tłumionym złością. Kilku jego ludzi dołączyło do nich z podsyconą winem gorliwością, a przy ostatniej zwrotce głos Izoldy całkowicie utonął w donośnym chórze. Mimo to wszyscy musieli zauważyć panujące między nimi napięcie.

- Pójdę już - powiedziała, wstając, kiedy zapadła cisza.

- Masz jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

- Także się podniósł

z miejsca i nie wypuszczając cytry z ręki, skierował się ku

schodom. - Chodź.

Nie odwrócił się, by sprawdzić, czy go
usłuchała. Przez

dłuższą chwilę Izolda się nie poruszyła.
Bała się pójść za nim,

bo nie mogła mu ufać. Ale nie ufała
również sobie... a raczej

swemu ciału. Bo na samą myśl o pójściu
z nim na górę poczuła

w brzuchu palący żar.

- Jakie rzeczy? - odważyła się spytać.

No właśnie, jakie? Rhys miał
świadomość, że to, czego od

niej chciał, nie równało się temu, czego powinien chcieć.

Do zwycięzcy należały łupy. Zarówno angielski, jak i walijski

obyczaj potwierdzał jego prawo do Izoldy. Ale przecież nie

był barbarzyńcą okrutnym dla zwyciężonych. Choć niechętnie

przypisywał lordowi FitzHugh jakiegokolwiek dobre cechy, jedno

musiał mu przyznać - zabraniał gwałcenia walijskich kobiet,

a każdy, kto złamał ten zakaz, ponosił

surową karę. Rhys nie

miął zamiaru okazać się człowiekiem
mniej honorowym od

Randulfa FitzHugh.

Trudno jednak było zaprzeczyć, że
Izolda FitzHugh rozpaliała

w nim żądzę. Słyszał jej ciche kroki za
sobą i budziła się w nim

bestia.

- Jakie rzeczy? - spytała powtórnie.
Czyżby słyszał drzenie

lęku w jej głosie?

Na podeście drugiego piętra się zatrzymał. Dziewczyna stała

o kilka stopni niżej, skąpana w świetle pochodni, które tworzyło

wokół niej złocistą aureolę. A przecież nie była aniołem.

Raczej diablicą. Znów ogarnęła go fala pożądania. Wystarczyło

pokonać jeszcze kilka stopni. Łoże czekało tuż za drzwiami.

- Nie jesteś już panią tego zamku - przypomniał jej lekko

schrypniętym głosem. - Jesteś moją

zakładniczką. Moim jeńcem. Dlatego jak każdy jeńiec musisz zarobić na swoje utrzymanie.

- Wykonanie malowidła na ścianie nie wystarczy? Czyż nie

usługiwałam ci przy posiłku? Co jeszcze muszę zrobić?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią ciężkim spojrzeniem;

na jego szyi widać było pulsującą żyłę.

Oczy Izoldy robiły się coraz większe ze strachu, w miarę

jak docierały do niej prawdziwe

intencje Rhysa.

- Nie. Nie! Nie możesz... - zaczęła, schodząc o stopień niżej.

- Masz pościelić łóżko - przerwał jej chrapliwie. - Potem

odwieszysz ubranie, wyczyścisz mi buty i zajmiesz się brudną

bielizną.

Pokręciła głową.

- Nie wejdę do twojej komnaty, kiedy ty w niej będziesz. -

Nie powinien jej do tego zmuszać.

Gwałtowny opór dziewczyny jeszcze bardziej rozniecił w nim żądzę.

- Czego się boisz, Izoldo?

Odetchnęła głęboko. Piersi zafalowały jej pod stanikiem

prostej zielonej sukni.

- Wydaje mi się, że nie mnie, lecz raczej swojej namiętnej

natury się obawiasz.

- No to się mylisz!

- Bo byłaś już z mężczyzną i czerpałaś z tego przyjemność...

- Wcale nie!

- Ależ tak, Izoldo. Jesteś pełna
namiętności. Aż od niej

drżysz. - Jeśli ona drżała, to on
dosłownie się trząsał. - Choć

wiesz, że nie powinnaś przeżywać
takich uniesień ponownie,

chcesz tego. Czyż nie taka jest prawda?
Boisz się nie mojej

żądzy, tylko własnej.

Nie był pewien, jak dalece ma rację,
dopóki nie odwróciła

głowy i w świetle nie zobaczył jej
ciemnego rumieńca. Blask

poходni uwidoczniał też sterczące
grudki w miejscach, gdzie

pod tkaniną sukienki znajdowały się
brodawki piersi.

Zaklął w duchu, uświadomiwszy sobie,
że gdyby nie luźna

tunika, Izolda także miałaby wydatny
dowód stanu jego

zmysłów.

- Tak, to nie mnie się boisz, tylko
własnej żądzы - wyrzucił

z siebie. - Idź do swojej komnaty na wieży - dodał, choć

przyszło mu to niemal z bólem. - Na ten wieczór zwalniam

cię z obowiązków. - Odsunął się pod ścianę, gestem wskazując

jej drogę. - Idź, zanim się rozmyślę. - Był wściekły na siebie

i całą sytuację. - Ale pomyśl o tym, co ci powiedziałem.

Pomyśl i przyznaj się do prawdy, przynajmniej przed sobą.

Długo nie była w stanie się poruszyć. On

także stał nieruchomo. Oboje wiedzieli, że aby dojść do swej komnaty na wieży, musi go wyminąć, znaleźć się w jego zasięgu. Nie

zamierzał jej dotknąć... choć powstrzymanie się przed tym było

bardzo trudne. Musiał się zadowolić widokiem jej wielkich

szarych oczu, które mówiły mu, że ma rację.

Gdy wreszcie zagarnęła w dłoni fałdy spódnicy i wolno,

ostrożnie zaczęła wchodzić po schodach, okazało się to jeszcze

trudniejsze, niż myślał... i dało mu
jeszcze większą satysfakcję.

Opuściła krąg światła jednej pochodni,
na moment zanurzyła

się w cienie, by zaraz ukazać się w
nowym blasku, zaróżowiona,

złotowłosa, piękniejsza i bardziej
ponętna od wszystkich kobiet,

jakie poznał.

Zdobywając się na nadludzki wysiłek,
pozostał nieruchomy

jak głaz... i jak głaz twardy, pozwalając
jej odejść.

Kiedy go mijiała, miał wrażenie, że wyczuwa w niej pożądanie, tęsknotę i żal. I to była jego satysfakcja.

Pragnęła go, miał rację we wszystkim, co jej powiedział.

Mijając go, posłała mu niepewne... skruszone spojrzenie.

A potem umknęła do swej małej komnaty na szczycie wieży.

Zacisnął dłonie aż do bólu; w ostatniej chwili się opamiętał,

żeby nie zmiażdżyć gryfu cytry. Pot zrosił mu czoło, szczęki

zesztywniały od zaciskania. Mógłby do niej pójść, tam na górę.

Powtarzał sobie jednak, że lepiej, by to ona do niego przyszła. Nie

mogłaby go wówczas oskarżyć o gwałt. Tak, lepiej było poczekać,

choć rozpalone ciało domagało się czegoś wręcz przeciwnego.

Czuł, że oczekiwanie nie potrwa długo. I wtedy będzie

należała do niego pod każdym względem. Zatopi się w jej

cieple i miękkości, podzieli się z nią

swoją siłą.

- Święta Matko - szepnął, zaciskając powieki. W końcu

odwrócił się i sztywno wkroczył do swojej komnaty. Cicho

zamknął za sobą drzwi i odłożył cytrę. Kiedy jednak stanął

przed ścianą, przedstawiającą wilka rozciągniętego pod smokiem, z jego ust wydarł się strumień przekleństw, najpaskudniejszych słów, jakie znał w walijskim, angielskim i francuskim.

Narysowała to, czego żądał, symboliczny obraz pokonania

FitzHugh przez Walińczyków. Ale
prawda wyglądała inaczej.

Przyciskając rozgrzane gorączką czoło
do zimnej ściany Rose-

cliffe, nie czuł się zwycięzcą, lecz
ofiara.

Dlaczego ze wszystkich godnych
pożądania kobiet wybrał

właśnie ją?

Na dole w wielkiej sieni ostatni
mieszkańcy zamku układali

się do snu. Wszyscy poza Gandym i
Linusem.

- Nie chcę walczyć przeciwko jej rodzinie - marudził Linus.

Spojrzał ponuro na przyjaciela.

Karzeł poklepał się po udzie, a kiedy piesek wskoczył mu

na kolana, przytulił go do wątlej piersi.

Linus nie dawał za wgraną.

- Jeśli ją zatrzyma, oni przyjadą, żeby z się z nim bić.

A gdyby ją puścił...

- Też przyjadą i będą się bić - przerwał mu Gandy.

- Ale ja nie chcę już walczyć.

- No to nie walcz.

Linus podrapał się po głowie.

- I nie chcę, żeby on walczył. Powinien przestać.

- Nie sędzę, żeby potrafił. Tak czy inaczej, to nie nasza

sprawa.

- Ale on jest naszym przyjacielem.

W tym momencie ze schodów zeszła, okryta mrokiem, jakaś

postać, poruszająca się wolno i
chwiejnie. Gandy zsunął się

z krzesła, a Cidu natychmiast
przeskoczył na szerokie kolana

Linusa. Zbliżał się do nich stary bard z
Rosecliffe.

- Przychodzisz z jego komnaty czy od
niej? A może ci

dwoje są razem - odezwał się Gandy,
mrużąc do przybysza

znacząco.

Newlin odpowiedział mu łagodnym
uśmiechem.

- Są osobno, ale nie dlatego, że tak chcą.
Rozdzielają ich

inne sprawy. - Minął ich, idąc
rozkołysanym krokiem, i stanął

przed kominkiem. Wyciągnął ręce, żeby
je ogrzać nad ogniem.

Poły szerokiej opończy zafalowały
miętko wokół jego drobnej

sylwetki.

- Jest zimno, a z pewnością zrobi się
jeszcze zimniej.

- Zima za pasem - przyznał Linus.

- Właśnie. - Newlin pokiwał głową, uśmiechając się do

olbrzyma. - Obawiam się, że będzie straszny ziąb.

- Niezbyt obiecująca pogoda do rozpoczynania oblężenia -

zauważył Gandy.

Newlin obejrzał się na karła.

- Prawdę mówiąc, taki chłód może bardzo pomóc w oblężeniu.

- Widać, że niewiele się znasz na wojaczce - parsknął

Gandy.

Newlin nie odpowiedział; nie
przestawał się uśmiechać.

Przysunął się bliżej paleniska. Przecież
nie chodzi mi o sztukę

wojenną, pomyślał.

Karzeł popadł w zadumę. Linus głaskał
przymilnego psiaka.

W drugim końcu sali siedzący w cieniu
Tillo uniósł brwi

w wyrazie zaskoczenia. Nie o sztukę
wojenną? Zatem co

Newlin mógł mieć na myśli? Nagle stary
bard odwrócił głowę

i skierował spojrzenie w cień, prosto w
oczy Tilla.

Ten wzdrygnął się, przyciskając drżącą
dłoń do piersi. Jak

to się stało, że usłyszał myśli Newlina?
Co ważniejsze, czy

ten dziwny starzec słyszał jego mroczne
myśli? Tillo zatrzęsł

się ze strachu, bo nie chciał się dzielić z
Newlinem swoimi

sekretami.

Coś mu jednak mówiło, że tamten
dojrzał prawdę. Zobaczył

Tilly, która od tak dawna chroniła się
pod postacią Tilla. Czy

wyjawi prawdę? Czy zdradzi, kim
naprawdę jest Tillo?

A jeśli tak, co ona wtedy zrobi?

16

Minęły trzy dni, nastąpiła zima,
nieoczekiwanie sroga,

a prace przy malowidle postępowały.
Tymczasem napięcie

między Izoldą i Rhysem przybierało na
sile, podsycane bólem

tłumionych uczuć.

Bezlitosna nawałnica usypała wysokie
zaspę śnieżną, uniemożliwiając zarówno
ludziom, jak i zwierzętom poruszanie się
na zewnątrz. Malowidło na ścianie rosło
i nabierało formy

z każdym pociągnięciem pędzla. Wijące się rzeki krwistej

czzerwieni, jaskrawe smugi żółci, fioleto i błękitu ożywiały

śmiertelne zmagania smoka z wilkiem.

Działo się tak pewnie dlatego, że Izolda sama ze sobą toczyła

walkę. Nie chciała, żeby obraz wyszedł taki duży, wyrazisty,

a każda uwaga Rhysa na ten temat doprowadzała ją do furii.

Musiała jednak w końcu stawić czoło prawdzie: to była jej

najlepsza praca.

Wielki smok, namalowany głównie
czarną i niebieską farbą,

z płonącymi nozdrzami i żarem w
ślepiach, miał być odrażający.

Tymczasem, nie wiedzieć czemu,
wyszedł potężny i dostojny.

Stając w pewnej odległości od
malowidła, Izolda przetarła

czoło nadgarstkiem. Smok był potężny i
dostojny, ponieważ

symbolizował Walię, a poprzez matkę
Izolda była pół-Walijką.

Nie mogła jednak pozwolić, by smok pokonał wilka, symbol

rodu FitzHugh, drugiej połowy jej przodków. Ostatecznie

matka nie pokonała ojca ani też on nie pokonał swojej walijskiej

żony. Owszem, walczyli ze sobą, znała opowieści o pierwszych

trudnych latach ich związku. Ale kiedy już się pobrali, zapanowała między nimi zgoda.

Od czasu do czasu zdarzały się nieporozumienia, lecz żadne

z nich nie zostało pokonane, więc i ona nie mogła pozwolić,

by pokonany został wilk na jej malowidle. Dlatego urósł

i nabrał świetności. Zalśniły obnażone kły, ostre pazury trzymały

potężnego smoka na dystans.

Dzień po dniu malowani wrogowie walczyli ze sobą na

szerokiej tynkowanej ścianie, a Izolda niestrudzenie poprawiała

dzieło, które w niedalekiej przyszłości miała zniszczyć. Z każdą

warstwą farby przybywało nowych szczegółów, takich jak róże

wzdłuż brzegu czy mglisty zarys zamku w oddali. Z cienia

wychodziły ludzkie postacie, by z lękiem przypatrywać się

bitwie. Chciała przestać, uznać dzieło za ukończone. Jednak

nie potrafiła, a Rhysowi nie przeszkadzało, że spędza długie

godziny w jego komnacie.

To, że w ciągu dnia trzymał się z daleka, było jej na rękę.

Z początku. Opuszczała jego komnatę
wraz z zapadnięciem

zmierchu. On wracał po wyjściu Izoldy.
Chwalił jej dokonania,

kiedy podawała mu posiłek, i w gruncie
rzeczy nie miała

powodu do narzekań na swoją sytuację.
Czasami w nocy

słyszała muzykę dobiegającą z jego
komnaty na dole: nieco

stłumiony dźwięk cytry i niski męski
głos śpiewający słowa,

których nie potrafiła rozróżnić.

Te pieśni nucone o północy pociągały ją... i jednocześnie

odpychały. Powtarzała sobie uparcie, że to nie Reevis tak

pięknie śpiewa, tylko Rhys, jej śmiertelny wróg.

Minał prawie tydzień. Ojciec powinien już otrzymać złe

wieści i przygotowywać się do powrotu. Za tydzień zjawi się

w zamku i jej tortura dobiegnie końca.

W głębi duszy bała się momentu spotkania Rhysa z ojcem,

bo mogło się skończyć tylko źle.

Mężczyźni tacy jak oni

poważnie traktowali wojnę. Walka o
Rosecliffe... i o nią

musiała się dla jednej ze stron skończyć
śmiercią.

Zaskrzypiały otwierane drzwi.

Odwróciła się gwałtownie;

serce jej waliło jak zawsze, gdy się
spodziewała ujrzeć Rhysa.

Ale to nie był on, lecz Tillo. Poczowała
ukłucie rozczarowania.

- On jest w stajni, ostrzy swój miecz -

odezwał się stary

minstrel, wchodząc do komnaty. Posłał jej znaczące spojrzenie.

Opuściła wzrok na pobrudzone farbą dłonie. Przyjrząwszy

się malowidłu, zajmującemu teraz całą ścianę, Tillo pokiwał

głową.

- Masz wyjątkowy talent, dziecko.

- Nienawidzę tego - odparła Izolda ze szczerością, jakiej

zwykle nie okazywała w obecności

popleczników Rhysa.

- Nienawidzisz swojego talentu?

- Nienawidzę tego malowidła.

Tillo spojrział na nią z ukosa.

- Przecież jest wspaniałe.

Izolda wrzuciła pędzel do miski; brudna woda rozlała się

po stole. Dziewczyna ze złością wytarła ją kawałkiem płótna.

- Wcale nie miało być takie wspaniałe.

- Ach, tak. - Tillo pokiwał głową. -

Rozumiem.

- Czyżby? - udała zdziwienie.

- Owszem, rozumiem. - Stary minstrel przyglądał jej się

przez chwilę, a potem westchnął. -
Niektórym kobietom los

każe przyłożyć rękę do ich własnego
upadku. Nie wiem,

dlaczego tak się dzieje.

Czyżby mówił o niej? Poczucie winy
zabarwiło Izoldzie

policzki.

- Widzę, że Rhys ci się pochwalił -
mruknęła. - Cokolwiek

ci mówił, kłamał. Może popełniłam
błąd, ulegając Reeviusowi -

przyznała. - Ale odkąd się
dowiedziałam, kim jest naprawdę,

robiłam wszystko, co mogłam, żeby się
bronić przed jego

zapędami.

- Za późno - stwierdził Tillo, wpatrzony
w smoka unoszącego się nad wilkiem. -
Za późno.

Łzy zapiekły ją pod powiekami.

- Dla niego będzie za późno, kiedy wróci mój ojciec.

- Tak. Tego dnia ktoś będzie musiał umrzeć.

Izolda zdrętwiała na te słowa. Myślała podobnie, ale usłyszawszy je wypowiedziane głośno, poczuła w środku lodowaty strach. Stary minstrel spojrzał na nią poważnie.

- Nie chcesz, żeby Rhys umarł, prawda?

- Nie... nie dbam o to, co się z nim stanie.

Tillo postukał laską w podłogę.

- Nie mam czasu na kłamstwa! - Nagle
jego pomarszczona

twarz przybrała wyraz zdumienia, jakby
własne słowa go

zaskoczyły. - Nie ma czasu na kłamstwa
- powtórzył zamyślony.

- Nie ma znaczenia, czego ja chcę! -
wykrzyknęła Izolda. -

Nie rozumiesz? Będą ze sobą walczyć
niezależnie od tego, co

ja zrobię.

Tillo jakby jej nie słuchał. Odrzucił do
tyłu opończę, odsłaniając drobną

sylwetkę, przygiętą do ziemi wiekiem, i kościste ramiona. Rozwiązawszy tasiemki pod brodą, zrzucił

z siebie okrycie. Następnie ściągnął obcisły kaptur, osłaniający

mu głowę i barki.

Izolda przyglądała się oniemiała temu dziwnemu zachowaniu.

- Chciałbyś gorącej wody na kąpiel? - podsunęła. - W kuchni jest znacznie cieplej niż w tej komnacie.

- Jestem kobietą - oznajmił Tillo spokojnie.

Kobietą? Do Izoldy nie od razu dotarł pełny sens tych słów.

Jak on mógł być kobietą? Wtedy stary minstrel sięgnął do

karku i rozpuścił siwe włosy związane dotąd w węzeł.

Był kobietą.

- Ale... dlaczego przez cały ten czas udawałaś mężczyznę? -

zdziwiła się Izolda.

Tillo z westchnieniem odgarnęła kręty siwy kosmyk i w tym

jednym nieznacznym gościu Izolda
ujrzała to wszystko, czego

nie dostrzegała wcześniej.

- Samotna kobieta nie jest bezpieczna.

- No tak, rozumiem. A dlaczego
postanowiłaś się teraz

przyznać? I właśnie mnie? Czy Rhys
wie? - Izolda wpatrywała

się w twarz Tillo, o rysach zbyt
delikatnych jak na mężczyznę.

Ręce staruszka też miała szczupłe i
drobne.

- Potrzebuję twojej pomocy - wyznała Tillo. - A ty potrzebujesz mojej.

- Rhys o niczym nie wie?

- Nie musi wiedzieć.

- Chyba się go nie obawiasz?

Tillo zacisnęła usta i pokręciła głową.

- Mężczyźni patrzą na kobiety inaczej niż na innych mężczyzn. Jako mężczyzna... nawet starzec, mam pewną wartość, choć znikomą. Jako stara kobieta nie mam żadnej wartości.

Nawet jako młoda kobieta, taka jak ty, nie na wiele byłam

przydatna. - Patrzyła smutno na Izoldę. -
Z pewnością wiesz,

do czego potrzebuje cię Rhys.

Izoldę przebiegły ciarki; objęła się
ramionami. Wiedziała,

ale wolała unikać tego tematu.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego
wyjawiasz mi swój sekret.

Jak mogłabym ci pomóc?

Tillo przeniosła wzrok na malowidło.

- Nie wierzę, że życzysz śmierci
swojemu kochankowi.

- On nie jest moim kochankiem!

- Ale był. Obie to wiemy. - Głos Tillo
złagodniał. - Nie

bój się, dziecko. Ja też nie życzę mu
śmierci, bo był dla mnie

całkiem dobry. Obawiam się jednak, że
tylko z twoim wstawiennictwem może
uniknąć okrutnego losu. Musisz uciec i
pojechać do ojca.

Serce Izoldy zaczęło walić jak oszalałe.
Zerknęła niepewnie

na drzwi.

- To znaczy, że chcesz mi pomóc? - Z

niedowierzaniem

przyjęła potaknięcie Tillo. - Dlaczego miałabyś to zrobić?

- Jestem stara. Potrzebuję jakiegoś ciepłego miejsca do życia.

- Nie masz własnej rodziny? Dzieci, do których mogłabyś

się zwrócić?

Tillo zmieniła się na twarzy, jakby poszarzała. Wyprostowała

pochyłone plecy, a w jej oczach błysnął gniew.

- Nigdy nie poczęłam dziecka. Dwaj mężowie odprawili

mnie, bo nie rodziłam im synów. Ale teraz to nie ma znaczenia -

dodała, machając ręką. - Potrzebuję jakiegoś domu, żeby

w nim spędzić ostatnie lata życia. Nie tutaj - dodała szybko. -

Może przekonasz swojego stryja, żeby mi pozwolił zamieszkać

u siebie.

- Dlaczego nie tutaj? - spytała Izolda, próbując zrozumieć

to, co usłyszała.

- Mam swoje powody - zbyła ją Tillo. -
Zdecyduj się,

dziewczyno. Przyjmiesz moją pomoc i
uratujesz życie Rhysa

czy nie?

- Czemu sądzisz, że moja ucieczka
uratuje mu życie?

- Bo się za nim wstawisz.

- Przecież ja go nienawidzę!

Tillo po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Nieprawda. Jesteś zbyt młoda, żeby go nienawidzić, zbyt

stęskniona rozkoszy, którą może ci dać. On także cię pragnie.

Ale kiedy ten ogień się wypali, wtedy zobaczysz, jak nisko

mężczyzna ceni kobietę. I wówczas, być może, rzeczywiście

go znienawidzisz. Ale jeszcze nie teraz.

Izolda miała mętlik w głowie. Z jednej strony mogłaby

przysiąc, że nienawidzi Rhysa, z drugiej wydawało jej się, że

nie potrafi go nienawidzić. Odwróciła się plecami do malowidła,

żeby jej nie rozpraszało, i starała się skupić.

- Mylisz się. Nie wszyscy mężczyźni są tacy, jak mówisz.

Mój ojciec ceni moją matkę... nie tylko dlatego, że urodziła

mu dzieci.

Tillo prychnęła.

- Jest piękna? Nadal wabi go do łóża?

- Kochają się nawzajem.

- Jeśli to prawda, stanowią wyjątkową parę. Nie zrozum

mnie źle, dziecko. Rhys nie jest złym człowiekiem. Jest

lepszy od większości tych, których znam, ale jest mężczyzną. Czy chce, czy nie chce, musi być wierny swojej naturze. - Tillo zamilkła na chwilę. - A ty musisz być wierna swojej.

Izolda popatrzyła starszce głęboko w oczy.

- Moja natura każe mi przede wszystkim być wierną rodzinie.

Twarz Tillo zmarszczyła się jeszcze

bardziej.

- Myślisz, że ja swojej nie jestem wierna? Chcę, żeby Rhys

żył, Izoldo. Dlatego pomogę ci uciec. Nie mogę ściągnąć go

z drogi, którą obrał i która niechybnie prowadzi go do śmierci.

Ale twój ojciec już raz darował mu życie. Z pewnością zrobi

to znowu na prośbę ukochanej córki.

R y

h s z zapamiętaniem szlifował ostrze

miecza. Wiele razy

w życiu doświadczył zdrady, ale nigdy
go nie zawiódł dobrze

przygotowany oręż. Najczystsza stal,
najzdrowszy dąb, najlepsza

skóra. Używał ich i dbał o nie z wielką
starannością. Dziś

jednak jego myśli skupiały się nie na
tym, by uzyskać doskonałą

ostrość miecza, lecz krążyły wokół
kobiety, której unikał.

Nie było sensu zaprzeczać prawdzie.
Unikał jej. Od trzech

dni nie zwracał na nią uwagi. Od trzech piekielnie długich dni.

Pragnął jej tak bardzo, że o niczym innym nie mógł myśleć

dniami i nocami. Równie mocna jak to pragnienie była potrzeba,

by to Izolda pierwsza do niego przyszła. Wmawiał sobie, że

to by osłodziło jego zwycięstwo nad znenawidzonymi FitzHugh

i dowiodło, że jest tak samo honorowy jak oni. Nawet bardziej

honorowy.

Otarłszy czoło rękawem, bez mrugnięcia
wpatrywał się

w światło latarni, oświetlającej zimny
stajenny boks. I znów

osaczyła go niechciana prawda: unikał
tej dziewczyny dlatego,

że bał się ujawnić siłę pożądania, jakie
w nim wzbudzała.

Gdyby odkryła, jak mocno jej pragnie...

Znów przejechał rękawem po czole. Nie
mógł do tego dopuścić.

Podjął przerwane zajęcie. Uderzając
rytmicznie kamieniem

o połyskującą stal, szukał ukojenia w monotonii swej pracy.

Kiedy za jego plecami pojawił się jakiś ruch, podskoczył jak

przestraszony chłopiec, rozcinając sobie kciuk.

Z przekleństwem przycisnął ranę do ust, równocześnie przybierając bojową pozycję.

- Newlin! - Zaklął jeszcze raz, ujrzawszy pokręconego

starca. - Masz jakiś powód, żeby się skradać po nocy niczym

złodziej?

- To nie ja spiskuję po nocy - odparł bez
zająknięcia stary

bard. - Poza tym jeszcze jest dzień.
Odłóż broń, chłopcze. Nie

chcę, żebyś ucierpiał.

- Chciałbym być tego pewien - mruknął
Rhys pod nosem.

Skrzywił się, patrząc na skaleczony
palec, po czym znów

chwycił za kamień.

- Możesz być pewien - odparł Newlin.

- Czego ode mnie chcesz?

- Twoi kompani łatwo się przyzwyczaili do życia w Rose-

cliffe. Większość z nich.

- A dlaczego by nie? To Walia, a oni są Walijszymi.

- Nie mówię o Glynie, Dafyddzie i innych, tylko o twoich

towarzyszach wędrówki, o twojej trupie minstrela.

Rhys nie przerywał pracy.

- Linus i Gandy mieli dotąd trudne życie,

wyśmiewani

i dręczeni. Potraktowałem ich godziwie, więc poszli za mną.

Są mi oddani - dodał z naciskiem.

- Wierzę, że tak. A Tillo?

- Tillo? - Uniósłszy głowę, Rhys przyjrzał się Newlinowi

spod opuszczonych powiek. - Chcesz powiedzieć, że nie jest

wobec mnie lojalny?

Newlin uśmiechnął się niewinnym, niemal dziecięcym uśmiechem.

- Ja rozumiem podstawowe prawdy tego świata. Ale ludzie...

Każdy z nich ma wolną wolę. I używa jej tak... no cóż, tak,

że nawet ja jestem czasami zdumiony. - Zatarł ręce. - Zimno

tu. Chyba nawet twoje zwierzęta miałyby dziś ochotę ogrzać

się przy ogniu.

Rhys mruknął coś niewyraźnie, wracając do przerwanej

pracy. Jednak kiedy Newlin w milczeniu zawrócił do wyjścia,

zatrzymał go szorstko wypowiedzianym pytaniem:

- Kiedy przyjedzie FitzHugh?

Stary bard odpowiedział, nie patrząc na niego:

- Niedługo.

- Wie, co tu się stało?

Newlin potwierdził skinieniem, a potem zaczął się kołysać

w przód i do tyłu, dziwnym, niepokojącym ruchem.

- Uważaj na to, co sam wywołałeś,

chłopcze. Możesz

zdożyć cel, a mimo to nigdy nie osiągnąć tego, do czego dążyłeś.

- Nie jestem żadnym chłopcem - warknął Rhys, mierząc

starca wściekłym spojrzeniem.

Ktoś inny może by się wystraszył groźby w głosie Rhysa,

lecz nie Newlin.

- Rzeczywiście nie jesteś już chłopcem, jeśli idzie o siłę

czy sprawność we władaniu mieczem.

Ale nie zmieniłeś się

wiele od czasu, gdy byłeś chłopcem.
Nadal jesteś synem

Owaina.

- I zawsze nim będę! - oświadczył Rhys,
unosząc miecz

pewną ręką.

Newlin zamrugał, oślepiiony błyskiem
nieskazitelnej stali.

- Masz wolną wolę - rzekł na koniec. -
Modlę się, byś użył

jej mądrze.

Josselyn nie podniosła wzroku, kiedy posłaniec zbliżył się

do Randa, westchnęła tylko z rezygnacją. Następne wezwanie,

zaproszenie lub pilna prośba, bez wątpienia. Byli w Londynie

zaledwie od trzech dni, a już zaczynała być zmęczona niekończącymi się prywatnymi naradami, tajnymi spotkaniami i politycznymi manewrami. Jako dwaj najpotężniejsi lordowie na walijskim pograniczu, Rand i Jasper zostali wciągnięci w wir

wydarzeń związanych z dojściem do władzy młodego króla.

Co więcej, zaledwie wczoraj dowiedzieli się, że John Fitz-

Hugh, rozpustny starszy brat Randulfa, zmarł przed dwoma

tygodniami, nie pozostawiając dziedzica. To oznaczało, że

Rand zostanie lordem Aslin.

Josselyn nie bardzo wiedziała, jak to przyjąć. Mimo walijskiego pochodzenia, i ją, i żonę Jaspera, Rhonwen, zachęcano do uczestnictwa w życiu kobiecej części królewskiego dworu.

Obawiała się, że jako lady Aslin będzie narażona na jeszcze

mocniejsze naciski z tej strony.

Londyński styl życia wydawał się
Josselyn często dziwaczny,

a czasami nawet głupi. Jednakże dwór
króla Henryka dopiero

nabierał kształtów, a Rand zapewniał ją,
że nie zawsze będzie

sprawiał wrażenie chaosu.

Na szczęście królowa, żona Henryka,
śliczna Eleonora, była

bez zarzutu. Choć Josselyn nie spędziła z
nią wiele czasu, od

razu dało się zauważyć, że jest inteligentna i światowa. Josselyn

przewidywała, że królowa będzie miała duży wpływ na młodszego od siebie męża i jego dwór. I uważała ten fakt za wysoce korzystny dla poddanych.

- Coś jest na rzeczy - szepnęła Rhonwen, szturchając ją

lekko łokciem.

Josselyn oderwała wzrok od wstążek, które splatała dla

Gwen jako ozdobę do włosów. Tego dnia po południu dziewczynka miała być przedstawiona królowej.

- Co takiego? Może ktoś został usadzony po złej stronie

stołu?

Uszczypliwy humor opuścił ją na widok miny Randa. A kiedy mąż złapał posłańca za tunikę, jakby chciał go rozszarpać, Josselyn poderwała się na nogi, całkiem zapominając o wstążkach.

- Jak to możliwe? - wysyczał Rand przez zaciśnięte zęby

do wystraszonego nieszczęśnika. - Zrobiłem z Rosecliffe niezdobytą twierdzą!

- Tak, milordzie. Ale... ale on

wszystkich nabrał...

- Osborn nie jest głupcem, żeby dać się nabrać...

- Rand! - wykrzyknęła Josselyn. - O co chodzi?

Zwrócił się do niej twarzą całkowicie pozbawioną koloru.

Na tle pobladłej skóry jego oczy pałały furją. I strachem.

- Lady Izolda jest... cała i zdrowa - wybełkotał posłaniec,

niemal dławiąc się w żelaznym uścisku Randa. - Właściwie...

nie polało się wiele krwi. Nikt nie zginął.

- Izolda? - Josselyn miała wrażenie, że serce przestało jej

bić. - Dobry Boże, co się stało? -
Chwyciła męża za ramię. -

Powiedz mi! Co się stało w Rosecliffe?

- Rhys ap Owain. - Wypluł te słowa, jakby były trucizną.

Nagle zwolnił uścisk, wypuszczając roztrzęsionego posłańca. -

Sukinsyn. - Przeniósł wściekłe spojrzenie na brata. - Powinie-

nem był go zabić dziesięć lat temu.
Niepotrzebnie cię posłuchałem!

Jasper zacisnął dłonie w pięści.
Rhonwen położyła mu

uspokajająco dłoń na ramieniu. Ale
gniew Jaspera nie był

skierowany przeciw bratu.

- Jeśli przez niego spadnie jej choćby
jeden włos z głowy,

sam go zabiję. - Jasper zwrócił się do
posłańca, który sztywnym

ze strachu krokiem wycofywał się ku
drzwiom. - Opowiedz

o wszystkim, co tam zaszło. O
wszystkim.

Nie trwało to długo, bo też niewiele
było do opowiadania.

Josselyn słuchała w napięciu, skupiona
na każdym szczególe,

próbując sobie wyobrazić to, co się
działo w jej odległym

domu. Przerazała ją myśl, że zabrano jej
ukochane Rosecliffe,

a tak wielu z ich ludzi czekała tułaczka.
Jednakże o Izoldę nie

bała się aż tak rozpaczliwie jak mąż.

- Rhys trzymał Izoldę w ramionach,
kiedy była małym

dzieckiem - próbowała go uspokoić,
podążając za nim do

stajni. - Nie zrobi jej krzywdy.

- Był wtedy ledwie chłopcem.

- Nieznośnym chłopcem. Mimo to
zawsze dobrze się z nią

obchodził.

- Zapominasz, jak bardzo mnie
nienawidzi... a jeszcze

bardziej Jaspera. Nienawidzi

wszystkich, którzy mają angielską

krw. Boże miłosierny, ależ byłem głupi, sądząc, że rycerski

trening go zmieni. Że nauczy go honoru. A teraz on ma

Izoldę... - Urwał, bo coś ścisnęło go w gardle. Opanowawszy

się, wydał masztalerzowi stosowne rozkazy.

- Kiedy wyjeżdżamy? - spytała Josselyn.

- Jasper i ja wyruszamy za godzinę - odparł, posyłając jej

ostre spojrzenie. - Ty z Rhonwen i dziećmi pojedziecie do

Bailwynn. Gavin jest wystarczająco dorosły, by jechać jako

wasza ochrona.

- Jadę z tobą do Rosecliffe.

Widziała, jak mąż zaciskał szczęki. Potem westchnął, chwytając się za kark. Po tym geście poznała, jak bardzo jest zatroskany.

- Będziemy pędzić co koń wyskoczy, Josselyn. Ty i dzieci

nie nadążycie za nami.

Podeszła do męża i zarzuciła mu ręce na szyję, nie zwracając

uwagi na obecność masztalerza.

- Obiecuję ci, że nie będę was wstrzymywać. Już zdecydowałyśmy z Rhonwen, więc nie ma sensu się spierać. Pojedziemy z wami jako rodzina zjednoczona w obronie naszego domu.

Jesteśmy Walijkami. Kochamy naszych mężczyzn, nasze dzieci

i nasze domy ponad wszystko.

Słaby uśmiech rozjaśnił na moment ściągnięte rysy Randa.

- Cieszę się, że jesteś ze mną, a nie przeciwko mnie,

ukochana. Twój walijski upór jest mi wielką podporą. - Uca

łował ją w czoło.

- Ale walijski upór Rhysa nie stanowi pocieszenia - zauważyła Josselyn.

Odsunął się od niej.

- Nie broń przede mną tego niewdzięcznego łotra. Jeśli po

to chcesz z nami jechać, to lepiej tu zostań.

- Jadę z wami po to, by ratować córkę i dom - odparła

z oburzeniem.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

- Świetnie - odezwał się w końcu Rand.
- Zatem nie traćmy

czasu. Ruszajmy w drogę.

Ruszajmy, pomyślała Josselyn. Jedźmy się przekonać, czy

nasza pierwородna córka ujarzmiła
dzikiego walijskiego rycerza,

nad którym nikt inny nie potrafił

zapanować.

Izolda nienawidziła skończonego malowidła. Nienawidzi

ła. Mimo to jakoś ciągle znajdowała powody, żeby się wśliznąć do komanty Rhysa i stojąc przed zamalowaną ścianą, patrzeć na straszego smoka zmagającego się z dzielnym

wilkiem.

Musiała z goryczą przyznać, że to jej najlepsza praca.

Właściwie powinna była użyć lepszych farb, żeby ją utrwalić.

Powtarzała sobie, że przecież i tak niedługo zmyje ją ze

ściany i na tym miejscu powstanie jeszcze lepszy obraz.

Następnym razem wilk pobije smoka.

Wzdrygnęła się na tę myśl. Za parę dni miało dojść do

prawdziwego starcia smoka z wilkiem. Względny spokój ostatniego tygodnia skończy się, kiedy ojciec ze stryjem przybędą, żeby się zmierzyć z Rhysem. Tym razem potężne ściany zamku

Rosecliffe nie powstrzymają obcych najeźdźców, tylko zagrodzą

drogę człowiekowi, który je zbudował.

Izolda skuliła się w sobie, z trudem powstrzymując cisnące

się do oczu łzy. To było niesprawiedliwe, zarówno dla ojca,

jak i dla Rhysa. Zaśmiała się niewesoło ze swych niedorzecznych rozważań. Bo czyż to nie śmieszne, że ona, która nienawidziła Rhysa ap Owaina przez całe życie, obawiała się teraz

o jego los, a nawet próbowała zrozumieć powody jego gniewu?

Czyżby jedna krótka noc namiętności aż tak wypaczyła jej

sposób myślenia? Mogłaby przysiąc, że nie. Chodziło o coś

więcej. Zawsze wyobrażała go sobie jako potwora ziejącego

nienawiścią. Tymczasem wystarczył niecały tydzień, a poznała go

na tyle, by dostrzec pęknięcia na tym okropnym wizerunku, jaki

mu przypisała. Był dobrym przywódcą dla swoich ludzi i wyrozumiałym dla tych, których pokonał... dopóty, dopóki go słuchali.

Nie splądrował Rosecliffe, jak się z początku obawiała. Przeciwnie,

wyglądało na to, że stara się nawet wprowadzić pewne ulepszenia.

Co nie mniej ważne, nie próbował jej siłą zaciągnąć do łóża.

Również żadna inna kobieta z Rosecliffe nie była napastowana

czy źle traktowana.

Co właściwie miała o nim sądzić?

Powróciła myślami do dziwnej propozycji Tillo. Nie było

więcej rozmowy o ucieczce, może dlatego, że pogoda znacznie

się pogorszyła. Izolda jednak wiele na ten temat rozmyślała

i w końcu doszła do wniosku, że to jedyna możliwość uniknięcia

walki pomiędzy Rhysem i jej rodziną. Szanse były znikome.

Ale dopóki pozostawała w Rosecliffe jako jeniec, w ogóle nic

nie mogła zrobić w tej sprawie.

- No proszę, znów cię zastaję w mojej komnacie.

Izolda odwróciła się spłoszona. Na widok Rhysa stojącego

w progu odruchowo uniosła rękę do
szyi. Stał w niedbalej

pozie, oparty o drzwi, podczas gdy ona,
roztrzęsiona i spłoniona,

nie była w stanie ruszyć się z miejsca.

Zerkając na malowidło, uśmiechnął się
do niej znacząco.

- Podziwiasz swoje dzieło? A może
chciałaś czegoś innego? - Tym razem
spojrzał wymownie na łożo.

Zrobiło jej się gorąco. Ostatnio nie
nawiażywał do namiętnych

chwil, jakie spędzili w tej komnacie,

kiedy uważała go za

minstrela. Podejrzewała nawet, że
wcale o tym nie myślał. Jak

na ironię, ona myślała głównie o tym. Z
każdym mijającym

dniem wspomnienie tamtej nocy stawało
się coraz wyraźniejsze.

Z każdą mijającą nocą przypominała
sobie nowe szczegóły,

jakiś gest, pieszczotę, pocałunek,
budzący w niej zmysłowy

zamęt wtedy... i obecnie.

Nawet teraz, w środku dnia, te wspomnienia nie traciły swej

mocy... zwłaszcza kiedy Rhys na nią patrzył takimi pałającymi,

wyglodniałymi oczyma. Od pewnego czasu prawie się do niej

nie odzywał, poza wydawaniem poleceń. Żeby przyniosła

świeżej wody do jego komnaty.

Napełniła jego kielich winem.

Wyszczotkowała tunikę i odwiesiła ją na kołek.

Więc dlaczego teraz patrzył tak, jakby

chciał ją pożreć?

Zacisnęła zęby i odwróciwszy się na pięcie, sięgnęła po

świecznik stojący na skrzyni.

- Jesteś tak samo bezwstydy, jak ten twój podwładny Da-

fydd. Co zresztą wcale mnie nie dziwi. Doglądam twojej komnaty, jak kazałeś. Nic więcej. Trzeba zdrapać te zacieki z wosku.

Obejrzała się przez ramię. Nadal stał w drzwiach.

- Pozwolisz mi wyjść? Czy jesteś aż tak

znudzony, że

przyszedeś mnie dręczyć swoją
obecnością? - dodała zgryźliwie.

Odepchnął się od framugi i podszedł do
Izoldy. Osaczył ją.

Zważywszy na to, co powiedziała,
czegóż innego mogła się

spodziewać? Mimo iż postanowiła nie
okazywać tchórzostwa,

cofnęła się o parę kroków, aż zatrzymała
ją krawędź łoża.

- Może powinienem cię pchnąć? -
Chwycił ją za ramiona

i rzeczywiście pchnął, jednak nie na tyle mocno, by upadła na

posłanie. Z trudem zachowała równowagę. - Jesteś pewna, że

moja obecność jest niepożądana? - powiedział zaczepnie.

Nacisnął trochę mocniej, tak że musiała się chwycić jego

tuniki, żeby ustać prosto.

- Dostyc tych głupstw! Zostaw mnie - odezwała się stanowczo, choć głos jej drżał.

- A kto mnie zmusi? - Pochylił się nad

nią.

No właśnie, kto? Nie mogła zebrać myśli.

- Przecież... nie uznajesz gwałtu — wydukała w końcu. -

Sam to mówiłeś.

- Rzeczywiście. Nie uznaję. Ale uwiedzenie... Uwiedzenie

to zupełnie co innego. Podobało ci się, Izoldo. Oboje to wiemy.

Mnie też się podobało. Jesteś gotowa, żebym cię znów uwiódł?

Serce ci bije szybciej? Czujesz żar w brzuchu? - Niespodziewanie przyciągnął ją do siebie, otarł się pierśią o jej nabrzmiące pod sukienką sutki. Ten lekki, nieznaczny ruch wystarczył, by

rozpalić jej zmysły. - Powiedz prawdę - ciągnął zduszonym

szeptem. - Twoje piersi tęsknią za moim dotykiem?

Tak, tak, tak! - miała ochotę wykrzyknąć. Zacisnęła usta,

żeby zdradzieckie słowo się z nich nie wydarło.

Wsunął kolano między jej uda. Wydała z

siebie bezradne

westchnienie. Pragnęła go aż do bólu,
tak szybko, tak całkowicie.

A on sprawiał wrażenie, jakby o tym
wiedział. Naparł mocniej

i dziewczyna bezwiednie rozsunęła nogi.

- Do licha, ależ to przyjemne, co? -
wyszeptał jej do ucha.

Więcej niż przyjemne, pomyślała,
próbując odegnąć poczucie

winy. Oparła czoło na jego piersi,
wiedząc, że nie wygra walki

ze swymi rozbudzonymi zmysłami. Jak
mogła pragnąć tego

człowieka?

Och, dlaczego nie mógł nadal być
minstrelem, za którego

wcześniej uchodził?

- Nie jesteś Reeviušem - wyrzuciła z
siebie resztkę sił.

Uderzyła go w pierś zaciśniętą dłonią,
potem drugą. - Nie

jesteś Reeviušem! - krzyknęła z
rozpaczą.

Rysy mu stężały.

- Do licha, jestem nim! - powiedział
żarliwie. - Jestem

nim. - Przyciągnął ją do siebie i zgniół
jej usta pocałunkiem.

Usiłowała powtarzać sobie w duchu, że
nie jest Reeviuszem,

ale w miarę jak pocałunek stawał się
głębszy, bardziej namiętny,

przychodziło jej to coraz trudniej. Nie
był jej minstrelem, już

prędzej znieawidzonym smokiem.
Potężnym smokiem, którego

tak się bała. Dumnym smokiem z jej
malowidła... z jej niespokojnych snów...

Kiedy się wreszcie poddała, zmiękła w
jego ramionach

i zaczęła oddawać pocałunek, Rhysa
ogarnęło poczucie triumfu.

To było jak najlepsza z bitew: starcie i
walka z godnym

przeciwnikiem, uwieńczona
zwycięstwem. Należała do niego.

Wygrał. Wystarczyło pchnąć ją na łóżko
i zaczerpnąć rozkoszy,

odebrać zasłużoną nagrodę za trudne dni

wyczekiwania.

Opłacało się, bo ona także go pragnęła.
Była gotowa oddać

mu się natychmiast i bez reszty.

Pożerał jej usta, sycąc się swoją
nagrodą. Nagle Izolda uniosła

najpierw jedną, potem drugą rękę i
dotknęła jego policzków.

Ujmowała jego twarz drobnymi dłońmi,
w geście jednocześnie

zmysłowym i niewinnym, i znenacka
Rhys poczuł, że wszystko

się zmieniło, jakby świat się przesunął pod jego stopami.

Mówił sobie w duchu, że przecież nic się nie stało.

Zanurzył palce w jej jedwabistych włosach, napierając na

nią biodrami. Była chętną kobietą, a on spragnionym rozkoszy

mężczyzną. Zwyczajnie i po prostu.

Nie odrywając się od jej ust, ułożył ją na posłaniu, gotowy

posiąść ją w każdy sposób, w jaki nauczył się brać kobiety.

Westchnęła, obejmując go za szyję,
jakby chciała przedłużyć

pocałunek. I znów stało się coś
dziwnego, coś ścisnęło go

w środku.

Poczucie winy?

Nie. Nie miał powodu czuć się winny.

Uniósł się nieco, ale go nie puściła. W
niewytłumaczalny

sposób teraz ona panowała nad ich
pocałunkiem. Poruszała

delikatnie językiem, równocześnie

wodząc końcem palca po

jego uchu.

- Chryste! - Oderwał się od niej. - Nie
rób tego!

Zawisł nad nią, oparty na
wyprostowanych ramionach,

zaskoczony tyra, co powiedział. Leżała
przed nim zarumieniona,

piękna, wspaniałe włosy zaścielały
poduszkę. Patrzyła na niego

oczyma błyszczącymi pożądaniem.
Pragnęli siebie nawzajem.

To było proste i oczywiste. Więc
dlaczego się zawahał?

Przełknęła ślinę; widział, jak lekko
zafalowała skóra na

jej szyi.

- Co... co się stało? - spytała słabym
głosem.

Nie potrafił odpowiedzieć. Jak to
możliwe, że pragnął tej

kobiety do szaleństwa, a wahał się,
kiedy go przyzywała całym

rozpalonym ciałem? Był gotowy w nią
wejść. Gotowy aż do

bólu. A jednak coś go powstrzymywało,
jakby ostrzegało przed

zagrożeniem.

Sytuacja wydała mu się niedorzeczna.
Przecież nie miał przed

sobą wojownika z bronią uniesioną do
ciosu, tylko kobietę.

Patrzył na nią, jak na istotę, której
wcześniej nie widział.

Miewał pod sobą piękniejsze kobiety.
Kobiety o bujniejszych

piersiach i znacznie większym
doświadczeniu. Kobiety o zręcznych

dłoniach i jeszcze zręczniejszych ustach.
Ale kiedy patrzył na Izoldę, twarze
wszystkich innych zamazywały się

w niewyraźną plamę i znikały. Serce mu
łomotało, już nie

tylko z pożądania, ale i ze strachu.

Ze strachu!

Na miłość Boską, czyżby popadał w
szaleństwo?

Podерwał się z łóżka i stanął na środku
komnaty, jakby był

niespełna rozumu. Jej wyraźne
zmieszanie trochę go otrzeźwiło.

- Zatem pożądasz tylko Reevisusa -
zakpił. - Najwidoczniej

nie. Okazałaś się niestałą kochanką.

Skuliła się, jakby ją uderzył, i odwróciła
głowę. Rhys

zaciśnął dłonie w pięści, rozpaczliwie
żałując swoich słów.

Dlaczego to powiedział? Nie miał
powodu jej krzywdzić...

poza tym, że wzbudzała w nim ten
niezrozumiały lęk.

Z bólu brakowało mu tchu, miał
wrażenie, że czyjaś wielka

ręka zgniata mu serce. Widząc
dziewczynę zwiniętą w żałosny

kłębek cierpienia i wstydu, czuł do
siebie wstręt tak wielki, że

był bliski wymiotowania.

- Izoldo... - zaczął, wyciągając do niej
drżącą dłoń. Zachnęła

się gwałtownie; jego ręka bezsilnie
opadła.

Zapanowała nieznośna, oskarżycielska
cisza. Izolda nie

płakała ani nie krzyczała na niego.
Wolałby jedno lub drugie

zamiast tej strasznej ciszy. Sprawił jej
umyślnie ból i teraz

musiał znieść jej odwet, jedyny, jakim
potrafiła mu odpłacić.

Mimo to nie mógł jej opuścić bez słowa.

- Nie powinienem był tego mówić -
wydusił przez zęby.

Nie poruszyła się.

Ból w piersi utrudniał mu oddychanie.

- Nie powinienem - powtórzył z
wysiłkiem. A potem, jak

ostatni tchórz, uciekł z miejsca kaźni.

Każni, którą jej zgotował,
ponieważ go przeraziła!

Ukazałaś się niestałą kochanką.

Izolda leżała nieporuszona na
zgliszczach niedawnej namiętności, a w
głowie wciąż dudniły jej echem te
straszne słowa.

Okazałaś się niestałą kochanką.

Uwiódł ją, a potem chełpił się przed nią
swoim triumfem.

Ale nie to było najgorsze. Najgorsze
było to, że miał rację.

W gardle wzbierał jej dławiący szloch.
Musiała powstrzymać łzy, za wszelką
cenę. Wystarczy, że była głupią, niestałą
dziewczyną. Nie mogła być do tego
jeszcze płacziwą gęsią.

Łatwo postanowić, trudniej dotrzymać
postanowienia, kiedy

tłumione emocje rozsadzają serce,
domagając się ujścia. Powoli

odwróciła się na plecy... i jej wzrok
padł na demonicznego

smoka, pochylonego złowieszczo nad
wilkiem. Nowa fala

rozpaczy okazała się dla Izoldy za

ciężka do udźwignięcia.

Łzy popłynęły niepowstrzymaną strugą.
Wreszcie z krzykiem

gniewu i wstydu dziewczyna poderwała
się z łóżka.

- Nienawidzę cię! - krzyczała do
malowidła, do Rhysa, do

siebie. - Nienawidzę! - Porwała
naczynie, w którym wciąż

moczyły się pędzle, i cisnęła nim w
ścianę. Rozbiło się

z trzaskiem, rozchlapując wokół brudną
wodę.

Smok pozostał nienaruszony; nadal pochyłał się nad wilkiem,

tak jak wcześniej. Stała przed nim z falującą piersią, z twarzą

zalaną łzami.

- Zniszczę cię -przysięgła, bezskutecznie wycierając oczy.

Obok stały pojemniki z farbami; zmieszała je pracowicie, żeby

uzyskać odpowiednie kolory. I po co? Żeby namalować paskudny obraz uwłaczający jej rodzinie? Gloryfikujący wrogów?

Chwyciła pierwszą z brzegu farbę i pędzel, po czym rzuciła

się z furią na ścianę. Beładne smugi i plamy czerwieni

pojawiały się w coraz to nowych miejscach. W dzikim zapamiętaniu chlapała farbą po ścianie, chcąc za wszelką cenę zedrzeć z niej przekłętogo smoka. Wydrzeć go z własnej głowy!

Dwa piętra niżej, w wielkiej sieni, Rhys z kamienną twarzą

zasiadł na lordowskim krześle. Słyszał wściekłe okrzyki Izoldy -

połowa mieszkańców zamku je słyszała

- i chciał do niej pójść.

Wiedział jednak, że jest ostatnią osobą,
która potrafiłaby ją

uspokoić.

- Co jej zrobiłeś?

Wzdrygnął się na szorstki głos Tilla.
Stary minstrel wpatrywał

się w niego oskarżycielsko... podobnie
jak kilkoro służących

i paziów. Szeroka twarz Linusa
wyrażała zatroskanie, nawet

Gandy wydawał się przejęty.

- Co jej zrobiłeś?

Rhys niecierpliwie machnął dłonią.

- Nic! Nic nie zrobiłem! - Tylko się z nią droczyłem, dodał

w duchu. Uwiodłem ją. A potem obraziłem.

Tillo parsknął z niedowierzaniem.

- Zważywszy na twoje intencje, całkiem dobrze znosiła

nasz pobyt w swoim domu.

Najwyraźniej spotkało ją jakieś

nowe nieszczęście.

Poczucie winy ciążyło Rhysowi coraz bardziej.

- Żadne nieszczęście. Uświadomiła sobie jedynie, że nie

jest lepsza od tych, którzy żyją poza dumnymi murami Rose-

cliffe. Nie zasługuje na więcej niż inne kobiety. Nie jest

bardziej stała. I nie bardziej godna zaufania.

Rhys wstał i napięty, z zaciśniętymi pięściami, wpatrywał

się w Tilla, dając mu do zrozumienia, że

jeśli sam się nie

odczepi, zostanie do tego zmuszony siłą.
A kiedy Tillo

skwapliwie się wycofał na bezpieczną
odległość, Rhys poczuł ten sam wstyd,
jaki ogarnął go tam na górze, przy
Izoldzie.

Czyżby doszło do tego, że zmienił się w
zбира, grożącego

każdemu, kto ośmielił się z nim nie
zgadzać? Dafydd był takim

zbiorem, odkąd Rhys go znał. Ojciec był
taki sam, brutalny

i porywczy. Rhys na tyle często doświadczał jego brutalności,

że przysiągł sobie nigdy się w ten sposób nie zachowywać.

I oto, do czego doszło - ranił ostrymi jak broń słowami Izoldę

i groził fizyczną przemocą o połowę od siebie mniejszemu

starcowi. Ani Izolda, ani Tillo nie zasługiwali na gniew, który

powinien zachować dla Randa i Jaspera FitzHugh. Bo to oni

byli celem, nie inni.

Rozprostował dłonie i przyjrzał się im z uwagą. Nigdy nie

będzie taki jak ojciec. Nigdy.

Spojrzał w stronę starego minstrela.

- Ostatnio dawałem się ponosić złości.
Na przyszłość będę

się pilnował.

Mina Tilla nie wyrażała przebaczenia.

- Zimna kąpiel i parę godzin klęczenia przy modlitwie to

najlepsze lekarstwo na plagę, która cię gnębi.

Na górze znów rozległ się głośny trzask.

- Może masz rację - przyznał Rhys. - Ale to jej nie poprawi

humoru.

- A co cię obchodzi jej humor? - prychnął Tillo. Z góry

dobiegł kolejny trzask. - Poza tym, że może zniszczyć to, co

jej ojciec budował przez dwadzieścia lat. - Posłał Rhysowi

chytre spojrzenie. - Powinieneś być ją odprawić statkiem,

razem z innymi. Nadal możesz ją uwolnić. Wyślij ją do Chester

albo do domu jej wuja w Bailwynn. Nie jest ci potrzebna, bo

czy masz zakładniczkę, czy nie, i tak Rosecliffe jest w twoich

rękach. Bracia FitzHugh wrócą tu, żeby odbić swój zamek.

Nie ominie cię bitwa, której tak pragniesz.

Rhys wiedział, że jego rozmówca ma rację. Ale nie był

jeszcze gotowy, żeby uwolnić Izoldę

FitzHugh.

- Jest dla mnie zbyt dogodnym narzędziem przetargu, bym

się jej pozbywał.

- Wydaje mi się, że istnieje jeszcze inny powód.

Rhys zjeżył się w środku.

- Moje powody to moja sprawa. Możesz w każdej chwili

opuścić Rosecliffe, jeśli nie podobają ci się moje rządy.

- Może opuścę to miejsce. Chciałbym

dożyć swoich dni

w spokoju i życzliwości. Tego
szukałem, dołączając do ciebie.

Ale w tobie nie ma spokoju. Jestem
ciekaw, czy kiedykolwiek

go zaznasz.

Cierpliwość Rhysa znów została
wystawiona na próbę.

- Więc idź. - Gniewnym machnięciem
ręki wskazał na

drzwi. - Nikt cię nie zatrzymuje.

Tillo podążył wzrokiem za jego ręką, a

potem spojrział na

schody.

- Pozwól jej odejść ze mną.

- Nie! - wykrzyknął Rhys, zanim jeszcze zdążył pomyśleć.

Zabrzmiało to porywczo i ostatecznie.

Stary minstrel owinął się purpurowym płaszczem, a Rhys

musiał sobie znów przypomnieć, że ma przed sobą nie wroga,

lecz starego człowieka. Starca, który od wielu lat był jego

przyjacielem.

- Odpocznij, Tillo. Nie ma o co się
kłócić. Wkrótce przybędą

bracia FitzHugh. Wtedy ich pokonam i
do zamku powróci

spokój. Przekonasz się.

Pomarszczona twarz minstrela pozostała
poważna, bez cienia

uśmiechu.

- Wtedy może być za późno. Za późno -
powtórzył Tillo,

odwracając się plecami.

Rhys patrzył, jak starzec się oddala,
powłócząc nogami. Tillo

z trudem uchylił ciężkie, okute żelazem
drzwi, wpuszczając

lodowaty podmuch zimy, a potem
wyszedł w zimną ciemność.

Rhysowi dreszcz przebiegł po plecach.
Tak jak życie musi się

pogorszyć, żeby mogła nastąpić
poprawa, zima robiła się

sroższa, nim słońce znów rozgrzało
ziemię.

Powiedział sobie, że przetrwa jedno i

drugie. Pewnego dnia

wreszcie osiągnie spokój, tak jak w końcu będzie mu ciepło.

Rozejrzał się po sali ze swego miejsca przy głównym stole.

- Rozpal w kominkach - rozkazał jednemu z paziów. Chłopiec aż podskoczył, patrząc na Rhysa oczyma wielkimi ze strachu. - Najpierw tu, w wielkiej sieni, a potem w mojej

komnacie.

Zakładał, że Izolda nie zwróci swego gniewu przeciw niewinnemu chłopcu. Bo jest lepszym człowiekiem niż ty,

odezwał

się jakiś zgryźliwy głos w jego głowie.

- Zresztą, nieważne - powiedział Rhys, nim paż zdążył się

oddalić. - Sam się tym zajmę.

- Rozpalisz ogień? Ty, milordzie? - wykrztusił chłopiec,

najwidoczniej nie mogąc uwierzyć, że nowy lord sam wykona

pracę należącą do pazia.

- Ty rozpal tutaj. A ja się zajmę tym drugim - rzekł Rhys,

spoglądając ku schodom.

18

R y

h s podejrzewał, że zastanie swoją komnatę w kompletnej

ruinie. Nie spodziewał się jednak tego, co zobaczył. Sprzęty

nie ucierpiały. Jego osobiste rzeczy także pozostały nietknięte.

Ale to, co się stało z malowidłem...

Palila się tylko jedna świeca, lecz dawała wystarczająco

duzo światła, by odsłonić rozmiary

spustoszenia. Gapił się na

ścianę, zaskoczony zniszczeniami,
których zdołała dokonać

w tak krótkim czasie. Poświęciła wiele
dni na stworzenie

naprawdę wspaniałego dzieła, a
wystarczyły jej minuty, by je

unicestwić.

- Do diabła! - zaklął. Przejechał rękami
po włosach. - Co

ona zrobiła?

Coś się poruszyło w cieniu po lewej.

Ktoś. A potem Izolda

stanęła przed nim na tle bezładnych kolorowych smug, pokrywających ścianę.

- Podoba ci się? - spytała drwiąco. Rozpostarła ramiona;

na jej twarzy widać było dziwne połączenie triumfu i zmęczenia. - Uważam, że tak jest znacznie lepiej.

- Niech cię diabli, kobieto!

Cofnęła się przed nim, lecz nadal z dumnie zadartym pod-

bródkiem. Nie wiadomo, co by się stało,

gdyby nie dostrzegł,

że ma zaczerwienione oczy i wilgotne ślady na policzkach.

Chwycił ją za ramiona, gotów udusić za głupotę, ale rozpacz

bijąca z jej wielkich szarych oczu zupełnie zbiła go z tropu.

Zamiast ukarać, miał ochotę ją pocieszać.

Miał ochotę ją pocałować.

Trzymał ją w bezpiecznej odległości od siebie.

- Jak mogłaś zniszczyć własną sztukę?

- Nienawidziłam jej!

- Gdybyś nienawidziła, nie poświęciłabyś jej tyle czasu

i wysiłku. Nie włożyłabyś w nią tyle pasji i żaru.

- To malowidło było okropne.

Wściekłość zmagala się w nim ze zrozumieniem. Zacisnął

palce na ramionach Izoldy.

- Będziesz musiała namalować je od nowa.

Milcząc, pokręciła głową.

- Zrobisz, co mówię, albo poniesiesz konsekwencje.

Oczy jej pociemniały, ale nie ugięła się przed groźbą.

- No to poniosę. Nie namaluję ci tego obrzydliwego obrazu.

Nie będę doglądać twojego tymczasowego gospodarstwa. Gdybym mogła rozebrać mury Rosecliffe, kamień po kamieniu, żebyś tylko ich nie miał, zrobiłabym i to!

- Niech cię diabli! Powinienem był cię odprawić razem

z resztą!

- Czemu tego nie zrobiłeś?! - zawołała,
wrywając się

z jego uścisku.

- Bo chciałem... - Urwał. Bo chciał
osiąść córkę wroga.

A teraz chciał, żeby do niego należała.
Chodziło mu tylko o nią,

Izoldę. Ale mówiąc jej to, przyznałby,
jak bardzo mu na niej

zależy. - Namalujesz to samo od nowa
albo poniesiesz konsekwencje -
powtórzył, bardziej zły na siebie niż na

nią. Bo jej nie doceniał. Była trudnym przeciwnikiem, teraz to widział, bardziej

niebezpiecznym niż rycerze, z którymi dotąd staczał potyczki.

- No to poniosę konsekwencje - odpowiedziała z uporem.

Izolda sama nie rozumiała, co ją skłoniło do tak śmiałej

deklaracji. Może ten sam demon, który kazał jej zniszczyć

swoje najlepsze dzieło? Wiedziała, że malowidło jest wyjątkowo

udane, ale jego treść godziła we wszystko, co było jej drogie.

Miała rację, niszcząc je. Teraz jednak musiała być przygotowana

na zemstę Rhysa.

- A niech to! Każdy inny mężczyzna wychłostałby cię za

takie nieposłuszeństwo.

Odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie miał zamiaru jej chłostać.

- Każdy inny mężczyzna szybko by cię wykorzystał, a potem

oddał dla rozrywki swoim ludziom. O,
widzę, że to zrobiło na

tobie wrażenie - dodał, zauważywszy
cień lęku na jej twarzy.

Rzeczywiście, zrobiło.

- Ale ty nie jesteś taki jak inni -
ponagliła, ciekawa, co ją

czeka.

Zacisnął mocniej palce na jej
ramionach, ale tym razem nie

wyczuła w nim złości, tylko pożądanie.
Była tego pewna,

ponieważ czuła to samo.

Zadrzała, przerażona własną przewrotnością. Pożądała człowieka, którego nienawidziła. Stworzyła wspaniałe malowidło, którym pogardzała. Ale malowidło zniszczyła i tak samo

powinna zniszczyć w sobie te niestosowne uczucia. A potem

dopomóc ojcu w pokonaniu Rhysa.

Czy naprawdę tego chciała?

- Nie - powiedział gardłowym szeptem, przyciągając ją

bliżej. - Nie jestem taki jak inni. Jestem od nich głupszy. -

Patrzył jej prosto w oczy, bez mrugnięcia, nieruchomy i napięty.

Izolda także bała się poruszyć.

Trwało to tak długo, że była pewna, iż ją pocałuje, tak jak

przedtem. Co ona wtedy zrobi?

Nie miała okazji się przekonać, bo niespodziewanie odepchnął ją od siebie.

- Idź do komnaty na wieży - rozkazał dziwnie schrypniętym

głosem.

Zachwiała się i przytrzymała brzegu stolika.

- Chętnie! - rzuciła mu w twarz. - Zrobię wszystko, byle

się znaleźć z dala od tej komnaty... i od ciebie!

Nie wyszła od razu. Przystanęła w progu, złapana pomiędzy

tym, co słuszne a co złe, między powinnością a pożądaniem.

Chciała go nienawidzić... i nienawidziła. Ale coś przeszkadzało

jej nienawidzić go tak do końca, jak powinna.

- Wyjedź, Rhys - powiedziała, nim zdążyła pomyśleć. -

Wyjedź, zanim ktoś będzie musiał zginąć. Nie warto.

Rysy mu stężały, usta wykrzywił kpiący uśmiezek.

- O kogo się boisz, Izoldo? O ojca? O stryja?

Izolda podejrzewała, że złość pozwala mu się trzymać

w ryzach. Ale ona nie czuła już złości.

Dała jej upust, niszcząc
malowidło.

O kogo się bała?

- Tak, boję się o nich - odpowiedziała
szczerze. - Ale boję

się także o ciebie. - Odwróciła się i
uciekła po schodach na

górze, na wieżę, jak najdalej od zamętu
uczuć, jaki ją zawsze

ogarniał w obecności Rhysa.

Długo patrzył w ślad za nią, dość długo,
by serce powróciło

mu do normalnego rytmu, oddech się uspokoił. Mięśnie jednak

pozostały napięte jak postronki. Nie próbował ich rozluźnić, bo

tylko w ten sposób mógł się powstrzymać, żeby za nią nie pójść.

Dlaczego to powiedziała?

Naprawdę tak czuła? Bała się o niego?

Odwróciwszy się plecami do drzwi, natrafił wzrokiem na

zrujnowane malowidło i zaklął siarczyście. Z jękiem oparł

czoło o słupek łoża.

Doprowadzała go do szaleństwa, a on w
żaden sposób nie

umiał jej w tym przeszkodzić. Kiedy
była rozjuszona, pragnął

ją poskromić. Gdy była zmartwiona,
chciał ją pocieszyć. Już

to wystarczająco go przerażało. Ale jej
przyznanie się do troski

o jego los... Gdyby nie uciekła, pewnie
by już całkiem przepadł.

Pożądał wielu kobiet i większość z nich
wyrażała troskę

o niego, kiedy jechał na wojnę, na
turniej czy pojedynek. Ale

wszystkie one tak naprawdę troszczyły
się bardziej o siebie niż

o niego. Każda chciała, żeby jej
kochanek był zwycięzcą, żeby

pokonał przeciwnika. Dzielny kochanek
podnosił pozycję kobiety w oczach jej
otoczenia. Dlatego przyjmował ich
troskę ze zrozumieniem i umiał ją
odpowiednio wykorzystać.

Wcześniej nie zaznał prawdziwej
kobiecej troski... może

tylko ze strony Josselyn, przez krótki

czas. Ale ona zdradziła

swój naród dla Randa FitzHugh, a
później jego przyjaciółka

Rhonwen zrobiła to samo. Zatem ich
troska o Rhysa nie była

szczera. A matka odumarła go, kiedy był
małym dzieckiem.

A teraz Izolda przyznała, że obchodzi ją
jego los. Czy miał

jej wierzyć?

Skrzywił się, przecierając ręką oczy.
Byłby głupcem, gdyby

jej uwierzył. Skończonym głupcem.
Mimo to w głębi duszy

pragnął wierzyć tej dziewczynie i bał
się zastanawiać dlaczego.

Podszedł do wąskiego okna i przytknął
czoło do zimnych szyb,

jakby to miało mu pomóc odzyskać
jasność umysłu.

Uderzył zaciśniętą pięścią w ścianę. To
wyczekiwanie tak

fatalnie na niego wpływało. Czuł
potrzebę zmierzenia się

z wrogami i pokonania ich w walce.

Czekanie na ich powrót

było ciężką próbą.

A mógł tylko czekać i przygotowywać się, poznawać kolejno

wszystkie tajemnice twierdzy, którą zawładnął.

Przez następne trzy dni zajmował się tylko tym. Nie pomijał

żadnego przejścia czy zakamarka. Od skrzypiącego mechanizmu

zwodzonego mostu, poprzez tylną bramę za kuchnią, do stromej zejścia na plażę, sprawdzał wszystko... wszystko

poza komnatą na wieży. Unikał Izoldy,
ale zwracał tym bacniejszą

uwagę na wszystkie inne osoby, które
mu podlegały.

Zmuszał drwali do bardziej wytężonej
pracy, od rybaków

i myśliwych wymagał zwiększonych
starań, a wszystko, co

złowili i upolowali, kazał wędzić lub
solić, a potem składować.

Płatnerz z pomocą wszystkich zbrojnych
mieli naprawiać broń,

robić zapasy strzał i grotów do włóczy,

natłuszczać rzemienie

i inne skórzane części zbroi, tak by
wszystko było utrzymane

w najlepszym stanie.

Bitwa była nieuchronna, podobnie jak
oblężenie, więc Rhys

przygotowywał się do jednego i
drugiego, wykorzystując

przebiegłość i umiejętności zdobyte
zarówno w roli walijskiego

rebelianta, jak i angielskiego rycerza. W
miarę upływu czasu

nabierał pewności siebie. Ostatecznie przygotowywał się do

tej walki przez całe życie. Nie mógł stracić Rosecliffe.

Tak pracowicie upływały mu kolejne dni. Pozostawały jeszcze

noce, a te były istną torturą. Spędzał długie godziny samotnie

w wielkim łóżu, wpatrując się w pomazaną farbami ścianę

i myśląc o Izoldzie. W dzień zamalowana ściana był po prostu

bezpowrotnie zniszczonym dziełem.

Jednak nocą, w świetle

świecy, ukryte pod warstwą zniszczeń
wizerunki jakby ożywały.

A kiedy jeszcze padały na nie migotliwe
odbłyски z płonącego

we wnęce kominka, Rhys odnosił
wrażenie, że zaczynają się

poruszać. Był zły na siebie, że ulega
niemądrym fantazjom. Jeśli

sylwetki na ścianie się poruszały, to
tylko dlatego, że ostatnio pił

więcej, niż powinien. Normalny
człowiek kazałby tę ścianę po

prostu wybielić albo zakryłby ją jakimś kilimem.

I tu tkwił problem Rhysa. Doszedł bowiem do wniosku, że

nie jest normalny, ponieważ najwyraźniej postradał rozum.

Po trzech dniach przebywania Izoldy w odosobnieniu na

wieży wrócił do swej komnaty później niż zwykle i bardziej

pijany. Wszyscy w zamku już spali, poza strażnikami rozstawionymi wzdłuż murów. Cały wieczór przesiedział na lordowskim krześle, ponuro zapatrzony

w kufel z piwem, podczas

gdy Linus z Gandym zabawiali
mieszkańców Rosecliffe. Nie

wzbudzali jednak takiego entuzjazmu jak
wcześniej, z każdym

bowiem mijającym dniem w zamku
rosło napięcie; ludzie

wiedzieli, że bitwa jest nieunikniona. Po
jakimś czasie więc Linus

z Gandym zakończyli wstępy i wszyscy
w ciszy rozeszli się na

spoczynek. Nie dość, że panował
dokuczliwy ziąb, to jeszcze

nocny wiatr był ciężki od zapachu wilgoci, co zwiastowało opady

śniegu. Po dwóch cieplejszych dniach odwilży znów nadciągała

śnieżyca.

Rhys zdjął pas i odwiesił, wraz z krótkim mieczem, na kołek

w ścianie, a potem odwiązał sztylet i odrzucił razem z rękawicami na łożo. Na chwilę ukrył w dłoniach zmęczoną twarz.

Potem przyjrzał się ciężkim draperiom zwisającym wokół łoża.

W komnacie panował chłód, ale nie
nazbyt dokuczliwy. Wystarczyło włożyć
na chwilę do pościeli ogrzewacz
wypełniony żarem, a potem zasunąć
draperie, by w łóżu zapanowało
przyjemne ciepło.

Były też inne sposoby na ogrzanie go,
znacznie milsze od
gorących węgli w żelaznym ogrzewaczu.

- Do diabła - zaklął, rzucając mordercze
spojrzenie na

zniszczone malowidło. Odpowiedziało
mu niemą torturą; nieregularna plama,
która kiedyś była smokiem, i płatanina

barwnych smug, która wcześniej była wilkiem. Rhys miał wrażenie, że wilk wciąż wpatruje się w niego, tylko że zamiast pałających

dziko żółtych ślepi ma przejrzyste szare oczy Izoldy.

Niech ją diabli!

Porwał ze stołu dzbanek i cisnął nim o ścianę. Rozbił się,

a woda spłynęła po malowidle, tworząc szaro-czerwone zacieki.

Chwycił się za głowę roztrzęsionym rękami. To wszystko

przez Izoldę. Plan zdobycia Rosecliffe
był zuchwały, ale się

powiódł. A teraz ona obracała jego
zwycięstwo w koszmar.

Przypomniął sobie, że jako chłopiec
trzymał ją, wówczas

niemowlę, w ramionach. Jako
młodzieniec walczył z jej rodziną

i przez krótki czas przetrzymał ją jako
zakładniczkę. Teraz

znów była na jego łasce, a czuł się tak,
jakby to on był jej

więźniem. Nawiedzała jego myśli i sny.

Prześladowała go na

jawie i we śnie. Dlaczego?

Ponieważ był niespełniony. Wmawiał
sobie, że to jedyny

powód.

Jako młody jurny mężczyzna pragnął jej
kobiecego ciała. Tylko

kiedy był w pełni pochłonięty fizycznym
wysiłkiem, ćwiczył

walkę na miecze ze swymi ludźmi lub
wraz z nimi pracował,

udawało mu się uśpić demona żądz,

który nie dawał mu spokoju.

Zwłaszcza tutaj, w tej komnacie, gdzie
dzielił z Izoldą łożę.

Pragnął jej jak nikogo i niczego na
świecie. A ona pragnęła

jego. Czuł jej pożądanie w pocałunkach,
widział je w miękkim

wygięciu jej podatnego ciała.

Dlaczego więc ją odepchnął? Dlaczego
dał się ponieść

głupiej dumie?

Niech ją diabli, pokonała go w walce,

którą między sobą

toczyli!

Bez zastanowienia ruszył do drzwi,
wbiegł po schodach,

biorąc po dwa stopnie naraz, i nim
zdążył się w nim odezwać

rozsądek, stał już przed wąskimi
drzwiami komnaty na wieży.

Miał za sobą trzy dni udreki. Te
męczarnie musiały się skończyć.

Co właściwie zamierzał zrobić?

Przerwać torturę, której ona była

powodem i sprawczynią.

Nasyćć głód, odbierający mu zmysły.

Wziąć to, co do niego

należało.

Bo łupy należą do zwycięzcy. On był
zwycięzcą, a ona

łupem. Miał dość czekania. Skamieniał z
ręką na klamce,

usłyszawszy dochodzący ze środka
szmer. Wstrzymując oddech,

przyłożył ucho do drzwi. Izolda mówiła
coś na głos.

- ...pomóż mi czynić to, co powinnam...

Nie. Modliła się.

- ...jest grzechem - mówiła cichym,
drżącym z przejęcia

głosem. - Jestem grzesznicą. - Wydała z
siebie ni to jęk, ni

westchnienie.

Rhys przełknął z trudem ślinę;
wystarczył ten znajomy

dźwięk, by ogarnął go płomień żądy.
Nie był lepszy od

swojego występnego ojca, skoro

pożądał kobiety nawet w takiej chwili, kiedy się modliła.

Zaczął się wycofywać. Przystanął, usłyszawszy szloch. Do

licha! Ona płakała. Dlaczego?

Nawymyślał sobie w duchu od skończonych durniów. Przecież odebrał jej niewinność, a potem wolność i do tego przysiągł

zabić jej rodzinę. Czego więcej było trzeba, by doprowadzić

kobietę do płaczu?

Zawahał się, co ma zrobić. Miał ochotę uciec, ale nie potrafił.

Kiedy znów jęknęła, bez namysłu otworzył drzwi.

Świeca, dopalająca się w płaskim naczyniu, omal nie zgasła

od nagłego podmuchu. Migotliwego blasku wystarczyło jednak,

by Rhys ujrzał, jak Izolda podrywa się ze skromnego, wąskiego

łóża. Policzki miała zaróżowione i błyszczące od łez, wielkie

szare oczy także miały wilgotny połysk.

Była w samej koszuli,

a rozpuszczone włosy otaczały jej twarz
chmurą jedwabistych

kędziorów. Szybko zakryła brzegiem
koszuli odsłonięte nogi.

Nie mógł od niej oderwać oczu. Była
uosobieniem kobiecości,

a on w tym momencie poczuł się przede
wszystkim mężczyzną.

Jeśli wcześniej jej pragnął, to teraz miał
wrażenie, że oszaleje,

jeśli jej nie posiadzie.

- Przyszedłeś - szepnęła. - Właśnie myślałam o tobie...

i przyszedłeś.

- Modliłaś się - powiedział i natychmiast ta uwaga wydała

mu się głupia. I sprawiła, że rumieniec na twarzy Izoldy stał

się jeszcze mocniejszy.

Zwilżyła usta, odwracając głowę. Rzeczywiście się modliła,

ale to nic nie dało. A może właśnie dało, bo się zjawił. Myślała

o nim... marzyła o nim i wspominała
jego dotyk. I robiło jej się

od tego coraz bardziej gorąco. Choć
wiedziała, że nie powinna,

że to złe, odnajdywała drżącymi palcami
miejsca na swym ciele,

które najbardziej za nim tęskniły.
Dotykała się i nienawidziła

siebie za to. A potem się zjawił, jak
odpowiedź na jej modlitwy.

- Podśluchiwałaś, co mówiłam?

Przytaknął.

- Jeśli ty jesteś grzesznicą, Izoldo, to ja
jestem dziesięć razy

gorszym grzesznikiem.

Patrzyła na jego masywną postać,
wypełniającą niemal cały

otwór drzwi, na surowe, jakby stężałe
rysy. Przyszedł z nią

grzeszyć? Serce podskoczyło jej z
radości. Choć wiedziała, że

powinna nim gardzić, odesłać go do
diabła, nie potrafiła tego

zrobić. Przybył w chwili, kiedy go
najbardziej pragnęła. Przez

ostatnie trzy dni wciąż wyobrażała go sobie, stojącego w tych

drzwiach, pochylającego głowę przed niską framugą...

Jakby odgadując jej myśli, pochylił głowę, wszedł do środka

i zamknął za sobą drzwi, które zaskrzypiały, a potem stuknęły

głucho.

Izolda miała wrażenie, że jej ciało żyje własnym życiem,

poddaje się czarowi, wywołanemu bliskością Rhysa. Zniszczyła

malowidło, które tak mu się podobało.
Ale przez trzy dni

odosobnienia, które było karą za to
przestępstwo, myślała tylko

o smoku pochylającym się nad wilkiem.
Wilk wymalowany

przez nią na ścianie nie okazywał lęku i
ona też się już nie

bała. Przynajmniej nie Rhysa.
Wiedziała, że jej nie skrzywdzi,

nie zrani jej fizycznie. Ale serce... Serce
mógł jej złamać.

Zawahała się na moment. Pomyślała, że

jeśli podda się tym

przemocnym tęsknotom, będzie
żałowała. Może nie tej nocy,

ale któregoś dnia na pewno.

Będzie jednak żałowała tym bardziej,
jeśli go odrzuci.

Będzie tego żałowała przez resztę życia.
Więc choć to było

złe, choć było grzechem, Izolda
wiedziała, co robi.

Podszedł do łóżka i pochylił się nad nią.
Zadrżała pod jego

palącym spojrzeniem. Wiedziała, co Rhys czuje. Wiedziała to

od samego początku.

- Przeszedłem do ciebie - powiedział cichym, nieco schrypniętym głosem. - Nie odepchniesz mnie.

- Nie.

- Nie mów „nie”, Izoldo. To na nic.

Wydała z siebie dziwny dźwięk, ni to szloch, ni chichot.

- Miałam na myśli... że cię nie odepchnę.

Choć wydawało się to niemożliwe, oczy
jeszcze bardziej

mu pociemniały. Dziewczyna czuła się
jak pogańska ofiara,

jak cnotliwa dziewica poświęcona na
przebłaganie jakiegoś

mściwego bóstwa. Tylko że jej myśli
wcale nie były cnotliwe.

- Rhysie - szepnęła bezwiednie.

Zawisł nad nią niczym smok z
malowidła i, jakby nic nie

ważyła, podniósł ją z posłania.
Zamknięta w jego ramionach,

w ramionach wroga, poddała się bez reszty losowi, świadoma,

co jej przyniesie i czekająca na to niecierpliwie. Smok zniósł

ją na dół, do swego królestwa, do osłoniętego ciężkimi drape-

riami wielkiego łoża.

Niewiele miał na sobie, a ona była prawie naga. Szarpali

się z resztkami ubrania; wyglądało to, jakby ze sobą walczyli.

Niemal wgniótł ją w posłanie swoim ciężarem. Ale i ona miała

siłę, tylko innego rodzaju. Przyciągała go i poskramiała, mimo

pozorów, że to on nad nią panuje.

A kiedy jego twarda męskość naparła na jej brzuch, groźnie

i obiecująco zarazem, wygięła ciało w łuk, nie dbając o groźbę,

żądając spełnienia obietnicy. Obietnicy ulgi, rozkoszy i niewyobrażalnej radości.

Tym razem nie było bólu, tylko żar i poczucie cudownej

jedności.

- Rhysie - westchnęła, przywierając do niego z całych sił.

Odpowiedział pocałunkiem, gorliwym i namiętym. Chciał

od niej wszystkiego i zamierzał to wziąć. Ale i ona pragnęła

nie mniej.

Kiedy zaczął się w niej poruszać, unosiła biodra, wychodząc

naprzeciw każdemu pchnięciu. Był smokiem siejącym grozę.

Ale ona była wilczycą, silną i waleczną. Ich ciała splotły się

w pojedynku, oddechy, jęki,
westchnienia zlały się w jedno.

Wilgotna i rozpalona, trzymała się go
kurczowo, zaciskała

palce w jego włosach, oplatała go
nogami. A potem, jakby

wchłonęła w siebie całą jego moc,
poczuła, że ta moc rozpiera

ją od środka i unosi, niczym jakaś
ogromna fala.

On także musiał to czuć, bo pchnięcia
stały się jeszcze

szybsze i głębsze. Nagle zdjął ją strach.

Bała się, że więcej

nie zniesie. Musiała go powstrzymać...

- Izoldo - wydyszał. - Izoldo...

I wtedy stało się; wielka fala porwała ją, zagarnęła, poniosła.

Resztkami świadomości dziewczyna usłyszała krzyk Rhysa

i poczuła, że unosi się wraz z nią, i dalej popłynęli razem,

spleceni ze sobą ciasno, drżący, półprzytomni.

Długo trwało, nim w pełni wróciła jej

świadomość, ale nadal nie

dopuszczała do siebie żadnych myśli.

Leżała pod nim wilgotna

i gorąca, mimo zimowego chłodu.

Zniewolił ją swoją namiętnością, ale teraz należał do niej. I nie zamierzała go od siebie uwolnić.

W komnacie robiło się coraz zimniej.

Ogień w kominku

wygasł. Knot jedynej świecy zamigotał i utonął w kałuży

stopionego wosku. Leżeli w ciemności.

W końcu Rhys z jękiem

podniósł się z niej i przetoczył na plecy.

- Wybacz - mruknął, słysząc, jak Izolda wciąga powietrze.

Jednym ruchem ramienia ułożył ją na sobie. Wyczuwając, że

drży z zimna, podciągnął wełniany pled, tak żeby okryć ich

oboje. Grubo tkana dzianina była szorstka i drapiąca, ale

Izoldzie wcale to nie przeszkadzało. Czowała rozkoszną błogość,

choć była całkowicie wyczerpana.

Obudziła się na boku, wtulona plecami w Rhysa. Obejmujące

ją mocne ramiona dawały poczucie bezpieczeństwa, zachęcały do

dalszego, spokojnego snu. Zamrugwała, nie poddając się senności.

Co się stało?

Leżał obok niej nagi, więc odpowiedź była oczywista.

Dlaczego to zrobiła? To już nie było takie jasne. Jak mogła

tak łatwo i chętnie oddać się wrogowi?

Rhys poruszył się przez sen, a jego kolano znalazło się

między jej nogami. Westchnął i jego ciepły oddech załaskotał

ją w szyję. Kiedy wierzch jego dłoni otarł się o brodawkę jej

piersi, przebiegł ją dreszcz po całym ciele. Pieszczota powtórzyła się, tym razem świadoma, prowokująca...

Nie spał.

Żar w brzuchu dziewczyny buchnął płomieniem.

- Podoba ci się? - szepnął jej we włosy.

Nie była w stanie wydobyć z siebie słów. Ale on nie

potrzebował odpowiedzi. Wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Nie przestawał wolno, delikatnie muskać jej piersi.

- Mogę tak przez całą noc, Izoldo. I cały dzień. Podoba ci

się? - Pocałował ją w kark, ani na chwilę nie zaprzestając

pieszczoty.

- Podoba... - wyznała.

Przyciągnął ją do siebie, by poczuła, że

jest gotowy. Czyżby

zamierzał znów się z nią połączyć?

Miała taką nadzieję!

Powinna się tego wstydzić, ale przecież
nie mogła samej siebie

okłamywać. Znów go pragnęła.

Słyszając cichy jęk wydobywający się z
jej ust, bez ostrzeżenia

odwrócił ją na plecy i znalazł się
między jej nogami. W ciemności
widziała jedynie gorący błysk w jego
oczach.

- Chciałbym zatrzymać cię na zawsze,

Izoldo. Ukrytą przed

światem w tej komnacie. Z dala od
innych. Trzymać cię tu dla

rozkoszy. Mojej i twojej.

Kiedy wziął do ust nabrzmiałą
brodawkę piersi, krzyknęła

chwytając go za ramiona, tak mocno, że
niemal wbiła mu

paznokcie w skórę. Uniosła biodra, by
poczuć go w sobie jak

najszybciej.

Ale on był cierpliwy. Gdy wiła się pod

nim rozedrgana

i gorąca, pozostawał skupiony na jej piersiach. Obejmował je

dłońmi, drażnił ustami, zębami, językiem. Zwilżał je, dmuchał

na nie, potem muskał wargami.

Niespiesznie, uporczywie,

przeciągając cudowną torturę.

Nie ustępował, choć przyciągała go do siebie z całych sił.

Już jej się zdawało, że dłużej nie zniesie oczekiwania, gdy

przesunął się niżej, wyznaczając
pocałunkami ścieżkę w dół

brzucha, pozostawiając piersi zręcznym
dłoniom.

Kiedy trafił ustami jeszcze niżej,
zabrakło jej tchu. Spłoszona, próbowała
się wyrywać, ale unieruchomił ją
mocnym uściskiem.

- Nie wzbraniaj się, Izoldo. Nie walcz z
tym, co czujesz.

Pozwól się pieścić. Pozwól, bym ci
pokazał, jak może być

cudownie.

- Ale... ja nie mogę...

- Możesz. - Szybko to udowodnił i protesty dziewczyny

zmarły gwałtowną, słodką śmiercią.
Podobnie jak wszystko

wokół. Pozostała tylko niewyobrażalnie
cudowna pieśczoła.

Serce jej dziko łomotało, krew szumiała
w uszach, aż

w końcu z jej ust wydarł się krzyk
całkowitego poddania.

Jakby odpowiadając na to wezwanie,
Rhys wszedł w nią

i zaczął się poruszać dzikim, szaleńczym rytmem. I kiedy już

była pewna, że zaraz umrze z rozkoszy, rozległ się jego krzyk

spełnienia.

Potem leżeli wtuleni w siebie, wilgotni i rozgrzani. Izolda

czuła się tak, jakby dotarła do kresu, za którym już nic nie

ma. Nie ma kolejnej nocy ani dnia. Nie ma przyszłości. Jakby

mieli pozostać tak już na zawsze. Idealnie spełnieni. Idealnie

zjednoczeni.

19

Rhys spał i śnił, a w każdym śnie był zadowolony. Nie

był głodny, zziębnięty ani samotny. Nie musiał walczyć o przetrwanie ani o nic innego. Był zadowolony. Był szczęśliwy.

Czuł kobietę u swego boku. Przytulała się do niego, miękka

i ciepła, wilgotna i pachnąca miłością. Westchnął, zadowolony

jak jeszcze nigdy dotąd, i spał dalej, mocniej niż kiedykolwiek.

Raz zadrżał, ale zaraz znów było mu ciepło. Miło się

odprężyć, zapomnieć o czujności, gdy zawsze musiał zachowywać ostrożność.

- Izoldo - wymruczał, sięgając, by ją do siebie przyciągnąć. - Izoldo? - Ocknął się gwałtownie. W komnacie było zimno, ogień wygasł, świeca się dopaliła. - Izoldo?! - zawołał

jeszcze raz. - Miłe sceny ze snów ustąpiły miejsca twardej

rzeczywistości. Łoże było puste.

Izoldy nie było.

- Suka! - zaklął, wyskakując z pościeli.
W biegu chwycił

spodnie i sztylet. I jak wściekły byk
pognał za nią.

Nie zważając na lodowate powietrze,
szczypiące go po

nagim torsie, Rhys bosy wbiegł do
komnaty na wieży. Pustej.

Zawrócił do wielkiej sieni, gdzie ciszę
mąciło jedynie po-

chrapywanie służby śpiącej wokół
kominka. Rhys wybiegł na

skuty mrozem dziedziniec.

Gdzie ona się podziała?

Przystanął, żeby się trochę opanować.
Obłoczki jego oddechu

rozpływały się w mroku. Przejechał
dłonią po włosach. Nie

mogła uciec daleko. Ale żeby ją znaleźć,
musiał się zastanowić

nad dalszym działaniem.

Trudno mu było zebrać myśli. Zdradziła
go. Oddała mu się

tak słodko, tak całkowicie. Tuląc się do
niego, uśpiła jego

czujność. Powinien mieć więcej rozumu
i jej nie ufać. Ostatecznie nosiła
nazwisko FitzHugh i w końcu doszła w
niej do głosu prawdziwa natura. Była
jego wrogiem, zrodzonym

i wychowanym, żeby mu się
przeciwstawiać... więc i on

musiał z nią walczyć. Nie powinien się
więc dziwić temu, co

zrobiła.

Ale się dziwił.

Rozejrzał się po stromych murach,
popatrzył w stronę stajni,

pralni i kuchni. Ścisnął sztylet tak mocno, że aż dłoń mu drżała.

Zza chmur wyglądał księżyc w pełni. Rhys miał ochotę zawyć

z wściekłości jak zwierzę. Wykrzyczeć swój ból. Z daleka

dobiegło wycie psa lub wilka, przejmująco samotne.

Nie było czasu na rozmyślania. Izoldzie się zdawało, że

przed nim uciekła. Myślała, że może wykorzystać swoje ciało

i jego pożądanie, żeby wystrychnąć go

na dudka. Myliła się

srodze. Wytropi ją. Sprowadzi ją z powrotem.

Na zawsze pożałuje dnia, w którym
uznała, że może oszukać

Rhysa ap Owaina.

Izolda przycupnęła w cieniu
zewnątrznego muru. Był tam

ktoś jeszcze!

Ktoś jeszcze stał poza murami zamku;
nieruchoma sylwetka

odcinała się na tle morza, zagradzając

ścieżkę prowadzącą

w dół na plażę. Strażnik? Modliła się,
żeby to nie był ten

niegodziwy Dafydd!

Owiał ją wiatr, przenikliwie zimny,
nadciągający od północnego morza.
Wstrząsnęła się. Skórę wciąż miała
wilgotną, a okrycie nieodpowiednie do
stania na chłodzie. Porwała

pierwsze, jakie było pod ręką, kiedy
uciekała z wieży, poganiana

lękiem i wstydem, niepewna, wobec
kogo ma zachować lojalność.
Szczękając zębami, próbowała się

zastanowić nad swoim położeniem.
Może powinna się wymknąć tylnym
wejściem

i ukryć w ciemnym kącie. Może ten
człowiek jej nie zauważy

i będzie mogła poczekać, aż odejdzie.
Proszę, Boże, dopomóż

mi, modliła się, przemieszczając się
powoli na lewo.

Jakby w odpowiedzi na jej modły,
strażnik odwrócił się i wolno

ruszył w stronę bramy. Było zbyt
ciemno, by rozpoznała jego

twarz, więc miała nadzieję, że i on jej nie dostrzeże. Kiedy ciemna

sylwetka zbliżyła się, Izolda wyteńczyła wzrok. Postać, którą miała

przed sobą, była mała i stara i nie był to wcale strażnik.

Ani mężczyzna.

- Tillo? - wyrwało się Izoldzie.

Wiedziała, że nie powinna

się odzywać, ale ulga była zbyt wielka.

Postać przystanąła.

- To ja, dziecko - potwierdziła stara

kobieta, jakby obecność

dziewczyny w tym miejscu wcale jej nie
dziwiła. - Martwiłam

się o ciebie.

- Niepotrzebnie się martwiłaś. Ja... nic
mi nie jest - zapewniła

Izolda, owijając się szczelniej
płaszczem.

- Słyszałam, że wcale się nie pokazujesz
w wielkiej sieni. -

Tillo podeszła całkiem blisko. - Od
trzech dni.

- Rzeczywiście.

- Domyślam się, że nie z własnego wyboru.

Izolda nie odpowiedziała. Gdyby nie zniszczyła malowidła

ze smokiem i wilkiem, które Rhys tak podziwiał, nie trzymałby

jej tak długo w wieży.

Tillo zachichotała pod nosem.

- Nie wypuszczana do wielkiej sieni.
Zamknięta w wieży.

A teraz spaceruje sobie poza murami

zamku. To doprawdy

ciekawe. Uciekłaś mu?

Izolda nadal milczała. Nie mogła
odpowiedzieć. Tak, uciekała

od Rhysa. Ale z powodów, których Tillo
nie była w stanie

zrozumieć. Pewnie nikt by nie zrozumiał,
bo ona sama nie

potrafiłaby wytłumaczyć, co czuje.

- Nie chcę, żeby tu doszło do walki -
wydukała w końcu. -

Mówiłaś, że pomożesz mi w ucieczce.

- Ach, dziecko. Wtedy sądziłam, że możesz zapobiec nieszczęściu, ale teraz nie jestem już taka pewna. Obawiam się, że los jest przesądzony. - Staruszka z westchnieniem przysiadła na

kamieniu obok bramy. - Mężczyźni będą się bić. Tak już jest. Są

do tego chowani. Oni będą się bić, a kobiety będą po nich płakać.

Izolda zaczęła się przechadzać niespokojnie tam i z powrotem, rozcierając zziębnięte dłonie.

- Ale kobiety też mogą walczyć. Nie w ten sam sposób co

mężczyźni, bez użycia mieczy. Czasami jednak możemy zmusić

mężczyzn, żeby postąpili według naszej woli.

Staruszka zaśmiała się cienkim, skrzekliwym głosem.

- Aha. Myślisz, że możesz zmusić Rhysa do poniechania

życiowego celu, uciekając od niego?

- Nie. Nie. - Izolda bezradnie pokręciła głową. - Chcę

odszukać ojca. Jeśli go znajdę, zdołam go przekonać... -

Zamilkła w pół zdania, uświadomiwszy sobie niedostatki

swego planu. Rozłożyła ręce w geście zniechęcenia. - Co

innego mogę zrobić?

- Zastanawiam się - zaczęła Tillo z namysłem. - Zastanawiam się, co należy zrobić. Często, kiedy decyzja jest trudna, zdarza nam się przeoczyć najprostsze rozwiązanie. Musisz

zrobić to, co należy, Izoldo. A potem być gotowa ponieść

konsekwencje.

- Ale co należy zrobić? Kto ma rację?

Tillo zamilkła na długą chwilę. Wstając, zachwiała się

i dziewczyna wyciągnęła rękę, żeby ją podtrzymać. Z bliska

twarz starej kobiety wydawała się zmęczona i smutna.

- Nie mam dla ciebie rady, Izoldo. Nie zawsze dokonywałam

właściwych wyborów, więc chyba nie jestem najlepszą osobą,

żeby ci służyć za przewodnika. Ale posłuchaj jednego, dziecko.

Wysłuchaj się w swoje serce. Słuchaj i
nie bój się bólu. Życie

na tym świecie to zmaganie się z bólem.
Tyle wiem na pewno.

Tillo odeszła w stronę bramy w murze.
Wysłuchać się w serce?

Jak miała to rozumieć? Ta rada tylko
pogłębiała w Izoldzie

poczucie zagubienia.

W ciemności odwróciła się twarzą w
kierunku, z którego

dochodził szum morza, jednostajnie
uderzającego o brzeg.

Opuściła Rhysa i łóżce, które z nim
dzielila, bo bała się tego,

że poznał jej uczucia. Wiedział wszystko
o jej najskrytszych

pragnieniach i bała się stanąć z nim
twarzą w twarz w świetle

dnia. Wykorzystała więc szansę ucieczki
i udało jej się. Pozostawało zejść stromą
ścieżką na plażę, ominąć zamek i
skierować się do Carreg Du, drogą,
którą musiał jechać ojciec.

Tylko co mogła w ten sposób osiągnąć?
Ojciec nigdy nie

zgodzi się oddać Rosecliffe bez walki,

cokolwiek by mu

powiedziała. No i racja była po jego stronie.

Ale Rhys także uważał, że ma prawo do zamku, i Izolda do

pewnego stopnia to rozumiała. Te ziemie zawsze należały do

Walii. Od setek lat. Od tysiąca. Te wzgórza, doliny, urwiska

i skaliste brzegi. Dla Rhysa jej ojciec był uzurpatorem. Ale

ona miała połowę walijskiej krwi, podobnie jak jej brat i siostry.

Pewnego dnia Gavin miał zostać lordem
Rosecliffe. Gdyby

tylko Rhys miał dość cierpliwości...
Gdyby mógł zrozumieć,

że rodzina FitzHugh zawsze chciała
dobrze dla walijskiego

pogranicza. Tak samo dobrze jak on.
Gdyby tylko potrafiła go

przekonać...

Stała znów twarzą do zamku i
popatrzyła na solidny

kamienny mur, tak stromy i gładki, że
nikt nie mógł się po

nim wspiąć. Musiała zadrzeć głowę,
żeby sięgnąć wzrokiem

blanków na samej górze. To był jej dom.
Ale kiedyś był także

jego domem. Rhys znał te nadmorskie
urwiska, zanim jeszcze

stanęła na nich twierdza.

Najwcześniejsze wspomnienia Izoldy

sięgały budowy zamku i murów,
wznoszących się coraz wyżej,

podczas gdy Rhys pamiętał nagi cypel,
rozległe skaliste wzgórze

porośnięte krzewami dzikiej róży,

opadające stromo ku brzegowi. Mimo to podziwiał zamek z jego potężnymi fortyfikacjami. Obserwowała z wieży, jak zagląda w każdy zakamarek, próbując poznać wszystkie tajemnice twierdzy.

Obaj, jej ojciec i Rhys, kochali Rosecliffe. Czyżby naprawdę

nie było żadnej możliwości ugody i pokoju?

Odgarnęła z czoła potargane wiatrem włosy. Jeśli tu pozostanie, nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie.

Zaczynało być dla niej jasne, co powinna zrobić. I wiedziała,

że to będzie bolesne, tak jak ostrzegła
Tillo. Izolda podeszła

na skraj urwiska i wyężając wzrok w
ciemności, starała się

wypatrzeć ścieżkę, którą wcześniej
planowała zejść na plażę.

Nie uda jej się przekonać ojca, by
zostawił Rosecliffe Rhysowi.

Ale może zdoła przekonać Rhysa, że jej
rodzina kocha tę część

Walii tak samo jak on. Na swój sposób
był równie honorowy

i dzielny, jak jej ojciec. Może więc uda

jej się znaleźć grunt,

na którym mogliby się jakoś porozumieć.

Zdawała sobie sprawę, że ma niewielkie szanse. Wiedziała

jednak, że musi spróbować. Dopiero teraz zrozumiała, że w tej

tragedii nie ma tak naprawdę złych postaci. Nawet Rhys okazał

się nie aż tak straszny, jak to sobie wyobrażała przez lata.

Właściwie wcale nie był straszny. Chwilami nawet jej się

wydawało, że mu na niej zależy. Może
uda jej się doprowadzić

do zgody między nim i jej ojcem...

- Co ty wyprawiasz?

Izolda zastygła w bezruchu, wstrzymując
oddech.

- Rhys? - Oczywiście, że to był on.

W pierwszej chwili serce zabiło jej
mocniej z radości.

Przyszedł tu za nią, bo istniała między
nimi więź, która mogła

być zaczątkiem trwałego pokoju.

Kiedy jednak podszedł do niej i chwycił ją za ramię

żelaznym uściskiem, radość przeszła w zwątpienie, a potem

w strach.

- Ty kłamliwa suko.

Wzdrygnęła się na lodowaty ton jego głosu.

- Nie. Zaczekaj. - Próbowała go powstrzymać, wyciągając

rękę. Natrafiła dłonią na nagi tors. Był tylko w spodniach, co

jeszcze bardziej ją onieśmieliło.

- Na co mam czekać? - warknął. - Żebyś wezwała swoich

rodaków? I wprowadziła ich do Rosecliffe, żeby nas mogli

wymordować podczas snu?

- Nie! Posłuchaj...

- Nie! - Potrząsnął nią mocno. - Nie będę słuchał. Nie będę

wysłuchiwał od ciebie dalszych kłamstw!

- Ale ja nie kłamię...

- Wszystkie kobiety kłamią - stwierdził chłodno. - To ich

sposób na życie.

Izolda aż się skuliła, ugodzona wyraźną pogardą w jego

głosie. Lepiej by było, gdyby wymierzył jej policzek, niż to

powiedział. Poczucie urazy szybko zmieniło się w złość.

- Tak. Masz rację, Rhysie ap Owain. Jesteś taki mądry.

Wiesz wszystko o wszystkim...
zwłaszcza o kobietach.

Znów nią potrząsnął, a potem wskazał na bramę.

- Wiem to, co widzę. A widzę kobietę, która dzieli łożę

z mężczyzną, rozkłada przed nim nogi i oddaje się rozkoszy,

a potem zadaje mu cios w plecy.

Miała jego twarz tuż przed sobą i choć ciemność nie pozwalała jej widzieć rysów, czuła moc jego pogardy. Jakże bardzo się mylił! Dążyła do pokoju, nie do zemsty. Jak miała

mu to wytłumaczyć... skoro i tak by jej nie słuchał?

Łzy dławili ją w gardle. Dlaczego tak musiała być między

nimi? Dlaczego? Potrząsnęła głową, starając się nad sobą

zapanować. Pod palcami czuła jego muskularną pierś. Miał

gęszą skórę od zimna, ale było od niego ciepło. Gdyby tak

umiała przedrzeć się przez tę zimną, twardą skorupę, do

dobrego, czułego człowieka, który krył się w środku...

- Rhysie...

Uderzył pięścią w bramę, tuż koło
głowy Izoldy, aż pisnęła

wystraszona.

- Jeśli cenisz sobie swoją śliczną
smukłą szyję, nie będziesz

wystawiać mnie na próby, Izoldo. -
Szarpnięciem wciągnął ją

przez bramę i pchnął do wąskiego
przejścia. - Wracaj do

wieży. Natychmiast.

Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać.
Ruszyła biegiem

przed siebie, wymacując w ciemności drogę po ścianie. Z powrotem do wieży. Z powrotem do więzienia. Jej położenie było jeszcze gorsze niż poprzednio.

Rhys czekał, aż dziewczyna odejdzie, modląc się w duchu,

by spełniła jego rozkaz. Bo gdyby musiał znów jej szukać,

mogłoby się to źle skończyć.

Zamknął bramę i oparł się o nią, dysząc ciężko. Chciał ją

skrzywdzić. Nie zrobił tego, powstrzymał się, ale chciał.

Dlaczego?

Odpowiedź była prosta. Bo ona go skrzywdziła.

Chciałby zaprzeczyć, lecz nie mógł.
Wymierzyła mu cios,

który bolał bardziej niż najgorsza rana
odniesiona w bitwie.

Krew można zatamować. Kości można
złożyć, a skórę zeszyć.

Ale on miał dziurę w piersi, wielką
ziewającą dziurę... a przynajmniej tak się
czuł, jakby miał. Przez Izoldę. Wyrwała
mu coś ze środka i cierpiał nieopisanie.

Ona ma prawo bronić swojej rodziny.

Przymknął oczy. Z bólem musiał przyjąć tę prawdę. Jeszcze

ciężej mu było przyznać, że chce, by Izolda była lojalna wobec

niego i tylko niego.

- Jezu Chryste! - Odepchnąwszy się od bramy, wszedł

w ciemne przejście przez mury. Zdobycie Rosecliffe było

zadaniem godnym Herkulesa; przez długie lata bał się, że może

się okazać wręcz niemożliwe. A jednak mu się udało. Udało

mu się dzięki przebiegłości, wytrwałości i odwadze. Powinien

odczuwać z tego powodu dumę i zadowolenie. Nie odczuwał.

Powodem była Izolda.

Teraz widział, że jeśli nawet zawładnięcie Rosecliffe było celem

trudnym do osiągnięcia, to zdobycie jego dziedziczki okazało się

nieporównanie trudniejsze. Ale się nie podda. Będzie ją miał dla

siebie, choćby miał się posłużyć siłą jej
namiętnej natury.

Krocząc przez cichy dziedziniec,
zdecydowanie odrzucał

możliwość, że to ona może go zdobyć
dla siebie.

Josselyn i Rhonwen jechały obok siebie.
Wbrew obawom

ich mężów, obecność kobiet nie
spowolniła podróży oddziału,

który zgromadzili bracia FitzHugh. Obie,
tak samo jak mężczyźni, pragnęły jak
najszybszego powrotu do Rosecliffe.
Obie martwiły się zarówno o Izoldę, jak

i o Rhysa. Może i był

rebeliantem, zagrażającym wszystkiemu,
co umiłowały, ale był

także ich rodakiem i walczył dla ich
wspólnej ojczyzny.

Josselyn wciąż miała w pamięci
osieroconego przez matkę

chłopca, z którym próbowała się
zaprzyjaźnić, dziecko źle

traktowane przez własnego ojca i przez
nikogo nie kochane.

Rhonwen pamiętała Rhysa jako
przyjaciela z młodości, wiecznie

ściąającego na siebie jakieś nieszczęścia.

- On nie ma żadnej rodziny - powiedziała.

- Za to mnóstwo przyjaciół - rzekła Josselyn, wiedząc,

kogo Rhonwen ma na myśli. - Podróżuje z trupą minstreli.

- Właśnie. Z olbrzymem i karłem, jak mówił posłaniec.

Zawsze miał zdolność do pozyskiwania sobie ludzi. Szczególnie

tych, którzy nie mieli się dokąd

zwrócić.

- Samotnych dusz, takich jak on -
mruknęła Josselyn.

- Ja kiedyś też taka byłam - dodała
Rhonwen.

Przez dłuższy czas jechały w milczeniu.
Kiedy kolumnie

jeźdźców ukazał się długi parów,
ciągnący się krętą linią aż

po horyzont, kobiety wymieniły
uśmiechy.

- Jesteśmy prawie w domu -
powiedziała Rhonwen, wciągając

głęboko powietrze. Dotarli do Offa Dyke, granicy wykopanej przed setkami lat pomiędzy Anglią i Walią. - Przy tym tempie potrzeba nam jeszcze tylko dwóch dni.

- Nie możemy dopuścić, żeby to się przerodziło w otwartą

wojnę, Rhonwen. Bo nikt nie wygra, a wszyscy tracą.

- Ale co możemy zrobić?

Starsza z kobiet spojrzała w dal, gdzie na czele dobrze

uzbrojonego oddziału jechali ich mężowie. Stanowili niebywałą

parę. Silni, przystojni, oddani swoim bliskim.

- Czy on byłby dobrym mężem?

Znów nie było potrzeby wyjaśniać, o kogo chodzi.

- Dla Izoldy? - spytała Rhonwen. - Ze względów politycznych tak. Wiele przemawia za tym, by się pobrali.

- To by oszczędziło mnóstwa kłopotów.

- Ale czy Rand by się zgodził?

Josselyn westchnęła.

- To nie o Randa się martwię. Izolda jest

bardzo uparta

w sprawie wyboru męża.

Rhonwen pokiwała głową ze
zrozumieniem.

- I nienawidzi Rhysa. Zawsze go
nienawidziła.

- A on? Zgodziłby się na coś takiego?
Byłby dla niej dobry? -

Rhonwen zadumała się, przygryzając
wargę.

- Wiesz, to nie jest zły człowiek.

- Wiem. Ale nie było go tu przez

dziesięć lat i ma szczególną

reputację. Rhys Gniewny. Rhys
Wściekły. Nie tylko tak go

nazywają.

- Nasi mężowie także cieszyli się
szczególną reputacją. Ale

dotyczyła pola walki. Dla nas zawsze
byli łagodni. Poza

momentami, kiedy oczekujemy od nich
pewnej ostrości -

dodała z lubieżnym uśmiechem.

Josselyn wzniosła oczy ku niebu.

- Dobrze to ujęłaś. Ale Izolda jest moim dzieckiem. Moją

pierworodną córką. Muszę być pewna, zanim dopuszczę możliwość małżeństwa pomiędzy nią i Rhysem. Ostatecznie, on jest synem Owaina ap Madoca - dodała cierpko.

- Po ślubie nie będzie taki jak Owain. Tego jestem pewna -

powiedziała Rhonwen z przekonaniem.

Skierowały konie do parowu, a wyjechawszy z niego, znalazły

się na walijskiej ziemi.

- No to chyba podjęłyśmy decyzję -
stwierdziła Josselyn.

- Prawdę mówiąc, to chyba jedyny
sposób na osiągnięcie

trwałego pokoju - przyznała Rhonwen. -
Wrogowie pobierają

się ze sobą. - Parsknęła śmiechem. -
Niezwykła sytuacja, bez

wątpienia. Ale my obie właśnie tak
znalazłyśmy szczęście.

Dlaczego z Izoldą i Rhysem miałyby być
inaczej?

20

Powróciły śniegi. Wiatr dał od morza,
lodowaty, nasycony

wilgocią, która przenikała do szpiku
kości. W całym Rosecliffe

było okropnie zimno, zwłaszcza w
konnacie na wieży, która

wznosiła się powyżej zewnętrznych
murów, więc była tym

bardziej narażona na chłostę zimowej
wichury.

Mimo wyjątkowo niesprzyjającej
pogody Izolda siedziała na

podeście okalającym wieżę, wystawiona
na mrożące podmuchy.

Nie mogła dłużej znieść zamknięcia w
małym pomieszczeniu,

choć przebywanie na zewnątrz okazało
się niewiele lepsze. Mimo

trzech par pończoch, dwóch koszul,
dwóch spódnic, grubej

oponczy, gęstego szala i wełnianej
derki, była skostniała z zimna.

Co gorsza, niewiele widziała ze swej
podniebnej grzędy, poza

wymarłym zamkowym dziedzińcem,

pokrytym zwałami śniegu.

Wiele by dała za parę minut
jakiegokolwiek towarzystwa.

Ale w pobliżu nie było nikogo. Nawet
straże ukryły się

w środku przed chłodem. Jedyным
urozmaiczeniem dla oczu

były unoszone wiatrem tumany śniegu,
osiadające w zaspach

pod murami. Chuchała w dłonie,
bezszykownie próbując rozgrzać
policzki i nos. Uszy piekły ją od mrozu,
a w koniuszkach palców nie miała
czucia. Nie mówiąc już o palcach u nóg.

Daj sobie spokój z tym głupim uporem,
podpowiadał jej

zdrowy rozsądek. Zejdź do wielkiej
sieni.

Naciągnąwszy koc na głowę, usiłowała
własnym oddechem

ogrzać pod nim powietrze. Wiedziała, że
zachowuje się dziecinnie. Rhys nie
odmówiłby jej ciepła wielkiej sieni.

Kilka razy przysyłał ludzi, żeby
sprowadzili ją na dół. Gandy zjawił się

jako pierwszy, tak okutany, że trudno go
było rozpoznać.

- Każe ci zejść na dół - oznajmił.

Odprawiła go, tak samo jak później
Linusa. Potem Tillo. Ta

przynajmniej rozumiała upór
dziewczyny. Mimo to na odchodnym
powiedziała ostro:

- Co ci da ten upór, jeśli zamarzniesz na
śmierć albo

dostaniesz gorączki płucnej?

Izolda nie zgodziła się zejść do wielkiej
sieni, gdzie na palenisku

kominka buzował wielki ogień. Rhys
tam był, a ona nie mogłaby

znieść jego obecności. Nienawidziła

go... i pragnęła. Chciała go

chronić i chciała od niego uciec. To
było czyste szaleństwo. Jednak

po długich godzinach rozmyślań wciąż
dochodziła do jednego

tylko żalosnego wniosku. Zakochała się
w Rhysie. Na własną

zgubę. Bo jak inaczej mogła określić
kłębiące się w niej uczucia?

Podciągnęła stopy głębiej pod spódnicę.
Lepiej zamarznąć

na śmierć na tym podeście, niż pokazać
temu niegodziwcowi,

jak bardzo cierpi z jego powodu. Nie dać mu okazji do triumfu.

Wysunęła głowę przez szparę swego namiotu i spojrzała na

nieprzyjazne niebo. Lodowaty podmuch szarpnął derką, wydymając ją niczym żagiel. Zdawała sobie sprawę, że długo tak nie wytrzyma. Wkrótce będzie musiała zejść do cieplej sieni,

bo chyba nie zniosła kolejnej nocy takiej jak ostatnia, kiedy

trzęsła się zbyt gwałtownie, by w ogóle zmrużyć oczy.

Dlaczego była aż tak uparta?

- Dlaczego musisz być aż tak uparta?

Wyjrzała ostrożnie spod derki. Czy ktoś coś mówił? Czy

może zaczynała słyszeć urojone głosy?

- Izoldo!

Pisnęła ze strachu, bo jakaś wielka ręka potrząsnęła ją za

ramię.

- Chodź. Nie pozwolę, żebyś zamarzła na śmierć przez

głupi upór.

Uniesiona w górę i otulona derką,
spoczęła w mocnych

męskich objęciach. W objęciach Rhysa.

- Już prawie zamarzłaś - mruknął.

- Wcale nie - zaprotestowała słabym
głosem. Wiedziała,

że powinna mu się przeciwstawić, ale
ogarnęło ją tak błogie

ciepło, że nie mogła z siebie wykrzesać
choćby odrobiny woli

walki. Była zmęczona. Poza tym
przyszedł po nią osobiście,

nie przysłał któregoś ze swych ludzi.
Złość z niej uleciała;

westchnąwszy z rezygnacją, wtuliła się
w ramiona Rhysa.

W wielkiej sieni czekało ciepło i gorące
jedzenie. Jakże miło

było o tym myśleć. I jak miło być w jego
objęciach.

Znosząc dziewczynę po schodach, Rhys
przeklinał się w duchu za głupotę. Był
samolubnym, tępym draniem. Izolda
odprawiała każdego, kogo po nią posłał.
A on, zamiast kazać

ją sprowadzić siłą albo samemu po nią

pójść, dał się ponieść

dumie, zarzekał się, że pozwoli jej
zamarznąć, skoro taka jej

wola. Siedząc nad kuflem grzanego
piwa, wmawiał sobie, że

to złość go skręca, nie ból.

Nie pomagało. Nie wiedział, dlaczego
Izolda jest tak uparta,

ale znał przyczynę własnego uporu.
Zależało mu na tej dziewczynie. To było
najgorsze, co mogło go spotkać. I
choćby nie wiem jak tego nie chciał i
starał się ze wszystkich sił, nie mógł

zaprzeczyć uczuciom, jakie w nim
wzbudzała. Była jego

wrogiem. Nienawidziła go i była
gotowa go zdradzić przy

pierwszej sposobności. Wiedział też, że
czuje do niego pożądanie. Ale to mu nie
wystarczało. Pragnął jej lojalności. Miał

świadomość, że oczekuje zbyt wiele,
lecz chciał być dla niej

ważniejszy niż rodzina.

Czy to była miłość? Powtarzał sobie, że
nie. Owszem,

zależało mu na niej, ale to nie miłość.

Nie kochał jej. Po prostu

ciągłe napięcie odbierało mu zmysły.

W końcu zerwał się z miejsca i pognał na górę, nie zastanawiając się nad tym, co zamierza zrobić. Kiedy wpadł do niewielkiego pomieszczenia i jej tam nie zastał, jego gniew

natychmiast zmienił się w trwogę. A gdy wyszedł na podest,

serce wręcz zamarło mu ze strachu.

Siedziała zwinięta w żałosny kłębek, prawie zamarznięta

pod stertą ubrań i derek. W pierwszej

chwili pomyślał, że nie

żyje. Jeszcze teraz serce mu dudniło ze strachu, kiedy trzymał

ją w ramionach taką sztywną i zziębniętą.

Ale żyła i to było najważniejsze.

Kopnięciem otworzył drzwi

do swojej komnaty. Nie była dobrze ogrzana, lecz znacznie

cieplejsza niż ta na wieży. Nie chciał wypuszczać dziewczyny

z objęć, lecz musiał ją położyć na łożu, żeby rozpaścić ogień.

Kiedy zaprotestowała z cichym jękiem,
uznał, że bardziej jest

jej potrzebne ciepło jego ciała.

Błyskawicznie rozdmuchał żar na
palenisku i dorzucił drewna.

Następnie zerwał z siebie skórzany
kaftan, zrzucił buty i położył

się obok niej.

Była zimna tak bardzo, że objąwszy ją,
sam zaczął drżeć.

Nawet włosy miała lodowate, kiedy
dotknął ich policzkiem.

Przyciągnął ją do siebie tak, że
przyłgnęła do niego całym
ciałem.

- Niech cię diabli, kobieto - mruknął. -
Jeśli chciałaś mnie
ukarać, to udało ci się doskonale.

Czuł, jak wstrząsają nią dreszcze, raz za
razem. Trzymał ją
mocno przy sobie, chcąc jej oddać
swoje ciepło. Długo trwało,
zanim się wreszcie trochę rozgrzała.
Powoli dreszcze ustąpiły

i zaczęła się odprężać.

Im bardziej się odprężała, tym bardziej ciało Rhysa zdawało

się tężeć. Leżała w jego łóżu, tam gdzie widział dla niej

najlepsze miejsce, więc nic dziwnego, że jego zmysły nie

pozostały obojętne. Kiedy westchnęła, bezwiednie ocierając

się o niego, z trudem stłumił jęk. Robiło się niebezpiecznie.

- Izoldo? Izoldo, nie śpisz?

Słyszała cichy głos tuż przy uchu, czuła powiew ciepła we

włosach, ale nie chciała odpowiadać. Tak przyjemnie było

leżeć w jego objęciach, zapominając o całym świecie. Wystarczyło zamknąć oczy, zasnąć i o niczym nie myśleć. Było jej zimno, a on ją ogrzał.

- Izoldo. - Tym razem głos był bardziej natarczywy, wyrwał

ją z miłych fantazji. - Słyszysz mnie? Jeśli mnie słyszysz,

odpowiedz, skarbie. Proszę.

Skarbie.

Przeciągnęła się z uśmiechem pod ciężkim nakryciem. Rhys

nazwał ją skarbem. I brzmiało to tak szczerze.

Nagle, czując na pośladkach ucisk jego twardej męskości,

wydała z siebie urywane westchnienie.

- Aha. Więc nie śpisz.

Wolno pokiwała głową. Oczywiście, że nie spała.

- Ciepłej ci? - spytał.

- Ta...ak. - Odchrząknęła z zakłopotaniem.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której dotarło do

Izoldy, że leżą w pozycji kochanków. Na szczęście byli ubrani.

Przynajmniej ona była.

Dokąd ją przyniósł?

Jedną ręką ściągnęła derkę zasłaniającą jej oczy. W pomieszczeniu było zimno, lecz nie aż tak jak na wieży. Jedno szybkie spojrzenie potwierdziło jej przypuszczenia. Znajdowali się

w jego komnacie. Przez szczeliny w draperiach widziała

zniszczone malowidło, przypominające jej wszystkie powody,

dla których powinna nienawidzić Rhysa.

Próbowała się wyswobodzić z jego objęć.

- Nie mogę tu zostać.

- Nie możesz wyjść - powiedział, wzmacniając uścisk. -

Nie pozwolę ci zamarznąć na wieży.

- Więc pozwól mi pójść do mojej

sypialni. Albo do wielkiej

sieni.

- Za późno na to, Izoldo. Jesteś tutaj i nie pozwolę ci odejść.

Z niechęcią musiała przyznać, że te słowa sprawiły jej

przyjemność. Nie mogła się jednak powstrzymać przed zadaniem pytania:

- Dlaczego?

Odwrócił ją tak, że leżała na plecach. Miała jego twarz tak

blisko, że mimo ciemności widziała jej

wyraz.

- Bo chcę, żebyś tu była. Ten powód powinien wystarczyć -

dodał cicho. Usłyszała jednak i szczerłość... bezbronność w jego

głosie uciszyła w niej wszelkie sprzeciwy. Chciał, żeby z nim

została. A ona chciała zostać. Myśli zawirowały jej w głowie.

Czy to aż takie straszne zostać z nim na chwilę? Kiedy

zapominała o przeszłości, która tak skomplikowała ich życie,

wszystko stawało się proste. Pragnęli tego samego: być razem.

Czy kiedyś będą jeszcze mieli ku temu możliwość? Czy to

była ich jedyna szansa?

Niestety, odpowiedź była smutnie jednoznaczna. Tak. Co

mówiła Tillo? *Wysłuchaj się w serce i nie bój się bólu. Życie*

na tym świecie to ciągle zmaganie się z bólem.

Nie było przyszłości dla niej i Rhysa, tylko teraźniejszość.

Izolda wiedziała, że musi się pogodzić z tą nieszczęsną prawdą.

W przyszłości czekało ich oboje tylko cierpienie. Ale była ta

chwila. I nie mogła jej zmarnować.

Patrzyła mu w oczy, po raz pierwszy nie ukrywając, co czuje.

- Kiedy mnie znalazłeś przy tylnej bramie... - Głos jej

zadrzał. - Nie uciekałam od ciebie.

Wracałam do ciebie...

Resztę wyznania stłumił pocałunek, tak namiętny i żarliwy, że

odebrał jej oddech, rozproszył myśli.
Skradł serce. Czy Rhys jej

uwierzył? Musiał uwierzyć. Z radością
odwzajemniła pocałunek.

Kiedy wydała z siebie cichy jęk,
zaniepokojony poderwał

głowę.

- Sprawilem ci ból.

- Nie.

- *Tle* się czujesz od zimna.

- Nie. - Zarzuciła mu ręce na szyję i
przyciągnęła go do

siebie. - Nie czuję się źle. Nie jest mi zimno. Pocałuj mnie.

Teraz on jęknął. Ale się nie ościagał, nie wstrzymywał. Jakby

nagle pękła między nimi niewidzialna bariera, całował ją

w usta, oczy, policzki, uszy. Odnajdywał najczulsze miejsca

i dotykał ich zmysłowymi muśnięciami warg. Izolda poczuła

się jak w niebie. Wodziła dłońmi po jego ramionach i plecach,

wsuwała mu palce we włosy.

Przyciągała go do siebie, żeby

poczuć na sobie ciepło jego ciała.

Skwapliwie odpowiadał na jej nieme
życzenia. Stopniowo

pozbywali się przeszkód w postaci
pledów i ubrań. Najpierw

jej opończy i spódnic, potem jego
spodni, wreszcie jej koszul

i pończoch. Żar ich połączonych
namiętności ogrzewał zacisze

osłoniętego draperiami łoża.

W końcu zupełnie nadzy leżeli zwróceni

do siebie w ogrzanej

pościeli. Rhys przesunął dłonią po boku dziewczyny, przez

zagłębienie talii do krągłej wypukłości biodra. Naśladując jego

ruch, czuła pod palcami twarde mięśnie i gładką, napiętą

skórę. Niewiele widziała w ciemności, ale dotyk wystarczył,

by wiedziała, jak bardzo Rhys jej pragnie.

- Do licha! - zaklął przez zęby, przytrzymując jej rękę.

- Pozwól mi - poprosiła.

- Boję się, że pozbawisz mnie męskiej
mocy - powiedział,

na nowo podejmując pieśczętę. Tym
razem posługiwał się

ustami. - Robisz ze mną dziwne rzeczy...

- przerwał, żeby

posmakować jej ust - ...które mnie
doprowadzają do szaleństwa. -

Zatrzymał się na dłużej przy miękkim
wglębieniu na szyi. - I zbyt szybko
dochodzę do kresu... - Leciutko
uszczypnął

zębami nabrzmiałą brodawkę piersi. -

Ale zaprowadzę cię tam

pierwszą, Izoldo.

- Możemy... możemy tam dojść razem -
wyszeptała bez

tchu.

- Dojdziemy. -Nasunął się na nią całym
ciałem. Czowała jego

ciężar, ciepło, siłę i aż kręciło jej się od
tego w głowie.

- Rhysie...

Kolanem rozsunął jej nogi i poczuła na
brzuchu coś jeszcze

cieplejszego i silniejszego.

- Nie mogę dłużej czekać - wydyszał jej do ucha. Zgniótł

jej usta pocałunkiem, wdarł się do środka językiem.

- Rhysie - jęknęła.

- Zaraz spłonę. - Uniósł jej kolana, gotowy w nią wejść,

ale napotkawszy jej spojrzenie, nagle się zawahał.

Gdyby go powstrzymała, usłuchałby jej. Widziała to w jego

oczach i ta pewność rozwiała resztki wątpliwości. Kochała go.

A jeśli nawet on nie odwzajemniał jej miłości, to przynajmniej

mu na niej zależało. Radość przeppełniła jej serce, rozlała się

ciepłem po całym ciele.

- Nie przestawaj - poprosiła z zalęknionym uśmiechem. -

Umrę, jeśli teraz przestaniesz...

A kiedy w nią wszedł, upewniła się, że tak miało być.

Kocham cię, powtarzała w myślach do
rytmu jego miarowych
pchnięć.

Coraz szybciej razem wspinali się na
szczyt rozkoszy. Kiedy

jej się zdawało, że już jest u kresu drogi,
że już nie może być

lepiej, niemożliwe stawało się możliwe
i unosiła się na fali

nowego spazmu rozkoszy.

- Kocham cię! - wykrzyczała w końcu,
bo po cóż było

zatajać prawdę, skoro musiała umrzeć,
pewna, że nie da się

znieść jeszcze silniejszych doznań.

Spełnieni, leżeli bez tchu, ciasno ze sobą
spleni. Serce

Rhysa dudniło tuż przy jej piersi.

Dopiero kiedy trochę ochłonęli,

przetoczył się na bok i sięgnął po pled.

Ale przez cały czas

trzymał Izoldę mocno przy sobie.

Czy słyszał jej wyznanie miłości? Nie

wiedziała, ale też nie

miała zamiaru go o to pytać. Udowodnił,
że nie jest mu

obojętna. To jej wystarczało.

Postanowiła nie myśleć o niczym

innym poza wspólnym czasem, jaki im
pozostał. Tylko on

i ona. Łoże stanie się ich światem, a ta
noc całym ich wspólnym

życiem. Ukryła twarz na jego szyi,
uświadomiwszy sobie, jak

żałośnie mały jest ten ich świat. Na nic
więcej nie mogła

przecież liczyć.

Rhys tulił do siebie Izoldę, słuchał jej oddechu. Nic do siebie

nie mówili, a jednak istniało między nimi porozumienie.

Dlaczego zwlekał tak długo? Dlaczego wcześniej do niej nie

poszedł? Dlaczego zmarnował większą część tego tygodnia?

Tak niewiele czasu pozostało...

Przygarnął ją do siebie mocniej,

napawając się jej delikatnym kobiecym zapachem. Należała

teraz do niego... przynajmniej do czasu

powrotu jej rodziny.

Zacisnął zęby. Kiedy wróca... kiedy już stanie twarzą w twarz

z jej ojcem i stryjem i rozprawi się z nimi tak, jak musi, wtedy

ją straci. Więź, która ich połączyła, nie wytrzyma. A słowa,

które Izolda wypowiedziała w chwili największego uniesienia...

Nigdy już mu ich nie powtórzy.

- Do diabła! - zaklął. Nie chciał myśleć o przyszłości.

Chciał żyć tylko tą chwilą.

Zanurzył twarz we włosach dziewczyny i oddychał głęboko.

Izolda ułożyła się wygodnie z głową na jego piersi i westchnęła,

jakby zaraz miała zasnąć. A potem nagle poczuł jej dłoń, sunącą

po jego ramieniu. W miejscach, gdzie go dotykała, czuł leciutkie

łaskotanie. Mimo zmęczenia natychmiast odzyskał siły.

- Nie śpisz? - spytał szeptem.

- Śpię. - Oddychała głęboko, wtulona w
niego całym ciałem,

od głowy aż po końce stóp. - Śpię -
powtórzyła sennym, jakby

zdyszonym głosem. - I śnię
najpiękniejszy sen.

Coś ścisnęło go w gardle. Tak bardzo ją
kochał...

Wzdrygnął się gwałtownie. Nie. To nie
była miłość. To było

tylko pożądanie. Zwykła żądza.

Owszem, największa, jakiej

w życiu doświadczył. Ale to nie znaczy,

że równała się miłości.

Nie pozwoliłby sobie na miłość. Poza tym niewiele wiedział

o miłości. Właściwie nie wierzył, że istnieje. Dlatego postanowił

się skupić na czysto cielesnych doznaniach i nie zaprzętać sobie

głowy uczuciami.

- Chyba śni mi się to samo - powiedział, kiedy znów się

poruszyła, nasuwając się na niego całym ciałem. - Jakiś anioł

zstąpił z nieba, żeby mnie utopić w rozkoszy.

Zachichotała, łaskocząc go ustami w skórę na piersi.

- Jakiś anioł uratował mnie od zimna.

- Chodź tu, aniele - wymruczał.

Uśluchała z tak słodką gorliwością, że z łatwością mógłby

uwierzyć, że naprawdę umarł i anioł niesie go wprost do nieba.

Tyle że jego przeznaczeniem było raczej skończyć w piekle.

Ale teraz był w niebie. I bardzo mu się tam podobało.

Na przemian spali i dawali sobie nawzajem rozkosz coraz

bardziej wymyślnymi pieszczotami. Rhys nie bał się już, że

Izolda będzie próbowała uciec. Nie wiedział, skąd się bierze

ta pewność, lecz był pewien, że tym razem mu nie ucieknie.

Tylko jedna myśl mąciła cudowną doskonałość tej nocy.

Myśl, że kiedyś będzie musiał pozwolić

Izoldzie odejść. I że

tego nie przeżyje.

21

Padał śnieg na zmianę z lodowatym,
marznącym deszczem.

Przez cztery dni zamek był odcięty od
świata jak podczas

oblężenia, tylko że to zima, nie wroga
armia, trzymała Rosecliffe

w żelaznym uścisku.

Siedząc w wielkiej sieni, Izolda starała
się nie myśleć o ojcu

i stryju, nękanym w drodze przez fatalną
pogodę, przedzierających się ku
Rosecliffe. Martwiła się o nich

bezustannie, ale nie była w stanie im pomóc. Jedyne, co mogła zrobić, to

pilnować, by mieszkańcom Rosecliffe nie brakło ciepła i strawy,

i przypominać im swoją obecnością, że rodzina FitzHugh

zawsze dbała o poddanych tak samo jak o własnych krewnych.

Porzuciła komnatę na wieży, bo było tam zbyt zimno, a poza

tym nie wypadało uważać się nad sobą w odosobnieniu. Zresztą

Rhys i tak by jej na to nie pozwolił.

Igła w dłoni Izoldy zawisała nad rozprutym szwem fartucha.

Przez ostatnie dni Rhys zachowywał się inaczej niż przedtem.

Od czasu tamtej nocy, gdy zniósł ją z wieży, coś się między

nimi zmieniło.

Przełknęła ślinę, zamrugła i powróciła do przerwane

szycia. Myślami jednak pozostała przy Rhysie, jak zdarzało

jej się ostatnio nader często.

Zamieszkała w jego komnacie

bez jakiegokolwiek sprzeciwu przyjęła rolę gospodyni zamku.

W ciągu dnia doglądała prowadzenia Rosecliffe, tak jak

uczyła ją matka. Na zewnątrz niewiele się działo ze względu

na pogodę, więc musiała znaleźć odpowiednie zajęcia dla wielu

bezczynnych rąk. Każda reperacja, odłożona na później w pracowitym okresie żniw, odbywała się teraz. Zabudowania, sprzęty, narzędzia, odzież - nic nie uszło uwagi Izoldy. W sieni przy

głównym wejściu do zamku grupa
mężczyzn wyplatała nowe

kosze do łowienia ryb, skręcała
powrozy i szyła skórzaną

uprząż. Obok spiżarni zasiadły w kręgu
szwaczki; pochylone

nad robotą, zręcznie machały igłami. W
wielkiej sieni ani przez

chwilę nie było pusto; w dzień służyła
za warsztat i jadalnię,

w nocy za sypialnię dla dwudziestu
dodatkowych pracowników.

Łatwiej było ogrzać jedno duże

pomieszczenie niż wiele

mniejszych. Nawet żołnierze Rhysa porzucili baraki, znajdując

w wielkiej sieni lepszą kwaterę. I wszyscy w razie jakichkolwiek

wątpliwości zwracali się do Izoldy.

Jednakże wszelkie dysputy i kłótnie rozstrzygał Rhys. A raczej przerywał je zawczasu, by nie doszło do bijatyki. Izolda była przekonana, że gdyby nie jego ciągła obecność wiele z tych

sporów mogłoby się źle skończyć, jako że znudzeni bezczynnością zbrojni oddawali się głównie pijaństwu i grze w

kości.

Ale Rhys prawie nie opuszczał wielkiej sieni, zajęty własnymi

sprawami, lecz zawsze w zasięgu jej wzroku. Wystarczyło, by

uniosła głowę i się rozejrzała, by natychmiast go dojrzeć...

i niechybnie napotkać jego spojrzenie.

W tym momencie także, choć starała się powstrzymać,

odszukała go wzrokiem. Z pochyloną głową przysłuchiwał się

czemuś, co mówił do niego Gandy.
Serce zabiło jej mocniej.

Co ją tak pociągało w tym człowieku?
Co ciekawe, zaczynał

wyglądać całkiem naturalnie, kiedy
siedział na lordowskim

krześle. Na krześle jej ojca.

Podniósłszy nagle głowę, spojrzał
Izoldzie prosto w oczy,

jakby odgadł jej myśli.

Splonęła rumieńcem i szybko wróciła do
szycia. W dzień

trzymali się od siebie z daleka, zajęci
każde swoimi obowiązkami. Ale w
nocy... w nocy stawali się kochankami.
Izolda pierwsza wchodziła na schody.
Rhys pozostawiał jej dość czasu

na mycie i szczotkowanie włosów. A
potem zjawiał się w jej

komnacie... bez pukania do drzwi. I
zawsze zastawał ją gotową.

Przychodził do niej, a ona nie
protestowała.

W ciągu dnia wyliczała wszystkie
powody, dla których

powinna zerwać ten nieprzyzwoity

związek. Wiedziała, że

musi skończyć z podwójnym życiem.

Ale w nocy... Och, w nocy nie potrafiła go odesłać, tak jak

nie potrafiłaby przestać oddychać. W nocy był mężczyzną,

jakiego zawsze pragnęła. Delikatnym. Wymagającym. Władczym.

Wyrozumiałym. Bywał też szorstki i porywczy, ale wiedziała, że zawsze powstrzyma się w porę, by jej nie zranić.

Czy on także czuł, jak ogarnia go gorąca fala pożądania,

kiedy patrzył na nią z drugiego końca
sieni? Czy wiedział, że

go kocha?

Po tamtej pamiętnej nocy już nigdy
więcej mu tego nie

powiedziała. Nie dał po sobie poznać,
czy wówczas usłyszał

jej wyznanie. Jeśli słyszał, to jego
zachowanie powinno jej dać

do myślenia. Ale jeśli nie słyszał... Cóż,
wszystko jedno. I tak

nic z tego nie wynikało.

Przyjrzała się równym rzędom szwów
na fartuchu. Mogła

liczyć najwyżej na to, że ojciec odzyska
Rosecliffe, nie zabijając

Rhysa, i okaże się na tyle wielkoduszny,
by drugi raz go

oszczędzić. Tak czy inaczej miała
zamiar wstawić się za

Rhysem. Gotowa była błagać ojca na
kolanach i zgodzić się

wyść za tego, kogo jej wybierze, byle
tylko darował Rhysowi

życie. Nie potrafiła znieść myśli, że

mógłby ponieść śmierć,

zwłaszcza z ręki jej ojca lub stryja.

- Pięknie wyglądasz, milady.

Zaskoczona, poderwała głowę, kłując się przy tym boleśnie

w palec. To był Dafydd.

Uśmiechnął się szeroko, po czym, nie spuszcżając wzroku

z Izoldy, siorbnął z kubka.

- Lepiej uważaj. Chyba nie chcesz zakrwawić kochankowi

koszuli? A może szyjesz coś dla dziecka,
które tak gorliwie

chce ci spłodzić? - Nie odrywał oczu od
jej piersi.

Izolda nie mogła ścierpieć lepkiego
spojrzenia Dafydd.

Postanowiła jednak nie okazywać lęku.

- Zostaw mnie - syknęła przez zęby. -
Wynoś się albo...

- Zawołam Rhysa? Właśnie wyszedł do
stajni. - Dafydd

zaniósł się rechotem. - Czeka tam na
niego mlecarka. Jak

myślisz, co będą robić? Ciebie już miał.
Posiadł córkę Fitz-

Hugh dość razy, by zasiać dziesięcioro
dzieci w jej brzuchu.

Walijskich bękartów zimnej angielskiej
suki. - Osłupienie

Izoldy jeszcze bardziej go rozbawiło. -
Niezła zemsta, zwa

żywszy na to, że zawsze pragnął
Rhonwen, tej walijskiej

dziwki, która dała twojemu stryjowi
parę angielskich bękartów. Później
znalazł sobie inną walijską dziwkę,
Emeldę. Więc jeśli zostaniesz sama,

Izoldo, to chętnie pomogę ci o nim
zapomnieć.

Dziewczyna zerwała się z miejsca, z
zaciśniętymi pięściami,

gotowa rzucić się na jego bezczelnie
uśmiechniętą gębę. Dafydd

cofnął się i, wciąż rozbawiony, ze
znaczącym mrugnięciem

odwrócił się i odszedł.

Jeden z paziów oraz Gandy, zajęci
czymś przy kominku,

zerkali na Izoldę niespokojnie, lecz po

chwili powrócili do

swej pracy. Aż się trzęsła ze złości. Jak Rhys mógł nazywać

tego wstrętnego typa swoim przyjacielem? Jak mógł uważać

Dafydd za człowieka lepszego od jej ojca i stryja?

Po złości przyszedł strach. Dafydd kłamał. Był mściwym,

niegodziwym człowiekiem... i do tego pijakiem. Chciał się

zemścić, bo czuł się przez nią obrażony. Nie mówił prawdy

o Rhysie i Emeldzie?

Rozejrzała się po sali za Rhysem. Nie było go w zasięgu

wzroku, co natychmiast ją przygnębiło. Czyżby był w stajni

z Emeldą? Dostrzegła Dafyddą w pobliżu spiżarni; dolewał

sobie piwa do kubka. Wiedziała, że jej nienawidzi i nie

zawahałby się przed najgorszym oszczerstwem. A jeśli nie

kłamał? Czyż prawda nie była gorszą torturą?

W końcu Rhys rzeczywiście kochał się
w Rhonwen, a ta

wyszła za Jaspera, jedyne go człowieka,
którego nienawdził

jeszcze bardziej niż Randulfa FitzHugh.
Teraz kochał się z nią,

Izoldą. Byli ze sobą każdej nocy. Czyż
nie powinna oczekiwać,

że będzie z tego dziecko? Jak mógł nie
brać tego pod uwagę?

Czyżby Dafydd miał rację? Czyżby Rhys
właśnie tego od

niej chciał, jako dodatkowej zemsty na

wrogach? Gdyby nie

przeżył nadciągającej bitwy, jego
dziecko zrodzone z córki

lorda FitzHugh byłoby uosobieniem
zemsty. Czy możliwe, że

równocześnie zadawał się z inną
kobietą, Walijką?

Izolda bezwiednie uniosła rękę do szyi,
zmrożona okropnym

podejrzeniem. Właściwie było to
bardziej prawdopodobne od

tego wszystkiego, w co chciała wierzyć:
że Rhys zaczyna ją

kochać i ze względu na tę miłość
wyrzeknie się w końcu zemsty.

Załamana, opadła na krzesło, gapiąc się
bezmyślnie w okno,

do połowy zawiane śniegiem. Ocknęła
się, dopiero kiedy

podszedł do niej Gandy. Mimo że
starła się ukryć, co ją gnębi,

karzeł przypatrywał się jej z
ciekawością.

- Coś z tobą nie tak, milady?

Skrzywiła się, co miało być nieudaną
próbą uśmiechu.

- To przez zamknięcie w zamku.
Chciałabym znów wyjść

na powietrze.

- Spędziłem wiele takich wieczorów na powietrzu. Ta twierdza jest solidna i ciepła, więc cieszę się, że jestem w środku. -

Wskazał na kominek. - Mięso jest gotowe. Zaczniemy posiłek?

- Czekamy na Rhysa - odparła z wahaniem. - I na Tilla.

Gdzie on się podział?

Gandy wzruszył ramionami.

- Ostatnio często gdzieś znika -
zauważyła.

- Tak? - Karzeł wydawał się taki
sprytny, a mimo to nie

rozpoznał starej kobiety w swoim
przyjacielu Tillu.

Czyżby ona była tak samo ślepa na
prawdę o Rhysie?

- Gdzieś wychodził, a potem zjawił się
Newlin i od tamtej

pory Tillo całkiem przepadł. - Gandy
skrzyżował krótkie

ramiona na piersi. - Czy Newlin

rzeczywiście posiada jakiś

dodatkowy zmysł, jak wszyscy
twierdzą?

- Jest bardzo mądry - przyznała Izolda,
odkładając szycie.

Odgarnęła z czoła zabłąkany kosmyk.
Czy Newlin odkrył

prawdę o Tillo? I czy mógłby jej
wyjawić prawdę o Rhysie? -

Gdzie on jest?

- Kto? Newlin czy Tillo?

- Obaj. - Izolda była ciekawa, czy mogą

gdzieś być razem. -

Zaraz będzie pora wieczery, a poza tym są starzy. Powinni

siedzieć przy ogniu.

W drugim kącie sali Cidu zaczął piskliwie ujadać, co gromada

dzieci przyjęła śmiechem.

- Lepiej, żeby go za bardzo nie tuczyli - stwierdził cierpko

Gandy.

Kiedy się oddalił, Izolda jeszcze raz omiotła wzrokiem

wielką sień. Newlin i Tillo. Czy coś ich łączyło? Jeśli nawet

tak, to Izolda wiedziała, że żadne z nich nie chciałoby

działać na szkodę Rosecliffe czy Rhysa. Oboje byli mądrzy

i oboje pragnęli pokoju. Może wspólnie pomogą jej poznać

prawdę? Na razie musi zapomnieć o niecnym podszeptach

Dafydd.

Wejściu Rhysa towarzyszył mroźny podmuch i chmura

śniegowych płatków. Od razu zasiadł przy głównym stole,

dając sygnał do rozpoczęcia wieczery.

Tillo i Newlin pojawili się, kiedy byli w połowie posiłku;

weszli osobno i usiedli z dala od siebie. Izolda, stojąc przy

kominku, nadzorowała pracę służących. Zauważywszy Tillo,

od razu do niej podeszła.

- Usiądź przy ogniu. Jesteś przemarznięta! - wykrzyknęła,

dotykając ramienia staruszki. - Gdzie
byłaś?

- Nie pouczaj mnie - obruszyła się Tillo.
- Jeszcze całkiem

nie dziecinniałam.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że
potrzebujesz tylko jakiegoś

spokojnego miejsca, żeby dożyć swoich
dni. Chcę ci pomóc

znaleźć takie miejsce... i zapewnić ci
dłuższe życie. Nie uda

mi się, jeśli zamarzniesz na śmierć, więc
nie kłóć się ze mną. -

Obejmując Tillo za ramiona, pociągnęła ją w stronę kominka. -

Siadaj tu i jedz. A po jedzeniu chciałabym z tobą chwilę

porozmawiać - dodała.

Przez pomarszczoną twarz staruszki przebiegł słaby uśmiech.

- Masz dobre serce, dziecko. Ale to często utrudnia życie.

Może rzeczywiście utrudnia, pomyślała Izolda, rozglądając

się za Newlinem. Tak czy inaczej za późno, żeby zmienić

wybór, jakiego dokonało jej serce. I za późno, żeby je chronić.

Wciąż unikając Rhysa, odnalazła Newlina, siedzącego w kucki pod ścianą, z pajdą ciemnego chleba i miską potrawki. Trzy zamkowe psy otaczały go półkolem, z rozdziawionymi pyskami

i wiszącymi jęzorami, wyraźnie czekając, aż się z nimi podzieli.

- Ach, Izolda o dobrym sercu - powiedział na jej widok,

uśmiechając się szerzej niż zwykle. - Nie smuć się, moje

dziecko. Najmroźniejsza zima ma w

sobie załączek nadziei na

wiosnę.

Izolda przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Dzięki za dobre słowo. Gdybym
jeszcze mogła dokładnie

wiedzieć, co to znaczy...

Ale stary bard tylko znów się
uśmiechnął i rzucił kawałek

chleba jednemu z cierpliwych chartów.

Dziewczyna westchnęła z rezygnacją.

- Usiądź, proszę, w cieplejszym miejscu

- rzekła.

Pokręcił odmownie głową.

- Tillo wyjdzie, jeśli się za bardzo zbliżę.

Izolda uniosła brwi. Zatem miała rację.

- Dlaczego miałyby wyjść? -Za późno ugryzła się w język.

Niewzruszone spojrzenie Newlina upewniło ją, że on także

zna tajemnicę Tillo.

- Ona mi nie ufa. Jeszcze.

Izolda odetchnęła z ulgą.

- Zamierzasz ją przekonać, żeby
zmieniła zdanie? - spytała,

ciekawa stosunków łączących tych
dwoje starych ludzi.

Newlin odgryzł kęs chleba i żując przez
chwilę w milczeniu,

wpatrywał się w Izoldę.

- Każde z nas musi wypełnić swoją
powinność, nawet jeśli

wykracza poza życie, które tu
prowadzimy... albo zamierzaliśmy

prowadzić.

Izolda miała wielką ochotę zwierzyć się
staremu bardowi,

ale to nie był właściwy czas ani miejsce
na zwierzenia.

- Mówisz o moim życiu czy o swoim? -
spytała tylko.

- Może o jednym i drugim. Może o
każdym - dodał, wskazując wolną ręką
na zatłoczoną salę. - Idź, dziecko. Nie
mam dziś dla ciebie rady poza jedną, że
ty też powinnaś wyrzeć

poza granice, które sobie wyznaczyłaś.

Trochę skołowana dziewczyna oddaliła
się posłusznie,

lecz nie przestała rozważać tego, co
Newlin jej powiedział.

Granice, które sobie wyznaczyła?
Przecież już złamała

wszelkie granice przyzwoitości. Gdyby
świat wiedział o jej

grzechu, byłaby potępiona. Zrujnowana.
Bez widoków na

małżeństwo.

A gdyby jeszcze urodziła dziecko...

Tymczasem popełniała ten sam grzech
noc po nocy i nie

potrafiła tego poniechać. Potrząsnęła
głową. Nie było już

granic, które mogłaby przekroczyć, poza
wyrzeknięciem się

rodziny, a tego by nigdy nie zrobiła.

Zamyślona, wróciła do kominka.

Wszyscy już dostali jedzenie, więc
mogła usiąść i też się posilić. Przez
chwilę stała koło paleniska, dziwnie
zziębnięta w środku, mimo ciepła
buchającego od płonących polan. Rhys
zapewne oczekiwał, że dołączy do niego
przy głównym stole, gdzie ostatnio

zasiadała przy

każdym posiłku. Kiedy już się uporała z
obowiązkami, siadała

zawsze obok niego na krześle matki.
Tego wieczoru jednak

się zawahała. To już długo nie potrwa.
Zawieja ucichnie, ojciec

przybędzie z oddziałem zbrojnych i jej
szczęście skończy się

bezpowrotnie.

Ogarnięta nagłym lękiem, bezwiednie
przycisnęła rękę

do brzucha. A jeśli rzeczywiście nosi w sobie dziecko Rhy-

sa? Było za wcześnie, by to wiedzieć, lecz nie mogła

wykluczyć takiej możliwości. To byłby jeszcze jeden ważny

powód, by zapobiec walce kochanka z jej ojcem i stryjem.

Bo skoro Rhys nienawidził tych, którzy zabili mu ojca,

co mogłoby czuć jej dziecko do ludzi, nawet krewnych,

którzy zabili mu rodzica? Poza tym nie

mogła znieść myśli

o śmierci Rhysa, nawet jeśli on uważał ją tylko za kochankę.

Podniosła głowę i natychmiast napotkała jego spojrzenie.

I jak zawsze była pod jego urokiem. Nie umiałyby wytłumaczyć

dlaczego, ale była pewna, że Rhys ap Owain jest mężczyzną

jej przeznaczonym. Zawładnął jej sercem bez reszty. Nie było

sensu tego ukrywać. Kochała go i wiedziała, że zawsze go

będzie kochać. Tylko czy on też coś do niej czuł, czy jedynie

ją wykorzystywał?

Kolacja była dla niej istną torturą. Czuła potrzebę bycia

blisko Rhysa, lecz jego obecność wprawiała ją w zakłopotanie.

Potrzebowała z nim porozmawiać, szczerze i otwarcie, a bardzo

się tego bała. Dłubała więc w talerzu i odzywała się z rzadka.

Wkrótce mieli zostać sami. I wtedy będą musieli ustalić, kim

są dla siebie nawzajem.

Rhys zauważył jakieś nowe dziwne napięcie w Izoldzie.

Jednakże Glyn siedział naprzeciw niego, więc łatwiej było

rozmawiać o sokołach i polowaniach, niż zapuszczać się

na niebezpieczne obszary umysłu Izoldy. Doskonale wiedział,

jak postępować z jej ciałem, był natomiast bezradny wobec

jej uczuć. Ostatnio zachowywała się wyjątkowo słodko i namiętnie. Czyżby

miała nadzieję uspić jego czujność i skłonić go do zmiany planów? Jeśli tak, była skazana na niepowodzenie. Rhys jadł, rozmawiał z Glynem i czekał, żeby to ona zrobiła pierwszy krok.

Posiłek nareszcie dobiegł końca, choć popijanie trwało

w najlepsze. Kiedy zaczęto zbierać naczynia i resztki, Gandy

z Linusem odegrali zabawną scenkę, wspomagani przez dwóch

paziów i małego Cidu. Izolda wstała od stołu, żeby dopilnować

ostatnich wieczornych obrządków. Rhys

przytrzymał ją za

nadgarstek, mówiąc:

- Dziś będę trochę później.

Spojrzała mu w oczy, pokiwała głową i odeszła. Odprowadził

ją wzrokiem. Co powinien z nią zrobić po zwycięstwie nad jej

ojcem i stryjem?

Nie było na to pytanie dobrej odpowiedzi. Zbyt późno

odkrył, że biorąc ją do łóża, żeby się zemścić na Randulfie

FitzHugh, popełnił wielki błąd. Stał się ofiarą własnej zemsty.

Izolda nie będzie chciała go znać, kiedy zabije jej ojca i stryja.

Jeśli ją zmusi, by z nim została, będzie go nienawidzić. Tydzień

temu niewiele by go to obchodziło, ale w ciągu ostatnich kilku

dni coś się między nimi zmieniło.

Mimo to nie mógł zmienić swoich planów. Ani też wcale

nie chciał ich zmieniać.

Patrzył na przedstawienie niewidzącymi oczyma. Nie słuchał paplaniny aktorów. Dopiero kiedy śmiechy ucichły i Glyn szturchnął go w bok, Rhys otrząsnął się z ponurych

myśli.

- Te ostrza już chyba ostygły. Chodźmy sprawdzić, czy są

dobrze wyważone.

Rhys skinął głową, podnosząc się z lordowskiego krzesła.

Mieli mnóstwo roboty z przygotowaniem broni i dopracowaniem planów obrony. Przyjemności ciała

mogły zaczekać...

podobnie jak niewesołe rozmyślania o przyszłości.

Narzuciwszy na ramiona opończę,
wyszedł z ciepłej sieni,

odruchowo kuląc się przed ukąszeniami
mrozu. Nie zauważył

pełnego troski spojrzenia Gandy'ego ani
zmartwionej miny

Tilla. Tak samo jak nie był świadomy,
że Dafydd patrzy za

nim z niechęcią.

Piętro wyżej Izolda stała w progu swej komnaty sypialnej.

Jeszcze niedawno dzieliła ją z siostrą. Teraz te ściany były

świadkami namiętnych wydarzeń, podobnie jak komnata rodziców na drugim piętrze. Dreszcz oczekiwania przebiegł

Izoldzie po plecach na myśl, że wkrótce zawita do niej Rhys.

A może była po prostu głupia, znów na niego czekając?

Może właśnie teraz zażywał cielesnych uciech z inną kobietą?

Nie mogła w to uwierzyć. Nie mogła
pozwolić, by ohydne

kłamstwa Dafyddda zniszczyły to, co ją
łączyło z Rhysem.

Tylko że wkrótce i tak wszystko miało
się obrócić w ruinę.

Tymczasem, oddając mu się, zdradzała
rodzinę i swoich ludzi.

Szloch wezbrał jej w gardle. Nie, nie
będzie się nad sobą

użalać. Wszystko, co zrobiła, zrobiła z
własnego wyboru. Ale

nie mogła tu na niego czekać tej nocy.

Nie wchodziła też

w rachubę jego sypialnia, ze
zniszczonym malowidłem
spoglądającym groźnie ze ściany.

Wspięła się więc wyżej, do komnaty na
wieży, ciemnej

i zimnej. Odpowiadała jej nastrojowi,
bo w sercu też Izolda

czuła dziś mrok i chłód. Cały świat jej
się taki wydawał, bez

nadziei na światło poranka czy wiosenne
ciepło.

Choć wełniana spódnica i gruby szal nie

stanowiły wystarczającej osłony,
dziewczyna odważyła się wyjść na
zewnątrzny podest. Śnieg przestał padać,
a niesłabnący wiatr wymiótł

podest do czysta. Świat w dole
wydawał się cichy i spokojny.

Ale biały całun śniegu jedynie
przykrywał ranę, którą Rhys

chciał odsłonić.

Izolda pochyliła głowę, opierając się o
lodowaty występ

muru.

- Proszę, Boże, znajdź jakieś wyjście z

tego koszmaru,

znajź sposób, żebyśmy wszyscy przeżyli.

- Pograżona w rozpacz, nie zwracała uwagi na zimno. - Proszę, pomóż mi -

modliła się. - Pomóż nam wszystkim.

Jakby w odpowiedzi, w dole na dziedzińcu rozbłysło światło.

Ktoś wyszedł ze zbrojowni i choć było ciemno, Izolda natychmiast rozpoznała Rhysa. Wychyliła się, żeby lepiej widzieć...

i nagle została mocno szarpnięta od tyłu. Jakiś mężczyzna

przyparł ją do muru.

- Milady Izolda. - Miała przed oczyma
obleśny uśmiezek

Dafydd. - Wypatrujesz niewiernego
kochanka?

Próbowała się wywinąć, ale nie dość
szybko. Chwycił ją za

ramiona i znów pchnął plecami na
ścianę.

Przez głowę przebiegły jej trzy mrozące
krew w żyłach myśli.

Był pijany. Chciał ją zgwałcić. Nikt nie
usłyszy jej wołania.

Jakby na potwierdzenie, od razu zadarł jej spódnice, nie

przejmując się tym, że jego ofiara może zacząć krzyczeć.

- Dzięki mnie zapomnisz o nim. - Otarł się o nią biodrami;

wyczuła twarde zgrubienie na przodzie jego spodni. - Myśli,

że jest teraz taki ważny, bo chędoży jedną z rodu FitzHugh.

Ja też mogę, nawet lepiej niż on.

- Nie! - Wrywała się, drapiąc, gryząc, próbując trafić

prześladowcę kopniakiem w przyrodzenie. Ale był zbyt silny

i zbyt mocno nasiąknięty alkoholem, żeby odczuwać jakikolwiek ból.

- Rhysie! - krzyknęła ile tchu. Ale wiatr wdusił jej krzyk

z powrotem do gardła.

- Nie usłyszysz cię.. I nie może ci pomóc. - Dafydd rozepchnął

jej nogi kolanem. - Jesteś mi winna - syknął, a potem ugryzł

ją w szyję w obrzydliwej parodii pieszczoty. - Jesteś mi to

winna za tę łopatę i za wszystko, co
jemu dajesz... Au! -

Odskoczył w bok, kiedy z całych sił
uderzyła go w ucho, ale

jej nie puszczał. - Jesteś mi winna, więc
odbieram, co moje.

- Rhys wyrwie ci za to serce! - chlipnęła
Izolda.

- Akurat. Potrzebuje każdego człowieka,
jeśli chce zwycię

żyć. Poza tym znamy się od dawna.
Razem polowaliśmy

i walczyliśmy. Dzieliliśmy się

jedzeniem, sypialiśmy przy

jednym ogniku... i z tymi samymi
kobietami.

Zerwał z niej szal i zaczął się dobierać
do zapięcia sukienki

pod szyją. Izolda miotła się i walczyła,
wymierzając ciosy na

oślepa. Nie na wiele się to zdało. Dafydd
chwycił ją za szyję

i przycisnął do muru. Im bardziej się
wrywała, tym mocniej

ściskał, aż w końcu musiała walczyć o
złapanie oddechu.

Zachichotał i dotknął jej ucha
obrzydliwie mokrymi wargami.

- Ja i Rhys dzieliliśmy się wieloma
kobietami i z tobą będzie

tak sa...

Wściekły ryk przerwał mu w pół słowa.
Najpierw jego ręka

oderwała się od jej szyi, a potem
Dafydd odbił się od przeciwległego
muru.

Izolda opadła na podest, głośno
wciągając powietrze. Mogła

oddychać. Dafydd przestał...

Rhys się zjawił! Zamglonym wzrokiem ujrzała go, pochylonego nad jej prześladowcą.

- Ty draniu!

- O co ci chodzi? - warknął Dafydd. -
Jest tylko dziwka,

której powinieneś nienawidzić. A może
stajesz się taki jak ci

tchórze z Carreg Du?

Twarz Rhysa wykrzywił grymas
wściekłości.

- Ci tchórze nie gwałcą kobiet! -
Chrapki jego nosa unosiły

się i opadały. - Do tego trzeba być
szczególnym tchórzem. -

Chwycił Dafydd za przód tuniki i
szarpnięciem postawił na

nogi. - Nic ci nie jest? - spytał,
oglądając się na Izoldę.

Dafydd zaatakował znieścacka. Tylko
wyjątkowa szybkość

uchroniła Rhysa przed potężnym
kopniakiem między nogi.

Stracił jednak równowagę, co
przeciwnik wykorzystał natychmiast.
Wyciągnął z buta sztylet i zamierzył się
na Rhysa, chybiając zaledwie o włos.

Podniósł rękę do następnego ciosu.

Izolda prześliznęła się wzdłuż ściany do drzwi. Wiedziała,

że musi sprowadzić pomoc! Dafydd zauważył jej ruch i w nią

skierował pchnięcie. Próbowwała odskoczyć, lecz ostrze zaczepiło

o tkaninę rękawa.

Nim Dafydd zdążył się znów zamierzyć, Rhys rzucił się na

niego. Upadli razem, wśród przekleństw walcząc o śmiertelny sztylet.

Izolda chciała jakoś pomóc Rhysowi,
bała się jednak, że

jeszcze pogorszy sprawę. Znow ruszyła
do drzwi. Kiedy już

była w progu, szczepieni ze sobą
walczący wpadli na nią.

Z okrzykiem przerażenia upadła,
uderzając głową o mur. Nim

doszła do siebie, Dafydd wymknął się
na schody. Rhys rzucił

się w pościg, a półprzytomna z bólu i
strachu dziewczyna

pobiegła za nim.

- Odczep się, Rhysie! - Głos Dafyddda odbił się echem po

schodach. - Nie chcę od niej niczego więcej, niż ty dostajesz.

- Ty draniu! Chciałeś ją zgwałcić!

- A ty nie?

Izolda przystanąła na stopniu, trzymając się ściany, i patrzyła

na scenę rozgrywającą się poniżej.

Dafydd cofał się wolno po

krętych schodach, celując sztyletem w Rhysa, który szedł za

nim krok w krok, tuż poza zasięgiem ostrza. Dostrzegłszy ją,

Dafydd skrzywił się z pogardą.

- Zapominasz, ile razy osłaniałem ci zadek - rzucił do

Rhysa. -To ona jest twoim wrogiem, nie ja. -Rysy mu stężały,

kiedy ten nie odpowiedział. - Ale ty masz to za nic, co? Przez

tę dziwkę zapominasz o swoich prawdziwych przyjaciółach...

Rhys zaatakował, Izolda krzyknęła. Runęli w dół po schodach;

toczący się kłęb nóg i pięści. Sztylet wypadł na ziemię i dziewczyna szybko go podniosła.

- Uważaj, Rhysie! - zawołała bezradnie, spięta strachem.

W jakiś sposób udało mu się zyskać przewagę. Wreszcie się

zatrzymali u stóp schodów przed jego komnatą. Miał krew na

twarzy i rękach, ale nie wiadomo czyją.

Staął okrakiem nad Dafyddem i uderzył go pięścią raz,

drugi, trzeci. Z nosa zaatakowanego

płynęła krew. Wylatywały

zęby.

- Ty przeklęty draniu! - zaklął.

- Rhysie, przestań. Zabijesz go!

- Chcę go zabić.

- Rhysie! - Tym razem zawołali chórem
Linus z Gandym,

pośpiesznie wspinając się po schodach.

- Co ty robisz?

Linus chwycił go za rękę, podczas gdy
karzeł przyjrzał się

z troską Izoldzie. Pokręciła głową w odpowiedzi na jego

pytające spojrzenie. Nie ucierpiała.

Tymczasem Linus, trzymając Rhysa w niedźwiedzim uścisku,

odciągnął go od nieprzytomnego Dafydd. Na schodach zrobiło

się nagle tłoczno, ale Gandy szybko się tym zajął.

- Wy dwaj, zabierzcie Dafydd na dół.
Linus, daj Rhysa

tutaj - zarządził, wskazując na drzwi lordowskiej komnaty. -

Izoldo - przyjrzał jej się z namysłem -
idź z Rhysem. Może

być ranny.

Zamknęła drzwi przed gapiami. Linus
puścił Rhysa i wycofał

się pod ścianę. Ten miotał się z kąta w
kąta, z najwyższym

trudem panując nad wściekłością. Kiedy
zobaczył Izoldę,

zastygł w bezruchu.

- Zrobił ci krzywdę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ale co z tobą? - Jeden z rękawów Rhysa nasiąkł krwią. -

Pozwól, że opatrzę ci rany.

Wpatrywał się w nią bez słowa. Nic jej się nie stało. Dafydd

nie zdążył jej nic zrobić. Tylko to było ważne.

Dziewczyna podeszła do niego, wypatrując na nim śladów ran.

- Przynieś wody - poleciła Linusowi. - I bandaże. Do tego

mydło i maść czyszcząca... i igłę z nitką. Gerta będzie wiedziała,

czego mi trzeba.

Linus wyszedł, zostali sami. Dopiero wtedy Rhys zrozumiał,

jak bardzo się bał o Izoldę i do jakiego stopnia rozwścieczył

go podły atak Dafydd. Nic jej się nie stało. Ulga była tak

potężna, że aż zakręciło mu się w głowie. Kiedy wyciągnął

rękę, żeby się przytrzymać słupka od łoża, zauważył, że krwawi.

- Do diabła! - zaklął, krzywiąc się z bólu.

- Pozwól, ja się tym zajmę -
powiedziała, ostrożnie ujmując

go za bolącą rękę. - Zaopiekuję się tobą.

Przyjrzała się ranom - głębokiemu
rozcięciu prawego kciuka

i drugiemu, na lewym przedramieniu.

Potem spojrzała Rhysowi

w oczy, głęboko i poważnie, jakby
składała przyrzeczenie.

Zaopiekuję się tobą. Czy ktoś kiedyś
powiedział mu coś równie

słodkiego? Nikt, nigdy.

Linus z Gertą przynieśli zamówione rzeczy, położyli je na

stole i wyszli. Izolda podziękowała im, nie odrywając oczu od

twarzy Rhysa.

Kochała go i choć to nie powinno mieć dla niego znaczenia,

choć nigdy tego od niej nie oczekiwał... zrobiło mu się dziwnie

ciepło wokół serca. Nikt nigdy go nie kochał. Nikt nie obiecywał,

że się nim zaopiekuje. Nigdy nie potrzebował, żeby się nim

opiekowano, teraz także tego nie potrzebował. Ale ona tego

chciała, a on zamierzał jej na to pozwolić.

- Postaram się być delikatna, ale może zabość - ostrzegła,

nie puszczając jego ręki. Czyżby to łzy błyszczały jej w oczach?

- Nic mi nie będzie. Nie musisz się starać - zażartował. -

Wszystko wytrzymam.

- Mimo to będę się starać - obiecała poważnie.

Czy była poważna, czy wesoła, zła czy nawet zapłakana,

uwielbiał na nią patrzeć. Właściwie cieszył się, że odniósł rany.

Ból mu nie przeszkadzał, skoro Izolda miała go pielęgnować.

Podprowadziwszy go do stołu, zakasała rękawy.

- Trzymaj ręce wyciągnięte - poleciała. - Poleję je wodą.

- Do licha - mruknął, kiedy woda dostała się do ran i poczuł

ostre pieczenie. Złość go opuściła,

zdobył się nawet na

uśmiech. - Wybacz, nie powinienem
przeklinać w twojej

obecności.

- Proszę, Rhysie, nie przepraszaj. To ja
powinnam... -

Urwała, zaciskając usta. Kiedy
zamrugała, zachwycony nie

mógł oderwać oczu od jej długich rzęs,
kładących cienie na

policzki, gładkie niczym płatki róż.

Stawał się przy niej sentymentalnym

głupcem, miał ochotę

układać wiersze, sławiące jej urodę. No
i co z tego? Przecież

naprawdę miała policzki delikatne i
różowe jak płatki kwiatów.

Bezwiednie przysunął się do niej, tak że
kiedy uniosła głowę,

ich twarze znalazły się tuż koło siebie.

- Dziękuję - szepnęła drżącym głosem. -
Dziękuję ci, Rhys.

Lubił, jak wypowiadała jego imię.
Tylko tyle przyszło mu

do głowy. Uwielbiał dźwięk własnego imienia w jej ustach.

- Przykro mi... że ucierpiałeś - mówiła dalej z wyraźnym

trudem. - Nie powinnam była wychodzić tam sama. Powinnam

się domyślić... - Potrząsnęła lekko głową. - Dziękuję.

- Nie potrzebujesz mi dziękować, Izoldo - wykrztusił. -

Ani przeproszać. Nie zrobiłaś nic złego.

Spuściła głowę, skrywając emocje za zasłoną gęstych rzęs.

Jeszcze raz polała skaleczenia wodą, a potem osuszyła czystym

płótnem.

- Bolało?

- Nie. - Jej ciepły dotyk nie pozwalał mu czuć bólu.

Odetchnęła głęboko. Stali tak blisko siebie, że widział, jak

jej pierś faluje w rytm oddechu. Do diabła z opatrywaniem

ran. Potrzebował czegoś zupełnie innego!

- Izoldo - zaczął.

- Nie. Nie ruszaj się. - Ścisnęła go za rękę. Po jej oczach

poznał, że odgadła jego myśli. -
Najpierw opatrzę ci rany.

A potem... potem zadbam o inne twoje potrzeby.

Izolda miała wrażenie, że jest inną osobą, jakby ktoś

kierował tokiem jej myśli i działań. Nie, nie myśli, poprawiła

się w duchu. Nie po raz pierwszy wyobrażała sobie, że to ona

góruje nad Rhysem. Wcześniej była zbyt onieśmielona odczuciami, które w niej wzbudzał. Lecz tej nocy było inaczej.

Uratował ją. Gdyby się tak szybko nie pojawił, Dafydd

mógłby z nią zrobić dosłownie

wszystko. Jeszcze teraz na tę

myśl ciarki przebiegały jej po plecach.
Rhys ucierpiał z jej

powodu, co jeszcze bardziej podsycało
miłość Izoldy.

Nic dziwnego, że go kochała, był
przecież dobrym człowiekiem.

I miała powody, by o niego zadbać.
Pożądał jej mimo

odniesionych ran. Wiedziała to z całą
pewnością.

Ostrożnie osuszyła brzegi rozciętej
skóry i przygotowała igłę

z nicią. Mogła wprawdzie sprowadzić wioskowego znachora, ale

wolała zrobić to sama. Pracowała w najwyższym skupieniu. Rhys

zniósł bez słowa trzy szwy na kciuku i pięć na przedramieniu.

Następnie posmarowała zszyte rany oraz poobijane kostki palców kojącą maścią z pszczelego wosku, hyzopu i pączków topoli.

Na koniec nałożyła opatrunki ze skrawków miękkiego płótna.

- Bardzo boli? - spytała, wycierając dłonie.

- Nie.

- Później, w nocy, może zacząć boleć.
Ale dam ci nalewki

z werbeny, żebyś mógł zasnąć.

- Nie chcę od razu zasypiać.

Izoldzie serce zabiło przyśpieszonym rytmem. Mimo brutalnego ataku Dafydd... a może właśnie z tego powodu, rozpaczliwie potrzebowała bliskości Rhysa.

- Dobrze. - Wstała, spoglądając na ruinę malowidła. Uświadomiła sobie, że to może być ich ostatnia wspólna noc. A skoro tak, musiała być doskonała. Izolda

chciała zobaczyć w oczach

Rhysa podziw, pragnienie i miłość.
Zwłaszcza miłość. Mogła

się obyć bez tych wszystkich doznań
przez resztę życia, pod

warunkiem, że doświadczy ich tej nocy.
Ale nie w tej komnacie.

- Chodź - zwróciła się do Rhysa. -
Przyniosę maść i więcej

bandaży do mojej sypialni. - Nagle
poczuła się zbyt onie

śmielona, by wytrzymać jego spojrzenie.
Wzięła tacę z opatrunkami i wyszła na

schody.

Podążył za nią; krok za krokiem
schodzili po schodach, ona

przodem, on tuż za nią. A każdy krok
zbliżał ich do jej sypialni

i do chwili, gdy miała mu okazać pełnię
swego uczucia. Izolda

tak się bała, że nogi jej drżały.

Kiedy znaleźli się już w środku,
starannie ułożyła przyniesione rzeczy na
stole, po czym uklękła przed kominkiem,
żeby dorzucić do ognia świeżych polan.
Przez cały czas czuła na

sobie wzrok Rhysa.

Odwróciła się, słysząc, jak jęknął z bólu. Siedząc na łóżku,

próbował jedną ręką ściągnąć z nogi wysoki skórzany but.

- Pozwól, że ja to zrobię. - Szybko podeszła, by mu pomóc.

Nagle, dziwnie onieśmielona, bała się popatrzeć Rhysowi

w oczy.

Poczuła na głowie dotyk jego dłoni, miękką pieśczołę

palców na włosach.

- Ostrożnie - szepnęła. - Uważaj, żebyś się nie uraził.

- Rany mam tylko na rękach. Możemy się dotykać w inny

sposób. A wiedz, Izoldo, że bardzo pragnę cię dotykać...

wszędzie.

Wreszcie na niego spojrzała. Z ciemnych oczu Rhysa biło

jakieś nowe światło. Wstrzymała oddech, aż zabolą ją w piersiach. Dotknął dłonią jej policzka, szorstki

opatrunek załaskotał

ją w skórę.

- Kocham cię - powiedziała szeptem,
nim zdążyła pomyśleć.

Wraz z wypowiedzeniem tych słów
ucisk w piersi zniknął. -

Kocham cię. Nie chciałam tego, ale się
stało.

Dłoń Rhysa znieruchomiała. Kiedy,
zamknąwszy oczy, Izolda

opuściła głowę, zmusił ją, by znów na
niego popatrzyła.

- Nie chcę twojej wdzięczności -
powiedział zduszonym

głosem.

- To nie wdzięczność.

- Nie? - Uniósł brwi. - A może to
wdzięczność zmieszana

z pożądaniem.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Żałuję, bo wtedy byłoby...

Pochylił się nad nią, obejmując jej
podbródek zdrową ręką.

- Byłoby jak, Izoldo? Dokończ, co zaczęłaś.

- Wolałabym, żeby było tak, jak mówisz
- powiedziała

szeptem. - Bo wtedy byłoby łatwiej.

Poczuła, jak przebiega go dreszcz.
Potem przymknął oczy,

zaledwie na moment, ale już wiedziała,
ile dla niego znaczyło

to wyznanie. W końcu cofnął rękę i
siedział na łożu, nie

odzywając się ani słowem.

Izolda westchnęła. Wyznała mu prawdę.
Jeśli nie był jeszcze

gotów jej przyjąć, będzie cierpliwa.
Jednak w głębi jej duszy

tliła się obawa, że nigdy nie usłyszy od
niego tych samych

słów. A tak bardzo tego pragnęła. Była
pewna, że kiedyś by

je usłyszała... gdyby tylko mieli dość
czasu.

Postanowiła na razie o tym nie myśleć.
Nie chciała psuć tej

nocy rozmyślaniami o przyszłości.

Ściągnęła Rhysowi but

z drugiej nogi, a potem zabrała się za rozpinanie pasa.

Pozwolił jej się rozbierać, nagiął się i unosił ręce, gdy było

trzeba, ale pozostawał bierny. Wreszcie ukazał jej się nagi,

niesamowicie męski i doskonale piękny. Nie była w stanie

oderwać oczu od szerokich ramion, muskularnej piersi pokrytej

lekkim ciemnym zarostem, smukłych bioder i... potężnego,

dumnie wzniesionego członka, który
świadczył, że całe to

wspaniałe męskie ciało jest do jej
dyspozycji. Gotowe jej

służyć i dostarczać rozkoszy.

Patrząc na niego, pojęła, że jej rozkosz
bierze się po części

ze świadomości, że daje rozkosz
Rhysowi. A miała powody

sądzić, że i jemu sprawiało wielką
przyjemność dawanie jej

rozkoszy. Chyba dlatego ich związek
wydał jej się doskonały.

Postanowiła tej nocy zrobić wszystko,
by zadowolić Rhysa,

jak jeszcze nigdy dotąd.

Pod jego palącym spojrzeniem zaczęła
ściągać z siebie

ubranie, opończę, pasek, potem suknię.
Zdejmowała warstwę

po warstwie, powolnymi,
uwodzicielskimi ruchami.

- Dzisiaj to ja się będę z tobą kochać -
powiedziała, zaskoczona własną
śmiałością. - Chociaż raz to ja mam
przewagę nad tobą i zamierzam ją
wykorzystać. - Zawiesiła głos, po

czym dodała: - Zamierzam cię w pełni wykorzystać.

Nie wiedziała, skąd jej się wzięły tak zuchwałe słowa. Przez

ostatnie dwa tygodnie Rhys zmienił ją w lubieżną kobietę.

Jednak słysząc, jak głośno wciąga powietrze, a potem wydaje

z siebie zduszony jęk, uznała, że było warto. Najwyraźniej nie

miał nic przeciwko jej lubieżności.

Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź do mnie, Izoldo.

- Przyjdę. Kiedy będę gotowa.

Znowu jęknął.

- Nie dręcz mnie, kobieto. Jestem ranny.
Miej litość i po

śpiesz się, bo mogę umrzeć.

Izolda roześmiała się; nowe, nieznane
dotąd poczucie władzy

zawróciło jej w głowie.

- Mam nadzieję, że nie, bo planuję różne
miłe niespodzianki. - Oswobodziła
stopy z butów, ściągnęła pończochy i

stała przed Rhysem w samej koszuli.
Choć w komnacie

wciąż było zimno mimo ognia na
kominku, nie czuła chłodu,

rozgrzana pożądaniem.

- Do licha, kobieto. Zobacz, co mi
robisz. - Z westchnieniem

pogładził się obandażowaną ręką.

Izolda zrobiła to samo, dokładnie
naśladując jego ruch.

Wolno przesunęła dłonią po piersiach,
po brzuchu, a potem

jeszcze niżej.

- Do licha - wydyszał, wpatrując się w nią z napięciem.

Wykonała ten sam gest, tylko w przeciwnym kierunku,

zadzierając koszulę powyżej kolan. Nie spodziewała się, że to

będzie aż tak podniecające. Miała wrażenie, że jej ręka nie

należy do niej, że jest przedłużeniem wzroku i woli Rhysa.

- Dotknij piersi - poprosił chrapliwie. - Obiema rękami.

Spełniła prośbę. Zawstydziała się trochę, lecz nie na tyle, by

przestać. Piersi były ciężkie i ciepłe, brodawki twarde, sterczące... i takie wrażliwe.

- Jesteś piękna - wymruczał. - Taka piękna. Pokaż mi się,

skarbie.

Uniosła jedną rękę, żeby zsunąć koszulę z ramienia. Drugą

ułożyła płasko na rozpalonym brzuchu.

- Szybciej - jęknął.

Ale Izolda nie miała zamiaru się śpieszyć. Tym razem ona

nadawała tempo... przynajmniej do pewnego stopnia. Chciała

mu pokazać, jak dobrze potrafi zadbać o jego potrzeby. Pochyliła

się do przodu, tak że zasłoniła ją kurtyna włosów, i szybko

zrzuciła z siebie resztkę odzienia.

- Chodź tu - błagał Rhys. - Izoldo...

Głucha na jego prośbę, zaczęła palcami rozczesywać włosy.

Jedwabiste kędziory muskały ją po nagich piersiach i ramionach,

koniuszkami łaskotały po brzuchu i biodrach.

- Chcesz poczuć na sobie dotyk moich rąk i włosów? -

spytała, robiąc krok w stronę łóża.

- Chcę.

Ton, jakim wymówił to jedno krótkie słowo, wprowadził ją

w drzenie. Podeszła jeszcze bliżej, wodząc dłońmi po swoim

ciele, tak jak wcześniej.

- Izoldo. - Poderwał się na nogi, jak wojownik z bronią

uniesioną do ciosu, gotowy walczyć i pokonać demony żądry,

które go zniewoliły. Ale ona także była w bezlitosnym władaniu

tych demonów i wiedziała, że muszą je pokonać razem. Miała

dość drażnienia się z nim. Była zbyt podniecona, by przedłużać

tę zmysłową grę. Przywarła do niego, tak że skórę od skóry

oddziaływały jedynie śliskie pasma jej włosów.

Objął ją mocno, a ona zarzuciła mu ręce na szyję, stając na

palcach. Ku jej zaskoczeniu, nie pocałował jej od razu. Pochylił

głowę i dotknął czołem jej czoła. Przez chwilę po prostu tak

stali. Czują na brzuchu palący napór jego męskości, ale poza

cielesną tęsknotą było między nimi coś jeszcze.

Izolda tuliła się do Rhysa z miłością i

nadzieją, że usłyszysz

wyznanie jego prawdziwych uczuć.

Kochasz mnie? - pytało

bezdźwięcznie jej serce.

- Kiedy go zobaczyłem na tobie... -

Objął ją jeszcze mocniej. - Tak się o
ciebie bałem...

Uśmiechnęła się lekko. Powiedz więcej,
modliła się w duchu.

Powiedz to wreszcie.

- Ale nic ci się nie stało.

Przytaknęła wolno.

- Ale ty ucierpiałeś. Przyszedłeś mi na pomoc, podejmując

ryzyko. -Urwała, wciąż wyczekując. Ale nie odzywał się, więc

dodała: - Nikt inny nie przyszedł. Tylko ty. - Rhys nadal nic

nie mówił. Poczowała ukłucie rozczarowania. - Był twoim przyjacielem od wielu lat.

Odetchnął głęboko.

- To było dawno. Zmienił się. A może to ja się zmieniłem. -

Zamyślił się. - Nie mógłbym stać

bezczyinnie i nie ruszyć ci

na pomoc. Ale dość już o tym. Jeśli
chcesz mi podziękować,

wiesz, jak najlepiej to zrobić.

Pociągnął ją na łóżko.

Uznała, że nie doczeka się wyznania.
Zależało mu na niej,

tego była pewna. Ale nie miał zamiaru
odpowiedzieć na jej

miłosne wyznanie tymi samymi słowami.
Może poddałaby się

uczuciu rozczarowania, gdyby nie leżeli

na łóżku, oboje nadzy.

Poza tym gorliwość, z jaką się do niej garnał, nie pozwalała

jej tracić nadziei.

Sprawię, że mnie pokochasz, przysięgła sobie. Zmuszę cię,

żebyś mnie pokochał.

Coś się między nimi zmieniło. Rhys czuł to po zachowaniu

Izoldy. Całowała go gwałtownie, lecz równocześnie czule.

Ocieriała się o niego gładkim gorącym

ciałem, zręcznie i zmysłowo.

Zamruczał z błogości. Pomyślał, że wydaje mu się inna, bo

podczas ich wspólnych nocy nauczyła się, co mu sprawia

największą przyjemność, a że kierowała nią wdzięczność, tym

bardziej starała się mu dogodzić.

Wmawiał sobie, że przecież

nie może chodzić o nic więcej.

Choć w głębi serca pragnął uwierzyć w jej wyznanie, musiał

zachować rozsądek. Pożądała go. To nie była miłość. Mogło

jej się tak wydawać, ale się myliła. A jeśli nawet rzeczywiście

go kochała, on nie czuł do niej tego samego.

Ależ tak, podszeptał mu wewnętrzny głos.

- Nie - powiedział na głos, przerywając gwałtownie poca

łunek. Poruszył się tak niefortunnie, że ból przeszył mu rękę.

- Leż spokojnie - rozkazała Izolda,

popychając go na posłanie. - Leż i
pozwól, że się tobą zajmę. -
Zaróżowiona, patrzyła na niego
błyszczącymi oczyma.

Rhys spełnił jej żądanie, choć wciąż
wypełniał go uczuciowy

zamęt. Izolda pochyliła się nad nim;
spod ciężkiej kurtyny

włosów prześwitywała jej jasna skóra.
Mógłby przysiąc, że

nigdy jeszcze nie miał przed oczyma tak
słodkiego widoku.

Pąsowe usta nabrzmiałe od pieaszczot,
różowe koniuszki piersi,

wyglądające zza złocistych kędziorów.
Wprost nie mógł się
napatrzeć.

- Nie ruszaj się -powiedziała
stanowczo. -Ja się wszystkim

zajmę. - Niełatwo mu było leżeć bez
ruchu, kiedy usiadła na

nim okrakiem. Gdy odruchowo uniósł
biodra, tylko się uśmiechnęła. - Nie
ruszaj się - powtórzyła śpiewnym tonem,
gładząc go po brzuchu. - Pragnę tylko
dać ci rozkosz.

- Wiesz, jak najlepiej to zrobić, Izoldo.
Nie potrzebujesz

się ze mną droczyć.

Przejechała mu włosami po twarzy,
ramionach i piersi.

- Jestem ciekawa i chcę zaspokoić
swoją ciekawość. Nie

ma powodu do pośpiechu. Mamy przed
sobą całą noc.

Nie zdążył nic odpowiedzieć, tylko
jęknął, czując, jak ciepła

dłoń dziewczyny zamyka się na jego
męskości. Po cóż miałby

się sprzeciwiać, skoro było tak
cudownie? Leżał więc nieruchomo,

pozwalając działać jej palcom, ustom i innym częściom ciała.

Raz po raz zaskakiwała go zręcznością i fantazją, aż w końcu

był pewien, że nie wytrzyma dłużej, że umrze z rozkoszy.

- Wystarczy - wydusił z siebie w końcu, próbując ją chwycić, ale zabandażowana ręka znacznie mu to utrudniała.

- Podobało ci się? - spytała szeptem.

- Tak. Aż za bardzo. Chodź tu, Izoldo.

- Poczekaj. - Zwilżyła palec i nie

spuszczając wzroku

z twarzy Rhysa, leciutko dotknęła tego najczulszego punktu. -

Chcę się upewnić, czy jesteś w pełni gotowy - powiedziała

z uśmiechem.

- Nigdy nie byłem bardziej gotowy. Do licha! - Zagryzł

zęby, z największym trudem usiłując się opanować.

- Nigdy? Żadna inna kobieta tego nie robiła?

- Nie.

- Jesteś pewien?

Pokręcił głową.

- Nie mów o innych kobietach.

- Ale były inne - nalegała.

Patrzył na zaróżowioną twarz Izoldy i zniechęcająco dostrzegł

w niej bezbronność, którą starała się ukryć.

- Nigdy nie było takiej jak ty, Izoldo.
Nie dla mnie.

Nie chciał tego powiedzieć, nie chciał wyjawiać aż tak wiele.

Ale widząc, jak drżą jej wargi, nie żałował. Zwłaszcza że zaraz

potem oczy rozbłysły jej radością.

- Kocham cię - powtórzyła, tym razem tak cicho, że ledwie

usłyszał. I nie czekając na odpowiedź, nasunęła się na niego.

Wiedział, że nie zdoła się długo powstrzymać. Chciał ją

objąć w pasie, ale przeszkadzały mu bandaże i ból, odzywający

się przy każdym poruszeniu ręką.

Widząc jego daremne usiłowania,
przytrzymała mu ręce.

- Nie możesz po prostu leżeć i pozwolić
mi robić swoje?

Zawsze musisz być tym, kto dyktuje
warunki? - Zaczęła się

na nim kołysać, unosić się i opadać. Po
jej oczach poznał, że

jest w pełni świadoma tego, co robi. -
Tej nocy jestem od

ciebie silniejsza i to ja mam władzę.

Rhysa nagle ogarnęła panika, tak wielka, że omal nie stłumiła

w nim podniecenia. Czy pozwolił dotąd komuś tak nad sobą

panować? Nie. Przynajmniej od czasu, gdy stał się mężczyzną.

Poddawanie się, czy to przeciwnikowi na polu bitwy, czy

kobiecie w łóżku, było oznaką słabości. A on przysiągł sobie,

że nigdy nie będzie słaby.

Ale przy Izoldzie...

Podjęła przerwany na chwilę rytm, powolny, lecz nieustępliwy. Z trudem zebrane myśli rozpierzchły się, a potem całkiem uleciały mu z głowy.

- Izoldo -jęknął, kiedy przyspieszyła. -
Och, Izoldo...

Poruszała się coraz szybciej.
Obejmowała go sobą coraz

ciaśniej. I w końcu rozstąpiły się przed
nim niebiosa. Siła

spełnienia oślepiła go, rozdarła na
części.

Chwycił dziewczynę za biodra, nie
zważając na ból w ręce,

i kurczowo przycisnął do siebie.

- Izoldo, Izoldo - powtarzał, napełniając ją sobą. - Izoldo.

Kocham cię, powiedział w myśli.

Alarm rozległ się późnym rankiem. Do tego czasu Izolda

zdążyła obmyć i zabandażować rany Rhysa, a gdy się kochali,

wyznała swą miłość w niepowtarzalnej, cudownej chwili spełnienia.

Nie wypowiedział słów, których od niego oczekiwała, jednak

teraz domyślała się przyczyny jego powściągliwości. Izolda

była kochana od chwili narodzin, on tymczasem poznał miłość

tylko od strony fizycznej.

Musiała przyznać, że nauczył ją
czerpania przyjemności

z aktu miłosnego. Chciała, by teraz
poznał radość płynącą

z dzielenia uczuć. Wiedziała, że nie
będzie to łatwe ani nie

nastąpi szybko, była jednak pewna, że
Rhysowi na niej zależy.

Czuła to, gdy ją budził, obsypując
delikatnymi pocałunkami

całe jej ciało, i gdy przytuleni do siebie
cieszyli się porannym

spełnieniem miłosnym. Zapewne
Rhysowi trudno było dopuścić

do siebie myśl, że mógłby pokochać
wroga - należała przecież

do znenawidzonej rodziny FitzHugh;
Izolda wierzyła jednak,

że z czasem się do niej przekona.

Zamknęła oczy, upajając się radością i
starając się nie

myśleć o tym, że sprawy lada chwila
mogą przybrać niepomyślny obrót.

Odmówiła poranne modlitwy i zjadła
obfite śniadanie.

Chmury na chwilę rozstały się i
wyjrzało zza nich słońce,

kładąc się migotliwymi promieniami na
dziewiczym śniegu.

Tego dnia świat był piękny i marzyła o
tym, by pozostał taki

na zawsze.

Wkrótce jednak zaalarmował ich czyjś
krzyk, dobiegający

zza murów; uderzono w dzwon, rozległo
się skrzypienie zwodzonego mostu i
głuche dudnienie otwieranej bramy.
Izolda natychmiast się zorientowała, co
się dzieje.

Wrócili bracia FitzHugh - jej ojciec i stryj Jasper.

Powinna się cieszyć i czuć ulgę, że zamek Rosecliffe nareszcie

zostanie wyzwolony, tymczasem miała ochotę płakać. Przybyli

zbyt szybko, zdecydowanie za wcześnie!

Izolda postanowiła jeszcze przez chwilę oszukiwać się, że

Rhys nie jest wrogiem, który zamierza zabić jej najbliższych.

Miała nadzieję, że uda jej się osłabić jego chęć zemsty i nauczyć

go miłości.

Jednak wyraz twarzy ukochanego nie pozostawiał żadnych

złudzeń.

Popatrzył na nią, lecz zaraz potem zwrócił się w stronę

mężczyzny, który przyniósł wiadomości. Nadszedł dzień, którego od początku się obawiała.

Rhys wyszedł z wielkiej sieni w towarzystwie Walińczyków -

zbrojnych i służących. Pozostali natychmiast zwrócili wzrok

ku Izoldzie, czekając na jej reakcję. Nerwowo splatała i rozplatała palce. Zapewne wszyscy wiedzieli, co zaszło między nią a Rhysem, a przynajmniej się tego domyślali. Nikt jednak

nie miał pojęcia, jak bardzo jest zakochana.

Czyżby spodziewali się po niej, że wyrzeknie się Rhysa?

A może sądzili, że wyprze się rodziny, lub po prostu chcieli

tylko popatrzeć, jak się męczy, targana sprzecznymi uczuciami?

Zacisnęła drżące wargi i rozejrzała się.

Na twarzach ze-

branych malował się strach i smutek.

Parę osób wpatrywało

się w nią z nadzieją.

Znów splotła dłonie. To dziwne, że w
zaistniałej sytuacji ktoś

potrafił jeszcze żywić nadzieję. Czyżby
ludzie wierzyli, że Izolda

będzie w stanie pogodzić śmiertelnych
wrogów? Jeśli nawet

wcześniej wydawało jej się to możliwe,
to tego ranka lodowate

spojrzenie Rhysa pozbawiło ją złudzeń.
Nie mogła jednak

bezczylnie patrzeć, jak wali się jej
świat. Sięgnęła po opończę,

zamierzając wyjść na dziedziniec, lecz
zatrzymał ją głos Tillo.

- Obawiam się, że twój ojciec i
ukochany złamią ci serce,

dziecino. - Staruszka wykuśtykała zza
kolumny. - To mężczyznom wychodzi
najlepiej - dodała, potrząsając głową.

Izolda zarumieniła się po czubki uszu.

- Nic nie rozumiesz - odpowiedziała

gwałtownie. - Nikt

tego nie zrozumie.

- Myślę, że kochasz ich obu. - Tillo
urwała, zauważywszy

kuśtykającego w ich stronę Newlina.

- Tak, ona kocha ich obu - powtórzył jak
echo stary bard. -

Bo obaj dali jej szczęście.

- Ale sytuacja się zmieniła - ostrzegła
staruszka.

Newlin chwycił Tillo za rękę.

- Będzie musiała dokonać wyboru w swoim sercu. Jeśli ktoś

odrzuca miłość, to największy ból sprawia mu własny wybór,

Tilly.

Izolda ze zdumieniem popatrzyła na Newlina. Bard nie

mówił teraz o niej; jego słowa przeznaczone były dla Tillo,

którą nazywał Tilly, i brzmiały jak miłosne wyznanie. Izolda

słyszała je równie wyraźnie, jak wcześniej dzwon na trwogę.

Tuż przed walką o przejęcie władzy nad Rosecliffe, w najbardziej niestosownym momencie, stary bard wyznał miłość staruszce w męskim przebraniu. Izolda uśmiechnęła się, myśląc,

że to jedyny promyk radości w tych mrocznych chwilach.

- Dobrze zastanów się nad tym, co mu odpowiesz - zwróciła

Wiedziała już, że wygrała ten pojedynek. Stanowiło to jednak

niewielkie pocieszenie, jako że czekało ją jeszcze trudniejsze

zadanie. Musiała odwieść ojca i Rhysa

od zamiaru rozpętania

morderczej walki.

Minąwszy strażnika, wspięła się po oblodzonych stopniach, nie oglądając się za siebie. Na murach szalał wiatr, lecz ośnieżone okolice zamku wydawały się ciche i spokojne. W oddali zobaczyła las, odznaczający się ciemną plamą pod czapami śniegu, a także rzekę Geffyn, otoczoną głazami

i krzewami. Zastanawiała się, czy woda całkiem zamarzła,

czy też cały czas spokojnie płynie sobie pod lodem do

morza.

Miała ochotę zniknąć stąd, znaleźć się
jak najdalej od pola

bitwy, która nie mogła wyłonić
prawdziwego zwycięzcy.

Nie powinna jednak uciekać,
znajdowała się przecież

w swoim domu. Wyprostowawszy się,
podeszła do grupki

zbrojnych.

Dostrzegła czujność i podejrzliwość w
ich oczach. Była dla

nich wrogiem, którego należało pokonać. Jednak dla niej liczył

się tylko Rhys, stojący obok Glyna i patrzący na drogę prowadzącą za fosę. Kilku zbrojnych niechętnie rozstąpiło się, by Izolda mogła przejść.

- Przyszłaś zobaczyć klęskę ojca? -
Jeden z Walińczyków

zarechotał.

- Możesz im pomachać. Nie uda im się podejść bliżej -

przechwalał się drugi, mocno zbudowany.

- Przepuście ją! - warknął Rhys. Stał na otwartej przestrzeni

pośród blankami, opierając się o mur, i patrzył na jeźdźców

w dole. - Chodź tu, Izoldo. - Nawet nie spojrział w jej stronę. -

Niech twój ojciec i stryj cię zobaczą.

Podeszła do niego, czując dławienie w gardle. Dookoła

panowała cisza, na zimowym niebie nie było ani jednego ptaka,

nie szczekał żaden pies. Nawet stojący za nią mężczyźni

MINSTREL

zamilkli. Słyszeć było jedynie jęk wiatru, potęgujący przenikające ją dreszcze.

- Rhysie... - odezwała się szeptem.

Mocno zacisnął szczęki, a kiedy dotknęła jego ramienia,

poczuła naprężone mięśnie.

- Rhysie...

Odwrócił się gwałtownie, chwycił ją za rękę i wypchnął

przed siebie. Jeśli nawet poczuł przy

tym ból, nie dał tego po

sobie poznać.

- Jest tutaj. Cała i zdrowa, tak jak powiedziałem.

Izolda oderwała wzrok od twarzy ukochanego. W dole, tak

blisko i daleko zarazem, byli ojciec i stryj Jasper, a obok nich

czterech jeźdźców.

Wychyliła się, ogarnięta falą miłości do rodziny, która tak

bardzo ją kochała. Pod wpływem

impulsu pomachała ręką,

a któryś z rycerzy odwzajemnił
pozdrowienie. Izolda zmrużyła

oczy. Czyżby był to jej brat, Gavin?

Nie myliła się. Poczowała piekące łzy pod
powiekami, a chociaż

szybko je otarła, nie była w stanie
zapanować nad silnymi

emocjami. Nawet młodszy brat przybył
jej z pomocą.

- Jestem... cała i zdrowa! - krzyknęła
przez ściśnięte gard

ło. - Nie martwcie się o mnie!

Ojciec poprowadził konia wzdłuż fosy, zdjął kaptur i uniósł

dłoń w geście pozdrowienia. Izolda miała wrażenie, że dotyka

jej policzka.

- Tata... - wyszeptała, wyciągając ku niemu rękę.

- Co za ulga, że cię widzę! - zawołał Randulf. - Bardzo

się o ciebie martwiliśmy. - Jego głos zmienił się raptownie. -

Wypuść ją! Nasz spór jej nie dotyczy!

- Nic mi nie jest! - zawołała Izolda,
zanim Rhys zdążył

odpowiedzieć. - Ani się nie boję! Czy
jest z wami mama?

- Tak.

- Dość już. - Rhys odsunął dziewczynę,
a na dany przez

niego znak jeden z mężczyzn chwycił ją
za rękę. - Mam

zwyczaj dotrzymywać słowa, FitzHugh.
Pod moją opieką nic

się jej nie stanie, ale nie uwolnię jej,
dopóki nie nasycę się

zemstą.

- Za co chcesz się mścić? Darowałem ci
życie. Zapewniłem

ci naukę...

- Skradłeś walijskie ziemie. Twój brat
zabił mojego ojca!

- W takim razie spotkajmy się w walce!

- krzyknął Jasper.

Podjechał do brata; jego masywny
rumak parskął i uderzał

kopytami o ziemię. - Zmierz się ze mną,
ale nie kryj się za

kobietą.

- Załatwione! - odkrzyknął Rhys.

- W takim razie chodź tu do mnie. -
Jasper pogroził mu

pięścią.

- To ja będę walczył! - krzyknął ojciec
Izoldy. - To moja

córka i mój dom!

- Ja chcę z nim walczyć, ojcze. Proszę,
pozwól mi - zwrócił

się do Randulfa Gavin.

Krew odpłynęła z twarzy Izoldy.

- Nie! - Zaczęła się szarpać. - Nie, Rhysie, proszę!

Zauważyła, że się wzdrygnął.

- Sami zdecydujcie. Dla mnie nie ma znaczenia, z kim

będę walczył. Pokonam was wszystkich. Tylko stawcie się do

walki jutro w południe. Najpierw zabiję Jaspera FitzHugh.

- Nie, nie! - krzyknęła Izolda.

- A kiedy już będę miał go z głowy -
ciągnął Rhys - zajmę

się pozostałymi.

- A więc jutro w południe -
odpowiedział Jasper lodowatym

tonem.

Ciszę, która zapadła po jego słowach,
przerwał stukot końskich kopyt, gdy
jeźdźcy zawrócili do wioski. Izolda
słyszała swój ciężki oddech i chełpliwe
słowa Walińczyków na murach.

Jednakże mężczyzna, który spowodował
całe zamieszanie,

milczał. Odprowadziwszy wzrokiem wrogów, odwrócił się w stronę Izoldy.

Miał surową, zaciętą twarz człowieka zaprawionego w bojach,

mściciela nie lękającego się śmierci w pojedynku. Izolda

dostrzegła jednak w oczach Rhysa pustkę, która przeraziła ją

bardziej niż żądza zemsty. Patrzył na nią jakby zza zasłony

dwudziestu lat nienawiści. Wspaniałe chwile, które przeżyli

razem, pożądanie, a może nawet
początki miłości, nie przewyciężyły
zapieklęgo gniewu Rhysa, nie odebrały
mu chęci zemsty. Zorientowała się, że
nie ma nad nim żadnej władzy

i nie jest w stanie zmienić jego decyzji.
Nie zamierzała mu
tego wybaczyć.

Jeszcze przez chwilę mierzyli się
wzrokiem. Nie widziała
już sensu dalszej walki.

- Zaprowadź ją na wieżę - rozkazał Rhys
zbrojnemu. -

Zostaniesz tam, póki to wszystko się nie skończy - dodał, tym

razem zwracając się do dziewczyny, po czym odwrócił się

i odszedł.

Izolda pomyślała, że ramię Rhysa zagoi się z czasem,

pozostaną jednak głębsze - ukryte - rany serca i duszy, których

nic nie uleczy. Chociaż zaczynało mu na niej zależeć, nigdy

nie zdołałby jej pokochać, a oboje dobrze wiedzieli, że gdy

zabraknie miłości, pozostanie im tylko nienawiść.

Randulf i Jasper byli wściekli na siebie i na Rhysa. Josselyn

i Rhonwen wymieniły dyskretne spojrzenia, ale roztropnie nie

wchodziły mężom w drogę.

- To jest moja walka! - krzyczał Randulf.

- Ale to mnie poprzysiągł zemstę! - upierał się Jasper.

- Więzi moją córkę i zawładnął moim zamkiem!

Josselyn chwyciła Gavina za ramię i pociągnęła go do kuchni

w niewielkiej chacie, którą wynajęli w wiosce.

- Masz jakieś wiadomości o Izoldzie? Widziałeś ją?

Gavin był blady, ale oczy płonęły mu młodzieńczym oburzeniem.

- Widziałem. Wszyscy ją widzieliśmy. Machała do nas

i powiedziała, że jest cała i zdrowa. Ale on jej nie wypuści.

Rhonwen pokiwała głową.

- Mówiłam ci, że Rhys nie zrobi jej krzywdy.

Josselyn ponownie zwróciła się do syna:

- Co się wydarzyło?

Kiedy Gavin opowiedział o tym, jak Rhys kolejno wyzywał

ich na pojedynek, Josselyn pozwoliła mu odejść.

- Nie będzie żadnej walki. Ani jutro, ani kiedykolwiek -

oznajmiła stanowczym tonem, gdy zostały same.

- Ale jak możemy jej zapobiec? -

Rhonwen rozłożyła ręce

w geście bezradności. - Ech, dlaczego mężczyźni muszą sięgać

po broń tam, gdzie skuteczniejsza byłaby rozmowa?

Josselyn zamyśliła się głęboko.

- Musimy coś działać. Ty, ja... i Izolda. Albo zaprowadzimy

tu pokój, albo zginie ktoś bliski.

Zamilkły.

- Myślisz, że on ją uwiódł? - zapytała

Rhonwen po dłuższej

chwili.

Josselyn zacisnęła wargi i pokiwała głową.

- Tak. Jestem tego prawie pewna. Nie wiem tylko, czy

przypadkiem to ona go do tego nie nakłoniła. Może udało jej

się przedostać przez mur, którym otoczył swoje serce.

- Tak myślisz?

Josselyn popatrzyła na męża, stojącego

w sąsiedniej izbie.

Chociaż bardzo go kochała, musiała przyznać, że jest zbyt

posunięty w latach, by stawić czoło Rhysowi. Nawet Jasper

nie władał już bronią tak biegle jak przed laty.

- Nie możemy być tego pewne, ale wierzę, że czas jest

naszym sojusznikiem. - Popatrzyła na Rhonwen roziskrzonym

wzrokiem. - Musimy wymyślić jakiś powód, żeby jutro nie

było żadnej walki. Zróbmy przynajmniej
tyle, a reszta będzie

należać do Izoldy.

Przemierzała komnatę na wieży.

Wystarczały cztery kroki,

by dojsć do przeciwległej ściany. Było
teraz cieplej niż rano.

Niebo się zachmurzyło i spadł deszcz,
roztapiając śnieg i lód

i powlekając świat szarą mgiełką.

Pogoda idealnie dopasowała

się do nastroju Izoldy.

Nazajutrz miał umrzeć ktoś, kogo kochała.

Zatrzymała się gwałtownie i ucisnęła skronie. Nie była

w stanie znieść tej myśli.

Uklękała.

- Dobry Boże, święta Mario, Panie Jezu. Wiem, że bardzo

zgrzeszyłam. Ale błagam, Boże, nie karz mnie, dopuszczając

do tego, by któremuś z nich stała się krzywda. Proszę, ocal

ich wszystkich. Błagam... - Urwała i pochyliła się nad rękami

złożonymi do modlitwy. Marzyła o tym, by otrzymać znak

z niebios, zapewnienie, że jej prośba została wysłuchana.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Zwykli śmiertelnicy nie

mogą niczego żądać od Boga, choćby mieli jak najlepsze

intencje. Jeszcze długo klęczała, zastanawiając się nad rozwiązaniem problemu.

Kiedy w końcu wstała, była pewna tylko tego, że nigdy nie

uda jej się do końca znienawidzić Rhysa, nawet jeśli pokona

jej ojca i stryja i będzie gardziła jego czynami. Pozostawała

jej nadzieja, że do tego nie dojdzie.

Znów zaczęła krążyć po niewielkiej komnacie. Wyjście na

schody było zamknięte, więc podeszła do drzwi prowadzących

na podest na zewnątrz. Były otwarte, ale padał zimny deszcz,

więc cofnęła się do izby. Nie mając nic innego do roboty, sięgnęła

po kawałek węgla drzewnego i popatrzyła na czystą ścianę.

Ostatnio Rhys był bardzo czuły, szczególnie minionej nocy

i rano. Trudno było dostrzec ślady tego w mężczyźnie, który

zaledwie przed kilkoma godzinami poprzysiągł zemstę jej

rodzinie. Drżącą ręką nakreśliła linie na kamiennej ścianie.

Zarys nosa, owal brody. Nie chciała

rysować wroga rodziny,

nie zamierzała utrwać jego podobizny na murach Rosecliffe,

jednak nie była w stanie się powstrzymać. Udało jej się

odtworzyć charakterystyczny układ brwi, gdy Rhys się uśmiechał. Zamknęła oczy, przeniknięta nagłym dreszczem, i dopiero po chwili powróciła do rysowania.

Tym razem uwieczniła Rhysa z twarzą wykrzywioną gniewem i oczami pałającymi nienawiścią. Rysowała coraz szybciej.

Węgiel skrzypiał na nierównych kamieniach, aż w końcu

rozpadł się w jej dłoni i rozkruszył na posadzce.

- Dlaczego tak musi być? To niesprawiedliwe! - krzyknęła,

z furią nacierając na ścianę i rozmazując rysunki.

- Izoldo...

Odwróciła się gwałtownie i znieruchomiała. Na progu stał

Rhys. Nie słyszała, jak otwierał drzwi. Przyglądał się jej dziełom.

- Czego chcesz? - zapytała.

Cieężko westchnął.

Zamrugowała, by powstrzymać łzy cisnące się do oczu.

- Czego ode mnie chcesz, Rhysie?

Wskazał pierwszy rysunek.

- T o ja?

Machnęła ręką.

- Czasami.

- Czasami?

Popatrzyła na swoje pobrudzone węglem dłonie.

- Czasami miło jest przebywać w twoim towarzystwie.

Jesteś łagodny. Troskliwy, czuły...

- A ten drugi rysunek? - zapytał po chwili. - On też przedstawia mnie „czasami”?

Izolda przytaknęła.

- Kiedy jestem okrutny? Zagniewany? -
Urwał. - Kiedy

przysięgam, że zabiję twoją rodzinę?

Zamknęła oczy.

- Nie mogę z tobą rozmawiać na ten temat - powiedziała

zduszonym głosem. - Jeśli zamierzasz o tym mówić, to proszę,

wyjdź.

Nie poruszył się.

- Nie jestem żadnym z tych mężczyzn, Izoldo, łączę w sobie

cechy obydwu. Nie widzisz tego? Nie jestem ani całkiem

dobry, ani całkiem zły.

- Wiem.

Rozłożył ramiona.

- W takim razie narysuj mnie w ten sposób. Narysuj mnie

takiego, jaki jestem naprawdę.

Usiadł na ławie pod oknem, zasłoniętym rozciągniętą skórą.

Płomień świecy pogłębił grę światłocieni na urodziwej surowej

twarzy. Izolda tak bardzo pragnęła ją sportretować, że czuła

mrowienie w palcach.

Z westchnieniem wyjęła cenny pergamin, który chowała na

specjalną okazję. Czy nazajutrz portret będzie jedyną pamiątką

po Rhysie? Wolała o tym nie myśleć.

Przysiadła na łożu i skrzyżowała nogi.

- Odwróć się twarzą do światła -
poleciała.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę,
po czym spełnił jej

prośbę.

- Tak?

- Tak. - Nie było to takie trudne, jak myślała. Teraz, gdy

na nią nie patrzył, mogła do woli sycić się jego widokiem.

Podziwiała wysokie czoło i prosty nos, pełne, pięknie wykrojone

wargi, wystający, dumnie uniesiony podbródek, mocne szczęki

i umięśnioną szyję, wystającą z kolczugi.

Maczała gęsie pióro w atramencie i nieśpiesznie kreśliła

linie na pergaminie. Prawdopodobnie ta podobizna będzie

jedyną rzeczą, jaka jej zostanie po
ukochanym, więc bardzo

się starała, rysując jego kruczoczarne
włosy i oczy ciemne jak

środek nocy.

Nie mogła jednak przedstawić go
wyłącznie w ciemnych

barwach. Choć jego dusza kryła mroczne
głębie, było w niej

także światło, które koniecznie chciała
uwiecznić. Tworzyła

w uniesieniu. Nigdy jeszcze nie przeżyła
czegoś podobnego.

W końcu, zadowolona, odstawiła atrament.

- Mogę zobaczyć? - zapytał.

Podowała mu rysunek.

- Jesteś dobrym modelem, o wiele lepszym niż moja siostra,

Gwen. Ciągłe się wierci i... - Urwała.
Wspomnienie rodziny

natychmiast psuło nastrój. Zdawała sobie sprawę, że Rhys

nienawidzi jej bliskich.

Uniósł brwi.

- Bardzo udany szkic. Już ci mówiłem,
że masz duży

talent. - Odchrząknął. - Możesz zejść na
wieczere - dodał.

- Czy to rozkaz, czy wybór należy do
mnie? - spytała,

wstając.

Ich spojrzenia się spotkały; poczuła
mocniejsze bicie serca.

- Wybór należy do ciebie.

Gdy Rhys wyszedł, Izoldzie wydawało
się, że jego słowa

wciąż rozchodzą się echem po
konnacie. Była gotowa jednocześnie
śmiać się i płakać. Nie miała wpływu na
stan swoich uczuć.

Serce nie służy...

Padało cały dzień i noc. Kiedy w zimnej, chłostanej wiatrem

okolicy rozbrzmiały pierwsze dzwony, Josselyn nie spała już od

dwóch godzin, modląc się i rozmyślając. Nie mogła dopuścić do

tego, by mąż lub szwagier stanęli do pojedynku z Rhysem. Byli

dzielnymi wojownikami, gotowymi podjąć walkę z każdym, kto

zagroził ich bliskim lub tym, których przysięgli bronić. Mimo

zapalczywości nie byli jednak głupcami.
Gdyby udało jej się

przekonać Randa, że gra na zwłokę leży
w ich interesie...

Nie miała jednak pewności, że się nie
myli co do Rhysa.

Wolała nie myśleć o tym, że dumny
Walijczyk może wyładować

złość na Izoldzie.

Skrzyżowała dłonie na piersiach. Bała
się zarówno o pierworodną córkę, jak i
o Rhysa. Czy miała prawo ryzykować?

Zauważyła kogoś na drodze. Wydawało

jej się, że to dziecko,

ale zmrużywszy oczy, rozpoznała
Newlina.

Newlin! Przyłożyła dłonie do ust. Stary
bard będzie wiedział,

jak należy postąpić. Fakt, że przyszedł
do niej właśnie teraz,

rozbudził jej nadzieję. Josselyn
otworzyła drzwi. Z uśmiechem

na ustach, kuśtykając, Newlin wszedł do
wnętrza. Mimo deszczu

nie był przemoknięty i nie miał ochoty
na proponowaną herbatę.

- No, nareszcie - powiedział. - Koniec zimy jest już bliski.

Pamiętasz, jak uczyłem cię tego zdania po francusku i angielsku?

Josselyn kiwnęła głową.

- To było już ponad dwadzieścia lat temu. Muszę przyznać,

że te twoje lekcje bardzo mi się przydały.

- No pewnie, skoro trafił ci się mąż z Normandii i posiadłości na angielskich ziemiach.

- Ale teraz jestem z powrotem w Walii -
powiedziała, nagle

poważniejąc. - I jestem zmuszona
traktować swego rodaka jak

wroga, mimo że wolałabym widzieć w
nim przyjaciela.

- Koniec zimy jest bliski - powtórzył
stary bard, mrużąc

oczy.

- Koniec zimy? Przecież jeszcze nie było
Bożego Narodzenia.

Uśmiechnął się. Josselyn od razu
poczuła się lepiej. Czyżby

miało to oznaczać, że zbliża się koniec
waśni w Rosecliffe?

Uklęła przy Newlinie i ujęła jego
sękatę starcze dłonie.

- Nic jej nie grozi, prawda? Nie wierzę,
że Rhys mógłby

wyrządzić krzywdę Izoldzie, mimo że
pała żądzą zemsty.

- Nie wyrządzi jej krzywdy -
potwierdził starzec.

- Nawet jeśli dzisiaj nikt nie stanie do
pojedyнку? Jeśli nie

uda mu się zemścić na Jasperze i

Randzie?

Newlin pogładził rękę Josselyn i przyjrzał się jej uważnie.

- Nie będziesz mogła odwlekać tej walki w nieskończoność.

Może to właśnie ten pojedynek sprawi, że skończy się jedna

pora roku, a nastanie druga?

- Nie martwię się o porę roku, tylko o życie moich bliskich! -

Wstała i zaczęła przechadzać się po izbie, lecz po chwili się

zatrzymała. - Powiedz mi... Czy on ją kocha? Już od dwóch

tygodni rządzi Rosecliffe, a nie zrobił jej krzywdy, przynajmniej

ona tak twierdzi. - Niemal przewierciła starego barda wzrokiem. - Czy wziął ją do łóża?

Oczy starca rozbłysły.

- Są tacy, co tak uważają.

Josselyn zacisnęła usta i zamyśliła się. Nie zamierzała

zamartwiać się utratą dziewictwa córki, jeśli tylko nie stało się

to wbrew jej woli.

- Nie stało - odpowiedział Newlin,
zanim zdążyła zadać

mu pytanie. Odwrócił się i wyciągnął
ręce w stronę ognia. -

A teraz, Josselyn, mam do ciebie
prośbę.

Wciąż myślała o tym, że zaloty Rhysa
okazały się skuteczne

i nie od razu dotarły do niej słowa
Newlina.

- Prośbę? Mów śmiało.

Stary Bard zapatrzył się w ogień.

- W Rosecliffe jest pewna kobieta, która przybyła tu z Rhy-

sem. To staruszka, nazywa się Tilly... chociaż każe na siebie

mówić Tillo i przebiera się za mężczyznę.

Zdumiona Josselyn uniosła brwi. Miała wrażenie, że zaszuszone twarz Newlina lekko się zaróżowiła. Czyżby stary samotnik się zakochał?

- Ma na imię Tilly? - zapytała, wciąż jeszcze nie mogąc

przyjść do siebie.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Ona nie ma domu, a chociaż bardzo się tego wypiera,

wiem, że lubi Rosecliffe.

Josselyn natychmiast stała się czujna.

- Chcesz mi powiedzieć, że wkrótce znów będę decydować, kto może być mieszkańcem Rosecliffe?

Bard rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Nie miałem zamiaru tego wyjawiać. Widzę jednak, że nic

nie straciłaś ze swej bystrości.

Josselyn zachichotała, niezmiernie zadowolona z komplementu i przepowiedni.

- Twój umysł też nie zmienił się z upływem lat, chociaż

chyba ostatnio ktoś ci zamącił w głowie.

- Machnęła ręką. -

Nieważne. Zgoda. Tilly będzie mogła zamieszkać w Rosecliffe.

Ale co z Rhysem?

Newlin westchnął.

- Niektóre sprawy są dla mnie jasne jak słońce, Josselyn,

inne mniej. Nie zapominaj, że Rhys ma silną wolę i to on,

a nie ja, dokonuje wyborów. Z czasem przekonamy się, co

wybrał.

- Najważniejsze, żeby nie zrobił jej krzywdy - powiedziała

cicho Josselyn, widząc, że Newlin zbiera się do odejścia. -

Nie zrobi - stwierdziła stanowczo, odprowadzając barda wzrokiem. Teraz

musiała skupić się na przekonaniu Randa i Jaspera, że niepodjęcie walki z Rhysem to nie tchórzostwo, a strategiczna decyzja. Wiedziała, że czeka ją niełatwe zadanie, jako że obaj byli popędliwi. Będzie musiała znaleźć na nich jakiś sposób.

Rozległ się grzmot, który zatrzęsł drzwiami i oknami, a nowa

fala deszczu uderzyła w kryty strzechą dach. Chociaż śnieg

szybko topniał, nie był to najlepszy dzień na przebywanie poza

domem. Dotknęła palcem podbródka.
Najlepiej się położyć.

Uśmiechnęła się do siebie. Godziny
spędzone w łóżu powinny

odwrócić uwagę Randa od pojedynku.
Rhonwen w ten sam

sposób z łatwością poradzi sobie z
Jasperem.

Czując się o niebo lepiej, dołożyła parę
drew do ognia

i skierowała się na schody. Najpierw
porozmawia o wszystkim

z Rhonwen, a potem poszuka swego

wspaniałego upartego

męża i nauczył go kilku rzeczy z zakresu sztuki wojennej.

R h y s przechadzał się po murach, co chwila zaciskając

dłonie w pięści. Gdzie podzieli się jego przeciwnicy?

Popatrzył na wioskę, rozciągającą się w dole za zamkowymi

murami. Była podejrzanie cicha i spokojna jak na tę porę dnia.

Po wcześniejszych obfitych opadach śniegu okoliczni mieszkańcy powinni

korzystać ze zmiany pogody, zajmować się zwierzętami, zbierać drewno, polować.

Jednak wioska wydawała się wyludniona i tylko dym unoszący się z niektórych kominów świadczył o tym, że w ogóle toczy się tam jakieś życie.

Wychylił się za blanki, ignorując ból ramienia.

- Pokażcie się wreszcie, przekłeci tchórze - mruknął.

Kątem oka dostrzegł Linusa, skulonego w wartowni. Podobnie jak olbrzym, wszyscy wojownicy w Rosecliffe znajdowali się w stanie pełnej

gotowości, ubrani w strój bojowy, z
naostrzonymi mieczami u pasa. Chociaż
walka miała się rozegrać głównie
między Rhysem a Jasperem, stawka
pojedyunku była

o wiele większa. Chodziło o walijskie
ziemie, które już zbyt

długo czekały na prawowitego władcę.
Gdyby Rhys zginął

przebity ostrzem broni FitzHugh, Glyn i
towarzysze podjęliby

walkę w jego imieniu.

Zastanawiał się, jak Izolda
zareagowałaby na jego śmierć.

Zamknął oczy, starając się o niej nie myśleć, gdyż po

święcanie uwagi kobiecie w czasie przygotowań do walki

oznaczało pewną śmierć. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się

popęłnić tego błędu, lecz chociaż i tym razem chciał go

uniknąć, okazało się to niemożliwe. Jego myśli nieustannie

krążyły wokół Izoldy.

Poprzedniego dnia i tego ranka była bardzo opiekuńcza.

Dwukrotnie zmieniała mu opatrunki,
ogłądała rany i smarowała

je maścią przyśpieszającą gojenie.
Rozmawiali o wszystkim

prócz tego, co najbardziej zaprzętało ich
myśli; o muzyce,

sztuce, rzeźbie. Na jej prośbę opisał
York, wielki zamek

w Richmond i klasztor w Whitby na
Morzu Północnym.

Wy tłumaczył jej, jak działają szkockie
dudy, a ona starała się

mu wyjaśnić, na czym polega potrzeba

tworzenia. Próbowwała

grać na jego cytrze, co wychodziło jej całkiem nieźle. Musiał

przyznać, że jest bardzo utalentowana.

Żadne z nich nie napomknęło jednak o polityce, rodzinnych

sporach i wewnętrznym rozdarciu.

Przy wieczerzy po raz ostatni Izolda wystąpiła w roli pani

zamku. Niezależnie od rezultatu dzisiejszej bitwy, Rhys miał

ją utracić na zawsze. Opuści go. Będzie

musiał oddać ją

pozostałym przy życiu członkom jej rodziny.

Patrzył na wioskę szklanym wzrokiem. Wiedział, że już teraz

powinien oddać Izoldę rodzinie, jednak nie był w stanie tego

zrobić.

Walnął pięścią w kamienny mur i omal nie krzyknął z bólu.

- Tchórze! Pokażcie się! - krzyknął, po czym, ciężko dysząc,

odwrócił się od podejrzenie cichej wioski i podszedł do schodów. -
Przyprowadź mi konia - rozkazał pierwszemu napotkanemu mężczyźnie, a na dziedzińcu przywołał Glyna. -
Będziesz rządził Rosecliffe, kiedy wyjadę stąd z trójką zbrojnych.

Wysoki, chudy Walińczyk oniemiał.

- Przecież oni w ogóle się nie pokazali.
Jeśli wyjedziesz

tylko z trójką ludzi, wezmą cię w niewolę. Widziałeś, ilu ich

jest? - Glyn pokręcił głową z dezaprobatą. - Nasza szansa leży

w tej twierdzy, Rhysie. Poza murami to oni mają przewagę. -

Nagle w jego oczach zamigotały diabelskie ogniki. - Zapomniałem, że masz tę dziewczynę. Myślę, że nie będą chcieli narażać jej życia na niebezpieczeństwo.

Ja również tego nie chcę, pomyślał Rhys.

W ostatniej chwili opanował się, by nie wypowiedzieć tych

słów na głos. Oczywiście nie zamierzał narażać Izoldy, jednak

członkowie jej rodziny nie mogli być

tego pewni. Pomyślał,

że powinien wykorzystać ich lęk i natychmiast poczuł głęboki

wstyd.

Popatrzył na Glynę.

- Mam Izoldę FitzHugh, ale nie jestem łajdakiem. Jeśli ktoś

ją skrzywdzi, nie dożyje dzisiejszego wieczoru.

Glyn zeszywniał i szybko skinął głową.

- Nie jestem Dafyddem. Wiem, że walczyliśmy tylko z mężczyznami z jej

rodziny.

Rhys pokiwał głową, nie całkiem jednak uspokojony. Czy

gdyby wpadł w ręce wrogów, jego Waliyczycy dobrze traktowałiby Izoldę? Patrząc, jak niedawno mianowany zastępca wspina się na schody, miał coraz więcej wątpliwości. Mimo

zapewnień nie wierzył Glynowi ani pozostałym towarzyszom.

Mógł ufać jedynie Linusowi, Gandy'emu i Tillo.

Izolda wyszła na podest, by obserwować przygotowania do

pojedyńku. Tego dnia bliscy jej
mężczyźni, Rhys, ojciec i stryj,

kładli na szalę swoje życie w walce o
zamek. Wszyscy byli

dzielnymi, prawymi ludźmi i w innych
okolicznościach z pewnością darzyliby
się wzajemnym szacunkiem.

Ośłoniła oczy przed siekącym deszczem.
W wiosce i zamku

panowała cisza. Tylko kilku zbrojnych
Walijczyków przechadzało się po
dziedzińcu i murach. Pozostali gdzieś się
ukryli.

Nagle zauważyła Rhysa, zstępującego ze

schodów i rozmawiającego z wysokim Walijczykiem. Był gotowy do walki -

miał na sobie kolczugę, a u pasa zwisał mu długi miecz. Na

dany przez niego znak zbrojni
wyprowadzili cztery konie.

Izolda miała wrażenie, że serce za
chwile wyskoczy jej z piersi.

- Błagam, nie podejmuj tej walki. -
Wychyliła się za blanki,

mając nadzieję, że Rhys ją zobaczy i
usłyszy wołanie.

Nie uniósł jednak wzroku, tylko

powiedział coś do Linusa,

a potem wydał rozkazy. Po chwili
dosiadł olbrzymiego rumaka,

chwycił broń - miecz, maczugę i pikę -
włożył kaptur i zawiesił

hełm na kuli siodła. Opuszczono most,
otwarto bramę, po czym

Rhys i trzech zbrojni wyjechali z zamku.

Izolda wyciągnęła rękę w geście
bezradności, jakby chcąc

zatrzymać ukochanego, który wyraźnie
działał na własną zgubę,

po czym odeszła, przepelniona
smutkiem.

Nie widziała, jak Rhys pojawia się na
drodze za murami

i odwraca się, jakby chciał ocenić
obronną siłę twierdzy.

On tymczasem doskonale wiedział, że
jego słabość nie

wynika z niedoskonałości twierdzy ani
niewielkiej liczby jej

obrońców. Przyczyną jego obaw był
dziwny nastrój, który

minstrele ckliwie nazwaliby rozdarciem

serca. Jego słabym

punktem była miłość do Izoldy FitzHugh.
Odwrócił się, by ją

zobaczyć, być może po raz ostatni;
chciał się przekonać, czy

odprowadza go wzrokiem.

Nie było jej na wieży. Poczł dziwne
ściskanie w piersi.

Natychmiast zmusił się do skupienia
uwagi na drodze i wrogiej

wiosce, usiłując sobie wmówić, że jest
zadowolony z takiego

obrotu sprawy. Izolda powinna trzymać się z dala od wydarzeń

tego dnia, a mężczyzna nie może wypatrywać kobiety, jeśli

ma stanąć naprzeciw wroga uzbrojonego w miecz. Mocno

zacisnął szczęki. Prawdę mówiąc, mężczyzna w ogóle nie

potrzebuje kobiety, a jeśli już, to tylko po to, by zaspokoić chęć.

Jednak jadąc mokrą kamienistą drogą w stronę wioski, zdał

sobie sprawę, że się okłamuje.

Rzeczywiście nie potrzebował

w życiu kobiety... dopóki nie spotkał
Izoldy. A chociaż stała

się jego więźniem i mógł ją zatrzymać,
przystało mu to

wystarczać, odkąd powiedziała mu, że
go kocha, i okazała tę

miłość. Właśnie na codziennych
dowodach uczucia zależało

mu najbardziej.

Było już jednak za późno. Tego
wieczoru będzie martwy

albo Izolda znienawidzi go za zabicie stryja, a może i ojca.

- Zaatakują nas? - zapytał krzepki Walińczyk, przerywając

Rhysowi ponure rozmyślania. Obaj doskonale zdawali sobie

sprawę, że nawet najlepsi wojownicy nie zdziałają cuda, jeśli

wróg ma dużą przewagę liczebną.

- Jadę ośmieszyć tych nędznych tchórzy, ale nie zamierzam

walczyć w czwórkę przeciwko całej reszcie. To będzie pojedynek między

mną a braćmi FitzHugh.

Zatrzymał konia tuż przed pierwszymi zabudowaniami wioski. Niebo zasnuwane było ciężkimi, nisko wiszącymi chmurami, okrywającymi zimnym całunem złodowaciałą ziemię. W wiosce

panowała cisza, ale Rhys dostrzegł twarze za okiennicami

i nieznacznie uchylonymi drzwiami.

- Pokaż się, Jasperze FitzHugh! Jestem Rhys ap Owain. Nie

umkniesz mi więcej!

Odpowiedziało mu wycie wiatru i szczekanie psa z oddali.

- Do licha! Owładnął tobą strach?
Czyżbyś się bał, że

staniesz się pośmiewiskiem dla
Anglików i Walijczyków?

Znieruchomiał na dźwięk podniesionych
głosów. Drzwi

jednej z chat otworzyły się gwałtownie i
ukazali się w nich

dwaj mężczyźni. Bracia FitzHugh! Mieli
tylko krótkie miecze

i sztylety, schowane w pochwach u pasa.

Rhys tak mocno ściągnął wodze, że koń
cofnął się i omal

nie stanął dęba. To ci dwaj zmienili
życie młodego syna

słynnego walijskiego wojownika,
Owaina ap Madoca. Ojciec

Rhysa chciał zawładnąć tymi ziemiami,
pożądał też Josselyn,

ich pani. Nie dane mu było osiąść
jednego, ani drugiego.

Teraz, po wielu latach, syn Owaina
zdobył oba te cenne skarby,

ziemię z niedawno wybudowanym

zamkiem i kobietę, chociaż

tym razem była to córka, nie matka.

Przez chwilę upajał się poczuciem władzy, zaraz jednak

przypomniawszy sobie, że nie będzie już mógł cieszyć się bliskością

Izoldy.

- Nareszcie się pokazaliście. - Wychylił się w siodle. -

Który z was chce pierwszy zginąć od mojego miecza?

Posłali mu mordercze spojrzenia, lecz

nie dali się sprowokować.

- Jak się czuje Izolda? - zapytał Randulf FitzHugh, postępując o krok i kładąc dłoń na rękojeści miecza. - Jak się czuje moja córka?

- Doskonale. Jesteście gotowi stawić mi czoło?

- Nie będzie żadnej walki. Nie dzisiaj - oświadczył Jasper

FitzHugh, podchodząc do brata.

Rhys przyjrzał się im z niedowierzaniem. Mimo wypowiedzianych zniewag nigdy nie uważał ich

za tchórzy. Czyżby

grali na zwłokę, licząc na przybycie posiłków?

- Stańcie zaraz do walki, bo popamiętacie - zagroził.

Randulf FitzHugh zaczął wyciągać broń, lecz brat przytrzymał jego rękę.

Rhys nie wierzył własnym oczom.

- Nie macie krzty honoru? Czy muszę zejść z konia i rzucić

wam rękawice w twarz, żebyście zaczęli zachowywać się jak

mężczyźni?

Te słowa wywarły na nich wrażenie;
wyczytał to z ich

zaczerwienionych twarzy, jednak z
jakiegoś powodu powściągnęli gniew.

- Jesteśmy tu tylko we czterech - ciągnął
Rhys, zdecydowany zmusić ich do
walki. - Dobrze wiem, że jest was
ponad dwudziestu, a jednak się mnie
boicie. - Potrząsnął głową. -

Popatrzcie no tylko - zwrócił się do
swoich ludzi. - Dwudziestu

Normanów trzęsie się ze strachu przed
czterema Walijszykami.

A to dlatego, że jesteśmy synami smoka,
najdzielniejszymi

wojownikami w całej Brytanii!

- Taki z ciebie zuch, że chowasz się za
spódnicą mojej

córki! - krzyknął Randulf.

Rhys zmierzył go lodowatym
spojrzeniem.

- Ona jest tylko przynętą, która miała
zmusić was do powrotu.

- Już samo zajęcie zamku wystarczyłoby
do przyśpieszenia

mojego powrotu. To nieprawda, że jest
twoją przynętą. Myślę,

że to raczej ty dałeś się znęcić, i tylko
dlatego ją przetrzymujesz.

A chociaż z rozkoszą bym cię teraz
pokonał, nie zamierzam

ryzykować, zanim Izolda bezpiecznie nie
powróci na łono

rodziny. Nie mogę narażać jej na
niebezpieczeństwo.

Rhys popatrzył na niego z pogardą.

- Nie chcę walczyć z tobą, tylko z
mordercą mojego ojca.

Ale jeśli sprawi ci to przyjemność,
mogę ci obiecać, że kiedy

go zabiję, zajmę się tobą.

- Żaden z nas nie stanie do walki, zanim
nie uwolnisz Izoldy -

stwierdził Jasper. - Tylko w ten sposób
możemy zyskać pewność, że twoi ludzie
nie wezmą na niej odwetu za twoją
śmierć.

Rhys wzdrygnął się, a jego koń uderzył
kopytem o ziemię.

- Nic takiego się nie stanie, już o to
zadbałem. Walińczycy

nie mszczą się na kobietach.

- Twój ojciec się mścił.

Rhys gwałtownie zaczerpnął tchu i posłał Jasperowi mordercze spojrzenie. Bardzo chciałby zaprzeczyć temu oskarżeniu, wiedział jednak, że jest prawdziwe. Owain walczył o niepodległość Walii, bronił jej przed normanskimi najeźdźcami, ale przy tym nie wahał się niszczyć wszystkich słabszych od siebie,

w tym kobiet i dzieci... a nawet własnej żony i syna.

Musiał w duchu przyznać, że Randulf ma podstawy, by

traktować go podejrzliwie i bać się o córkę. Szybko rozważył

w myślach różne możliwości. Jeśli miały nadejść posiłki,

powinien jak najszybciej stanąć do walki z braćmi FitzHugh.

A skoro nie zamierzali walczyć, zanim nie uwolni dziewczyny...

Zmusił się do opanowania.

- Dobrze, uwolnię Izoldę.

Rozległ się złowróżbny grzmot, długo rozchodzący się

echem, jakby wędrował z bardzo daleka.
Rhys zignorował znak

z niebios. Od dawna wiedział, że kiedyś
nadejdzie chwila,

w której będzie musiał uwolnić Izoldę.

- Przygotujcie się i czekajcie na mnie
przy fosie - rzucił. -

Przybądźcie sami, a ja przyjdę z Izoldą.
Potem stoczymy walkę

i raz na zawsze to skończymy.

A wtedy umrę, pomyślał. Jeśli nawet
ocale ciało, z pewnością

umrze moje serce.

U słyszała, że Rhys wraca. Musiałaby być chyba głucha,

żeby nie słyszeć tętentu końskich kopyt na moście i podniesionych głosów na dziedzińcu. Nie oderwała się jednak od swojego zajęcia. Światło błyskawicy przecięło mroczną komnatę, a po chwili grzmot załomotał okiennicami, lecz nawet to nie zrobiło na niej wrażenia.

Od chwili kiedy Rhys zniknął za masywną bramą, poczuła

nieodpartą potrzebę malowania. Nie starała się powściągnąć

swjej pasji; dała upust rozsadzającej ją
dzikiej energii. Niemal

bezwiednie namalowała na ścianie
smoka walczącego z szar

żującą wilczycą. Dwa silne stworzenia
starły się w śmiertelnym

pojedyнку. A może tylko się
obejmowały?

Tłumiąc westchnienie, zanurzyła pędzel
w naczyniu z jasnoszarą farbą. Smok
miał czarne oczy, tak jak Rhys. Wilczyca
miała mieć szare, podobnie jak ona.

Usłyszała trzaśnięcie, a potem kroki na
schodach. Czyżby

ktoś zamierzał odwiedzić ją na wieży?

Drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia,
lecz nie oderwała się

od pracy. Słyszała ciężki oddech Rhysa.
Był wściekły, co nie

powinno jej dziwić, gdyż często wpadał
w gniew.

Już dawno zauważyła, że humor
dopisuje mu tylko wtedy,

gdy są sami, oddzieleni od spraw
otaczającego ich świata

i ciężaru przeszłości.

- Przyszedłem, żeby cię uwolnić.

Drgnęła, ale nie uniosła wzroku. Smok miał długie pazury

i zionął ogniem; łapy wilczycy też były zakończone ostrymi

szponami.

- Izoldo! Wypuszczam cię z więzienia. Idź do swojej rodziny.

Pokręciła głową.

- Nie każ mi wychodzić z mojego własnego domu. - Popatrzyła na niego zdecydowanym wzrokiem. - Tak, przypominam ci, że to mój dom, i

zamierzam o niego walczyć, podobnie
jak

ty. Musisz to zrozumieć.

Stał przed dziewczyną w pełnym
rynsztunku, górując nad

nią, niemal wypełniając sobą całe
pomieszczenie. Zacisnęła

wargi. Wyglądał lepiej niż w jej snach;
był silny, pełen energii.

Podziwiała jego poczucie honoru, mimo
iż łączyło się z pragnieniem zemsty na
jej rodzinie. Głęboko zaczerpnęła tchu i
powróciła do malowania. Smok nie
prezentował się jeszcze

wystarczająco okazale.

- Musisz do nich iść - powiedział cichszym głosem. -

Już czas.

- Nie.

- Tak. Jeśli nie wyjdiesz dobrowolnie, zmuszę cię do tego.

- A mówiłeś, że nie masz zwyczaju zmuszania kobiety...

- Do licha! - Pociągnął ją i odwrócił twarzą do siebie.

Pędzel i naczynie z farbą spadły z ławy,

lecz Izolda nie zwróciła

na to uwagi. Ukochany smok zamierzał się jej pozbyć; jej serce

lada chwila mogło pęknąć.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Pójdiesz do rodziny. Czekają na ciebie.

- Co ty wyprawiasz? - Usiłowała chwycić go za kolczugę. -

Co się stanie, jeśli do nich pójdę?

Nie musiał udzielać odpowiedzi; wyczytała prawdę z jego

oczu.

- Kiedy będziesz już bezpieczna na łonie rodziny, twój stryj,

Jasper stoczy ze mną pojedynek.

- Nie rób tego, Rhysie, proszę cię.

Potrząsnął głową.

- Minęło już zbyt wiele lat, odkąd złożyłem przysięgę, że

odzyskam to, co mi się należy.

- Możesz to zyskać bez tej walki, bez niczyjej śmierci.

Patrzyli na siebie tak długo, że Izoldę zaczęły piec oczy, nie

chciała jednak mrugać, by nie zepsuć nastroju chwili. To on

pierwszy nie wytrzymał i umknął spojrzeniem.

- Jesteś kobietą, więc tego nie rozumiesz. Ale ja jestem

mężczyzną, podobnie jak oni, i muszę walczyć o to, co chcę

zdołać.

- Ja też walczę, tyle że kobiecymi sposobami, a nie waszą

bronią. - Drżała na całym ciele. -
Możliwe, że mnie kochasz, a ja

jestem pewna swojej miłości do ciebie,
więc ożeń się ze mną. To

małżeństwo raz na zawsze zakończyłoby
spór pomiędzy naszymi

rodzinami. Pobierzmy się, Rhysie.
Jestem pierworodną...

Odepchnął ją i popatrzył jak na szaloną.

- To twój brat odziedziczy... - Machnął
ręką. - Poza tym

nasz związek nie zmieni przeszłości.

- Może zmienić, jeśli na to pozwolisz.
Jeśli stanę się dla

ciebie ważniejsza niż zemsta.

Pokręcił głową. Izolda poczuła, że ogarnia ją paniczny strach.

- Rhysie, proszę. Kocham cię.

Jego twarz ściągnęła się bólem, drżał z emocji. Wyglądał

straszenie, lecz, o dziwo, Izolda doznała pokrzepienia. Dotknęła

jego torsu.

- Nie widzisz, jacy jesteśmy

szczęśliwi...

- Przestań próbować na mnie swoich sztuczek! - Rozzłościł

się, lecz ujął jej dłoń i przycisnął do piersi. - Jeśli tak to

odbierasz, musisz przyjąć mnie takiego, jaki jestem. Nie mogę

zmienić swego przeznaczenia.

Serce Izoldy ścisnęło się bólem. Rhys pragnął miłości, której

dotąd nie zaznał, ale czy mogła zgodzić się na proponowaną

cenę? Czy wolno jej było kochać
człowieka, który marzył

o tym, by zabić jej bliskich?

Coś w niej pękło.

- Nie mogę być z tobą, jeśli ojciec i stryj
zginą z twojej

ręki, ponieważ ich także kocham.

Odepchnął ją tak szybko, że się
zatoczyła.

- W takim razie idź do nich - prychnął. -
Nie możesz kochać

i mnie, i moich wrogów. Idź! - wycedził

przez zaciśnięte zęby.

Cofnęła się i objęła się ramionami.

- Zostaję. - Jej głos drżał, trzęsła się na całym ciele. -

Zostaję tutaj. W moim domu.

- Nie.

Nie namyślając się dłużej, chwycił ją i zarzucił sobie na ramię.

Poczuł niemal fizyczny ból, zmuszając się do opanowania.

Pokochał ją i omal jej tego nie wyznał, ale kiedy zamierzał po nią

sięgnąć, wyznaczyła mu na siebie zaporową cenę.

- Nie rób tego! - zawołała, starając się uwolnić z żelaznego

uścisku, lecz Rhys pozostał nieczuły na jej prośby. Nie mógł

pozwolić sobie na zmianę planów. Izolda wiała się i kopała,

okładała go pięściami po plecach, nie robiło to jednak na nim

wrażenia. Wyszedł z komnaty, ignorując zaniepokojone spojrzenie Linusa.

Od początku wiedział, że jego

zainteresowanie Izoldą nie

wróży nic dobrego, że postępuje
nierozsądnie, jak szaleniec;

nie przypuszczał jednak, że ta znajomość
może stać się tak

niebezpieczna i bolesna.

Zanim dotarł na dziedziniec, Izolda
przestała walczyć. Ciężko

było mu ją ignorować, kiedy się
szamotała, ale teraz, gdy

miętka i ciepła leżała pokornie na jego
ramieniu, łaskocząc

jedwabistymi włosami jego szyję i niepokojąc zmysły delikatnym zapachem lawendy i farby, stało się to wręcz niemożliwe.

- Puść mnie i zastanów się, czego naprawdę chcesz -

poprosiła, lekko sztywniejąc.

- Dobrze wiem, czego chcę -
odpowiedział, nie zatrzymując

się. - Zawsze to wiedziałem.

Nie zwracał uwagi na uniesione brwi i zdumione spojrzenia

mieszkańców zamku i zbrojnych.

Wartownicy popatrzyli na

niego z niepokojem, ale nie ośmielili się go zatrzymać, jako

że był teraz panem Rosecliffe i zamierzał utrzymać tę pozycję.

Minął bramę i przeszedł przez most.

Przy fosie czekali na niego

trzej towarzysze. Usłyszał krzyki dobiegające z wioski. Był

pewny, że wiadomość o pojawieniu się Izoldy błyskawicznie

dotrze do rodziny FitzHugh, a wtedy bracia będą musieli stanąć

do pojedynku.

Kiedy postawił dziewczynę na ziemi,
cofnęła się o kilka

kroków. Jej rozpuszczone włosy
łopotały na wietrze jak chorągiew.
Odgarnęła je dłonią. Walcząc o złapanie
tchu, popatrzyła na Rhysa.

- Myślisz, że jesteś odważny, bo stajesz
do walki, ale wiedz,

że miłość wymaga większej odwagi niż
zabijanie. Masz mężne

ciało, lecz tchórzliwe serce.

Jej słowa zapiekły go do żywego.

Postanowił się bronić,
wszystkiemu zaprzeczając.

- Łączy nas pożądanie, a nie miłość -
rzekł, nienawidząc

się za to kłamstwo.

Izolda gwałtownie zbladła i przyłożyła
dłoń do serca.

- To nieprawda -powiedziała drżącym
głosem, wstrząśnięta

jego słowami.

- Idź. - Wskazał drogę i stojące na niej
kobiety, w których

rozpoznał Josselyn i Rhonwen. To
dziwne, pomyślał. Te trzy

kobiety były jedyne, jakie podziwiał.
Każda z nich dała mu

w życiu pocieszenie; Josselyn zastąpiła
mu matkę, Rhonwen

stała się jego przyjaciółką, a Izolda -
kochanką. Chętnie przyjmował to, co mu
ofiarowały, ale w końcu wszystkie go
zdradziły.

Wziął głęboki oddech. Z czasem
znieawidzi je wszystkie,

nawet Izoldę.

Josselyn chwyciła męża za ramię.

- Nie walcz z nim. Proszę cię.

Zdjął jej rękę.

- Skradł nasz dom i zrobił, Bóg wie co, naszej córce, a teraz

chce zabić mojego brata. Nie, Josselyn. Wystarczająco długo

odwlekałem tę walkę. Rozumiem twoją słabość do niego, ale

on jest już mężczyzną, a nie chłopcem, którego znałaś, i musi

ponieść odpowiedzialność za swoje

decyzje. - To powiedziawszy, skierował się w stronę dwóch mężczyzn stojących na polu.

Josselyn skrzyżowała ramiona na piersiach. Rhonwen przytuliła się do niej i razem patrzyły, jak Rand i Jasper podchodzą do Rhysa. Któryś z nich miał zginąć. Chociaż zrobiły, co tylko

było w ich mocy, żeby powstrzymać mężów od walki, poniosły

porażkę.

Rhys stał nieruchomo, obserwując przeciwników. Trzej

ludzie na koniach tworzyli obronne

półkole za jego plecami.

Rand zawołał Izoldę. Po chwili wahania, patrząc na Rhysa,

rzuciła się ojcu w ramiona. Josselyn i Rhonwen zauważyły tę

chwilę niepewności i wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Ona go kocha - powiedziała cicho Josselyn.

- Nic w tym dziwnego. To dobry człowiek, jestem tego pewna.

- Szkoda, że nasi mężowie nie dzielają tego zdania.

Minęli ich trzech rycerze na koniach,
jadący do swoich panów.

Znów rozległ się grzmot.

- Niech spadnie deszcz - modliła się
głośno Josselyn. -

Niech niebiosa ześlą ulewę, śnieg, grad,
cokolwiek. Boże,

proszę, nie dopuść do tej walki. Święta
Mario, módl się za

nami. Powstrzymaj tych szaleńców.

Jedyną odpowiedzią był kolejny grzmot.
Rand delikatnie

pchnął córkę w stronę wioski.

- Idź do mamy - powiedział.

- Izoldo! - zawołała Josselyn, szeroko rozkładając ramiona.

Nie była w stanie powstrzymać
mężczyzn, musiała jednak

uchronić córkę od oglądania rzezi. -
Izoldo! Chodź tutaj!

Dziewczyna zauważyła matkę i ciotkę.
Miała wielką ochotę

do nich podbiec, nie chciała jednak
zostawiać mężczyzn,

obawiając się, że zaczną walczyć.

- Mamo! -krzyknęła. -Mamo, zatrzymaj ich! Tato, stryju!

- Próbowaliśmy temu zapobiec!

Izolda potrząsnęła głową i popatrzyła na Rhysa. Ojciec,

stojący pomiędzy nim a Jasperem, ustalał zasady walki. Miał

to być pojedynek na śmierć i życie o władzę nad zamkiem.

Przeniosła wzrok na Rosecliffe, swój ukochany dom, na

którym jednak nie zależało jej tak, jak na
życiu trzech bliskich

jej mężczyzn. Nagle z cienia bramy
wyłonili się Newlin z Tillo

i stanęli obok siebie, jakby tworząc
zwarty front. Izolda nabrała

otuchy.

Nie zastanawiając się dłużej nad swoim
postępowaniem,

odwróciła się od matki i ruszyła w
stronę zamku. Była tak

zdecydowana, że błyskawica i grzmot,
który po niej nastąpił,

nie zatrzymały jej ani na chwilę.

- Wracam do zamku -oznajmiła, mijając trzech oniemiałych

mężczyzn. - Do swego domu. Nie przychodź do mnie, ojcze,

jeśli ty albo Jasper zrobicie krzywdę Rhysowi. A ty, Rhysie,

nie przychodź, jeśli przelejesz krew mojego ojca lub stryja.

Nie wiedziała, czy odprowadzają ją wzrokiem. Trzej Walijszczyki na koniach i wartownicy patrzyli na nią, jakby postradała zmysły, ale Newlin się uśmiechnął, a Tillo ukradkiem ścisnęła

jej dłoń.

- Proszę - zwróciła się do nich Izolda. -
Zróbcie coś, co

położy kres temu szaleństwu.

- Idź do zamku, dziecko - rzekł Newlin. -
Zrobiłaś już

wszystko, co mogłaś. Reszta należy do
nich. - Popatrzył na

Rhysa i dwóch Anglików. - Jest w
rękach ich i Boga.

Idąc przez dziedziniec, Izolda musiała
walczyć z chęcią

odwrócenia głowy. Nikt się do niej nie odezwał, chociaż czuła

na sobie spojrzenia zgromadzonych. Niektórzy sprawiali wra

żenie oniemiałych, inni byli zmieszani; jedynie na twarzach

kilku kobiet malowało się współczucie, tak jakby ją rozumiały.

Przycisnęła dłoń do skroni. Nie rozumiała swojego postępowania, działała instynktownie. Przeszła przez pustą wielką sień i pewnym krokiem weszła na schody. Minęła swoją dawną

komnatę, komnatę Rhysa na drugim

piętrze - sypialnię jej

rodziców - i doszła na wieżę, do niewielkiej komnaty, którą

zajmowała od niedawna.

Ściemniało się. Gruba warstwa przemieszczających się chmur

zasłoniła słońce, jakby chcąc okazać śmiertelnikom swe niezadowolenie. Izolda popatrzyła na rozpoczęte malowidło. Rozbryzgana szara farba zaplamiła smoka i wilczycę. Czyżby ich połączyła? To niemożliwe.

Dziewczyna odwróciła się. Wszystko było skazane na zagładę:

malowidło, jej miłość, rodzina,
przyszłość. Trzej mężczyźni zabijają

się nawzajem, przy okazji niszcząc także
i ją. Nie była w stanie ich

powstrzymać, a teraz nie miała w sobie
sił, by na nich patrzeć.

Podniosła przewrócone naczynie i
pędzel, a chociaż niewiele

widziała przez łzy, znalazła ścierkę i
zaczęła wycierać rozlaną

farbę. Nie była jednak w stanie
kontynuować malowania. Mimo

przerażenia wyteżała słuch, bojąc się, że

dobiegnie ją szczęk broni,

lecz panująca dookoła cisza także nie przynosiła jej ukojenia.

Umoczyła palec w szarej farbie i namalowała krzyż pomiędzy

smokiem a wilczycą.

- Niech Bóg ma w swej opiece
Walijczyków i Anglików.

26

Rhys spojrzął spode łba na Jaspera FitzHugh, człowieka,

którego nienawidził od niepamiętnych czasów.

Zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Zamierzał kolejno rozprawić się z wrogami. Dzięki doświadczeniu zdobytemu w niezliczonych turniejach, pojedynkach i na polach bitewnych wiedział, że chcąc bez szwanku wyjść z opresji, należy całą

uwagę poświęcić aktualnemu przeciwnikowi. Powinien więc

najpierw zabić młodszego z braci
FitzHugh, a dopiero potem

Randulfa, jeśli ojciec Izoldy w ogóle
stanie do walki.

A kiedy stawisz czoło Izoldzie? -
pomyślał.

Poczuł, że drży mu ręka. Ostrze
potężnego miecza nieznacznie się
uniosło, co natychmiast zauważył Jasper
FitzHugh.

- Czyżbyś się wahał? - zapytał Jasper. -
Obleciał cię strach?

A może to twoje wątpliwości sprawiają,
że drży ci ręka?

Rhys mocniej ścisnął miecz i natychmiast poczuł ostry,

przeszywający ból w chorym ramieniu. Miał nadzieję, że to

pobudzi jego gniew. Popatrzył szacującym wzrokiem na przeciwnika. Jasper FitzHugh bez wątpienia miał już za sobą najlepsze lata, ale nie roztył się, był rosły i silny, i z pewnością

pozostał trudnym przeciwnikiem. Ich spojrzenia się spotkały.

- Nie boję się walki, na którą czekałem całe dwadzieścia lat.

- A jednak teraz gra idzie o większą

stawkę i widzę, że

opadły cię wątpliwości.

- Nic się nie zmieniło - zapewnił Rhys, rzucając się w przód.

Jasper natychmiast odskoczył i na początek starli się tylko

końcami mieczy.

Czy Izolda obserwuje ten pojedynek? - przemknęło Rhysowi

przez głowę.

Znów zadrżała mu ręka.

- Musiała się w tobie zakochać -
stwierdził rzeczowym

tonem Jasper. - To jedyne możliwe
wyjaśnienie dziwnego

zachowania mojej bratanicy. Ona cię
kocha.

- Widocznie niezbyt mocno - mruknął
Rhys i z furią natarł

na Jaspera, zmuszając go do cofnięcia
się. Ledwie zdawał sobie

sprawę z obecności otaczających ich
mężczyzn z zamku i wioski,

którzy pragnęli zobaczyć walkę

pomiędzy śmiertelnymi wrogami.
Wiedział, że Randulf FitzHugh czeka, by
zająć miejsce brata w razie jego
śmierci. Ponowił atak, pałając żądzą
pokonania przeciwnika.

Tymczasem ustąpienie pola przez
Jaspera okazało się tylko

manewrem taktycznym, a nie oznaką
słabości.

- Zastanów się, dlaczego ze mną
walczysz - ciągnął Jasper,

zadawszy cios. - Twój ojciec zginął z
mojej ręki, ale dzięki

temu Josselyn została ocalona. Chciał ją

zamordować; dobrze,

że w porę udało mi się go zabić.

Uważasz, że mężczyzna, który

gotów był zabić kobietę, zasługuje na
twoją lojalność? Sądzisz,

że twój ojciec zrobiłby dla
mieszkających tu Walijczyków tyle

co moja szwagierka? Nie zapominaj, że
Josselyn leczyła ich,

karmiła, pomagała, jak tylko mogła, i
udało jej się utrzymać

pokój.

- Zachowaj siły na walkę - ostrzegł Rhys. Nie chciał tego

słuchać. Wymierzył cios, lecz Jasper zręcznie go odparł. Przez

chwilę stali w zwarciu, twarzą w twarz.

Rhys z przerażeniem zauważył, że Jasper ma oczy bardzo

podobne do oczu Izoldy; o tym samym odcieniu szarości,

barwy deszczu i błyszczącego kwarcu.

- Nie! - Czując nagły przypływ sił, odepchnął przeciwnika.

Nie chciał widzieć oczu Izoldy w twarzy wroga.

Jasper potknął się o kamień i opadł na kolano. Wprawdzie

zerwał się na nogi, zanim rozległo się przeciągłe westchnienie

zgromadzonych, lecz Rhys zyskał wystarczająco dużo czasu,

by przygotować atak.

Nie ruszył się jednak. Zawahał się, a kiedy już było za późno,

zaklął siarczyście. Czyżby miał zamiar stracić życie dla pary

szarych oczu? Dla kobiety, która nie potrafiła pokochać go

mocniej niż rodzinę?

- *Uffern dan!* - krzyknął, atakując z nowym zapasem sił,

siekąc mieczem i zmuszając Jasperra do obrony.

Nie byli teraz w stanie złapać tchu, by prowokować przeciwnika słowami; walczyli, uważając, by nie pośliznąć się na grząskim gruncie. Gdzieś z oddali dobiegł Rhysa odgłos burzy,

usłyszał krzyki zachęty do walki.

- Już go masz!

- Tak, tak i jeszcze raz!

- Ostrożnie. Nie śpiesz się!

Pot spływał mu po twarzy i ramionach,
piekły niezagojone

rany, mięśnie kurczyły się i napinały,
gdy próbował skruszyć

zasłony przeciwnika. Ufał instynktowi,
który bezpiecznie przeprowadził go
przez setki, a może nawet tysiące
podobnych walk.

Chociaż Jasper FitzHugh był niełatwym
przeciwnikiem, Rhys,

jako młodszy i sprawniejszy, z każdą chwilą zyskiwał przewagę.

Zaczynał czuć smak zbliżającego się zwycięstwa. Widział,

że Jasper FitzHugh jest już zmęczony; wolniej unosi ciężki

miecz i zadaje coraz mniej precyzyjne, coraz słabsze ciosy.

Stryj Izoldy doskonale władał mieczem, lecz nie był już

w stanie dłużej dotrzymać pola młodszemu przeciwnikowi.

Nagle wielka błyskawica rozjaśniła

okolice upiornym świat

łem, a towarzyszący jej potężny grzmot
rozdzielił walczących

jak wielka pięść z niebios. Spłoszone
konie stanęły dęba, a do

uszu Rhysa pomału zaczęły docierać
alarmujące krzyki.

Włos zjeżył mu się na karku. Powietrze
wypełnił zapach

spalenizny.

- Boże! - krzyknął, zdezorientowany. Co
się stało? Był

pewien, że piorun uderzył gdzieś niedaleko. Ludzie rzucili się

do ucieczki, szukając schronienia. Jego przeciwnik stał oniemiały, zakrywając ręką ucho.

Rhys potrząsnął głową. Wreszcie nadeszła długo oczekiwana

chwila! Jasper opuścił miecz tak, że Rhys bez trudu mógł zadać

śmiertelny cios.

Zmusił się do opanowania. Uznał, że skorzystanie z zamieszania po uderzeniu błyskawicy nie splami jego honoru. Gdyby FitzHugh doszedł do siebie

pierwszy, z pewnością nie przepuściłby nadarzającej się okazji.

Przygotował się do zadania ciosu, skupiając wzrok na miejscu

pomiędzy szyją a barkiem, gdzie zbroja była najszabsza. Dwadzieścia lat, pomyślał. To już dwadzieścia lat planowania zemsty, nienawiści do tego człowieka i całej jego rodziny.

Jasper skrzywił się i potart ucho; najprawdopodobniej wciąż

był ogłuszony. Tymczasem Rhysowi wrócił słuch; teraz dobrze

rozdzielał już krzyki, parskanie

oszałałych koni i ryk bydła.

Uderzaj, teraz, natychmiast! - domagał się wewnętrzny głos,

podejrzanie twardy i okrutny, jak ojcowski, jednak z niewiadomego powodu Rhys się wahał. Uniósł miecz. Jeden szybki ruch i zemsta się dopełni.

I wtedy usłyszał przenikliwy krzyk, przebijający się przez

cały zgiełk i zamieszanie.

- Pali się! Wieża się pali!

Krew odpłynęła Rhysowi z twarzy. Izolda! Odwrócił się

w stronę zamku i z przerażeniem
zauważył ogień strzelający

wysoko w ołowiane niebo. Czy udało
się do swej komnaty

i znajdowała się na płonącym piętrze?

Zapomniał o zemście i o przeciwniku,
który nie zdążył

jeszcze dojść do siebie. Nie zdawał
sobie sprawy nawet z tego,

że wciąż trzyma miecz. Puścił się pędem
w stronę zamku. Jeśli

Izolda była na wieży, musiał ją stamtąd
wydostać.

Przebiegł przez pole, most, bramę.
Dookoła panowało potworne
zamieszanie, psy ujadały, ludzie
krzyczeli, wyciągniętymi rękami
wskazując wieżę, w której przebywała
Izolda.

Wbiegł po schodach do wielkiej sieni,
mijając uciekających

przed pożarem, a potem popędził na
górze, czując coraz mocniejszy swąd
spalenizny.

- Izoldo! - krzyknął. - Izoldo!

Słyszał jednak tylko echo jej ostatnich
słów, wypowiedzianych do niego przed
walką.

*Nie przychodź do mnie, jeśli przelejesz
krew mojego ojca*

*lub stryja. A wcześniej prosiła go, by
wybrał ją, a nie zemstę.*

Nie zdobył się na to.

Boże, czyżby miał ponieść okrutną karę
za to, że okazał się

ślepy i bezdusznym głupcem?

- Boże, ocal ją - modlił się, wbiegając
po krętych schodach

po trzy naraz. - Boże, proszę, nie karz
mnie jej krzywdą. Jest

niewinna. Ocal ją.

Izolda słyszała jakiś dziwny szum. Była ociążała i bolała

ją głowa, ale nareszcie się rozgrzała. Mimo pulsującego bólu

i szumu w uszach uśmiechnęła się. Ostatni raz było jej tak

cudownie ciepło, kiedy leżała z Rhysem w jego wielkim łóżu...

Powróciły bolesne wspomnienia. W tej chwili Rhys toczył

pojedynek ze stryjem Jasperem, miał zamiar walczyć z jej

ojcem. Głęboko zaczerpnęła tchu i omal
nie zakrztusiła się

dymem.

Co się stało?

Z trudem dźwignęła się na łokciach i
uniosła ciężkie powieki.

Nie wierzyła własnym oczom. Część
dachu zawaliła się,

a druga część płonęła. Jęzory ognia
strzelały wysoko w niebo.

Przypomniała sobie błysk światła i
potężny grzmot. Piorun

musiał uderzyć w Rosecliffe!
Śmiertelnie przerażona, usiadła

na łożu. W komnacie było gorąco i szaro
od dymu. Zamrugła,

by powstrzymać łzy. Musiała się stąd
wydostać!

Poczuła ból w plecach, promieniujący
do nogi, i zawroty

głowy. Zdezorientowana, rozejrzała się.
Jedna ściana zamku

zawaliła się, tak że Izolda widziała
niebo i czuła podmuchy

wiatru. Przyłożyła rękę do głowy w

nadziei, że powstrzyma

nieznośne wirowanie. Gdzie są drzwi,
schody?

Ogarnięta panicznym strachem, po
omacku próbowała przejść

przez kamienie i kłody. Czowała, że padają
na nią gorące skry,

popiół i zwęglone kawałki drewna.
Miała wrażenie, że znajduje

się w piekle.

- Rhysie! - zawołała, dusząc płomienie
na rękawie sukni. -

Rhysie, pomóż mi! - krzyknęła, nie zdając sobie sprawy ze

swoich poczynań. Co chwila przecierała oczy. Gdzie są drzwi?

Zaniosła się kaszlem, przywarła twarzą do posadzki, gdzie dym

nie był tak gęsty, i łapczywie zaczerpnęła chłodniejszego

powietrza. Miała nadzieję, że nie straci przytomności.

Nie mogła jednak znaleźć drzwi. W końcu dostrzegła je

zza rumowiska zawałonej ściany. Ich

górną połowę stała

już w ogniu!

Część mieszkańców zamku uciekła,
bojąc się gniewu

Boga, który najwyraźniej wolał
zniszczyć Rosecliffe, niż pozwolić na
walkę; lecz pozostali oraz bracia
FitzHugh, ich żony i zbrojni zbiegli się
na dziedzińcu.

Wciąż oszołomiony Jasper mobilizował
ludzi do walki

z żywiołem. Randulf rozpaczliwie
wypatrywał w tłumie swej

córki.

- Gdzie ona może być? Tutaj na pewno jej nie ma! -

zawołała Josselyn, podbiegając do niego. - Musimy ją znaleźć! -

Zauważywszy Newlina, natychmiast odwróciła się w jego stronę. - Newlinie, pomóż nam! Musimy znaleźć Izoldę!

- Już po nią poszedł - odpowiedział spokojnie bard. - Rhys

ap Owain po nią poszedł. Ma silną wolę i bałem się o niego,

ale już po wszystkim - dodał, patrząc na Tillo. - Oto spełnia

się trzecia przepowiednia.

Josselyn zamrugła. Jak mogła zapomnieć o gorącej ulewie?

Rhys pobiegł na pomoc Izoldzie. Czyżby miało to oznaczać

koniec szaleństwa?

Podeszła do Randa, kierującego się do wielkiej sieni, i złapała

go za ramię.

- *Zimowy chłód rozpędzi gorąca ulewa.*

Ulewa to właśnie

ten pożar. Kiedy to się skończy...

- Skończy się, kiedy Rhys ap Owain zostanie pozbawiony

władzy. Ale najpierw muszę znaleźć Izoldę.

- Jest w wieży, a Rhys pobiegł jej na pomoc. Nie rozumiesz?! - zawołała, wstępując za mężem na schody. - Mógł

zabić Jaspera, ale Izolda okazała się dla niego ważniejsza niż

zemsta!

Popatrzył na nią ponuro. W wielkiej sieni pojawiły się

smugi dymu.

- Jest naszym wrogiem i nie mogę mu ufać. Sam znajdę

Izoldę. - Chwycił żonę za ramię i obrócił w stronę drzwi. -

Idź na dziedziniec, zwołaj ludzi i ratujcie, co się da.

Josselyn zamierzała zaprotestować. Sama pragnęła znaleźć

Izoldę i utulić ją w ramionach, chciała też zapobiec gwałtownej

reakcji męża.

Jednakże widząc go, wspinającego się na spowite dymem

schody, nie odezwała się. Postanowiła
zaufać mężowi, który

jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Kochał
córkę równie mocno, jak

ona; a przy tym był prawym,
sprawiedliwym człowiekiem.

Wiedziała, że Rhys będzie musiał w
końcu zapłacić za swoje

postępki. Któż jednak mógł lepiej ukarać
upartego walijskiego

rycerza niż Randulf i Izolda?

Na pierwszym i drugim piętrze było pusto, co oznaczało,

że Izolda może być tylko w komnacie na wieży. Na myśl

o tym, że została uwięziona w płonącym pomieszczeniu,

Rhysowi zamarło serce, jednak ani na chwilę nie zwolnił

tempa szalonej wspinaczki po schodach. Dym gęstniał z każdą

chwilą, jak nadrzeczna mgła, był gorący i odbierał oddech. Po

drodze Rhys zerwał zasłonę w spiżarni i
teraz zasłaniał nią

usta i nos.

- Izoldo! - Gdzie się podziewała?

Drzwi do komnaty w wieży były
zamknięte, lecz wydobywał

się spod nich gryzący czarny dym. Bez
chwili namysłu Rhys

natarł na ciężką dębową płytę. Drzwi
ledwo drgnęły.

- Izoldo! Izoldo! - Tym razem
zaatakował wejście ramieniem. Czuł, że
dziewczyna jest w środku.

Drzwi nieznacznie się odchyliły, tak że
mógł się zorientować,

jakie piekło panuje wewnątrz. Ogień
obejmował już drzwi,

wypełzał na schody.

- Izoldo!

Uchyliwszy się przed płomieniami,
natarł na drzwi całym

ciałem, raz, drugi, trzeci... wreszcie
ustąpiły na tyle, że zobaczył

stertę kamieni, blokujących wejście.
Błyskawica roztrzaskała

mury Rosecliffe!

Zakaszłał i cofnął się, pokonany przez
żar i dym, szybko

wypełniający klatkę schodową. Otarł
łzawiące oczy, ale nie

przyniosło mu to ulgi. Schylił się,
głęboko zaczerpnął tchu

i jeszcze raz natarł na drzwi. Tym razem
uchyliły się na tyle,

że mógł się wśliznąć do środka.

- Izoldo...

- Rhys!

Siedziała skulona w rogu za drzwiami,
usiłując odciągnąć

zagradzające je kamienie. Izolda
wyciągnęła rękę, a Rhys

pomógł jej wstać.

Nad ich głowami zaskrzypiały belki
stropowe. Syczący

ogień sypnął skrami i popiołem. Rhys
wypchnął dziewczynę

na zewnątrz, po czym sam wyśliznął się
z komnaty.

Na schodach było już gęsto od dymu.
Izolda zakrztusiła się,

a jej wątłym ciałem wstrząsnął kaszel.
Rhys przeraził się,

widząc jej walkę o złapanie tchu.
Wiedział, że musi jak

najszybciej wyprowadzić ją z płonącego
zamku, gdyż potrzebowała świeżego
powietrza i wody. A gdyby spłonęła...

- Rhysie... - wyszeptała. Zdał sobie
sprawę, jak bardzo mu

na niej zależy i jak wielka jest jego ulga.
Chwycił dziewczynę

w ramiona i ruszył w stronę schodów,
lecz się szarpnęła.

- Zaczekaj. - Zakaszłała i chwyciła się ściany. - Drzwi....

Zamknij... - Urwała, zanosząc się gwałtownym kaszlem.

- Najpierw muszę cię uratować.

- Proszę, zamknij te drzwi, bo spali się cały zamek.

A niech się pali, pomyślał. Myśl o zniszczeniu Rosecliffe

jako symbolu angielskiej dominacji w Walii była kusząca.

Skoro nie będzie panem zamku, niech nie korzystają z niego

i członkowie rodu FitzHugh.

Co jednak miał począć z Izoldą FitzHugh, którą trzymał

w ramionach? Działając na szkodę rodziny, zraniłby i ją.

Tymczasem właśnie przed chwilą się przekonał, że już nigdy

nie będzie w stanie jej skrzywdzić.

Pomimo oślepiającego dymu i nieznośnego żaru puścił

dziewczynę i, kuląc się przed ogniem, odnalazł gałkę u drzwi.

Była rozżarzona, ale miał rękawice,
więc po chwili udało mu

się zatrzasnąć ciężką płytę. Solidne
dębowe drzwi z pewnością

na pewien czas nie dopuszczą do
rozprzestrzenienia się ognia.

Walcząc o złapanie tchu, oślepiiony
dymem, wrócił do Izoldy

i mimo jej protestów wziął ją w
ramiona. Powoli, ostrożnie

zstępował ze schodów, co chwila łapiąc
ożywcze zimne powietrze, dochodzące z
dołu.

- Jesteś poparzona? - zapytał,
przystanąwszy na pierwszym
piętrze i oparłszy się o mur.

Twarz Izoldy była kredowobiała i
poplamiona sadzą, oczy

zaczerwienione od dymu i łez; iskry i
płonące drzazgi wypaliły

dziury w jej sukni. Patrzyła jednak przed
siebie spokojnym

wzrokiem i mówiła silnym, choć
schrypniętym głosem.

- Nie jestem poparzona. To znaczy...
noga... będzie bolała.

Ale to nie są poważne obrażenia.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Znów mnie uratowałeś. Jak ja ci się odwdzięczę?

Pokręcił głową. Nie chciał, by mu dziękowała. Wolałby

w ogóle nie poruszać tego tematu. Nie mógł znieść myśli o tym,

jak bliska była śmierci.

- Znów mnie uratowałeś - powtórzyła jednak, przytulając

się do niego.

Nagle poczuł, jak mocno wali jej serce.
Odwrócił wzrok.

Dwa piętra wyżej szalał pożar, jaki
wywołać mógł chyba tylko

sam diabeł, tymczasem na dziedzińcu
czekało kolejne piekło.

Musiał się tam spotkać z rodziną Izoldy,
swoimi odwiecznymi

wrogami.

Jednakże żadnego z tych piekieł nie bał
się tak jak władzy,

jaką miała nad nim ta szczupła
rozczochrana dziewczyna, którą

trzymał w ramionach. Bóg miał w swych
rękach jego duszę,

bracia FitzHugh jego życie, a Izolda
zawładnęła jego sercem.

Gdyby miało się okazać, że nie kocha go
całym ciałem i duszą,

gdyby odwróciła się od niego i odeszła
do rodziny, chybaby

tego nie przeżył.

Przytulił ją mocno.

- Nie mogę... - Głos mu się załamał. -
Nie mogę żyć bez

ciebie.

Izolda zdała sobie sprawę, że musiał stoczyć wewnętrzną

walkę. Gdyby go nie znała, udręczony głos, jakim składał to

wyznanie, doprowadziłby ją do rozpacz. Nie rozumiałaby,

dlaczego miłość przyprawia go o smutek, a nie o radość.

Jednak Rhys był niepodobny do innych mężczyzn. Przyznanie

się do swoich uczuć oznaczało dla niego wyparcie się lat

przepełnionych nienawiścią.

Powiedział jednak, że nie może bez niej żyć.

Uścisnęła go mocno.

- Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz.
Chociaż słyszałam,

jak ogień niszczy dach i jak kruszy się
kamienny mur... -

Zakaszła, po czym uśmiechnęła się na
widok drogiej osmalonej twarzy Rhysa.

- Mimo to wiedziałam, że przyjdiesz.

Zauważyła, że przełknął z trudem ślinę.
Nie odpowiedział

jej, nie potrzebowała jednak słów, by
poznać prawdę płynącą

z serca. Zaczął zstępować ze schodów.
Izolda odprężyła się

w jego silnych ramionach. Złożyła
głowę na jego ramieniu

i uśmiechnęła się, gdyż wśród pożaru i
zgliszczy dostrzegła

promyk nadchodzącego szczęścia.

- Wiesz, że ja też nie mogę bez ciebie
żyć, więc myślę, że

musimy zdecydować się być razem albo
oboje musimy

umrzeć. - Uśmiechnęła się i dotknęła jego szyi tuż przy

kolczudze, chcąc poczuć ciepło jego ciała. - Nie muszę się

zastanawiać, która z tych możliwości bardziej mi odpowiada.

Popatrzył na nią.

- Ja też nie.

Urwał, spostrzegłszy zaniepokojonego ojca Izoldy, biegnącego w ich stronę. Randulf FitzHugh zbladł na widok córki.

- Jesteś ranna? Izoldo...

- Nic mi się nie stało, ojciec. Naprawdę.
Rhys mnie uratował...

- To przecież on naraził cię na
niebezpieczeństwo - przerwał

jej Randulf, ze złowieszczym świstem
wyciągając miecz. -

Puść ją - nakazał Rhysowi, po czym
zwrócił się do Izoldy: -

Możesz iść o własnych siłach?

Rhys zamierzał ją uwolnić, lecz ona
kurczowo chwyciła go

za ramię i zmierzyła ojca surowym
spojrzeniem.

- Nie dam rady. - Uśmiechnęła się do Rhysa. - Czy mógłbyś

mnie zanieść do mamy?

W tej właśnie chwili Josselyn wbiegła na schody, a zauwa

żywszy całą trójkę, z wrażenia upuściła chustkę, którą trzymała

przy ustach.

- Izolda! Rhysie, udało ci się! - Matka i córka popatrzyły

na siebie, a chociaż nie odezwały się ani słowem, Izolda

zyskała pewność, że matka ją rozumie.
Josselyn machnęła

ręką. - Zanieś ją na dziedziniec. Musimy
się pośpieszyć,

Randzie. Jasper ustawił już ludzi z
wiadrami.

Izolda widziała, że ojciec jest wściekły
na Rhysa, lecz w tej

chwili najważniejsze było gaszenie
pożaru.

Córka była już bezpieczna, ale zamek
Rosecliffe mógł

spłonąć. Randulf uniósł wzrok w stronę

wieży.

- Zamknąłem drzwi, ale ogień strawił większą część dachu -

powiedział Rhys, zstępując ze schodów.

-Trzeba jak najszybciej opanować pożar.

Skrzyżowali nieufne spojrzenia. Stali blisko siebie i tylko

obecność dziewczyny w ramionach Rhysa zapobiegła walce.

Zapewne jeszcze przez pewien czas będzie musiała łagodzić

męskie spory.

Chwyliła rękę ojca.

- Uważaj na siebie, tato. Bardzo cię kocham.

- Ja też cię bardzo kocham, moje dziecko - odpowiedział

burkliwie.

- Chodź już - ponagliła go Josselyn, uśmiechając się do

córki, a po chwili także i do męża. - Tak. Uważaj na siebie,

najdroższy, bo i ja bardzo cię kocham.

W chaosie panującym na dziedzińcu

zarysowały się pierwsze

oznaki porządku. Chłopcy w szaleńczym tempie czerpali wodę

ze studni. Kobiety podawały im puste wiadra, kotły i cebrzyki,

mężczyźni biegali z pełnymi naczyniami na górę. Znów rozległ

się grzmot, a błyskawica, która przecięła niebo, uderzyła

w pobliski las z taką siłą, że wszyscy podskoczyli.

Czy to koniec świata? Izolda była tak szczęśliwa, że została

uratowana i doczekała się wyznania Rhysa, a mężczyźni nie

dokończyli pojedynku, iż nie zdawała sobie sprawy z powagi

sytuacji. Dopiero teraz, gdy Rhys posadził ją na beczce przy

bramie, rozejrzała się i wstrzymała oddech.

Płomienie ognia strzelały wysoko w ciemne niebo, a płonące

kawałki drewna, sypiąc skrami, opadały na zamkowe mury,

dziejziniec i zabudowania

gospodarskie. Trzy kobiety dławily

ogień mokrymi szmatami. Zapaliły się
drwa zgromadzone

w pobliżu kuchni, lecz dwóch
młodzieńców szybko ugasiło

płomień. Pożar wciąż jednak szalał na
wieży. Czuła na policzkach jego żar.

Zimowy chłód rozpędzi gorąca ulewa.

Nagle przypomniała sobie dziecięcą
piosenkę. Czyżby spełniała się trzecia
przepowiednia i ten wielki ogień miał
wypędzić chłód zimy?

- Nie idziesz im na pomoc? - odezwał

się niespodziewanie

Newlin. Zaskoczona dziewczyna aż podskoczyła, lecz stary

bard patrzył na Rhysa. - Nie zależy ci na ocaleniu Rosecliffe?

To dobry, solidny dom.

Nieopodal stała Tilly. Po raz pierwszy nie przypominała

mężczyzny. Jej wiecznie sterczące siwe włosy były schludnie

przyczesane, okalając łagodną twarz.

- To tylko ludzie decydują o tym, czy

dom jest dobry

i solidny, niezależnie od tego, czy to zamek, czy biedna chata. -

Uśmiechnęła się do młodego mężczyzny, z którym odbyła

wiele podróży. - Pomóż ocalić ten dom, mój chłopcze.

Izolda domyślała się, że Rhys nie ma chęci bronić zamku.

Nie musiał brać udziału w gaszeniu pożaru. I tak zrobił więcej,

niż można było się po nim spodziewać, ryzykując życie, by ją

uratować, mimo że nie zagoiły się
jeszcze jego rany.

Jednak kiedy spojrział na nią z
westchnieniem i uśmiechnął

się, jej serce wezbrało radością.

- Wrócę do ciebie - powiedział. -
Musimy jeszcze wyjaśnić

wiele spraw. - To powiedziawszy,
chwycił dwa wiadra i zniknął

w wypełnionej dymem wielkiej sieni.

Kolejna błyskawica przecięła niebo.
Izolda wzdrygnęła się,

lecz tym razem przed grzmotem nastąpiła
chwila ciszy, a potem

rozległ się szum deszczu.

Wkrótce rozpętała się deszczowa
nawałnica. Strumienie

wody siekły wszystko na swej drodze.

Ludzie znów rozbiegli

się w poszukiwaniu schronienia, kryjąc
się w kuchni i piwiarni,

w stajniach, pralni i pod murami.

Izolda wstała, z radością wyciągnęła
ręce, by schwytać wodę

w dłonie, i wystawiła twarz na zimny wiatr i deszcz, który

mieszał się ze łzami wdzięczności.

- To twoja sprawka? - zapytała Newlina, starając się przekrzyczeć wściekły szum wody. - To ty sprawiłeś, że spadł

deszcz... i ściągnąłeś te błyskawice?

Stary bard z uśmiechem pokręcił głową.

- Jestem tylko obserwatorem - poprawił ją. - Czasami

dostrzegam zjawiska, które umykają innym. Zdarza się, że

wyrażam swoją opinię, a nawet udzielam rady. Ale dlaczego

miałbym mieć władzę nad pogodą? Nie jestem też w stanie

kierować ludzkimi poczynaniami.

Izolda nie wiedziała, czy może mu wierzyć, ale w tej chwili

nie miało to znaczenia. Zobaczyła, że ogień na wieży pryska

i przygasa z potężnym sykiem, a potem nagle znika w ciemnym

obłoku dymu. Uśmiechając się szeroko, popatrzyła na Newlina.

- Może rzeczywiście jest tak, jak mówisz, ale nie wmawiaj

mi, że nie wiedziałeś, jak to się skończy. A teraz pozostaje mi

już tylko doprowadzenie do zgody pomiędzy Rhysem, stryjem

i ojcem.

Newlin uśmiechnął się do dziewczyny i zaczął kołysać się

w przód i w tył. Tilly delikatnie chwyciła jego dłoń i dopasowała

się do jego rytmu. Westchnął z zadowoleniem. Patrzyli, jak

Izolda z uniesionymi rękami idzie przez dziedziniec, jakby

błagała deszcz, by nie przestawał padać.
Weszła do wielkiej

sieni, chcąc znaleźć ukochanego.

- Koniec zimy jest bliski - mruknął
Newlin.

- Przecież ledwie się zaczęła -
stwierdziła Tilly, lecz po

chwili zrozumiała słowa barda. - Tak,
koniec zimy jest bliski,

ale jest mi zimno i jestem głodna.
Chodź, rozpalimy ognisko.

Oczy starego barda zaiskrzyły
podejrzanie.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz
chronić się przed burzą

w swoim nędznym szałasie?

Odchrząknęła.

- W tej lodowni? Będziesz musiał
poprosić kogoś w wiosce,

żeby udzielił nam schronienia. Będą się
bali ci odmówić.

- Nie mają powodów, żeby się mnie bać
- obruszył się.

- To prawda - przyznała Tilly,
uśmiechając się do niego. -

Zdecydowanie nie muszą się ciebie
obawiać.

Izolda zauważyła w sali matkę i ciotkę
Rhonwen.

- Gdzie on jest?

- Na górze. Są tam wszyscy trzej -
odpowiedziała Josselyn,

machając ścierką, by rozpędzić dym.
Rhonwen otworzyła dwa

dolne okna, a służący właśnie otwierał
kolejne. Do wnętrza

wdarły się ożywcze powiewy wiatru.
Od strony schodów wciąż

dolatywał dym, jakby nie wiedząc, czy
ma buchnąć, czy opaść;

nie był już jednak tak gęsty i czarny jak
jeszcze przed chwilą.

Deszcz spadł w samą porę.

Izolda weszła na schody.

- Utykasz! - krzyknęła matka, śpiesząc za
nią.

- To nic poważnego.

- Izoldo...

- Mamo, muszę znaleźć Rhysa.

- Rozumiem. - Jossleyn uściskała córkę.

- Oczywiście, że

musisz go znaleźć. - Wraz z Rhonwen ruszyły za Izoldą.

Zastały mężczyzn na trzecim piętrze.

Drzwi komnaty były

szeroko otwarte. Wciąż snuł się z nich dym, podobnie jak ze

zwęglonych krokwi zapadniętego dachu.

Jednak ogień nie miał

szans w walce z potężną ulewą.

Choć mokrzy i brudni, mężczyźni
znajdowali się w radosnym

nastroju, lecz wraz z pojawieniem się
Izoldy opuściło ich

uczucie triumfu. Wszyscy popatrzyli na
Rhysa. Mimo że

najważniejszy problem został
rozwiązany, pozostało jeszcze

wiele niedomówień.

Izolda była jednak zdecydowana
zakończyć wszelkie waśnie.

Podeszła do ojca.

- Ojczy, razem z Jasperem i Rhysem walczyliście, by uratować

mnie i Rosecliffe. Proszę, porzućcie spory i pragnienie zemsty.

Randulf uważnie przyjrzał się poważnej twarzy córki, po

czym szeroko otworzył przed nią ramiona. Izolda z radością

skryła się w jego uścisku.

- Jestem skłonny wybaczyć mu grzechy przeszłości -oznajmił, patrząc na Rhysa.

- Ale pod warunkiem, że raz na zawsze porzuci chęć walki ze mną czy kimkolwiek z mojej rodziny.

- Jeśli chodzi o mnie - zaczęła Izolda -
to nie musisz się

obawiać...

- Chodzi mi głównie o Jaspera -
przerwał jej.

Izolda wtuliła głowę w zagłębienie
ojcowskiego ramienia.

Obok stał Jasper i dwaj rycerze. Rhys, z
ponurą twarzą,

przystanął nieopodal. Deszcz przylepił
mu włosy do głowy.

Dziewczyna pomyślała, że choć jest
wspaniale zbudowany,

silny i niepokojąco urodziwy, pozostaje
bezbronny jak dziecko

z powodu głębokich ran duszy.

Zdecydowana ulżyć jego cierpieniom,
wydostała się z objęć

ojca. Przez chwilę usiłował ją
zatrzymać, ale kiedy, patrząc

mu prosto w oczy, powiedziała:
„Kocham go”, opuścił ręce.

- Kocham go - powtórzyła, tym razem
zwracając się do

stryja Jaspera, po czym stanęła przed
Rhysem. - Kocham cię.

Milczał, przyglądając się jej uważnie
oczami czarnymi

jak noc.

- Kocham cię, Rhysie, ale ich także
kocham. Musicie się

pogodzić, bo w przeciwnym razie ty i
ja... - Urwała i pokręciła

głową. Nie była w stanie wypowiedzieć
tak strasznych słów.

Domyśliła się, że Rhys toczy
wewnętrzną walkę.

- Izoldo, mimo że nosisz nazwisko
FitzHugh, chcę, żebyś

została moją żoną. - Zrobił pauzę. - Ale nie możemy tutaj

zostać. Nie mogę mieszkać w pobliżu tego miejsca, wiedząc,

że Anglik panuje tam, gdzie powinien rządzić Walijszyk.

Słyszając jakiś hałas przy drzwiach, wszyscy odwrócili się

w tę stronę i zauważyli Josselyn. Matka Izoldy znacząco

popatrzyła na męża. Ich córka zmarszczyła czoło. Co miało

oznaczać to spojrzenie?

Najwyraźniej Randulf bez trudu się tego domyślił, gdyż

odchrząknął i zwrócił się do Rhysa:

- Jasper ma posiadłość w Bailwynn, na południu. Rządzi

tam sprawiedliwie, co może poświadczyć każdy uczciwy mieszkaniec tych terenów. Jego żona jest Walijką, a dzieci są w równym stopniu Walijczykami, jak i Anglikami. To samo

mogę powiedzieć o sobie. Nie szczeniłem trudu, żeby być

dobrym władcą tutejszych ziem, w czym wydatnie pomogła

mi moja walijska żona. - Popatrzył na
Josselyn. - Ale czasy

się zmieniają. Anglia ma nowego króla i
czeka tam na mnie

nowa posiadłość. Aislin - dodał,
zauważywszy pytające spojrzenie
Izoldy. - Ziemie naszych przodków
odziedziczył mój najstarszy brat, John.
Teraz, po jego śmierci, przypadły mnie.

- Przenosicie się do Aislin?! - zawołała
Izolda. Nigdy tam

nie była, lecz słyszała wiele opowieści
o rodzinnym domu

ojca. - Ale ja wcale nie chcę mieszkać

w Anglii!

Ojciec dotknął jej policzka.

- W takim razie mieszkaj tutaj. Z mężem.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Czyżby się przesłyszała? Ojciec uśmiechnął się do niej. Przepęlniona szczęściem, popatrzyła na Rhysa.

Zrozumiał słowa Randulfa w tej samej chwili co Izolda,

patrzył jednak na nią z niedowierzaniem. Czy to mogła być

prawda?

- Jestem teraz hrabią Aislin - ciągnął
ojciec - a Gavin

dziedziczy po mnie ten tytuł. - Spojrzał
na Josselyn. - Moja

kochana żona poprosiła mnie, żeby nasze
walijskie posiadłości

przeszły na pierworodną córkę. - Jakby
dla podkreślenia jego

słów, rozległ się grzmot.

Stojąc w zrujnowanej wieży, wciąż byli
narażeni na deszcz.

Rhys otarł mokre czoło. Wiedział, że
zamek jest mocny, a co

zostało zniszczone, będzie można odbudować.

Rosecliffe, ze swoim doskonałym położeniem, szeroką fosą

i grubymi murami, z pewnością był jedną z najpotężniejszych

twierdz w Anglii, Szkocji i Walii. Rhys zdał sobie nagle sprawę

z tego, że jego ojciec nigdy nie wzniosłby tak wspaniałej

budowli. Od dwudziestu lat zamek dawał schronienie ludziom

dobrej woli, zarówno Walijszykom, jak

i Anglikom. A było

to zasługą Randulfa FitzHugh i jego brata, Jaspera.

Po raz pierwszy Rhysowi przestało zależeć na zawładnięciu

Rosecliffe i na zemście. Te pragnienia zostały wyparte przez

inne, nieodłącznie związane z kobietą, stojącą obok niego

w postrzępionej sukni; z jego piękną dzielną Izoldą.

Popatrzył na jej twarz, mokrą od deszczu, na ociekające

wodą włosy, zniszczone ubranie. Nawet w takiej chwili przedstawiała najpiękniejszy widok, jaki mógł sobie wymarzyć, a co najważniejsze, miała złote serce i czystą duszę.

To także było dzieło Randulfa FitzHugh. On i Josselyn

wychowali ukochane dziecko na jedyną kobietę, jaką Rhys był

w stanie pokochać.

Izolda zamrugwała. Czy były to krople deszczu, czy łzy?

Drżącą dłonią dotknął jej policzka, tak jak zrobił to przed

chwilą jej ojciec. Otoczyła nadgarstek Rhysa smukłymi palcami.

- Zgodzisz się zostać moją żoną? - Nie planował tych słów,

lecz wcale ich nie żałował; czuł się tak, jakby spadł z niego

wielki ciężar. - Chcesz mieć mnie za męża, Izoldo? - zapytał,

wpatrując się w jej poważne szare oczy.

- Tak.

Przez chwilę stali nieruchomo, po czym dziewczyna rzuciła

się w ramiona ukochanego, omal go nie przewracając. Jego

serce przepełniło się radością. Izolda była drobna, ale niezwykle

silna, mimo łagodnego usposobienia potrafiła być stanowcza,

a chociaż była prawdziwą damą, miała w sobie wystarczająco

wiele figlarności, by nieustannie dostarczać mu radości.

- Wyjdiesz za mnie? - wyszeptał w jej mokre włosy.

Pokiwała głową. Nagle z zakłopotaniem

zdał sobie sprawę,

że wszyscy klaszczą w dłonie.

Randulf FitzHugh podszedł do niego z wyciągniętą dłonią.

- Proponuję zgodę - powiedział.

Rhys bez wahania podał mu rękę.

Następnie Jasper FitzHugh wyciągnął dłoń w geście przyjaźni.

- Dość już złej woli między nami. Skoro masz zamiar

poślubić Izoldę, bądź mi bratankiem.

Rhys poczuł, że dziewczyna sztywnieje w jego ramionach.

Popatrzawszy na nią z niepokojem, zobaczył jej pełne miłości

spojrzenie,

- Kocham twoją bratanicę -
odpowiedział, nie odrywając

wzroku od Izoldy. - Skoro jesteś jej
stryjem, będziesz także

moim.

Po tych słowach uściśnął jego dłoń na
znak zgody, wymacując

przy tym miejsce po palcu - straszliwą
pamiętkę po ojcu

Rhysa. Czasy nienawiści wydawały się
teraz bardzo odległe.

Nadchodziła nowa epoka.

- Chciałbym zamienić słówko na
osobności z moją narzeczoną.

Kiedy zostali sami w dogasających
ruinach wieży, pamiętajacej minione
dwadzieścia lat, położył ręce na
ramionach Izoldy i zajrzał jej w oczy.

- Kocham cię. - powiedział. Te słowa
przyszły mu z trudem,

brzmiały dziwnie obco, ale żadne inne
nie mogły wyrazić tego,

co działo się w jego sercu. - Kocham
cię, Izoldo... Chciałem

ci to powiedzieć bez świadków. -
Odetchnął głęboko. - Byłem

głupi, że wcześniej nie zdałem sobie z
tego sprawy. Próbowałem

nazywać moje uczucia jakoś inaczej,
ale... kocham cię - powtórzył, ciesząc
się radością malującą się w jej oczach.

~

I wiesz, że byłbym gotów się z tobą
ożenić niezależnie od

tego, czy otrzymałbym jednocześnie zamek Rosecliffe.

Słuchała go uważnie. Pokiwała głową, a kąciki jej warg

uniosły się w lekkim uśmiechu.

- A czy pogodziłbyś się dla mnie z Jasperem?

Przytaknął ruchem głowy.

- Wydaje mi się, że dla ciebie zrobiłbym wszystko.

- Nawet przeszedłbyś przez ogień? - spytała, wzruszona.

Rhys miał nadzieję, że odtąd w jej oczach będą pojawiać

już tylko łzy szczęścia. Śmiejąc się, rzuciła mu się w ramiona,

pieczętując miłość i złożone obietnice gorącym pocałunkiem.

Uniósł ją i okręcił. Zastanawiał się, jak to możliwe, że udało

mu się zdobyć tak wspaniałą dziewczynę. Co też takiego zrobił,

że na nią zasłużył?

- Będziemy tu szczęśliwi - powiedziała szeptem.

On także był tego pewny. Na ruinach
wyrosną nowe solidne
mury.

Zamek Rosecliffe, marzec, rok 1156

Izolda odwróciła się powoli i
zmrużywszy oczy, przyjrzała
się malowidłu na ścianie. Nad jej
głową, na dachu, pracował
dekarz, kładący ciężkie ołowiane płyty.
Od tej pory dach będzie
odporny na ogień.

Ponad rok czekała z rozpoczęciem pracy

nad malowidłem,

ale długa zima opóźniła odbudowę, a
potem nadeszła wiosna,

czas siewu i strzyżenia owiec. Wreszcie
w lecie robotnicy zajęli

się rekonstrukcją wieży. Nawet Rhys
pracował przy budowie,

kładąc kamienie i osadzając masywne
krokwie, by zdążyć

przed pierwszymi opadami śniegu.

Teraz jednak nadchodziła wiosna i
trwały prace wykończeniowe na dachu.
Rhys poczytywał sobie za punkt honoru

skończenie odbudowy przed przyjazdem
teściów na pierwszą

dłuższą wizytę do Rosecliffe.

Izolda marzyła o tym, by ukończyć także
malowidło, obejmujące wszystkie
ściany pokoju.

Przed dwoma dniami Rhys wyjechał w
interesach do Afon

Bryn i od tej pory pracowała od
wczesnego świtu do późnych

godzin wieczornych. Tego dnia
śpieszyła się bardziej niż

zwykle, co chwila gładząc się kolistymi

ruchami po wydatnym

brzuchu. Dziecko, Alan albo Alana, wyraźnie się niecierpliwiło.

Opuściło się trochę niżej i przez cały dzień Izolda czuła słaby

ból. Wiedziała, że jeśli w tym dniu nie namaluje tego, co

zamierzała, może nie powrócić do pracy przez wiele miesięcy.

Kolejny raz pogładziła się po brzuchu. Nareszcie była zadowolona z namalowanych róż, zarysu gór na wschodzie i zamku Rosecliffe.

Poprawiła też wilczycę, jednak wciąż

nie

podobało jej się coś w wizerunku
smoka. Doszła do wniosku,

że musi poprawić oczy, ciemne jak u
Rhysa, ale nie tak

błyszczące. Na myśl o tym blasku w
oczach uśmiechnęła się,

ogarnięta miłością i pożądaniem.

Drzwi się otworzyły.

- Lady Izoldo, musisz przerwać pracę -
napomniała ją

Magda. - Nie chodzi o ciebie, tylko o

mnie. Sama wiesz, jaki

Odo robi się nieznośny, kiedy posiłek się opóźnia, a nie chce

zaczynać bez ciebie.

Służąca weszła w głąb komnaty. Miała brzuch równie wielki

jak jej pani.

- Dobrana z nas para! - Izolda zachichotała. - Ale coś mi

się wydaje, Magdo, że odzyskam linię szybciej niż ty.

- Och, milady, czy to już twój czas? -

Magda szeroko

otworzyła oczy i z niepokojem
przyjrzała się Izoldzie. - W takim

razie musisz położyć się do łóża. Nie
powinnaś wspinać się

na te strome schody. Gdyby lord Rhys o
tym wiedział, zmyłby

mi głowę.

- Przecież ty ciągle się po nich wspinasz
- zauważyła

Izolda - a jesteś w tym samym miesiącu
ciąży. Nie przesadzaj,

Magdo. Rhys marudzi za was oboje. Nie mam jeszcze bólów

porodowych, ale czuję się... jakoś inaczej. Może dziecko nie

zawita do nas dziś, ale na pewno już bardzo niedługo.

- Dobrze, że lord Rhys wrócił - mruknęła Magda.

- Wrócił? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?!

- Właśnie to robię, milady. Osborn spotkał go jadącego

starą drogą z Carreg Du. Przyszłam po

ciebie, żebyś mogła go

powitać na dziedzińcu.

- I żeby się nie dowiedział, co tu
wyprawiam? - Poczujący

kopnięcie dziecka, Izolda roześmiała się
radośnie. - No dobrze,

w takim razie chodźmy.

Powoli zaczęły zstępować ze schodów,
podtrzymując się

nawzajem. Malowidło było już prawie
gotowe, za kilka dni

mieli przyjechać rodzice, a mąż właśnie

wrócił. Życie układało

się wspaniale. Rhys ją kochał, pogodził się z jej rodziną

i z samym sobą, a Izolda lada chwila miała mu ofiarować

najwspanialszy dowód miłości. Nie mogła się doczekać, kiedy

zobaczy męża.

znajdujący się o pół mili od zamku Rhys pędził za złamanie

karku. Około południa ogarnęło go nagłe przeczucie. Gdzieś

w wiosce zapiszczało dziecko, a jemu włos zjeżył się na karku.

Nim minęła godzina, zlecił Gandy'emu i Linusowi załatwienie

spraw w Afon Bryn i wyjechał. Musiał zobaczyć się z Izoldą,

chciał być przy niej. Karcił się w myślach za to, że w ogóle

wyjechał tuż przed porodem, chociaż żona zapewniała go, że

do rozwiązania pozostało jeszcze kilka tygodni. Powinien był

słuchać głosu serca i zostać w domu.

Wjeżdżając na wzgórze, zorientował się,
że jego koń jest

już zmęczony. Minął Carreg Du, po czym
skierował się w stronę

pól otaczających Rosecliffe. Robotnicy
wracali do swych

domów; niektórzy do Carreg Du, inni do
wioski przy zamku.

Wszystko wyglądało tak, jak powinno,
jednak wiedział, że

uspokoi się dopiero, gdy zobaczy Izoldę.

Przejeżdżając obok sztaśasu, uniósł rękę,
pozdrawiając New-

lina i Tilly, jednak nie zwolnił tempa jazdy. Po chwili zobaczył

zamek z niedawno ukończoną wieżą. Nareszcie był w domu.

Dom... To dziwne, że czuł się tak związany z miejscem,

którego nienawidził przez tyle lat. Jednak w ciągu minionego

roku bardzo się zmienił dzięki miłości żony.

Poczuł ogarniające go wzruszenie. Izolda uznała go za człowieka zasługującego na miłość, a co więcej, sprawiła, że zajrzał w głąb swego serca.

Czasami był wręcz przerażony, jak bardzo ją kocha.

Teraz z powodu jego miłości musiała znosić bóle porodowe.

Nie mógł spokojnie o tym myśleć. Wiele kobiet umierało przy porodzie.

Wychylił się w siodle i zmusił konia do ostatniego wysiłku.

Chciał jak najszybciej się przekonać, że żona jest cała i zdrowa.

Newlin uśmiechnął się, odprowadzając wzrokiem Rhysa,

pędzącego w stronę zamku.

- W wieży dzieje się coś magicznego -
powiedział do Tilly,

która siedziała obok niego przed
szafasem, grzejąc się w wieczornym
słońcu, które opromieniało swym
blaskiem mury Rosecliffe i okoliczne
ziemie.

- Magicznego? - zdziwiła się Tilly. -
Czyżby to dziś dziecko

miało przyjść na świat?

- Tak myślę - powiedział cicho, gładząc
jej dłoń.

- Skoro mówimy o dzieciach, to
słyszałam o niemowlęciu

z Afon Bryn. Ma zniekształconą buzię i
uschłą nóżkę. Mieszkańcy wioski
mówią, że ciąży na nim klątwa, ale ja
myślę, że to bzdury. To tylko bezbronne
maleństwo.

Newlin milczał.

- Chciałabyś się nim zaopiekować? -
zapytał po dłuższej

chwili.

- Tak.

- Koniec zimy jest bliski - powiedział.

Cała przyroda świadczyła o
prawdziwości jego słów. W lasach
nabrzmiwały pąki, ptaki rozpoczęły
swoje gody. W zamku wkrótce miały się

odbyć chrzciny dziecka, a inne
niemowlę miało zagościć

w jego skromnej chacie.

Serce starego barda wezbrało radością,
przepełniło go szczę

ście.

- Dzisiaj w nocy przyśniła mi się
piosenka - powiedział

i zaczął się rytmicznie kołysać, a Tilly

dołączyła do niego.

*Prędzej głązy ożyją, skamienieją
drzewa,*

*W południe mrok nastanie, czarny jak
żuka pancierz,*

Zimowy chłód rozpędzi gorąca ulewa,

*Prędzej to zobaczymy, niż Walia
upadnie.*

Precz smutki, gdy z czerwcową rosą

Nadchodzi czas plonów i zgody.

Zbierz, co zasiałeś, zaufaj niebiosom,

A potem, z czystym sercem, oczekuj nagrody.

Ostatnie promienie słońca objęły szczyt wieży Rosecliffe,

po czym zniknęły, a niebo przybrało lawendową barwę. Gdy

zapadł zmrok, rozbłysły świece i pochodnie, które powoli gasły

w miarę upływu godzin. W końcu zostało już tylko jedno

oświetlone okno.

W komnacie na wieży świece paliły się bardzo długo.

Mężczyzna przechadzał się po podeście,
cały spocony, mimo

że noc była chłodna. Jego ukochana żona
w bólach rodziła ich

dziecko, a on odchodził od zmysłów.

Przypomniął sobie jej słowa,
wypowiedziane już dawno

temu. Zwróciła mu uwagę, że łatwiej
jest walczyć, niż kochać.

Przekonał się, że to prawda, gdy serce
ściskało mu się bólem

przy każdym jej krzyku.

Nagle rozległo się słabe kwilenie
dziecka. Rhys zadrżał

z głębokiego wzruszenia.

- Rhysie?! - zawołała Izolda. - Chodź
zobaczyć swojego

synka.

Z twarzą zalaną łzami szczęścia
podszedł do żony.